



Holly Jacobs



*Niezwykła
księżniczka*

Tytuł oryginału: Once Upon the Princess



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Muszę znaleźć pracę.

Gdy Parker Dillon tydzień temu w czasie rozmowy ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami, Shey Carlson i Carą Phillips, wypowiedziała te słowa, nie zdawała sobie sprawy, w co się pakuje. Od tego się zaczęło. Teraz była kobietą pracującą, wprawną kelnerką.

No, może to nieco naciągnięta opinia. Do doskonałości trochę jej jeszcze brakowało.

Stawiała dopiero pierwsze kroki w zawodzie i nie zawsze wszystko jej wychodziło, ale pocieszała się myślą, że to dopiero siódmy dzień. Wprawdzie skończyła zarządzanie, jednak studia raczej nie przygotowały jej do kariery kelnerki. Choć z drugiej strony nie powinna się tym szczególnie przejmować. Przecież przez całe życie chciała być taka jak inni, zwyczajna. Jeśli nawet nie uda się jej zostać doskonałą kelnerką, świat się od tego nie zawali.

- Dzień dobry, co mogę państwu podać? - zapytała gości, którzy przed chwilą zasiedli przy stoliku kawiarenki „Monarch” na Perry Square w Erie w Pensylwanii.

Mężczyzna i towarzysząca mu dwójka dzieci podnieśli na nią wzrok.

Dziwne, ale miała wrażenie, że skądś ich zna. Mężczyzna był ubrany w czarny golf, czarne dżinsy i czarną skórzaną kurtkę. Jego kruczoczarne włosy wydawały się bardzo miękkie, jakby zapraszały do...

Wszystko jedno. Parker to nie interesowało.

Nie miała czasu na mężczyzn.

Nawet na tych wyjątkowo przystojnych.

Przeniosła spojrzenie na dzieci i uśmiechnęła się do nich.

- Od kogo zaczynamy?

Dziewczynka odpowiedziała uśmiechem i oznajmiła:

- Ja poproszę gorącą czekoladę i bułeczkę z jagodami. Parker zapisała zamówienie na kartce, po czym odwróciła się do chłopca.

- A dla ciebie?

- Dla mnie gorącą czekoladę i czekoladowego pączka.

Mężczyzna chrząknął znacząco.

- Przepraszam, wujku Jace - powiedział chłopiec i natychmiast dodał: -

Poproszę. -

Wujku?

A więc nieznajomy nie był ojcem dzieci.

Z jakichś powodów serce Parker zabiło odrobinę szybciej.

Mężczyzna - wujek Jace - przeniósł na nią spojrzenie.

Miał czarne oczy. Tak samo czarne jak miękkie, zapraszające włosy. Patrzył na nią przenikliwie, badawczo. Jakby widział coś więcej. Jakby wiedział, że znoszone dzinsy i jasne włosy spięte w koński ogon były tylko zewnętrzną fasadą, maską, za którą ukrywała swoją prawdziwą tożsamość. Przyglądał się jej tak, jakby znał fakty dotyczące jej życia. Fakty, które wolą zachować w tajemnicy.

- Poproszę kawę - odezwał się niskim, miękko brzmiącym głosem.

Od tego głosu coś się w niej poruszyło.

- Z cukrem i śmietanką? - zapytała, z trudem panując nad oddechem.

- Czarną.

No tak, mogłam się tego domyślić. Taki przystojny brunet pija wyłącznie czarną smołę.

- Zaraz podam.

Odeszła od stolika, ale nie mogła się powstrzymać, by się nie obejrzeć. Wujek Jace chyba strofował dzieci, bo oboje mieli skruszone miny.

- Całkiem niezły - skomentowała Shey, gdy Parker weszła za bar. - Szkoda tylko, że już zajęty. Te dzieci... Cóż, jak głosi stare porzekadło, najlepsi faceci zawsze są już żonaci

- To nie jego dzieci. Mówią do niego „wujku”.

- W takim razie nie jest najgorzej. Rzeczywiście, nie widzę obrączki - odparła Shey, uważnie wpatrując się w siedzącego przy stoliku mężczyznę. - Znasz go? Cały czas ci się przygląda.

Parker odwróciła się. Nieznajomy błyskawicznie przeniósł spojrzenie na dzieci, ale Parker nie dała się zwieść. Rzeczywiście ją obserwował.

- Nic nie kojarzę, mam jednak wrażenie, że skądś go znam. Tylko nie wiem skąd.

- To go zapytaj - podsunęła Shey. Oto i cała Shey.

Zawsze idzie za ciosem. Do przodu, i to najkrótszą drogą. Nie zastanawia się, nie dywaguje, szkoda jej czasu na takie dyrdymały. Nie wie, co to rozterki i wahanie.

To właśnie Shey namówiła Parker i Carę na rozkręcenie interesu i założenie spółki. Przekonała je do tego pomysłu. Nawet studia Parker okazały się trochę przydatne - wykorzystała swoją wiedzę, by przygotować biznesplan, odpowiadała za finanse i zarządzanie. Szczęśliwie miała spory kapitał na koncie, więc łatwiej było im zacząć.

Shey prowadziła kawiarnię „Monarch”, a Cara, najspokojniejsza z ich trójki, ulokowaną po sąsiedzku księgarnię „Titles”.

Szło im całkiem niezle, choć bardzo się różniły i charakterami, i umiejętnościami. Jednak dzięki temu każda wносиła do wspólnego przedsięwzięcia coś innego. Doskonale się uzupełniały.

Wprawdzie interes dopiero się rozkręcał i zyski nie były jeszcze zbyt duże, niemniej jednak dziewczyny miały przed sobą perspektywy. Do czasu, gdy ojciec Parker zablokował jej konto. Od tej pory zaczęło być krucho z pieniędzmi i z płynnością. Właśnie dlatego Parker zdecydowała się na pracę kelnerki. Chciała w ten sposób zminimalizować koszty.

Shey i Cara próbowały ją zniechęcić, ale zawzięła się i postawiła na swoim. I nie żałowała. Praca dawała jej satysfakcję, sprawiała przyjemność. Na przykład teraz, gdy ukradkiem zerkała na przystojnego wujka Jace'a.

- Idź, śmiało! - podpuszczała ją Shey. - Zapytaj, czy się skądś znacie.

- Daj spokój, po co? - oponowała Parker. - To przecież nie ma żadnego znaczenia - dodała, nalewając do filiżanki gorącą czekoladę.

- Parker, no idź! - nie zrażała się Shey. - Zobacz, jaki to przystojniak, Dobrze ci pójdzie, nie ma obawy. Skoro potrafiłaś przeciwstawić się ojcu, to będzie dla ciebie pestka. O, właśnie... On znowu do ciebie dzwonił. A raczej jego sekretarz. Prosił o telefon. Mówił, że sprawa jest pilna.

- Nie wydaje mi się. - Parker ozdobiła czekoladę gwiazdką bitej śmietany i sięgnęła po filiżankę do kawy.

- Powinnaś zadzwonić - upierała się Shey. - Czemu tak się wzbranasz? Przecież on nic nie może ci zrobić. Powiedziałaś mu jasno, że masz inne zdanie niż on. Jesteś dorosła, masz prawo postępować według własnej woli. Postanowiłaś nie wracać do domu i nie zamierzasz spełnić jego żądań, ale to nie znaczy, że powinnaś odciąć się od rodziny. Rodzina jest bardzo ważna.

Parker poczuła wyrzuty sumienia. Cóż, nie była w tym wszystkim bez grzechu. Powinna bardziej cenić swoich najbliższych.

Ale przecież nie byli jej obojętni. Kochała ich.

Mama to cudowna, otwarta na innych kobieta. Drugiej takiej osoby nie ma pod słońcem.

Jaka szkoda, że nie odziedziczyłam po niej usposobienia, pomyślała.

Była inna niż matka. Nie miała jej spokoju. Była zawzięta i pewna siebie. Jak ojciec i brat.

Uśmiechnęła się do siebie.

Kochała swoich bliskich, nawet ojca, choć był apodyktyczny. I bardzo, bardzo za nimi tęskniła.

Jednak kochać ich, a mieszkać razem z nimi pod jednym dachem, to dwie absolutnie różne rzeczy.

Bycie członkiem rodziny o takim nazwisku oznaczało życie wystawione na pokaz opinii publicznej. Parker nie była nieśmiała z natury, jednak świadomość, że każdy ruch, niemal każdy gest może zostać zarejestrowany i skomentowany, była nie do zniesienia. Dziennikarze wyciągali najbardziej prywatne szczegóły z jej życia, śledzili ją, czuła się jak tropione zwierzę. Już samo wspomnienie wywoływało przykry skurcz żołądka i ucisk w klatce piersiowej, a serce zaczynało bić przyspieszonym rytmem.

Zmusiła się, by nabrać powietrza i oddychać powoli i miarowo. Odepchnęła od siebie przykre wspomnienia.

Nie, nie ma mowy, by wróciła do tamtego życia, ale to wcale nie znaczy, że nie tęskniła za rodziną. Mimo wszystko dobrze było ich mieć.

W porównaniu z Shey była prawdziwą szczęściarą.

Biedna Shey miała tylko ją i Careę, nikogo więcej. Były dla siebie jak siostry, ale przecież to nie wystarcza. Parker intuicyjnie wyczuwała, że Shey marzy o rodzinie. Przyjaciółka oddałaby wszystko, byle ją mieć, nawet gdyby wiązały się z tym jakieś obciążenia.

- Zadzwoń w wieczorem - obiecała. - Teraz idę doskonalić moje kelnerskie umiejętności.

- Koniecznie zapytaj tego przystojniaka, czy się gdzieś wcześniej spotkaliście, pamiętaj.

- Zobaczą, może - odparła, stawiając naczynia na tacę i próbując utrzymać je w równowadze. - Może zapytam.

- Może nic nie powiem, jeśli obiecacie, że już więcej za mną nie pójdziecie. - Jace O'Donnell z powagą popatrzył na siostrzenicę i siostrzeńca.

Bliźniaki miały zawzięte minki.

- Wiecie, że wasza mama zaraz się z wami rozprawi? Z mamą nie ma żartów.

Trochę przesadzał. Jego siostra, choć starała się odgrywać rolę twardej i bezkompromisowej osoby, miała złote serce.

I to było w niej takie ujmujące.

Choć przez to miękkie serce teraz tak bardzo cierpiała.

- Skończymy jedzenie i sobie pójdziecie - ciągnął Jace. - I może, kto wie, może was nie wydam.

- Wujku, nie mów tak - zamruczała Amanda.

Tak bardzo przypominała Jace'owi siostrę. Shelly miała takie same brązowe włosy z jaśniejszymi pasemkami, przenikliwe niebieskie oczy... a kiedy była w wieku bliźniąt, była dla brata prawdziwym utrapieniem. Widać niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Wszystko to jest zapisane w genach.

Jace najchętniej uściskałby swoją małą siostrzeniczkę, ale rozsądek podpowiadał, by tego nie robić. Musi trzymać dzieciaki w ryzach, inaczej wejdą mu na głowę. Miały spędzić u niego całe wakacje, więc przez ten czas

musiałyby się przed nimi pilnować. Bezustannie by mu deptali po piętach, to pewne jak w banku.

- Dobrze wicie, że nie powinniście iść za mną - rzekł stanowczo. - Mogliście mi bardzo zaszkodzić.

- Nie, na pewno nie! - z przekonaniem zapewnił go Bobby. - To dla nas dobre ćwiczenie. W przyszłym roku będziemy w liceum, a za cztery lata skończymy szkołę i przyjdziemy do ciebie do pracy. Też zostaniemy prywatnymi detektywami.

Jace stłumił jęk. Właściwie powinien się cieszyć, że bliźnięta chcą iść w jego ślady. Powinno mu to pochlebiać. Był dla nich wzorem. We wszystkim chciały być takie jak on. Jednak czasami ich podziw psuł mu szyki.

Na przykład teraz.

- To sprawa dużej wagi - rzekł. - Nie mogę dopuścić, by coś poszło nie tak.

- Opowiedz nam o tym. - Amanda zrobiła przymilną minkę. - My ci pomożemy.

- Nie.

- Wujku, zostały nam tylko cztery lata - do rozmowy wtrącił się Bobby. - Czterdzieści osiem miesięcy. Już powinniśmy zacząć się uczyć.

- Żadne cztery lata - rzeczowo sprostował Jace i zrobiło mu się przykro, bo dzieciom natychmiast zrzędył miny. Biedactwa, ostatnio tyle przeszły, powinien oszczędzić im przykrości.

- Nie cztery, a osiem - powiedział łagodniejszym tonem. - Najpierw musicie skończyć studia, dopiero potem, jeśli nadal będzie podobało się wam takie zajęcie, możecie zacząć pracę.

- Ale po co nam studia? - zaprotestował Bobby. - Będziemy pracować u ciebie. Ty nauczysz nas wszystkiego. Możemy zacząć już teraz. Kogo mamy śledzić?

Jace pominął to pytanie. Wolał nawiązać do kwestii edukacji i niechęci dzieciaków do dalszej nauki.

- Tak się niestety składa, że zatrudniam tylko ludzi po studiach. A co do tej sprawy...

Parker Dillon zmierzała w ich stronę, niepewnie balansując tacą trzymaną na jednej ręce.

- Cii... - urwał Jace. Nie chciał, by Parker cokolwiek usłyszała. Zwłaszcza że sprawa dotyczyła jej. Oczywiście tego bliźniętom nie zamierzał mówić.

Naraz Parker poślizgnęła się i taca zachwiała się niebezpiecznie.

Jace oczami wyobraźni już widział spadające filiżanki z gorącą czekoladą. Poderwał się z miejsca i rzucił się na pomoc.

- Dziękuję, to było bardzo rycerskie z pana strony! - powiedziała z uśmiechem Parker, gdy tylko odzyskała równowagę.

- Nie ma sprawy - odparł Jace, oddając jej tacę i siadając na swoje miejsce.

- To by dopiero była katastrofa, gdyby to wszystko poleciało na podłogę. Uratował mnie pan, dziękuję. W zamian ja pokryję rachunek.

Jace nachmurzył się. Dobrze wiedział, że Parker Dillon nie miała pieniędzy. W zeszłym tygodniu ojciec zablokował jej dostęp do konta i dziewczyna została bez grosza. Sprzedała samochód, by mieć na czynsz i opłacenie firmowych rachunków za ostatni miesiąc.

Jej ojciec pewnie nic o tym nie wiedział. W kolejnym raporcie poinformuje go o sytuacji córki.

- Naprawdę nie ma powodu - odparł.
- Będzie mi miło. Nie co dzień spotyka się bohatera.
- Nie jestem bohaterem - zaprotestował Jace.

Parker patrzyła na niego z pełnym uznania podziwem. Czuł się bardzo nieswojo.

Choć tak naprawdę nie miał powodów, by odczuwać wyrzuty sumienia. Nie przyjechał tu przecież po to, by zrobić dziewczynie krzywdę. Przeciwnie, miał ją chronić.

- A właśnie że tak - upierała się Parker.
- Ja...

Nim Jace zdążył powiedzieć coś więcej, bliźnięta przejęły inicjatywę.

- Jasne, że jesteś bohaterem, wujku! - żarliwie oświadczyła Amanda. - Pamiętasz, w zeszłym tygodniu mama też tak cię nazwała, po tym jak zabrałeś nas na cały dzień do Cedar Point.

- A jak złapałeś bandziora, który wyrwał torebkę jakiejś pani? - przypomniał Bobby. - Nawet w gazecie napisali, że zachowałeś się jak bohater!

Parker uśmiechnęła się do bliźniąt, po czym odwróciła się do Jace'a.

- No widzi pan? Jest pan bohaterem. Ja mam oko. Wasze zamówienie idzie na mój rachunek. Miałabym się z pyszna, gdyby nie pana szybka akcja! - dodała ze śmiechem.

Jace patrzył na nią spod oka. Była w bardzo trudnym położeniu, a jednak trzymała fason.

Parker po raz pierwszy w życiu musiała pracować, by zarobić na utrzymanie, a sądząc po tym, jak niezręcznie obchodziła się z tacą, chyba jeszcze nie całkiem przystosowała się do nowej roli.

Ale czy rzeczywiście musiała pracować?

Parker Dillon nie była zwyczajną kelnerką.

Parker Dillon była księżniczką.

Pochodziła z panującego rodu, w jej żyłach płynęła błękitna krew. Zadanie Jace'a polegało na odkryciu powodów, jakie powstrzymały ją przed powrotem do rodzinnego domu i objęciem ciężących na niej obowiązków. Póki ich nie odkryje, musi zapewnić bezpieczeństwo księżniczce Marii Annie Parker Mickowicz Dillonetti z Eliason.

- Naprawdę nie możemy pozwolić, by płaciła pani za nasze zamówienie. Wiem, jak to jest, gdy człowiek ma ograniczone środki.

W delikatny sposób przypomniał o jej sytuacji. Nie powinna szastać pieniędzmi, gdy nie ma na życie.

- Będzie mi bardzo miło pokryć państwa rachunek. Jak już powiedziałam, nie co dzień spotyka się bohatera. A skoro już o tym mowa, to czy my się gdzieś wcześniej nie spotkaliśmy? Wydaje mi się, że pana znam.

- Nie.

Zaskoczył ją tą krótką odpowiedzią. Odczekała moment, jednak nic więcej nie powiedział. Zreflektowała się.

- Cóż, trudno. Gdyby państwo życzyli sobie jeszcze czegoś, proszę mnie zawołać.

- Dziękujemy - odparł Jace.

Bobby chyba zamierzał coś dodać, ale Jace posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Chłopiec zrozumiał od razu. Oparł się wygodniej i milczał.

Parker odeszła od stolika.

Księżniczka podeszła do baru, czekając na kolejnego gościa.

Ona uczy się zawodu kelnerki, a jej ojciec, Antonio Paul Capelli Mickowicz Dillonetti czeka na informacje od Jace'a. I na odkrycie powodów, dla których księżniczka nie chce wracać do domu.

Prawdziwe pomieszanie z poplątaniem.

- Cześć, mamó. - Po południu Parker zrobiła sobie chwilę przerwy i korzystając z telefonu w pokoiku na zapleczu, zadzwoniła do domu. - To ja. Dzwonił do mnie tata i prosił o telefon.

- Znowu drzecie ze sobą koty? - w głosie matki zabrzmiała szczerza troska. Anna Parker, urodzona i wychowana w Erie, przed laty była zwyczajną dziewczyną z niewielkiego miasteczka, dopiero potem została księżną, ale przede wszystkim była oddaną żoną i matką kochającą nad życie swoją rodzinę.

Gorąco pragnęła, by jej bliscy żyli zgodnie i szczęśliwie. Niestety, ojciec i brat mieli zupełnie inne charaktery niż matka. Obaj byli uparci i apodyktyczni, co często doprowadzało do konfliktów. A Parker nie pozostawała im dłużna. Różnice zdań nie przechodziły bez echa, jednak na mocy niepisanej umowy cała trójka ukrywała scysje przed matką. Przy niej zawsze odgrywali rolę zgodnej rodziny.

- Mamó, no co ty? - powiedziała Parker. - Zadzwoniłam, żeby z nim pogadać. Chyba to nic złego, jeśli córka dzwoni do ojca, bo się za nim stęskniła?

W słuchawce rozległo się mało arystokratyczne prychnięcie.

- A jak ty się miewasz, mamó? - zapytała Parker, nie czekając na komentarz.

- Dziękuję, dobrze. A ty?

Przez chwilę rozmawiały na domowe tematy. Matka opowiedziała o imprezach dobroczynnych, w jakich ostatnio brała udział, wspomniała o

ojcu, dodała też, że Michael, brat Parker, wyjechał z krótką dyplomatyczną wizytą.

- Będzie też w Stanach. Liczył, że się spotkacie. Tęskni za tobą... -
Matka urwała na chwilę i dodała miękko: - Jak my wszyscy.

Parker domyślała się, że dyplomatyczna wizyta Michaela była tylko pretekstem. Brat zawsze stał po stronie ojca i był święcie przekonany, że decyzja siostry o zrzeczeniu się tytułu i rezygnacja z rodzinnych obowiązków to zwykła dziecinada, z której niebawem wyrośnie. Jego przyjazd z pewnością miał z tym związek. No trudno, nie obędzie się bez moralizatorskich kazań.

Parker jęknęła w duchu.

- Ja też za wami tęsknię.

- Nawet jeśli nie chcesz mieszkać w Eliason, nigdzie nie jest powiedziane, że nie możesz tu wpaść od czasu do czasu.

- Przyjadę. Już niedługo. Obiecuję.

- Cieszę się. Poczekaj, zaraz połączę cię z tatą.

Parker myślała, że matka odłożyła już słuchawkę, by przełączyć rozmowę, gdy nagle znów usłyszała jej głos:

- Parker, pamiętaj, bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też, mamó - odpowiedziała czule.

Z niepokojem czekała, aż ojciec odbierze telefon. Musiała się odpowiednio nastawić. Z nim nie pójdzie tak łatwo jak z matką.

Kiedyś, dawno temu, był jej największym powiernikiem. Często siadywała na jego kolanach i opowiadała o swoich marzeniach, zwierzała się z planów na przyszłość. Wtedy naprawdę rozmawiali.

Poczuła żal na myśl, że to już dawno minęło i pewnie nigdy nie wróci. Wszystko się zmieniło. Teraz prawie ze sobą nie rozmawiali. A jeśli już, to

rozmowa składała się z żądań wysuwanych przez ojca, które ona stanowczo odrzucała.

- Przełączę rozmowę. Tylko postaraj się go nie atakować.

- Mamo, co ci przyszło do głowy?

Matka znowu prychnęła.

Ostatnio właśnie tak było. Parker przykazywała sobie, że powinna zachować spokój, ale zwykle nie wytrzymywała i dochodziło do gwałtownej wymiany zdań.

Było jej przykro z tego powodu, jednak nie potrafiła dotrzeć do ojca. Nie była w stanie sprawić, by inaczej popatrzył na jej decyzje, pogodził się z faktem, że ona nie zrobi tego, czego od niej oczekuje.

Nie będzie taka, jak sobie wymyślił.

Nie nadaje się na księżniczkę, to nie w jej stylu, choć wiedziała, jak bardzo ojcu na tym zależało.

- Maria Anna - w słuchawce rozległ się głęboki przyjemnie brzmiący głos ojca.

Gdy była małą dziewczynką, uwielbiała go słuchać. Słowa nie były ważne, liczył się wyłącznie ten wibrujący dźwięk wydobywający się z jego piersi.

- Parker, tato. Teraz mam na imię Parker.

Przestała być księżniczką Marią Anną, gdy wyjechała z Eliason. Osiadła w Stanach, w rodzinnym miasteczku mamy, zostawiając za sobą arystokratyczne życie.

Miasteczko Erie nad jeziorem Erie w Pensylwanii stało się jej domem. Właśnie tu postanowiła rozpocząć studia. Jako Parker.

Po prostu Parker.

W początkowym okresie to imię zapewniało jej anonimowość, z czasem przyzwyczała się do niego i przywiązała. Oddawało istotę zmian, jakie zaszły w jej życiu.

Parker Dillon.

Kelnerka z kawiarni „Monarch”. Zwyczajna dziewczyna. Taka jak inne. Normalna.

- Dla mnie zawsze będziesz moją malutką Marią Anną - z przekonaniem odparł ojciec. - Moją księżniczką.

Parker westchnęła. Dyskusje z ojcem zawsze wyglądały tak samo. Były jak walenie głową w mur. Nic z nich nie wynikało, pozostawały tylko urazy.

- Dzwoniłeś do mnie, tato - zaczęła Parker. - Chciałeś coś ode mnie?

- Chcę, żeby moja córka wróciła do domu.

Znowu ta sama śpiewka. Ojciec był strasznie uparty i zawzięty. Jak sobie coś raz wbił do głowy, konsekwentnie dążył do celu bez względu na okoliczności. To cechy dobrego przywódcy, ale niekoniecznie ojca. Nie ułatwiały wzajemnych kontaktów, bo on zawsze musiał postawić na swoim.

Choć matka nieraz powtarzała, że pod tym względem ojciec i córka byli do siebie bardzo podobni.

Parker-uśmiechnęła się na tę myśl.

- Tato, kocham cię - zaczęła łagodnie. - Ale nie wrócę do domu.

- Twój narzeczony czeka na ciebie. Stęsknił się za tobą.

- Jak może za mną tęsknić, skoro prawie wcale mnie nie zna?

-Tanner chciałby jak najszybciej rozpocząć przygotowania do waszego ślubu.

- Nie tęskni za mną, bo mnie nie zna, więc tym bardziej nie może się ze mną ożenić. I dobrze się składa, bo ja nie zamierzam za niego wyjść.

Nie widziała Tannera od lat. Pamiętała go jako małego chłopca o szczerbatym uśmiechu, który lubił się z nią droczyć. Przekomarzał się z nią i rozśmieszał do łez. Był uroczym dzieckiem, ale od tamtej pory minęło wiele lat. Chłopiec stał się dorosłym mężczyzną. Obcym człowiekiem. Księciem. W zasadzie nic o nim nie wiedziała. Jedno tylko było pewne - nie uważała go za swojego narzeczonego. Niezależnie od wszystkiego, co ustalił ojciec.

- Aranżowane małżeństwa już dawno przeszły do historii. Wątpię, by dzięki mnie moda na nie znów powróciła - zażartowała, chcąc rozładować napięcie, a ponieważ ojciec nie odpowiadał, dodała: - Tato, wybacz, ale nie mogę za niego wyjść. Odpowiada mi takie życie, jakie prowadzę teraz. Jestem szczęśliwa. Nawet pracuję.

- Praca kelnerki jest poniżej twojej godności.

- Zajmuję się też zarządzaniem księgarnią Cary. Uważasz, że to lepsze?

- Nie - rzekł z przekonaniem ojciec. - Na pewno nie. Ale ty nie musisz pracować. Powinnaś wrócić do Eliason. Jesteś tu potrzebna.

- Owszem, muszę pracować. Mama też pracowała, kiedy się uczyła, zanim cię poznała. A ja jestem całkiem niezłą kelnerką. - Skrzywiła się w duchu. Trochę naciągane stwierdzenie, ale stara się przecież i powoli nabiera wprawy.

Choć byłoby dobrze, gdyby udało się trochę przyspieszyć. Brak dostępu do konta oznaczał nie tylko finansowe problemy dla niej, stanowił też zagrożenie dla firmy. Zgodnie z założeniami przez jakiś czas, może przez kilka miesięcy, uda się zachować płynność finansową i być na plusie, jednak od czasu do czasu niezbędny jest zastrzyk świeżej gotówki. Pracując jako kelnerka, zarobi na swoje potrzeby, zaś firma zaoszczędzi na wydatkach.

- Co do mojej pracy... - ciągnęła. - To dla mnie konieczność. Ktoś zablokował mi konto i karty kredytowe. A mam rachunki do zapłacenia. Jak każdy.

- Odciałem ci dostęp do konta, bo chcę, byś wróciła do domu - wyjaśnił ojciec.

Determinacja w jego głosie poruszyła Parker. Poczowała ukłucie żalu.

- Tato, rozmawialiśmy na ten temat już tyle razy i do niczego nie doszliśmy. Każde z nas ma swój punkt widzenia i nie chce go zmienić. Klasyczny pat. Nie wyjdę za Tannera. Nie wrócę do domu. I, co mnie samą zaskoczyło, podoba mi się moja praca.

Nagle Parker pomyślała o dzisiejszej przygodzie z tacą. Omal jej nie upuściła. Gdyby nie ciemnowłosy nieznajomy... Uśmiechnęła się.

- Są lepsze i gorsze dni, ale generalnie praca daje mi dużą satysfakcję.

Ojciec nic nie odpowiedział.

- Masz jeszcze coś do mnie? - zapytała Parker.

- Tanner pojedzie po ciebie do Stanów i ściągnie cię tutaj, skoro jesteś taka uparta i nie chcesz sama wrócić.

- Niech nawet nie próbuje! - zaprotestowała gwałtownie. - Szkoda zachodu. Nie wysyłaj go po mnie. Tato, ja za niego nie wyjdę. Nie mieści mi się w głowie, że wymyśliłeś coś takiego! Mam się zgodzić na zaręczyny w średniowiecznym stylu, z zupełnie obcym człowiekiem?

- Małżeństwo twoich dziadków też zostało zaaranżowane przez ich rodziców, a mój ojciec zaklinał się, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Tak to już jest w naszej rodzinie. Wszyscy zakochujemy się od razu i na całe życie.

- Ale ty sam znalazłeś mamę. Ja też chcę sama wybrać sobie męża... jeśli w ogóle kiedykolwiek wyjdę za męża... Nie przysyłaj tutaj Tannera, proszę.

- On już jest w drodze. Jutro będzie na miejscu. Lot 1129, wylądaje wieczorem o ósmej trzydzieści. Postaraj się zdążyć.

- Zdążyć na co? - zapytała Parker.

- Odebrać go z lotniska - wyjaśnił ojciec.

- Nie zamierzam po niego jechać.

- Moja panno, byłoby wielkim nietaktem pozostawić narzeczonego samemu sobie i skazywać go na łapanie taksówki. Nie chcesz być księżniczką, ale dobre maniere obowiązują wszystkich, niezależnie od ich pozycji społecznej. Wyjedziesz po swojego narzeczonego na lotnisko.

- Nie mam narzeczonego - powtórzyła po raz kolejny Parker.

Ojciec, co było do przewidzenia, nie przyjął jej kategorycznego oświadczenia do wiadomości. Również po raz kolejny.

- Mario Anno, liczę na to, że jutro wieczorem o ósmej trzydzieści będziesz na lotnisku.

Cóż, Parker nie mogła nie przyznać ojcu racji. Nie wypadało zostawić biednego Tannera samemu sobie.

- No dobrze - zgodziła się niechętnie. - Zostanie odebrany z lotniska. Postaram się o to. Ale to nie znaczy, że jestem jego narzeczoną.

Ojciec westchnął ciężko.

- Kiedyś łatwiej było się z tobą dogadać.

- Z tobą też. - Parker przypominała sobie chwile, kiedy siedziała na kolanach ojca, a cały świat wydawał się przyjazny. Poczowała dławienie w gardle. - Ale chociaż oboje tak bardzo się zmieniliśmy, kocham cię, tato.

- Ja ciebie też, Mario Anno. Ja też.

Ojciec odłożył słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę Parker siedziała nieruchomo, wpatrując się w telefon.

Tanner był już w drodze do Erie.

Chłopiec, którego obraz nosiła w pamięci, był teraz dorosłym mężczyzną. Mężczyzną, który leciał do Stanów, by spotkać się z narzeczoną i zabrać ją do domu, gdzie mieli rozpocząć przygotowania do ślubu, założyć rodzinę.

Biedny książę Eduardo Matthew Tanner Ericson z Amaru.

Ojciec wprowadził go w błąd i teraz na nią spadło zadanie wyjaśnienia mu sytuacji.

To Shey namówiła ją, by zadzwoniła do ojca. Ona ją do tego przekonywała. Wszystko przez Shey. To jej wina.

Więc może niech ona pojedzie po Tannera na lotnisko?

ROZDZIAŁ DRUGI

Nazajutrz wieczorem Parker była jednym kłębkim nerwów. Miała opory, by powiedzieć matce, że ojciec zablokował jej dostęp do konta, ale zapowiedziany przyjazd Tannera sprowokował ją do szybkiego działania. Liczyła, że matka wpłynie na ojca i może przekona go, by jeszcze odwołał wizytę Tannera.

- Skarbie, to nic nie da. Ojciec się nie ugnie. Ale jestem pewna, że dasz sobie radę z Tannerem - podsumowała matka. - Masz silny charakter, nie zginiesz.

- Ty nie uważasz, że uciekam, prawda? - zapytała Parker. - Bo tata tak myśli.

- Nie uciekasz. Ty pędzisz, poszukując swojej drogi. Swojego celu w życiu.

- A jeśli znajdę go gdzie indziej, nie w Eliason?

- Mam nadzieję, że uda ci się to zrećźnie połączyć. Nawet gdybyś nie wróciła, to wcale nie musi znaczyć, że definitywnie skreśliłaś Eliason. Ale tak czy inaczej, jesteśmy twoją rodziną. Bez względu na wszystko.

Rozmowa z matką dobrze jej zrobiła. Jak zawsze. Po wyjściu za mąż mama w jednej chwili znalazła się w blasku fleszy, stale była pod ostrzałem opinii publicznej, dlatego Parker tak łatwo znajdowała u niej zrozumienie.

Gdyby tylko tata był równie wyrozumiały jak mama!

Parker robiła, co mogła, by go przekonać, przedstawić swoje racje, ale wszystko było jak rzucanie grochem o ścianę. Może lepiej pójdzie jej z Tannerem. Musi mu uświadomić, że nie wróci do domu i na pewno nie zmieni zdania.

Shey nawet chętnie zgodziła się pojechać na lotnisko po księcia. Był tylko jeden problem - pod jej nieobecność ktoś musiał doglądać kawiarni. Wypadło na Parker.

To było jedyne wyjście, choć Parker miała duże obawy. Po raz pierwszy kawiarnia zostanie na jej głowie. To duża odpowiedzialność. Wolała jednak to, niż jechać po Tannera.

Cały czas się denerwowała, choć w kawiarni szło jej lepiej, niż się spodziewała. Nie wydarzyło się nic, co sprawiłoby jej kłopot.

Naprawdę Parker denerwowała się czymś innym - przyjazdem Tannera.

Z nim będzie równie ciężko się dogadać jak z ojcem.

I to nie tylko z powodu arystokratycznego pochodzenia. Po prostu obaj byli mężczyznami.

Nie mogła dojść do ładu z tatą, więc zapewne tak samo będzie z Tannerem.

- Proszę pani? - głos klientki oderwał Parker od tych rozważań.

Popatrzyła w kierunku stolika. Ciemnowłosa kobieta była wyraźnie czymś zaniepokojona.

- Przepraszam - odezwała się Parker. - Zamyśliłam się. Czym mogę służyć?

- Czy ktoś mógłby odprowadzić mnie do samochodu? W parku na skwerze kręci się jakiś mężczyzna. Obserwował nas przez okno. Zachowuje się jakoś dziwnie... - kobieta urwała i oblała się lekkim rumieńcem. - Może to moja wybujała wyobraźnia, ale wygląda złowrogo. Jest ubrany na czarno i ukrywa się za tamtym drzewem. O, patrzy w tę stronę.

Mężczyzna ubrany na czarno?

W Perker obudziło się niejasne podejrzenie. Coś w rodzaju przeczucia. Chyba się domyślała, kto czai się w ciemności.

Nie miała pojęcia, skąd się brała ta pewność. W końcu wielu mężczyzn ubiera się na czarno, a jej nigdy dotąd nie zdarzało się przewidywać przyszłości, choć w rodzinie wspomniano, że cioteczna babcia ze strony ojca miała zdolność jasnowidzenia.

Może odziedziczyła coś po niej?

Od wczorajszego dnia, rozmyślając o ojcu i Tannerze, co i raz wracała myślą do kruczoczarnowłosego gościa.

Na dodatek przyśnił się jej w nocy.

Chyba dlatego od razu pomyślała o nim, gdy tylko usłyszała o mężczyźnie w ciemnym stroju czającym się za drzewem.

Czy trochę nie przesadzała? Nawet jeśli on patrzy na kawiarnię, to co z tego? Czy ma to coś wspólnego z przeczuciem, że już go kiedyś widziała?

Tak czy owak, jeśli nie zaczniesz działać, te pytania pozostaną na zawsze bez odpowiedzi. Samo rozważanie niewiele zmieni.

- Ja panią odprowadzę. Tylko zamknę kasę - powiedziała. Kobieta popatrzyła na nią bez przekonania, więc Parker dodała:

- Niech się pani nie boi, dam sobie radę. Mam gaz pieprzowy.

- Myśli pani, że to wystarczy? - kobieta wciąż się wahała.

- Psiknął ktoś kiedyś pani w oczy takim gazem? Nic nam nie grozi, zapewniam panią. Proszę poczekać, za minutę wracam. - Parker podeszła do drzwi łączących kawiarnię z księgarnią. - Cara, jesteś tam?

- Tak. Co się stało? - W drzwiach pojawiła się drobna brunetka.

- Idę odprowadzić klientkę do samochodu. W kawiarni nikogo nie ma, kasę zamknęłam. Mogłabyś przez chwilę mnie zastąpić?

- Jasne - odparła Cara. - Jakiś problem?

- Nie. Jestem pewna, że nie. Ta kobieta jest po prostu trochę przewrażliwiona.

- No dobrze. Ale jeśli nie wrócisz za dziesięć minut, dzwonię na policję.

- Dzięki.

Parker wróciła na salę.

- Biorę gaz, a koleżanka zerknie na kawiarnię. Możemy iść.

- Na pewno nic nam nie grozi? - w głosie klientki zabrzmiała obawa.

- Na pewno.

- Mój samochód stoi po drugiej stronie ulicy. Wyszły na zewnątrz.

Parker przymrużyła oczy, starając się dojrzeć coś w parku po drugiej stronie.

Nagle dostrzegła jakiś cień.

- Tam na wprost? - zapytała.

- Tak. Za tym dużym drzewem - wyszeptała kobieta. -Mój samochód stoi dokładnie przed nim.

- Chodźmy.

Przeszły przez ulicę. Parker cierpliwie czekała, aż kobieta otworzy drzwi i wsiądzie do auta.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co. Zapraszam do ponownego odwiedzenia naszej kawiarenki.

Kobieta uruchomiła silnik, a Parker cofnęła się, by auto mogło odjechać.

Powinna od razu wrócić do kawiarni, jednak ruszyła do parku.

Alejki były oświetlone, ale resztę spowijały gęste ciemności. Parker spojrzała na drzewo, za którym wcześniej dostrzegła cień. Z tej odległości trudno było uzyskać pewność, czy naprawdę ktoś się tu ukrywa.

Nagle coś poruszyło się w ciemności. Niemal niedostrzegalnie.

Tak, to na pewno jakiś człowiek. Mężczyzna. Parker zatrzymała się.

Zawsze kiedy Oglądała horrory, uważała, że ich bohaterki zachowują się wyjątkowo beznadziejnie. Siedząc na kanapie i wpatrując się w ekran, próbowała je powstrzymać. Nie schodź do tej piwnicy, idiotko, powtarzała w duchu.

Tym razem sama zachowywała się tak jak one. Powinna czym prędzej wracać do kawiarni, a jednak ciekawość okazała się silniejsza od zdrowego rozsądku. Parker zrozumiała nagle, dlaczego bohaterki filmów, choć umierały ze strachu, musiały sprawdzić, co się dzieje. I zwykle źle się to dla nich kończyło.

W ciemności nie było nic widać, jednak Parker wiedziała, że w mroku ktoś się czai. I miała niezbitą pewność, kim jest ten mężczyzna.

Ścisnęła w dłoni pojemnik z gazem. To w razie, gdyby sprawy potoczyły się w złym kierunku.

- Wujek Jace? - zapytała.

Dobiegł ją lekki szelest, jakby ktoś próbował ukryć się w cieniu.

- Wiem, że tam jesteś, wujku Jace. Czarna kawa. Siostrzeniec i siostrzenica. Upodobanie do czarnych ubiorów.

Znowu jakiś szelest.

- Jeśli nie wyjdiesz, dzwonię z komórki na policję. Będę tu stać i pokażę policjantom, gdzie się chowasz. Dobrze się składa, bo posterunek jest po sąsiedzku, a policjanci często wpadają do nas na kawę. Na pewno mi

uwierzą, gdy przysięgnę, że mnie prześladujesz. Domyślam się, dlaczego to robisz. On cię do tego wciągnął, przyznaj się.

Strzelała na oślep, ale wiedziała, że ma rację. Czuła to. Ojciec znowu wynajął kogoś, by ją śledził.

To dlatego ten wujek Jace wydał się jej znajomy. Dlatego czał się w ciemności i obserwował kawiarnię. Był płatnym sługusem ojca.

Może naprawdę odziedziczyła zdolność jasnowidzenia, bo była absolutnie pewna, że ma rację. Przez ostatnie kilka tygodni czasami odnosiła wrażenie, że ktoś ją śledzi. Tłumaczyła to sobie wybujałą wyobraźnią, a wzmożone wysiłki ojca, by ściągnąć ją do domu, zapewne nasiliły jej podejrzliwość. Jednak może przeczucia wcale jej nie myliły.

- Dobrze, w takim razie dzwonię! - zawołała.

Mężczyzna wyłonił się z ciemności.

- Co to za bzdury? - zapytał.

Parker omal nie podskoczyła z wrażenia.

Szybko przeszła do ataku, by ukryć zdenerwowanie.

- Bzdury? Na pewno nie. Mów, po co cię wysłał?

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Jace.

Lampa oświetlająca alejkę dawała wystarczająco dużo światła, by teraz, gdy wyszedł z cienia, Parker mogła zobaczyć jego twarz. Był niemożliwie przystojny. A w tych ciemnościach niebezpieczny. Ideał mężczyzny. Ale nie dla niej.

Jeśli „wujek Jace” został rzeczywiście wynajęty przez ojca, to dla niej stanie się ucieleśnieniem nie tyle marzenia, co sennego koszmaru.

- Ależ wiesz, na pewno wiesz, wujku Jace. Wysłał cię mój ojciec. Nie zaprzeczaj, bo w ten sposób obrażasz moją inteligencję. Wczoraj wydałeś mi się znajomy, bo już cię wcześniej widziałam, tylko nie skojarzyłam tego. To

było w zeszłym tygodniu na meczu hokeja. Też byłeś z dziećmi. To naprawdę dzieci twojej siostry czy może mój ojciec wynajął je również dla zamaskowania twojej misji?

- To dzieci mojej siostry. Ale nie wziąłem ich dla zamaskowania czegokolwiek. Mają wakacje i szukają przygód, dlatego wciąż depczą mi po piętach. Gdybym był sam, z pewnością byś mnie nie zauważyła.

Parker popatrzyła na niego badawczo. Naprawdę był nieziemsko przystojny, nawet ciemność nie była w stanie tego ukryć.

- Raczej nie należysz do osób, które roztapiają się w tłumie.

- Mam to uznać za komplement? - uśmiechnął się zabójczo.

- Jak uważasz. Powiedz, dlaczego mnie śledzisz.

- Przepraszam, ale nie mogę.

- W porządku. W takim razie dzwonię na policję. Powiem, że mnie prześladowiesz.

- Zrobisz, jak uważasz - odparł nonszalancko i wzruszył ramionami.

- Nic nie uważam - burknęła Parker i ruszyła alejką w kierunku ulicy.

Słyszała za sobą jego kroki. Nie bała się. Skoro tak mu na tym zależy, niech sobie ją śledzi. Nie przyznał się, ale była święcie przekonana, że działa na polecenie ojca.

Jak tylko znajdzie się w kawiarni, zadzwoni do taty i powie mu, co o tym myśli. Zażąda, by natychmiast odwołał swojego szpicla, bo inaczej natychmiast wyjedzie z Erie i ukryje się tak, że nikt jej nie znajdzie.

Nie chciała posuwać się do gróźb, jednak tym razem ojciec stanowczo przesadził.

To, że wysłał Tannera, by ściągnął ją do domu, można mu jeszcze wybaczyć, ale wysyłać szpiega, by śledził każdy jej krok, to naprawdę przegięcie.

Jej ciemiężca przyspieszył i po kilku krokach znalazł się przy niej.

- Co teraz zamierzasz zrobić?

- Spokojnie, nie denerwuj się. Przecież wiesz, że zostałeś spalony, więc z pracy nici.

- Nie chodzi mi o pracę.

- Aha! Więc jednak się przyznajesz!

- Nie powiedziałem, że zleceniodawcą jest twój ojciec.

- Nie musisz. Wiem, że to on. Nie życzę sobie, by ktoś mnie śledził. Znosiłam to całe lata i mam już tego serdecznie dość.

Nieoczekiwanie zaczęło budzić się w niej znajome poczucie zagrożenia i rosnącej paniki. Zmusiła się, by je stłumić. To tylko wynajęty przez ojca agent, nikt z prasy. Nie ma aparatu, niczym jej nie zaskoczy.

- Księżniczko...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo Parker zastygła w pół kroku.

- Nigdy, ale to nigdy nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Tu nie jestem żadną księżniczką. Mam na imię Parker. Parker Dillon, po prostu. Jestem zwyczajną dziewczyną, która ciężko pracuje, żeby zarobić na życie.

- Nawet gdybyś nie była księżniczką, na pewno nie jesteś zwyczajną dziewczyną, Parker - powiedział miękko Jace.

Przez chwilę walczyła z pokusą, by go dotknąć, delikatnie przesunąć palcem po ocienionym zarostem policzku. Stop, przecież to wariactwo!

Nic o nim nie wiedziała, poza tym, że jest lokajem na usługach ojca. I że bardzo kocha dzieci swojej siostry.

Śledził ją, ale wiedział o niej niewiele. Naprawdę była teraz zwyczajną dziewczyną. Zawsze tylko tego pragnęła. Normalności. Być taką jak inne. Dziewczyną, która nie rzuca się w oczy, której nikt nie zauważa. Która nigdy nie trafi na pierwsze strony brukowych gazet.

Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do kawiarni. Przekreśliła tabliczkę z napisem „zamknięte”. Zanim jednak zdążyła zatrzaskać drzwi, Jace wszedł do środka i usiadł przy stoliku w jednej z łóż. Nie mogła temu zapobiec.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Mogę prosić o kawę? - zapytał.

-Nie.

W uchylonych drzwiach do księgarni pojawiła się głowa Cary.

- Już wróciłaś?

- Tak - niemal warknęła Parker.

Cara popatrzyła na nią z niepokojem.

- Coś nie tak? Jakies problemy?

- Dam sobie radę.

W końcu przez lata radziła sobie z ojcem i jego nadopiekuńczością. Teraz przyjął nową taktykę. Ale z tym też sobie poradzi.

- Kto to? - zapytała Cara.

- Wujek Jace! - prychnęła Parker.

Widząc zdezorientowaną minę przyjaciółki, wyjaśniła:

- To pacholek mojego ojca. Ojciec kazał mu mnie śledzić. Dasz wiarę?

- No nie! Myślałam, że dawno się opamiętał. Zwłaszcza po tym, co stało się z tym agentem, którego ostatnio tu wysłał. Biedny Hoffman.

- Widać tatuś nie wyciągnął żadnych wniosków - skrzywiła się Parker.

Tym razem będzie inaczej.

- Za to Hoffman okazał się bardzo pojętny - zachichotała Cara.

- Co się z nim stało? - zapytał Jace.

Cara zaśmiała się jeszcze serdeczniej.

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Ty najwyraźniej jesteś następny w kolejce. Po co zawczasu miałbyś się zadrećzać? To niczego nie zmieni, bo ona i tak cię załatwi.

Jace zmrużył oczy. Przez moment w milczeniu przypatrywał się Parker, po czym odwrócił się do Cary.

- Jak mnie załatwi?

Kiedy zrozumiał, że nic więcej z niej nie wyciągnie, ponownie popatrzył na Parker.

- Hej, księż... Parker. Co stało się temu Hoffmanowi?

- Wiem, ale nie powiem - odparła Parker. Dopiero po chwili zreflektowała się, jak dziecinnie to zabrzmiało. - Siedź i bądź cicho.

Sięgnęła po słuchawkę i zaczęła wybierać zastrzeżony numer telefonu ojca.

- Która tam jest teraz godzina? - odezwał się nagle Jace. - Chcesz go obudzić?

- Wcale bym się tym nie przejęła. Zasłużył sobie na pobudkę w środku nocy. Ale bez obawy. Mogę do niego dzwonić o dowolnej porze. On prawie nie sypia.

Nie zamierzała mówić, że odziedziczyła tę cechę po ojcu. Wystarczyły jej trzy, góra cztery godziny snu. Dzięki temu pozostawało sporo wolnego czasu. Mogła sobie pozwolić na snucie refleksji i obmyślanie różnych spraw. Właśnie w ten sposób narodził się plan usunięcia Hoffmana. Plan zakończony pełnym sukcesem.

Dziś w nocy obmyśli strategię wobec Jace'a.

Wybrała numer i przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Halo? - rozległ się głos ojca.

Nie wdając się w żadne wstępy, Parker zaatakowała:

- Jak mogłeś?

- Powiedziałem ci, że Tanner jest już w drodze.

Parker jęknęła głośno. Była tak zaaferowana Jace'em, że zupełnie zapomniała o Tannerze.

Popatrzyła na zegarek. Księżę pewnie lada chwila się tutaj zjawi.

Zapowiadała się długa noc.

- Nie chodzi tym razem o Tannera - powiedziała. - Jace. Twój sługus.

- Nigdy bym nie zatrudnił kogoś nieodpowiedniego do sprawowania pieczy nad moją córeczką - z przekonaniem zaprotestował ojciec. - Jason O'Donnell jest cenionym prywatnym detektywem. Zarekomendował mi go sam burmistrz.

- A w jakiej sprawie prowadzi dochodzenie?

- W twojej. Jego zadaniem jest odkrycie, co trzyma cię w Erie. A raczej kto.

- Już sto razy ci mówiłam, że nikogo tu nie mam poza Carą i Shey. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że nie chcę być księżniczką? Sam dobrze wiesz, jak wyglądało moje życie! Nie mogłam opędzić się od reporterów. Śledzili każdy mój ruch, każda najmniejsza bzdura od razu urastała do rangi epokowego wydarzenia. Nie miałam chwili spokoju, nie miałam gdzie się ukryć. Życie, jakie teraz prowadzę, naprawdę mi odpowiada. Chcę pozostać anonimowa. Chcę być zwyczajną dziewczyną. Chcę być Parker. Tato, każdy ojciec uważa, że jego córka jest wyjątkowa. Nie patrzysz obiektywnie. I choć bardzo cię kocham, boję się. Zabierz swojego agenta.

- Nie. Zostanie i będzie wypełniać swoje obowiązki, póki Tanner nie przywiezie cię do domu. Tęsknię za tobą. I bardzo cię proszę, nie każ nam na siebie długo czekać.

Ojciec rozłączył się.

Parker przez chwilę wpatrywała się w słuchawkę, po czym odwróciła się do Jace'a.

Jason O'Donnell. Prywatny detektyw.

- Wygląda na to, że jestem na ciebie skazana - powiedziała.

- O nie! To kolejny Hoffman? - wyszeptała Cara.

- Uhm - mruknęła Parker, mierząc Jace'a wzrokiem. - Może nawet gorszy.

Cara popatrzyła na detektywa ze współczuciem.

- To ja was chyba teraz zostawię, sami się rozmówcie. Nie lubię takich scen.

Parker uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Wracaj do księgarni. Poradzę sobie. Niezależnie od tego, co on wymyśli.

- Wiem, że dasz sobie radę - powiedziała Cara, znikając za drzwiami. - I tego się boję.

Jace odprowadził wzrokiem Carę, po czym przeniósł spojrzenie na Parker. Jej oczy ciskały gromy.

Nie miał pojęcia, kim był wspomniany przez dziewczyny Hoffman. Jutro w pierwszej kolejności poszuka jakichś informacji na jego temat. Musi się dowiedzieć, jak rozprawiła się z nim księżniczka. Parker, poprawił się w duchu.

Wiedza jest najlepszą obroną, a patrząc na jej gniewne spojrzenie, nie miał najmniejszych wątpliwości - musiał bardzo uważać.

- Gdy już się z tobą rozprawię... - zaczęła.

Jace nie usłyszał, co miała do powiedzenia, bo w tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe.

Od dwóch tygodni obserwował Parker, więc doskonale wiedział, że rudowłosa, krótko ostrzyżona dziewczyna, która weszła do kawiarni, to Shey Carlson, przyjaciółka Parker i właścicielka lokalu. Ale nie ona przykuła jego uwagę, a towarzyszący jej mężczyzna.

Był mniej więcej wzrostu Parker, ale było w nim coś zaskakującego, jakaś szczególna aura sprawiająca wrażenie, że jest znacznie wyższy. To jednak na Jace'a nie działało. Nie dał się zwieść pozorom. Zbyt długo działał w branży, by ulegać iluzjom.

Nieznajomy miał starannie przycięte, ciemne włosy i nosił garnitur o nienagannym kroju, z pewnością od znakomitego projektanta.

- Księżniczka Maria Anna? - odezwał się głębokim, dystyngowanym głosem.

- Jestem Parker - odparła ostro.

Najwyraźniej jego atrakcyjny wygląd nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

- Dawno się nie widzieliśmy, Tanner - dodała łagodniej.

- Zbyt długo. - Gość błysnął oszałamiającym uśmiechem, który zapewne żadnej kobiety nie pozostawiał obojętną.

- Nie za bardzo - wymamrotała.

Tanner. Jace znał to imię z danych, które dostał na temat Parker od jej ojca. Księżę Eduardo Matthew Tanner Ericson z Amaru. Narzeczonej Parker.

- Twój ojciec wysłał mnie, bym ściągnął cię do domu.

- Jestem w domu.

Uśmiech przybyłego zgasł, a jego twarz się zmieniła.

- Do domu w Eliason.

- Możesz spokojnie wracać do Eliason czy do Amaru. Pierwszym samolotem. Ja tu zostaję.

- Słucham? Przyleciałem na drugi koniec świata, by spotkać się z narzeczoną...

- Nie jestem twoją narzeczoną - przerwała mu Parker.

- ... i jedyne, co masz mi do powiedzenia, to „żegnaj”?

- Na to wychodzi. A skoro o tym mówimy, to ja właśnie wychodzę. Shey, zamkniesz kawiarnię?

- Jasne, nie ma sprawy - odparła Shey i skinęła w stronę księcia. - A co z nim?

- Mogłabyś podzucić go do hotelu?

- Jasne.

- Ty, agent, idziesz? - Parker zwróciła się do Jace'a.

- Uhm.

Nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Miał ją śledzić, nie eskortować. Jednak choć wyglądała na całkowicie opanowaną, była bardzo spięta. Wyczuwał jej zdenerwowanie.

- Oczywiście - rzekł. - Może ja poprowadzę?

- Mnie to pasuje, bo jadę autobusem.

- Autobusem? - zdumiał się książę. - Moja narzeczona podróżuje publicznym autobusem?

- Nie masz narzeczonej, ale jeśli mówiłeś o mnie, to owszem, jeżdżę publicznym transportem. Ojciec zablokował mi konto i zostałam bez grosza, dlatego musiałam sprzedać samochód.

- Ale, ale... - wykrztusił książę.

- Proszę się nie martwić - rzeczowo powiedział Jace. - Dopilnuję, by Parker bezpiecznie dotarła do domu.

- Do domu - powtórzyła Parker, patrząc na Tannera. - Tu jest mój dom, a ty wracaj do siebie. Do Amaru. Nic tu po tobie, nic cię tu nie trzyma. A już na pewno nie narzeczona.

Po tych słowach odwróciła się i wyszła.

Jace popatrzył na księcia. Naprawdę było mu go żal.

Nie przepadał za takimi wytwornymi światowcami, jednak biedak nie zasłużył sobie na takie traktowanie. W dodatku przy świadkach. Szczerze mu współczuł.

Ciekawe, kto jego pożałuje, gdy księżniczka zacznie realizować swoje groźby. Widząc, do czego jest zdolna, miał poważne obawy co do swojego losu.

Może być z nim gorzej niż z tym tajemniczym Hoffmanem.

Westchnął ciężko i ruszył za księżniczką. Zapowiadało się długie i gorące lato.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Prawdę mówiąc, nie przyjechałam dzisiaj do pracy autobusem. Przyszłam na piechotę. Ode mnie to niedaleko, tylko parę przecznic - przyznała się księżniczka... Parker.

Jace doskonale o tym wiedział. Miał ją na oku od chwili, kiedy rano wyszła z domu. Szedł za nią aż pod kawiarnię.

Dziewczyna chyba zapomniała, że jego zadaniem było dokładne obserwowanie każdego jej kroku. Inaczej nie wskazywałaby mu drogi. Nie wyprowadzał jej z błędu. Lepiej, jeśli jej gniew skupi się na Tannerze, nie na nim.

Gdy skręcili w jej ulicę, powiedziała:

- To już tutaj. - Wskazała budynek z czerwonej cegły.

Jace podjechał pod ładny, piętrowy dom i zatrzymał samochód. Wprawdzie to nie zamek, ale prezentuje się całkiem przyzwoicie.

- Przyjemny dom - mruknął.

- Tak. Ale ja w nim nie mieszkam. Tylko tu - pokazała na garaż.

Oczywiście, to też nie było dla niego żadną tajemnicą. Właścicielką domu była manikiurzystka pracująca w niewielkim gabinecie kosmetycznym na wprost kawiarni „Monarch”. Parker wprowadziła się tutaj trzy lata temu.

Wszystko to wiedział, jednak nie mógł zrozumieć, co skłoniło księżniczkę, osobę, która mogła wykupić połowę miasta, do zamieszkania w skromnym mieszkanku nad garażem.

Ojciec odciął jej dostęp do pieniędzy, ale stało się to dopiero niedawno. Gdyby teraz się tu przeprowadziła, wszystko byłoby zrozumiałe, ale Parker mieszkała tu od dawna. Od czasu, gdy skończyła studia.

- Dlaczego? - wymamrotał.

- Co dlaczego? - zapytała Parker.

Jace dopiero teraz zdał sobie sprawę, że niechcący powiedział to na głos.

- Dlaczego mieszkasz w garażu?

- Nad garażem. Mam tam samodzielne mieszkanie.

- Jesteś księżniczką. Dlaczego mieszkasz nad garażem? - specjalnie podkreślił ostatnie słowa. - Mogłabyś mieszkać zupełnie gdzie indziej.

- A niby gdzie powinna mieszkać księżniczka? - odpowiedziała pytaniem.

- Nieważne - mruknął.

Przecież nie powie jej, że w zamku. To zbyt banalne.

- No, powiedz - naciskała.

- Zapomnij, że pytałem.

- Dobrze wiem, co sobie myślisz. I ty to wiesz. Więc śmiało, mów.

- Nie odpuścisz, póki nie powiem tego na głos? - zapytał, z góry znając odpowiedź.

Zdażył już ją na tyle poznać. Będzie mu wiercić dziurę w brzuchu, póki nie postawi na swoim. Zmusi go, by powiedział, co myśli.

- Uhm.

- W porządku - przystał w końcu. - Księżniczka powinna mieszkać w zamku. Założę się, że wasza rodzina ma zamek. Pewnie dorównuje wielkością zamkowi w Windsorze. Mam rację?

- Owszem, mamy zamek. W Europie ich nie brakuje, dlatego nie są żadną sensacją. Nie budzą w ludziach takiej ciekawości jak w Amerykanach. Nasz nie jest tak duży jak Windsor, ale jest wystarczająco przestronny.

Zresztą to już mnie nie dotyczy. Nie mieszkam w Eliason, a w Erie. Mam mieszkanie nad garażem. Chcesz dalej to ciągnąć?

Najwyraźniej szukała zwady. Była wściekła, że ojciec wynajął detektywa, by ją śledził. Choć chyba jeszcze bardziej denerwował ją przyjazd narzeczonego.

Jace uważał się za rozsądnego i roztropnego człowieka, który potrafi wybrnąć z każdej, nawet bardzo trudnej sytuacji. Wiedział, jak się zachować, by wygrać. Dlatego i tym razem nie da się sprowokować.

- Nie, nie chcę.

- To dobrze. - Parker otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

Jace ruszył za nią.

- Co jeszcze? - zapytała.

- Nie zaprosisz mnie?

- A niby dlaczego? Nie jesteśmy znajomymi. Prześladujesz mnie.

- Wcale nie - odparł. - Twój ojciec zlecił mi, bym zorientował się w twojej sytuacji. Mam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Mój ojciec wynajął cię, żebyś mnie śledził.

- Mylisz się. Ojciec niepokoi się o ciebie. Zależy mu na tobie. Może jednak zaprosisz mnie do środka? Upewnię się, czy twoje mieszkanie jest bezpieczne. Poczuję się lepiej, jeśli wypełnię zleczone zadanie.

- No właśnie. Jestem dla ciebie zadaniem. Cóż, możesz powiedzieć swojemu szefowi, że odprowadziłeś mnie aż do drzwi. To powinno go w zupełności zadowolić.

- Nie mam zamiaru mieszać się w wasze rodzinne problemy i opowiadać się po którejś ze stron, jednak...

- Czy ty nie rozumiesz, że znalazłeś się w środku tych problemów? W samochodzie byłeś taki przymilny, jakby ci zależało na mnie i na moim

bezpieczeństwie, jakbyśmy się znali. Ale prawda jest inna. Sam zresztą to powiedziałeś. Jestem dla ciebie zleceniem, zadaniem. Masz w biurku dane na mój temat, za wykonaną robotę dostaniesz zapłatę.

- Mylisz się.

- W czym?

- Znam cię, Parker Dillon. Przyznaję, nie znam księżniczki Marii Anny Parker Mickowicz Dillonetti z Eliason, ale znam Parker.

Od dwóch tygodni śledził każdy jej krok. Wiele się o niej dowiedział. Gdy przyjmował to zlecenie, inaczej wyobrażał sobie księżniczkę. Spodziewał się wyniosłej, nieco rozpuszczonej arystokratki, przekonanej, że wszystko jej się należy. Tymczasem Parker okazała się zupełnie inna. To prawdziwa kobieta. Z każdym dniem coraz bardziej ją podziwiał.

- Co ty o mnie wiesz? - w jej głosie zabrzmiało wyzwanie.

- Lubisz hokej, jesteś fanką tutejszej drużyny. Wiem, że masz dobre serce...

Parker potrząsnęła końskim ogonem.

- Co ty opowiadasz?

Nieoczekiwanie ogarnęło go pragnienie, by ściągnąć gumkę ściągającą jej jasne włosy i patrzeć, jak rozsypują się na ramionach.

Rzecz jasna, nie zrobił tego.

- Wiem, że tak jest. Codziennie zaglądasz do właścicielki domu. Dałaś pieniądze swoim przyjaciółkom na uruchomienie kawiarni i księgarni. Dziś wieczorem wyświadczyłaś grzeczność swojemu narzeczonemu.

- Wcale tak nie było. Kazałam mu wracać do domu.

- Postawiłaś sprawę uczciwie. Oszczędziłaś mu rozczarowania. O ile gorsza jest sytuacja, gdy człowiek zaangażuje się w coś, a dopiero potem

zaczyna się orientować, że nic z tego nie będzie. Wtedy dopiero przeżywa trudne chwile.

- Umiesz wszystko przedstawić tak, by pasowało do twojej koncepcji. Jednak nie do końca masz rację. Gdybym naprawdę była taka dobra, wróciłabym do domu.

- A sama byś cierpiała. Z czasem twój ojciec domyśliłby się, że zrobiłaś to dla niego i miałby poczucie winy. To dosyć podobna sytuacja do tej z księciem. Od razu mu powiedziałaś, że za niego nie wyjdiesz. Twojemu ojcu jest przykro, ale gdybyś wróciła do domu wbrew sobie, czułby się jeszcze gorzej. Miałby wyrzuty sumienia, bo przez niego byłabyś nieszczęśliwa.

- Nie będę z się z tobą spierać. Nie masz racji. Wszystkiego, o czym wcześniej mówiłaś, dowiedziałaś się prawdopodobnie od mojego ojca, a to jeszcze nie znaczy, że mnie znasz.

Jace nie mógł zaprzeczyć. Rzeczywiście tak było. Jednak jego własne obserwacje poczynione przez ostatnie dwa tygodnie wiele mu powiedziały na temat Parker.

- Wiem jeszcze, że lubisz jezioro - zaczął łagodnie. -I mewy. Lubisz też dzieci i nie odpędzasz psów. Przynajmniej ja tego nie zauważyłem. Pijesz kawę bez mleka, tak jak ja, a twoim ulubionym kolorem jest pomarańczowy.

Parker roześmiała się.

- No dobrze, rzeczywiście co nieco o mnie wiesz, ale to jeszcze nie znajomość.

- Więc zaproś mnie do siebie. Obejrzę twoje mieszkanie, upewnię się, że jesteś tam bezpieczna, a przy okazji będę mógł cię lepiej poznać.

- Mieszkam tu od trzech lat, mam alarm. Najlepszy z najlepszych, mój ojciec już o to zadbał. Mieszkanie jest bezpieczne. Jak forteca.

-Ale...

Powstrzymała go.

- Uznaj to za kolejny dowód mojej dobroci. Powiedziałam: nie. I na tym koniec. To nie są tylko puste słowa. Nie zaproszę cię. Wracaj do domu.

- Dobrze. Niech ci będzie. Na dziś rzeczywiście wystarczy ci wrażeń. -
Jace cofnął się do samochodu i włączył silnik. - Do jutra, Parker - krzyknął przez otwarte okno.

- Na pewno nie, jeśli ja zobaczę cię pierwsza - odparowała.

Jace patrzył, jak Parker podeszła do drzwi wejściowych, odczekał jeszcze chwilę i ruszył. Nie skierował się jednak w stronę domu. Ta sprawa była najważniejsza, ale poza nią miał jeszcze inne, których też nie wolno mu zaniedbywać. Zdarzały się momenty, gdy poważnie zastanawiał się, czy nie powinien zatrudnić współpracownika, zazwyczaj jednak takie nastroje dość szybko mu przechodziły. Cenił swoją niezależność i poczucie wolności. Pracował we własnym rytmie, sam o wszystkim decydował. I to mu odpowiadało.

Mógł brać tylko te sprawy, które go naprawdę interesowały.

Tak jak ta.

Uśmiechnął się.

Księżniczka niewątpliwie była bardzo interesująca.

Parker miała rację. Większość informacji na jej temat znał z dokumentów nadesłanych przez księcia. Liczył, że obserwując ją i jej poczynania, dowie się dużo więcej, ale dziś wieczorem zrozumiał, że nie będzie to takie proste. Było jeszcze mnóstwo rzeczy, które pozostawały dla niego tajemnicą. I tak naprawdę, im więcej ich poznawał, tym bardziej podobała mu się ta uciekająca księżniczka.

Księżniczka.

Nie powinien zapominać, że Parker jest księżniczką. Westchnął. Najbardziej chciałby poznać dziewczynę bez korony. Właśnie Parker.

„Na pewno nie, jeśli ja zobaczę cię pierwsza. ” Ale mu powiedziałam! Parker jęknęła w duchu. Zachowała się jak beznadziejny dzieciak. Wystukała kod i weszła do mieszkania. „Księżniczki powinny mieszkać w zamku. ” Wyłączyła alarm i zaczęła wchodzić po schodach. Ach te stereotypy!

Przypomniała sobie swoją guwernantkę i jej niekończącą się litanię zakazów i nakazów.

Księżniczkę się widzi, ale nie słyszy.

Księżniczka nie biega, tylko się przechadza.

Księżniczki nie wydzierają się wniebogłosy.

Księżniczkom nie wypada krzyżować nóg, nosić dżinsów, żuć gumy i robić sobie tatuaży.

Akurat tatuaż nigdy jej nie pociągał, choć Shey żarliwie ją do tego namawiała. Bez gumy do żucia też mogła się obyć, za to chciała mieć prawo do wygłaszania własnych sądów, uwielbiała swoje znoszone dżinsy i lubiła krzyżować nogi.

Nie zapalając światła, wyszła z salonu na taras. Na podjeździe nie było już samochodu Jace'a. Parker popatrzyła w dół ulicy. Pusto.

Jace rzeczywiście odjechał. To dobrze.

Miała dość szpiegów. Ledwie zdołała uwolnić się od Hoffmana, a już zjawił się Jace.

Uśmiechnęła się na myśl o Hoffmanie, emerytowanym policjancie wynajętym przez ojca. Unieszkodliwienie go okazało się dość łatwe. Z Jace'em sprawa raczej nie będzie tak prosta.

Popatrzyła na rozciągającą się przed nią ciemność. Niewiele widać, ale wiedziała, co jest dalej. To dlatego wołała zwyczajne mieszkanie nad garażem niż historyczny zamek. Tu czuła się jak każdy inny człowiek, a poza tym miała wspaniały widok na jezioro Erie. Widziała dalekie światła kołyszących się na wodzie łódek i jachtów. Zamyśliła się. Musi znaleźć sposób na Jace'a.

Nagle przypomniała sobie jego twarz, jego uwodzicielski, trochę niebezpieczny uśmiech.

Tak wyglądał, gdy wieczorem w parku chował się w cieniu drzewa, ale kiedy przyszedł z dziećmi do kawiarni, zupełnie nie wydawał się groźny.

Ten człowiek był pełen sprzeczności.

I miał sporą wiedzę na jej temat.

W przeciwieństwie do mej. Wiedziała o nim jedynie to, że jest dobrym wujkiem i prywatnym detektywem, wynajętym przez jej ojca, by ją śledzić.

To raczej niewiele.

Naraz rozległ się dzwonek telefonu.

Parker zerknęła na aparat. Dobrze, że miała identyfikację numerów. Nie czuła się teraz na siłach, by dyskutować z ojcem, a tym bardziej nie miała ochoty na rozmowę z Tannerem. Na szczęście to żaden z nich. Dzwoniła Shey.

Parker podniosła słuchawkę.

- Dzięki za odebranie Tannera - powiedziała.

- Z tym właśnie jest problem - ściszy głos Shey zabrzmiał tajemniczo.

Parker poczuła skurcz w żołądku.

- Coś się stało? - zapytała. - Co jeszcze mój ojciec wymyślił?

- Nie chodzi o twojego ojca, a o twojego księcia.

- To nie jest mój książę - wysyczała przez zaciśnięte zęby, ale jednocześnie odetchnęła nieco lżej.

Z Tannerem jakoś sobie poradzi. Zresztą poradzi sobie nawet z Jace'em. Już się bała, że ojciec wysłał tu jeszcze kogoś. Ostatnio w Erie zaczynało robić się dla niej trochę za ciasno.

- No dobrze, co on takiego zrobił?

- Rzecz w tym, czego nie zrobił. Nie chce stąd wyjść.

- Jak mam to rozumieć?

- Że Tanner i jego goryle...

- O czym ty mówisz? Goryle?

- Przywiózł ze sobą ochroniarzy. Trzech. To zresztą nieważne. Mają zarezerwowane pokoje w tym nowym hotelu nad jeziorem, ale książę nie zamierza tam jechać. Zapowiedział, że zostaje u mnie.

- Na litość boską, ale dlaczego?

- Wykoncypował sobie, że pospieszysz mi na ratunek, a wtedy on będzie miał okazję z tobą pogadać.

- Mam cię od niego uwolnić? Chcesz, żebym przyjechała? - zapytała Parker z niepokojem. Nie zostawi przecież przyjaciółki w potrzebie.

- Nie! - zachichotała Shey.

Teraz Parker nie miała już wątpliwości. Shey na pewno nie oczekiwała pomocy.

- Zadzwoiłam, żeby się upewnić, jak bardzo mam być dla niego miła. W końcu to twój narzeczony.

- Żaden narzeczony. Kolega z dzieciństwa. Wcale nie musisz być dla niego miła.

- Na pewno? - zapytała Shey.

- Na pewno - potwierdziła Parker, choć nagle zrobiło się jej żal Tannera. Shey musiała go nieźle zszokować. Kogoś takiego jak ona z pewnością nigdy nie spotkał. On obraca się w najwyższych sferach, a tam takie dziewczyny nie bywają.

- To super! - ucieszyła się Shey.

Parker była w stanie wyobrazić sobie jej uśmiezek. Przyjaciółka zawsze tak się uśmiechała, kiedy knuła coś, co zwykle kończyło się kłopotami.

Do tego miała prawdziwą smykałkę.

- Tylko uważaj. Nie zrób czegoś, co mogłoby cię zaprowadzić za kratki. Ja może się jakoś wykręcę, bo mam immunitet dyplomatyczny, ale ty przepadniesz.

- Nie martw się. Poczekaj, księżę chce z tobą koniecznie rozmawiać.

Rozległ się zduszony dźwięk i po chwili w słuchawce zabrzmiał czysty głos Tannera:

- Parker, musimy porozmawiać. To konieczne.

- Jedyne, co mam ci do przekazania, to prośba, byś wyjechał. Póki jeszcze możesz. Shey nie jest zachwycona twoim pomysłem biwakowania u niej. A kiedy Shey się naburmuszy, może być niebezpiecznie.

- Parker, twój ojciec powiedział...

- Cokolwiek by powiedział, to kłamstwo. Tanner, przykro mi, ale nie jesteśmy narzeczonymi. - Oświadczyła mu to już wcześniej, ale widocznie to do niego nie dotarło, dlatego dla pewności dodała: - Wiesz, w moim życiu jest ktoś inny.

- Ktoś inny? Kto?

- Hm... - gorączkowo starała się wymyślić jakieś imię, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Nigdy nie kłamała, po prostu nie umiała.

- Ten mężczyzna, który był w kawiarni? - zapytał Tanner, gdy cisza w słuchawce zaczęła się przeciągać.

Parker poczuła ulgę. Odetchnęła.

- Tak. To on.

- Nie mówisz poważnie.

- To bardzo poważna sprawa. On jest zabawny, miły... poza tym widzi we mnie kobietę, nie księżniczkę. Tanner, posłuchaj mojej rady, wyjedź, proszę. Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź, i poszła do łóżka. To był naprawdę ciężki dzień.

Gdy zadzwonił telefon, wydawało się jej, że dopiero przed chwilą zamknęła oczy.

- Halo? - odezwała się sennie i popatrzyła na zegarek. Siedem po ósmej.

Chyba nie przespała całego wolnego dnia? To chyba ósma rano, nie wieczorem?

Kto dzwoni o takiej nieludzkiej porze?

- Księż... Parker?

No tak, już знаła odpowiedź. Jace. Jace O'Donnell.

Mogła się domyślić, że to taki typ, który wyrywa ludzi ze snu!

- Jeśli to nie jakaś nagła sprawa, poważny wypadek czy coś w tym stylu, to mnie popamiętasz. Mam dziś wolny dzień, a ty mnie obudziłeś! - zagroziła.

Naciągnęła kołdrę na twarz, bo raziło ją światło.

- Dla mnie to nie jest sytuacja kryzysowa, ale dla ciebie może być. Na miejscu twojego księcia spróbowałbym zaskoczyć cię w domu.

Parker usiadła raptownie. Kołdra opadła i światło uderzyło ją w oczy.

- Skąd wiesz?

W słuchawce zapadła wymowna cisza.

- Och, no tak - ocknęła się Parker. - Masz rację. Przecież jesteś szpiegiem.

- Detektywem - sprostował.

- Prześladowcą - powiedziała zaczepnie.

- Dobrym detektywem. - Urwał na chwilę. - To co, nie sądzisz, że roztropnym wyjściem byłoby ewakuować się z domu? Chyba że chcesz spotkać się rano z księciem.

Parker przetarła oczy.

- Nie. Powiedziałam mu już wszystko. Nie mam nic do dodania.

- Co w takim razie zamierzasz zrobić? - naciskał Jace.

Parker popatrzyła na leżące obok łóżka ubranie: podkoszulek i szorty.

- Ubieram się czym prędzej i zmywam się, nim go tu przyniesie - powiedziała. - Będę go unikać. Liczę, że w końcu coś do niego dotrze.

- Chciałbym ci coś zasugerować - powiedział Jace.

Mimowolnie wyobraziła sobie taką scenę: ona i Jace stoją na wprost siebie, twarz przy twarzy. „Chciałbym ci coś zasugerować” szepcze Jace, a jego głos brzmi miękko i kusząco. Parker nie musiałaby się długo domyślać, jaką sugestią miał na myśli.

„Tak” wyszeptałaby do niego. Od razu, nie czekając na dalsze wyjaśnienia.

Co się z nią dzieje? Czyżby całkiem zwariowała? Ona i Jace?

Przecież to szaleństwo. Po prostu absurd.

- Parker, chcesz usłyszeć, co to za sugestia? - głos Jace'a brzmiał inaczej, niż przed chwilą to sobie wyobrażała. Raczej był w nim niepokój, a nie podstępne kuszenie.

Sugestie... Jace...

Zebrała się w sobie. Musi przestać bujać w obłokach.

- Oczywiście. Mów.

- Nie bądź taka podejrzliwa.

Nie będzie mu wyjaśniać, że to nie podejrzliwość, a całkiem coś innego.

- No, zaczynaj! - ponagliła go. - Bo muszę się stąd wynosić.

- Chciałem ci tylko zaproponować, żebyś spędziła ten dzień ze mną i z dziećmi. Moja siostra ma dziś rozmowę w sądzie w sprawie ugody rozwodowej. Obiecałem zająć się dziećmi, a jednocześnie muszę mieć ciebie na oku. Czyli albo wezmę dzieciaki i będziemy razem cię namierzać, albo spędzimy ten dzień w czwórkę.

- No nie, czy mnie uszy nie mylą? Prześladowasz mnie i jeszcze chcesz, bym ci to ułatwiała?

- Daj spokój. Niczego nie musisz mi ułatwiać. Jeśli nie ja, to ktoś inny będzie ci deptać po piętach - odparł zniecierpliwiony Jace. - A śledzenie ciebie nie jest trudne, tylko że dla dzieci to wątpliwa przyjemność.

- Czyli powinnam się zgodzić ze względu na dzieci? - spytała Parker, a zamiast niepokoju, jaki powinny wzbudzić w niej jego słowa, ogarnęła ją wesołość. Jego pokrętna logika rozśmieszyła ją.

Choć w tym, co powiedział, było sporo sensu.

- Tak, ze względu na dzieci. - Słyszała po jego głosie, że też się uśmiecha. - Popatrz na to w ten sposób, że dzień z dziećmi i ze mną będzie przyjemniejszy niż ukrywanie się przed mężczyzną uważającym się za twojego narzeczonego.

Parker nie miała zamiaru potakiwać, jednak ostatnie zdanie zabrzmiało naprawdę przekonująco.

- Tak - powiedziała.

- Zgadzasz się, że to będzie przyjemniejszy sposób na spędzenie dnia, czy potwierdzasz, że idziesz z nami?

- Jedno i drugie. - Nie mogła dłużej się powstrzymać i roześmiała się wesoło.

- No dobrze - podsumował ze śmiechem Jace. - Wpadnę po ciebie za pół godziny. Oczywiście jeśli księżniczka jest w stanie wyszykować się w tak krótkim czasie.

Parker prychnęła w odpowiedzi w słuchawkę i rozłączyła się.

A więc spędzi dzień ze szpiclem nasłanym przez ojca. Dobrowolnie się na to zgodziła. Oparła się o poduszkę. Co jej się stało, że tak łatwo dała się namówić? I co jest lepsze: czy skazać się na towarzystwo agenta wynajętego przez ojca, czy na narzeczonego wybranego przez ojca?

Z jakichś trudnych do nazwania powodów spędzenie dnia z Jace'em wydawało się jej bardziej do przyjęcia niż spotkanie z Tannerem.

Chyba ze względu na dzieci.

Tak.

Parker lubiła dzieci.

To nie z powodu Jace'a czy tej scenki, jaka mimowolnie stanęła jej przed oczami na początku dzisiejszej rozmowy. Zgodziła się z powodu dzieci. Powtarzając to sobie w duchu, zerwała się z łóżka. Pokaże mu, że księżniczka potrafi być szybka.

- Ja bym chciała żabkę! - błagalnym tonem powiedziała Amanda, kiedy po lunchu zatrzymali się przy kolejnej atrakcji w wesołym miasteczku.

-Musiałbym stracić następną puszkę - rzekł Jace. -A została mi tylko jedna piłka. Jedenaście poszło na te dwie puszkę. Nie możesz wybrać sobie innego zwierzątka? Patrz, akurat wystarczy nam na małego pingwina.

-Ale żabka jest najfajniejsza - zawodziła z uporem dziewczynka.

Nie było to jęczenie na poważnie. Amanda uśmiechała się przy tym szeroko. Po prostu męczyła wujka. Parker bardzo ją za to polubiła.

- Amando... - zaczął Jace.

- Daj mi tę ostatnią kulę - Parker wyciągnęła rękę do Jace'a. - Strącę puszkę.

- Ty? - Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- A co, uważasz, że kobieta nie może rzucić tak mocno jak mężczyzna?

- Myślę, że księż...

Parker chrząknęła i popatrzyła znacząco na dzieci. Jace zrozumiał natychmiast.

- ... ktoś taki jak ty może mieć problemy.

Wyciągnęła rękę.

- Daj mi tę kulę, a pokażę ci, do czego jestem zdolna.

- Parker, wydałem już piątkę, by zbić dwie puszkę. To moja ostatnia kula.

- Mylisz się - rzekła. - To moja ostatnia kula.

- W porządku. Ale jeśli Amanda nie dostanie żabki, to będzie twój problem. Ja umyвам ręce. - Uśmiechnął się i podał jej kulę, a ich palce na mgnienie się dotknęły.

Było to ledwie muśnięcie, ale Parker natychmiast stała się czujna. Ogarnęło ją podobne uczucie do tego, którego doświadczyła za pierwszym razem, gdy omal nie upuściła tacy.

Opanowała się szybko.

- Pokażę ci, co potrafi kobieta.

Przymrużyła oczy, oceniła sytuację, wycelowała i rzuciła kulę. Uderzyła precyzyjnie. Puszka przewróciła się z łoskotem.

- Proszę! - zaśmiała się Parker, wykonując głową mały skłon.

- Pozerka - wymamrotał Jace z uśmiechem. Parker wyprostowała się i pokazała mu język.

- Och, jakie to dorosłe - skomentował.

- Piękny strzał! - z uznaniem powiedział obsługujący grę mężczyzna i podał Amandzie żabkę.

- Bardzo dziękuję - odparła dziewczynka. - Wiem, jestem już za duża, żeby bawić się pluszakami, ale...

- Na to nigdy nie jest się za dużym - zaprotestowała Parker. - Ja zbieram Myszkę Miki. Wciąż przechowuję nawet tę, którą dostałam pierwszą. Wprawdzie naruszył ją już żab czasu, ale nigdy się z nią nie rozstaję.

- Naprawdę? - zapytała Amanda.

- Naprawdę.

- No dobrze - niecierpliwił się Bobby. - Chodźmy już dalej.

Amanda nie dała się prosić i pobiegła za bratem w stronę pałacu grozy.

Jace i Amanda podążyli za nimi.

- Jesteś jak dziecko - powiedział Jace, gdy stali w kolejce do wejścia.

- Uwielbiam wesołe miasteczka. Dają mi poczucie anonimowości. Bardzo lubię tutaj przychodzić. Ty też?

- Też. Jak byłem mały, przyjeżdżaliśmy tu w lecie. Firma mojego ojca urządzała tutaj doroczne pikniki.

- Ach, jak cudownie jest dorastać w takiej atmosferze. Chodzić sobie do wesołego miasteczka albo na plażę.

Parker rzadko pozwalała sobie na uzalanie się nad sobą. Wiedziała, że miała w życiu dużo szczęścia. Miała kochającą rodzinę, nigdy niczego jej nie brakowało, ani pod względem emocjonalnym, ani materialnym. A jednak zawsze tęskniła za choćby odrobiną normalnego życia.

Właśnie dlatego osiadła w Erie jako Parker Dillon. Tutaj się odnalazła. Wreszcie miała to, o czym zawsze marzyła. Mogła spokojnie studiować, chodzić do wesołego miasteczka, a potem rozpocząć pracę w kawiarni.

Znalazła swoje miejsce, poczuła się sobą. Nigdy z tego nie zrezygnuje i nie wróci do Eliason, by znowu być Marią Anną.

- Nie robiłaś tego, gdy byłaś mała? - zapytał Jace.

- Kiedy twój ojciec rządzi krajem, nawet tak niewielkim jak Eliason, a matka działa we wszystkich organizacjach charytatywnych, to nie ma czasu na takie normalne rzeczy jak chodzenie do wesołego miasteczka czy na plażę.

W oczach Jace'a błysnęło współczucie, więc Parker natychmiast dodała:

- Mieliśmy basen w domu, więc mogłam sobie popływać. Nie chciałabym też, by to zabrzmiało tak, jakby rodzice nie mieli dla nas w ogóle czasu. Mieli, tylko że... -urwała, nie do końca wiedząc, dlaczego mu to mówi.

- ... to nie było to samo - dokończył za nią Jace.

- No właśnie.

- Mam pomysł. Zapomnijmy do końca dnia, że jesteś... - pochylił się i wyszeptał jej do ucha - księżniczką.

Przebiegł ją dreszcz, gdy poczuła ciepłe tchnienie jego oddechu. Przez maleńką chwilę chciała pochylić się ku niemu, by być jeszcze bliżej.

Zdusiła to zaskakujące pragnienie.

- Zapomnijmy, że jestem prywatnym detektywem pracującym dla twojego ojca - ciągnął Jace. - W ogóle zapomnijmy, że jesteśmy dorośli. Po prostu Parker i Jace. I zabawmy się w wesołym miasteczku.

Ona, Jace i dzieci. Czemu nie?

Napięcie, które jeszcze przed chwilą czuła, zniknęło. Uśmiechnęła się.

- Dobrze.

Właśnie nadeszła ich kolej. Dzieci pierwsze wsiadły do wagonika.

- Wychodzi na to, że jedziemy razem - skomentowała Parker. Starła się powiedzieć to bez emocji, jednak w skrytości ducha ogarnęła ją ekscytacja.

Wsiedli do dwuosobowego wagonika i człowiek z obsługi opuścił poręcz zabezpieczającą pasażerów. Miejsca było niewiele, więc siedzieli tuż obok siebie. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, a mimo to Parker nie opuszczało podniecenie.

Wagonik ruszył i po chwili znaleźli się w ciemności. Mijali kolejne sale, zaśmiewając się ze zjaw i widm. Jedna z sal miała skośną podłogę. Wagonik jechał teraz w mocnym przechyle i Parker zsunęła się na Jace'a, a on objął ją ramieniem. Niemal leżała na jego boku.

W półmroku widziała jego twarz. Przez moment przestraszyła się, że Jace zaraz cofnie ramię, ale on przyciągnął ją mocniej.

Myślała, że zaraz ją pocałuje, tymczasem tylko musnął ustami jej policzek. Trwało to może sekundę, po czym wagonik znów wjechał na równe podłoże.

Jace powoli cofnął rękę, a Parker z ociąganiem odsunęła się na swoją stronę.

- Jace - odezwała się, chcąc nawiązać do tego, co się przed chwilą zdarzyło, by dowiedzieć się, co to miało znaczyć. Może wtedy łatwiej uporałaby się ze sobą, zwalczyła tłącą się w niej pokusę. Ale powietrze rozdarło głośne trąbienie. Wagonik wjechał do kolejnej sali.

Gdy jazda się skończyła, próbowała wrócić do tematu:

- To, co się stało...

Jace nie dał jej skończyć. Uśmiechnął się do dzieci czekających na nich przy wyjściu.

- Co dalej?

Szła za nimi przez park, zadając sobie w duchu to samo pytanie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Parker nie mógł odżalować, że nie wziął ze sobą aparatu.

Nie, nie był zapalonym fotografem. To można powiedzieć o jego siostrze. Shelly nigdy nie zapominała o robieniu zdjęć. Pstrykała na wszystkich rodzinnych uroczystościach, przy każdej okazji. Gdyby tu teraz była, z pewnością miałyby aparat.

Niestety, Shelly właśnie odbywa mało przyjemne spotkanie ze swoim mężem, ustalając warunki rozvodu. Ich małżeństwo od początku budziło poważne wątpliwości.

Hal Robert nie był odpowiednim kandydatem na męża Shelley. Według Jace'a zbyt wiele ich dzieliło. I nie chodziło wyłącznie o wiek, Hal był piętnaście lat starszy od Shelly, ale o pochodzenie. Hal był bogaty, Shelly nie.

Siostra powtórzyła błąd rodziców. Ich ojciec odszedł, gdy Jace miał pięć lat, a Shelly dziewięć. Zostawił ich bez mrugnięcia okiem. Na barki matki spadła odpowiedzialność za zapewnienie im warunków do życia, a ojciec wrócił do swojego wcześniejszego komfortowego stylu. O rodzinie zapomniał.

Radosny śmiech Amandy i Bobby'ego oderwał Jace'a od ponurych wspomnień. Parker uśmiechała się szeroko do dzieci. Widocznie czymś je rozśmieszyła. Jace znów pożałował, że nie zabrał aparatu. Chciałby uchwycić jej uśmiech, utrwalić go na zawsze.

To nie był oficjalny uśmiech na użytek opinii publicznej, jaki widział na zdjęciach przysyłanych mu przez księcia. Na upozowanych studyjnych portretach Parker sprawiała wrażenie osoby chłodnej, zdystansowanej...

wyniosłej arystokratki. Jace uświadomił sobie nagle, że na tamtych fotografiach nie wyglądała na szczęśliwą.

Teraz, gdy obserwował ją pogrążoną w rozmowie z dziećmi, była zupełnie inną dziewczyną. Uśmiechała się, ale jej uśmiech był inny. Teraz śmiała się całą sobą.

Przez chwilę w jej spojrzeniu było coś więcej. Pytania, na które nie mógł odpowiedzieć. O ulotny pocałunek w pałacu grozy.

Trwało to niedługo. Widać jednak Parker uznała, że nie warto drażnić tematu. Wolą się bawić i korzystać z dnia. Nie odmawiała sobie niczego. Razem z dziećmiakami objadała się cukrową watą, jabłuszkami w cukrze, popcornem.

Teraz wspólnie pałaszowali monstrualną porcję frytek.

- Rozbolą was brzuchy, zobaczycie - ostrzegł ich Jace.

- Mnie na pewno nie! - zawadiacko odpowiedział Bobby. - Mama mówi, że mam strusi żołądek.

- Ciekawe, jak mamie idzie - powiedziała Amanda i jej rozjaśniona buzia spochmurniała.

- Na pewno świetnie sobie radzi - pocieszająco rzekł Jace, choć w głębi duszy też zadawał sobie to pytanie.

Shelly potrafiła walczyć, życie ją tego nauczyło. Nie poddawała się łatwo. Zaciskała zęby i brnęła w nieudane małżeństwo, aż doszła do momentu, gdy nie była w stanie znieść dłużej niewierności męża.

- Wasza mama jest silna - powiedział z przekonaniem, dodając otuchy i dzieciom, i sobie.

- Pewnie jest niezwykła. - Parker popatrzyła na chłopczyka. - Ma takie wyjątkowe dzieci.

- Tak, jest niezwykła - potaknął Jace.

- Bo musi - z powagą wyjaśniła Amanda.

Taka powaga w dziecku, które miało dopiero trzynaście lat...

- Tata nie chce płacić na nas alimentów i nie pozwolił mamie niczego wziąć z domu. Nawet samochodu. Sędzia kazał im spotkać się w sądzie i porozmawiać. - Bobby umilkł.

- Dlatego mieszkamy u wujka Jace'a - dodała Amanda.

- Jak skończymy szkołę, weźmie nas do siebie do pracy - rzekł Bobby.

- Jak skończycie studia - uściślił Jace.

- No tak, chociaż studia nie są nam potrzebne - nie poddawał się Bobby.

Chłopiec miał swoje zdanie i nie zrażał się łatwo. Jace popatrzył na siostrzeńca z uznaniem. Odziedziczył to po mamie. Shelly też była taka uparta.

- Oczywiście, że powinniście pójść na studia - wtrąciła się Parker. - Na tutejszej uczelni mają świetny program z pogranicza kryminologii i prawa. Nauczycie się tam mnóstwa potrzebnych rzeczy. Informatyka też by nie była zła. Wiecie, jak użyteczni byście wtedy byli dla wujka? Moglibyście włamywać się do komputerów i zdobywać dla wujka ważne informacje.

- Włamywać się do komputerów? Nie podsuwaj im takich pomysłów!
- z udanym przerażeniem wykrzyknął Jace.

Bobby'emu zaświeciły się oczy.

- Komputery - zamruczał. - Ja lubię komputery.

- Widzisz! - Parker puściła oko do Jace'a. Uśmiechnął się do niej z uznaniem.

- Ale na razie możemy zapomnieć o studiach - oświadczyła Parker. - Nie jest wam gorąco? Bo mnie tak. Chodźmy do parku wodnego.

- Jeszcze nie skończyliście jedzenia. Trzeba odczekać przynajmniej z pół godziny, zanim pójdziecie pływać -droczył się Jace.

- Kto mówi o pływaniu? Pójdziemy na zjeżdżalnię. To zupełnie coś innego. - Parker sięgnęła po ostatnią frytkę i wsunęła ją sobie do ust. - Chodźmy, szkoda dnia!

Wprawdzie wczoraj gwałtownie protestowała, gdy Jace powiedział jej, że ma dobre serce, ale jej dzisiejsze zachowanie potwierdzało tylko jego opinię. Obserwował, jak wspaniale radziła sobie z dziećmi. Błyskawicznie odwróciła ich uwagę, gdy zaczęły się martwić o matkę. Zachęcała je do pójścia na studia. Wspaniała dziewczyna. Nie pomylił się w jej ocenie. Wcale nie była rozkapryszoną księżniczką.

Przeglądał się jej dzisiaj uważnie i gdyby była kimś innym, umówiłby się z nią na randkę.

Umie rzucać kulą, objadać się jak dziecko, ma wspaniały uśmiech, od którego wszystko jaśnieje. Od bardzo dawna żadna dziewczyna tak go nie fascynowała... I co z tego, skoro na pewno nigdy się z nią nie umówi?

Był profesjonalistą, nigdy nie łączył spraw prywatnych z zawodowymi. Randka z Parker oznaczałaby konflikt interesów. Choć w tym wypadku sytuacja była bardziej skomplikowana. Gdyby Parker nie była księżniczką, z pewnością nie miałby aż takich obiekcji.

Właśnie to go powstrzymywało. Parker wprawdzie starała się uchodzić za zwyczajną dziewczynę, nie mniej jednak była prawdziwą księżniczką.

Księżniczką Marią Anną Parker Mickowicz Dillonetti z Eliason.

Osoba z rodziny panującej.

A on był zwyczajnym człowiekiem, który ciężką pracą zarabia na życie. Mężczyzną ceniącym sobie swą niezależność i prywatność.

Parker odrzuciła dziedzictwo i przynależną jej pozycję, jednak w każdej chwili mogła powrócić do swojego kraju i znów stać się osobą publiczną.

Pochodzili z dwóch różnych światów. A on napatrzył się na życie mamy i siostry, widział, ile przeszły. Dlatego nikt mu nie powie, że różnice społeczne są bez znaczenia.

Nie miał pojęcia o codziennym życiu koronowanych głów, mógł sobie je tylko wyobrażać. Jedno było pewne -jego życie wyglądało zupełnie inaczej. Pracował na własny rachunek, a to oznaczało sporo wolności w wyborze zleceń. Odpowiadał tylko przed sobą, nikomu nie musiał się tłumaczyć. Jednak z drugiej strony mógł liczyć tylko na siebie i wszystko miał na swojej głowie, poczynając od księgowości, a kończąc na inwigilacji. Nim wprowadziła się do niego Shelly z dziećmi, jego dzień był wypełniony po brzegi. Teraz jeszcze przybyło mu zajęć.

Parker to priorytetowe zlecenie, ale równolegle prowadził jeszcze kilka innych spraw, a ponadto, już z czysto osobistych powodów, miał oko na byłego szwagra.

Brakowało mu czasu, by angażować się w jakąś znajomość. Zresztą gdyby nawet, to dziewczyna, która tak świetnie nawiązała kontakt z Amandą i Bobbym, bardzo się od niego różniła. Żaden układ nie wchodził w grę.

Ale nie dzieliło ich aż tak wiele, by nie mogli przyjemnie spędzić jednego dnia w wodnym parku.

To, co wcześniej powiedziała Parker, było jak najbardziej aktualne. Zapomną, kim naprawdę są, i postarają się dobrze razem bawić.

- Wujku, chodźmy! - popędzał go Bobby. Amanda i Parker przyłączyły się do niego.

- Dobrze, idziemy! - przystał Jace. - Zabawimy się! Tylko przez ten jeden dzień, upomniał się w duchu. Łatwo powiedzieć, dużo trudniej się tego trzymać.

Parker nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiła.

Ogromnie żałowała, gdy podjechali pod dom Jace'a, by zostawić dzieci.

Mieszkał w niewielkim domu z czerwonej cegły w Glen-wood Hills. Chętnie weszłaby do środka.

Shelly, siostra Jace'a, przywitała ich na progu. Z uśmiechem przysłuchiwała się żarliwym opowieściom dzieci, relacjonującym dzisiejsze przygody, jednak w jej oczach Parker dostrzegła skrywane cierpienie.

- Ciężki dzień? - domyślnie zapytał Jace.

W odpowiedzi Shelly tylko wzruszyła ramionami i nadal wypytywała dzieci o wesołe miasteczko.

Jace delikatnie uścisnął siostrę za rękę.

Ten drobny gest nie uszedł uwagi Parker i poruszył ją do głębi. Ogarnęła ją tęsknota za bratem. Już od kilku lat go nie widziała. Wprawdzie rozmawiali od czasu do czasu przez telefon, ale to nie to samo.

Nagle zatęskniła za domem. Odezwały się wyrzuty sumienia. Wyjechała, zostawiając wszystko za sobą, a Michael miał związane ręce. Nie mógł porzucić ciężących na nim obowiązków. Jedyne syn i przyszły władca miał jasno określoną przyszłość. Był osobą publiczną, każde jego słowo i każdy gest były zauważane i komentowane. Nie miał żadnego wyboru.

Jej było dużo łatwiej. Oczywiście też znajdowała się pod ciągłym ostrzałem mediów, które niczego jej nie przepuściły, ale potrafiła się od

tego odciąć. Wyjechała z kraju, a rodzice pomogli jej rozpocząć normalne życie w nowym środowisku. Skończyła studia i nie zamierzała wracać.

Właśnie podjechali pod jej dom i Jace wyłączył silnik.

Nie chciała wysiadać, nie chciała, by ten piękny dzień już się skończył.

Wspaniały dzień.

- To jak, może dzisiaj mnie zaprosisz?

W pierwszym momencie chciała się zgodzić, ale szybko się zreflektowała. Jace pracuje przecież dla ojca, więc z założenia znajduje się po drugiej stronie barykady. Odpowiedziała pytaniem:

- Czemu tak ci zależy, by wejść do mojego mieszkania?

- Bo w ten sposób można się o kimś wiele dowiedzieć - odparł. - Chcę cię lepiej poznać.

- A mnie się wydaje, że już i tak wiesz o mnie więcej, niż potrzeba - odrzekła. Tak, Jace O'Donnell wiedział o niej zbyt wiele. I to ją niepokoiło.

Dzisiaj opowiedziała mu o swoim dzieciństwie, o samotności, jaką nieraz odczuwała.

Dlaczego? Nigdy nie była tak szczerą i otwartą. To nie w jej stylu.

Chociaż odkąd ojciec zablokował jej konto, nic nie było takie jak dawniej.

Teraz musiała pracować, by zarobić na utrzymanie, ścigał ją niechciany narzeczony, a prywatny detektyw wie na jej temat znacznie więcej, niż wyczytał z dokumentów.

- Może ty już za dużo o mnie wiesz - powtórzyła.

- Moim zdaniem, ciągle za mało - odparł Jace. - A im więcej się dowiaduję, tym więcej chcę wiedzieć. Nie jesteś taka, jak się spodziewałem.

- Domyślam się, co sobie myślałeś. Wszystkie stereotypy na temat księżniczek były w robocie. Już nieraz spotkałam się z takim podejściem.

Ale one nijak się mają do mnie. Nie mieszkam w zamku, nie zapadłam wraz z dworem w głęboki sen.

- Bardzo tego żałuję. - W bladym świetle ulicznej latarni widziała, że się uśmiechnął. - Gdyby tak było, mógłbym cię obudzić pocałunkiem.

Parker woląca nie wdawać się w dalsze dyskusje.

Już wcześniej, zwłaszcza po tym ulotnym pocałunku. w wesołym miasteczku, mimowolnie przychodziły jej na myśl takie niebezpieczne rojenia. Jednak dobrze wiedziała, że coś takiego było bez szans. Między nimi nic się nie wydarzy.

Lepiej nie ryzykować i czym prędzej iść do domu.

- Dziękuję za wspaniały dzień. - Sięgnęła do klamki, ale Jace przytrzymał jej rękę.

- Zaproś mnie do środka - szepnął.

Od dotyku jego dłoni działo się z nią coś dziwnego. Chciała uwolnić rękę, lecz nie chciała, by Jace zorientował się, jak mocno na nią działa. Stała więc nieruchomo, a on delikatnie przesuwiał palcem po jej dłoni.

Nadal coś mówił. Zmusiła się, by skupić uwagę na jego słowach.

- Nie chodzi o pracę, ale... Nie chcę, by ten wieczór już się zakończył. Okazałaś się zupełnie inna, niż myślałem. Pragnę poznać cię lepiej. Nie ze względu na twojego ojca, nie jako detektyw. Dla siebie.

- No dobrze. Może ty też okazałeś się inny, niż początkowo myślałam.

- Inny?

- Hejże! - zachichotała. - Uważaj! Nie mam zamiaru umacniać cię w wysokim mniemaniu na twój temat, wyliczając twoje zalety.

No, jakoś wybrnęła. Teraz już mogła spokojnie cofnąć rękę, z nadzieją, że niczego nie zauważył. Jace uśmiechnął się.

- Moje zalety? Zapowiada się miło. Powiedz coś więcej.

- Nie dasz mi żyć, póki nie ulegnę i nie zaproszę cię, tak? - zapytała z udaną obojętnością.

- Jasne, nigdy się nie poddaję. Możesz to dopisać do listy moich zalet.

- Musiałabym się zastanowić. Dobrze, wejdz i przekonaj się, że mieszkanie jest bezpieczne. W końcu mój ojciec słono ci za to płaci, chyba się nie mylę? Sprawdzisz i od razu wyjdiesz.

- Zgoda. Zobaczę, czy nikt nie schował się w kącie, a ty powiesz mi, dlaczego okazałem się inny, niż sądziłaś. Potem sobie pójdę.

- Ale z ciebie zaraza! - wysyczała Parker.

- Chyba zaczynasz wymieniać moje nieskończone zalety. Już nie jestem prześladowcą, tylko zarazą. To rzeczywiście postęp.

- Nie mów tyle, tylko wchodź i zrób obchód, skoro tak ci na tym zależy!

Zasłoniła przed nim ekranik i wybrała kod.

- To mi się podoba - mruknął.

- Co takiego? - zapytała, wchodząc po schodach.

- Nie pozwoliłaś mi zobaczyć kodu. Nikt nie powinien go znać.

- Myślałam, że jesteś tu po to, by mnie chronić - odwróciła się i popatrzyła na niego. - Powinnam ci ufać, prawda?

Jace wszedł stopień wyżej. Już się nie uśmiechał. Z powagą popatrzył jej prosto w oczy.

- Możesz mi ufać. Ja to wiem, ale ty nie.

Parker odwróciła się i weszła na górę.

- Nie bardzo rozumiem.

- Mnie chodzi o twoje dobro, ale zostałem wynajęty przez twojego ojca, więc ty nie możesz być do końca pewna.

- Dziwny z ciebie człowiek - powiedziała, włączając światło w salonie.

Jace zatrzymał się na progu i obrzucił wzrokiem pokój.

- Ładnie.

- Daleko mu do pałacu - rzekła.

- To prawda. Ale tak jest lepiej.

- Dlaczego?

Parker rozejrzała się po salonie, starając się patrzeć oczami Jace'a. Jego uwagę przykuły oprawione w ramki zdjęcia.

To nie były zdjęcia przeznaczone dla opinii publicznej. Ujęcia rodziny w prywatnych sytuacjach: mama i tata chlapiący na siebie wodą, brat skaczący do basenu, tata przy grillu, mama krojąca warzywa na sałatkę.

Typowe rodzinne fotografie. Nikt by nie poznał, że to rodzina panująca.

Były tam też zdjęcia z Carą i Shey, jeszcze z czasów studenckich. I fotki zrobione nad jeziorem.

- Mewy - wyszeptał Jace, podchodząc bliżej. - Mówiłem, że lubisz mewy. Widziałem raz, jak je karmisz.

Parker obserwowała go w milczeniu.

- Twoi rodzice, koleżanki... Domyślam się, że sama fotografujesz?

Wzruszyła ramionami.

- W dziedzinie fotografii jestem amatorką.

- Całkiem nieźle. Masz dryg. Umiesz uchwycić ludzi, gdy są sobą. Na przykład to zdjęcie twoich rodziców... nikt by nie zgadł, że to księżę i księżna. Wyglądają jak kochająca się para korzystająca z uroków życia.

- Kochają się, to prawda - wyszeptała Parker. Popatrzyła na zdjęcie. Rodzice, roześmiani jak dzieci,

chlapali na siebie wodą. Ona też by tak chciała. I za nic z tego nie zrezygnuje. Chce doświadczyć takiej miłości jak oni.

Nagle poczuła się bardzo nieswojo. Jace nadal przyglądał się fotografiom, które tak wiele mówiły o jej rodzinie, o jej życiu, o ludziach jej najbliższych.

Miał rację. Mieszkanie wiele mówi o właścicielu.

Chrząknęła znacząco. Jace odwrócił się i zaczął oglądać pokój.

Jego uwagę zwróciło wysłużone pianino. Parker uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak z Carą, Shey z jeszcze kilkoma znajomymi mozolnie wciągali je tutaj po schodach. Po chwili Jace skierował wzrok na półki z książkami, wypełnione głównie romansami.

Podszedł bliżej i zaczął odczytywać tytuły. Parker znowu poczuła się obnażona.

- To sprawka Cary. Ciągle przysyła mi książki.

Cara zawsze była romantyczką. Jej rodzice, pochłonięci sobą bez reszty, nie poświęcali córce zbyt wiele uwagi. Cara wychowała się na książkach, one były jej ucieczką przed światem. To dlatego księgarnia okazała się dla niej wymarzonym miejscem.

- Napijesz się czegoś? - zaproponowała w nadziei, że oderwie go od oglądania, choć nie zamierzała nadmiernie się nim zajmować. W końcu sam się wprosił.

- Nie, dziękuję - wymruczał, nadal lustrując książki.

- No dobrze, obejrzałeś mieszkanie. Nic mi tu nie grozi.

- Sprawdziłem tylko salon. Chciałbym rzucić okiem na resztę pomieszczeń.

- I wtedy sobie pójdziesz? - upewniła się.

Nie odpowiedział, tylko wszedł do niewielkiej kuchni.

- Mała, ale funkcjonalna. Sama gotujesz?

- Pytasz, czy księżniczka potrafi zastosować przepis podany na opakowaniu? Pewnie uważasz, że przez całe życie wszyscy koło mnie skakali?

- Pytam, bo sam zupełnie sobie nie radzę z gotowaniem. Byłem ciekawy, jak jest z tobą.

- Nie najgorzej - odparła. - Mama wychodziła z założenia, że każde z nas musi umieć o siebie zadbać. Mój brat i ja mieliśmy dyżury w kuchni. Raz w tygodniu każde z nas szykowało obiad. Ja w poniedziałki, brat w czwartki.

- Ciekawe, co było twoim popisowym daniem.

- Befszyki i tłuczone ziemniaki. A do tego ciasto z karmelowym nadzieniem.

- Może kiedyś pozwolę ci coś dla mnie przyrządzić.

- To co chcesz jeszcze zobaczyć? - Parker szybko zmieniła temat.

- Sypialnię. Twój ojciec z pewnością tego po mnie oczekuje.

Nim zdążyła zaprotestować, otworzył drzwi.

- No nie!

Stał w miejscu i jak oniemiały patrzył na jej gościnną sypialnię.

- Tego się nie spodziewałem - dodał po chwili.

- Kolejny stereotyp - wymamrotała Parker. - Domyślam się, czego oczekiwałeś. Łoża z baldachimem, atlasowej pościeli, złożonych mebelków?

- Sam nie wiem, ale na pewno nie tego. Bo to...

Parker wzruszyła ramionami. Siliła się na zachowanie obojętności.

- Cóż, mam słabość do Myszki Miki.

- Słabość to mało powiedziane. To raczej obsesja. Pokój miał ściany pomalowane na czerwono, narzuta na łóżku jaśniała ostrą żółcią, a meble były czarne. Już ten zestaw barw mógł przyprawić o szok, ale co innego

przykuwało uwagę. Dziesiątki Myszek Miki. Plakaty z Myszka, figurki, pluszaki.

- Zakochałam się w Miki, gdy miałam sześć lat - wyjaśniła Parker. - Wyprawiono mi urodziny i jedna z dziewczynek przyniosła mi w prezencie lalkę. Powiedziała, że księżniczka powinna bawić się lalką-księżniczką. Odniosłam ją do sklepu...

- Naprawdę?

- Tak. Jako dziecko nie chciałam być księżniczką. Zamiast lalki wybrałam pluszową Myszka Miki. Uwielbiałam ją. W czasie jakiejś wycieczki zgubiłam pluszaka i strasznie to przeżyłam. Byłam niepoczyszona. No więc mama kupiła mi nową Miki... to samo zrobił tata. Na Gwiazdkę dostałam pierwszą figurynkę i tak to się zaczęło. Nie chciałam innych zabawek, tylko Miki. Gdy przeniosłam się tutaj, zabrałam moją kolekcję ze sobą, bo przypominała mi dom.

- Śpisz w tym pokoju? Bo ja chyba nie mógłbym zmrużyć oka, widząc utkwiony we mnie wzrok tych wszystkich Myszek.

Parker nigdy wcześniej o tym nie pomyślała. Roześmiała się głośno.

- Nie, to pokój dla gości.

- Jeśli kiedyś miałbym u ciebie nocować, to wolałbym nie tutaj.

Parker poczuła, że oblewa się rumieńcem. W tym domu jest tylko jeszcze jedno łóżko. Gdyby więc miał u niej nocować, a ten pokój odpada, to...

- Nie grozi ci to, więc się nie przejmuj - powiedziała pospiesznie.

- Hm... no to pokaż mi drugi pokój. Ten, w którym śpisz.

Otworzyła drzwi na wprost gościnnej sypialni. Znow próbowała spojrzeć na wnętrze oczami Jace'a. Pokój był bardzo funkcjonalny,

przytulny i wygodny. Dębowe meble, ściany w odcieniu jasnej szarości, ciemnoszara narzuta. Na nocnej szafce sterta książek.

Bardzo zwyczajny pokój.

- Żadnej Myszki Miki.

Na komodzie stało kilka zdjęć. Jace ruszył w ich stronę, jakby chciał przyjrzeć się im z bliska, ale Parker zaczęła zamykać drzwi.

- Sam widzisz, że nikogo tu nie ma - powiedziała. - Wykonałeś swoją robotę. Idę spać. Jak tylko wyjdiesz, włączę alarm.

- Nie mogę jeszcze iść. Nie powiedziałaś, czego się po mnie spodziewałaś.

- Nie przypuszczałam, że prywatny detektyw jest taki męczący.

- Bardziej niż Hoffman?

- O wiele bardziej.

- Nie powiesz nic więcej? Tylko to, że jestem męczący? Ja byłem bardziej rozmowny, powiedziałem ci kilka miłych rzeczy.

- Ty masz dokumenty na mój temat, całą teczkę, a ja nie. - Umilkła na chwilę. - Jesteś dobry dla dzieci, masz z nimi świetny kontakt. Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej, ale okazałeś się wyjątkowo cierpliwy. Nigdy bym nie przypuszczała.

- Amanda i Bobby przechodzą teraz trudne chwile. Staram się im to jakoś ułatwić. Mojej siostrze też nie jest lekko. I choć rozwód jest dla niej najlepszym rozwiązaniem, nie jest łatwo pogodzić się z tym.

- Chcesz pogadać na ten temat? - zapytała.

- W sumie nie bardzo jest o czym. Wyszła za nieodpowiedniego faceta i tak to się skończyło. Cierpiała w tym małżeństwie, ale starała się je utrzymać ze względu na dzieci. Póki jej mąż nie przegiął. W końcu nie wytrzymała jego zdrad i zostawiła go.

- Zamieszkała u ciebie?

- Na razie. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Jej mężowi nie chodzi o sam rozwód. Chce, by odeszła, zabierając dzieci. I tylko dzieci. Nie chce jej nic dać. Właśnie tego dotyczyła dzisiejsza rozprawa. Podziału majątku.

- Mam nadzieję, że wszystko zakończy się pomyślnie.

- Adwokat mojej siostry jest dobrej myśli. Shelly nie chce oskubać męża. Zależy jej jedynie na alimentach dla dzieci. Moim zdaniem, słusznie.

- Ale nawet jeśli ojciec nie zechce na nie płacić, mają ciebie. Widzisz, też już coś o tobie wiem, choć nie dostałam żadnej teczki z informacjami.

- Mogę powiedzieć ci więcej. - Przysunął się do niej. Zbyt blisko.

Wiedziała, że to szaleństwo. Wprawdzie w Erie była anonimowa, bo ojciec zatroszczył się, by władze uczelni i lokalna prasa zachowały jej tożsamość w tajemnicy, jednak nie czuła się z tym dobrze. Miała poczucie, że okłamuje innych. Dlatego gdy jakaś znajomość stawała się głębsza, Parker wyjawiała swój sekret.

Co zawsze kończyło się dla niej źle.

Ale Jace już wiedział.

A pokusa była silna. Bardzo silna. Przysunąć się do niego, rzucić się w jego w ramiona...

Jednak lata doświadczeń zrobiły swoje. Nie mogła ulegać takim pragnieniom.

- Raczej nie. Myślę, że na ciebie już czas. -Ale...

- Dobranoc, Jace - powiedziała, ucinając dyskusję. Jace cofnął się.

- W takim razie dobranoc, Parker.

- Tylko nie dzwoń rano i nie budź mnie. O siódmej muszę otworzyć kawiarnię.

- Wpadnę więc i cię podwiozę.

- Nie przesadzaj, to tylko kilka przecznic.
- Nie ma sprawy, i tak jadę w tamtą stronę.
- No dobrze. Bądź o wpół do siódmej.
- Wpół do siódmej, zgoda. Dobranoc, księżniczko. Tym razem Parker

nie zazgrzytała zębami, bo powiedział to szeptem, miękko i słodko.

- Dobranoc, Jace - szepnęła.

Odprowadzała go wzrokiem, gdy schodził po schodach. Chciała go zawołać, zatrzymać na chwilę. A może na dłużej. Gdy zniknął, włączyła alarm. Była bezpieczna. I sama.

Zamknięta w swoim mieszkaniu. Jak księżniczka w wysokiej, niedostępnej wieży. Wyszła na taras i popatrzyła w niebo. Od lat nie czuła się taka samotna jak teraz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz o wpół do siódmej rano Jace podjechał pod dom Parker. Dokładnie tak, jak chciała.

Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się przyjechać na czas. Po bezsennej nocy był wykończony.

Wczoraj wieczorem, zaraz po wyjściu od Parker, pojechał do domu i zaszył się w gabinecie. Miał zamiar trochę popracować, jednak trudno mu było skupić się na papierach. Mimowolnie wracał myślą do Parker i minionego dnia. Kiedy wreszcie położył się do łóżka, daremnie próbował usnąć. Sen nie przychodził. A kiedy zapadał w niebyt, znowu prześladowała go Parker.

Parker i jej usta kuszące do pocałunków.

Parker i jej kolekcja Myszek Miki.

Parker i jej zdjęcia.

Śnił o niej, a kiedy się budził, znowu chciał wejść w tamten sen.

Wiedział, że to niebezpieczne, że nie powinien, więc próbował opanować senność, jednak po chwili jego czujność słabła i powoli odpływał w marzenia, gdzie już czekała na niego Parker.

Poznawał ją coraz lepiej. I coraz bardziej mu się podobała. Wprawdzie już wcześniej znał na pamięć różne fakty dotyczące jej życia, jednak teraz miał przed sobą prawdziwą osobę.

Przemęczył się tak do piątej. W końcu wstał, zaparzył kawę i zaczął szykować się do nowego dnia. Chciał zaskoczyć Parker, wyrównać szanse.

Zdawał sobie sprawę, że dzielące ich różnice nigdy nie znikną. Ona była księżniczką, on - prywatnym detektywem. Będzie jej deptać po piętach, póki Parker nie ulegnie woli ojca i nie wróci do domu.

Ciekawe, gdzie podział się jej narzeczony. Miał namówić ją do powrotu do Eliason. Im szybciej to się stanie, tym lepiej dla Jace'a. Wcześniej w ogóle o tym nie myślał, ale teraz obawiał się, że zapomni, na czym polega jego rola w tej sprawie. Tak łatwo ulec pokusie! Był tylko jej opiekunem. I na tym koniec.

Odepchnął od siebie te myśli i popatrzył na zegarek. Minęło pięć minut, odkąd podjechał pod jej dom. Może Parker nie wie, że już na nią czeka? Może po nią pójść?

W tej samej chwili dziewczyna pojawiła się w drzwiach.

- Cześć - powitała go, wsiadając do samochodu. - Jesteś punktualnie.

- Jak zawsze.

Wyglądała fantastycznie, ale uwagi Jace'a nie uszły ciemne kręgi pod jej oczami. Chyba też miała za sobą nieprzespaną noc.

Czy myślała o nim, tak jak on o niej? Czy może rozmyślała o swoim narzeczonym, Tannerze?

To bez znaczenia, upomniał się w duchu, i nim zdążył dobrze się zastanowić, podał jej dużą kopertę.

- Co to jest? - zapytała, obracając kopertę w dłoniach i przyglądając się jej ciekawie.

- Ponieważ mam na ciebie teczkę, więc żebyśmy byli kwita, przygotowałem dla ciebie moją. Proszę.

Spodziewał się, że Parker zajrzy do środka, ale ona wsunęła kopertę do torby i nie skomentowała jego gestu ani słowem. Zamiast tego spytała:

- Jak się czuje twoja siostra?

Jace wycofał samochód z podjazdu.

- Chyba lepiej. Dzisiaj dzieci mają spędzić dzień z ojcem, a Shelly zamierza dokończyć swoje CV i zacząć rozglądać się za pracą. Dotąd nigdy

nie pracowała. Wyszła za mąż na pierwszym roku studiów, rok później pojawiły się dzieci, więc startuje od zera. Sama rozumiesz, że to nie będzie łatwe.

- Przecież ona pracowała! - obruszyła się Parker. - Zajmowanie się dziećmi to praca. Po dniu spędzonym z Amandą i Bobbym coś o tym wiem.

Jace roześmiał się.

- Masz rację, ale chodziło mi o to, że nie pracowała poza domem, zawodowo.

- A jakiej pracy szuka? - zainteresowała się Parker. - Jeśli o czymś usłyszę, mogłabym dać jej znać.

- Shelly chciałaby dokończyć studia, ale to przyszłość. Najpierw musi w ogóle zacząć. Na razie chyba jeszcze sama nie bardzo wie, co chciałaby robić.

Podobnie jak on. Bo korceło go, by pochylić się ku Parker i pocałować ją na dzień dobry. Niezobowiązujący pocałunek, tak jak tamto muśnięcie w wesołym miasteczku. Na więcej nie mógł sobie pozwolić. I nie powinien o tym zapominać. To nie leżało ani w jej, ani w jego interesie.

- Popytam ludzi - rzekła Parker. Najwyraźniej zdołał dobrze ukryć swoje wewnętrzne rozterki, bo niczego nie zauważyła. - Rozejrzę się, może ktoś potrzebuje pracownika. Zobaczę, co się da zrobić. Po południu wybieram się do gabinetu kosmetycznego. Tam *zacznę*. Pearly wspomniała, że powinnam podciąć końcówki włosów, ale prawda jest taka, że już zaczęli o nas plotkować.

- O nas?

- Wiesz, jak tutaj rozchodzą się plotki? Nic się nie ukryje. Ty i ja to najświeższa wiadomość.

- Ty i ja? - Jace zmarszczył brwi. - My?

- Może ludzie uważają, że coś w tym jest - dorzuciła. - Może powinnam szepnąć coś starszym paniom wysiadującym u fryzjera. Jeśli usłyszą, że coś nas łączy, może odpuszczą.

- Odpuszczą?

- Pearly i jej kumpelki koniecznie chcą mnie wyswatać. Według nich za mało się staram, bo nie lubię się z nikim umawiać - wyjaśniła.

- A tak jest? - zapytał ostrzej, niż zamierzał, aż sam się zdziwił.

- Co tak jest? - Parker nie zrozumiała.

Jace chciał się wycofać, powiedzieć, że to nieważne, a tymczasem nieoczekiwanie wyrwało mu się kolejne pytanie:

- Często się z kimś spotykasz?

Popatrzył na dziewczynę, a ona wbiła w niego wzrok. Trudno mu było jednoznacznie określić jej spojrzenie.

- Dla mnie wystarczająco - odparła chłodno, tonem dając do zrozumienia, że posunął się za daleko.

- To znaczy? - naciskał, choć doskonale wiedział, że nie powinien brnąć dalej.

W dokumentach, które miał na jej temat, takich informacji było niewiele. Odkąd dostał tę sprawę i zajął się Parker, nie zdarzyło się, by się z kimś spotkała. Tym bardziej go to interesowało. W sensie zawodowym, rzecz jasna.

- Nie odpowiem. Domyślam się, że natychmiast zaraportowałbyś o tym mojemu ojcu.

Jace zagryzł usta. Nie powinien zapominać, jaką rolę odgrywał w tej sprawie. Parker miała rację, przypominając mu to.

Ostatnie dni zmieniły jego nastawienie do księżniczki. Nie widział w niej już jedynie obiektu obserwacji. Może to stało się wtedy, gdy wygrała żabkę dla Amandy?

A może, gdy mimo ciemności weszła do parku i stawiała mu czoło?

Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

O wiele ważniejsze było coś innego - Jace nie patrzył na Parker jak na klientkę. Ani jak na księżniczkę. Widział w niej po prostu Parker Dillon.

Wyjątkową.

Intrygującą.

Pociągającą.

Bardzo pociągającą.

Zbyt pociągającą, by to się miało dobrze skończyć. Dla niego. I dla niej.

Teraz już niczego nie był pewny. Dlaczego tak go pociągała, skoro prawie jej nie znał? Była klientką, a jednocześnie urzekającą dziewczyną. Jak to oddzielić? Oczywiście nie zdradzi jej swoich rozterek.

- Twój ojciec chciał, bym miał cię na oku - rzekł tylko.

- I donosił mu, dlaczego nie wracam do domu - uzupełniła.

- Już mu napisałem, jakie jest moje zdanie, dlaczego nie wrócisz, niezależnie od jego starań.

- Naprawdę? - zdumiała się. - I co mu napisałeś?

- Masz to wszystko czarno na białym w teczce, którą ci dałem. Mówiąc w skrócie, uważam, że nie wyjedziesz z Erie, bo jesteś tu szczęśliwa. Masz swoje życie, przyjaciół. Odnalazłaś swoje miejsce. Nie pisałem o żadnych osobistych aspektach. I nie zamierzam tego robić. -Ja...

- Jesteśmy na miejscu - przerwał jej łagodnie, zwalniając i zatrzymując się pod kawiarnią.

- Uhm, rzeczywiście.

Jace wyciągnął rękę i delikatnie przesunął dłonią po przedramieniu Parker.

- Dla mnie nie jesteś tylko klientką, ale...

- Ale zaraz się spóźnię - rzekła pospiesznie. Otworzyła drzwi i wybiegła na ulicę.

Jace westchnął. Patrzył, jak Parker wpada do kawiarni. Nie chciała wysłuchać go do końca. On też nie chciał tego mówić, to stało się samo. Jednak te słowa padły. Co gorsze, oprócz słów były też uczucia. Uczucia, z których nie można się otrząsnąć, choć doskonale wiedział, że dla księżniczki i prywatnego detektywa nie ma żadnej przyszłości.

Ale rozum i uczucia to dwie zupełnie różne rzeczy. Co właśnie do niego dotarło.

Przez cały ranek Parker uwijała się jak w ukropie, daremnie próbując zapomnieć o tym, co wydarzyło się w aucie Jace'a.

Jace nie dokończył, więc tak naprawdę nie wiedziała, co chciał jej powiedzieć.

Musnął jej rękę. Ale to też nie było nic takiego.

Wmawiała to sobie, jednak intuicja podpowiadała jej coś innego. A przecież nic się nie stało. Co innego, gdyby ją pocałował. Tamten niby-pocałunek w wesołym miasteczku też się nie liczył. Prawie jakby go nie było. Ale gdyby Jace wziął ją w ramiona...

Na samą myśl poczuła ciarki na plecach.

Popatrzyła na kolejkę klientów stojących przy ladzie. Wszystkie stoliki zajęte. Nie ma czasu na rozmyślania, musi brać się do pracy. Choć chyba nie zdoła uwolnić się od dręczących pytań.

Za ścianą Cara też już zaczęła dzień. Tylko Shey nadal zajmowała się Tannerem. Ciekawe, jak jej idzie. Parker uśmiechnęła się do siebie. Biedny Tanner, niewiele użyje w czasie swojej wizyty w Erie. Shey da mu nieźle popalić. Dziś rano przysłał do kawiarni tuzin czerwonych róż z karteczką, że pamięta, po co tu przyjechał. Ostrzegał, że Shey nie zdoła odciągnąć go od narzeczonej.

Szkoda, że Tanner nie może wybić sobie z głowy tego małżeństwa. Ciekawe, jak długo Shey utrzyma go w bezpiecznej odległości i co jej się w nim tak spodobało? Co innego Jace...

W tej samej chwili Jace zjawił się przy ladzie.

- Przyszedłem ci pomóc - rzekł, wchodząc za kontuar.

Parker podskoczyła jak oparzona. Zapiekły ją policzki.

Chyba się nie domyślił, że fantazjowała na jego temat?

- Co powiedziałaś?

- Ty obsługuj stoliki, a ja bar.

- Ale...

- Daj spokój, to nic takiego. Cennik wisi na ścianie, każdy by sobie poradził.

Każdy by sobie poradził. Dobrze. Jej zajęło dwa dni, nim poczuła się pewniej, a jeszcze dziś potrafi się pogubić.

- Moja mama pracowała w restauracji - rzekł Jace. - Shelly i ja nieraz jej pomagaliśmy. To nie takie skomplikowane.

- No dobrze. - Parker kiwnęła głową. - Skoro chcesz...

- Och, nie musisz aż tak dziękować! - zażartował Jace. Zadziałało. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Pokręciła głową i poszła do stolików, gdzie już usiedli nowi goście.

Jace nie miał pojęcia, o czym przed chwilą myślała. Niczego się na szczęście nie domyślił. Zresztą niby jak? Nic jej nie groziło.

Jednak przyglądał się jej bardzo uważnie, widziała to, gdy od czasu do czasu zerkała w jego stronę. Patrzył tak, jakby czytał w jej myślach.

Przecież to głupie.

Musi skoncentrować się na pracy, tym bardziej że mają mnóstwo klientów. Dopiero gdy przyszła Tammy, studentka pracująca na część etatu, Parker mogła odrobinę zwolnić tempo.

- Niezły ruch, co? - uśmiechnęła się Tammy.

Dziewczyna była na pierwszym roku, ale wyglądała dużo młodziej.

Może dlatego Parker czuła się przy niej staro. Wydawało się jej, że skończyła studia całe wieki temu.

Tak naprawdę przyjazd do Erie miał być tylko chwilową odskocznią, jednak po skończeniu studiów wciąż odkładała powrót do domu, choć w głębi duszy czuła, że ten moment musi kiedyś nastąpić.

Odkąd pamiętała, żyła w przeświadczeniu, że spoczywają na niej obowiązki, przed którymi nie może się uchylić. Tak ją wychowywano. Powrót do Eliason mieścił się w tej kategorii. Niekończące się oficjalne funkcje, reprezentowanie rodziny na różnorodnych imprezach, udział w herbatkach i przyjęciach, uroczyste przecinanie wstęg, tłumy szpiegujących reporterów - to była jej przyszłość. Głos Tammy przywołał ją do rzeczywistości.

- Parker?

- Och, przepraszam - odparła pospiesznie. - Owszem, ruch jak rzadko kiedy.

- Teraz powinno się trochę uspokoić.

- Nie na długo. Chociaż kto wie? Dzwoniła do mnie Pearly i zapraszała na podcięcie włosów. Umówiła mnie na dziesiątą, ale mogę zadzwonić i odwołać.

- Dam sobie radę - zapewniła Tammy.

- Ja mogę zostać i pomóc - zaproponował Jace.

Serce Parker zabiło mocniej. Nie słyszała, kiedy do nich podszedł.

- Nie mogę cię prosić... Jace wszedł jej w słowo:

- Będiesz w pobliżu, tylko przejdiesz przez park.

- Nie pójdziesz za mną? - zapytała.

- Po co? - zdumiała się Tammy.

- Hm... - wymamrotała Parker. Za bardzo się zagalopowała i nie wiedziała, jak teraz wybrnąć.

- Spotykamy się - wypalił Jace, spiesząc jej z odsieczą, choć Parker nie była pewna, czy to szczęśliwe wyjście z sytuacji. - Przyznam się - ciągnął Jace - że niechętnie spuszczam ją z oka.

- Och, jakie to romantyczne! - zachwyciła się Tammy.

- Prawda? - Jace uśmiechnął się do Parker.

Widząc jego ostrzegawcze spojrzenie, nie śmiała zaprzeczyć.

- Tak, chodzimy ze sobą - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. - Świata za sobą nie widzimy. Jednak...

- Kochanie, idź podciąć sobie włosy - rzekł pieszczotliwym tonem. To przekomarzanie się wyraźnie sprawiało mu przyjemność. - Poczekam tutaj, aż wrócisz.

- Dobrze, skarbie - odparła, rzucając mu znaczące spojrzenie. Naprawdę powinien się opanować. - Zaraz będę z powrotem.

Ruszyła do drzwi. Musi natychmiast wyjść i nabrać do wszystkiego dystansu. Przyspieszyła. Nagle usłyszała za sobą kroki.

Odwróciła się. Niepotrzebnie. Jace stał tuż przy niej. Widziała z bliska jego ciemne oczy. Wstrzymała oddech.

- Co się stało? - wybąkała.

- Nie dałaś mi buziaka na do widzenia. - Zmarszczył brwi, by Tammy nie powzięła żadnych podejrzeń, ale w jego oczach jarzyły się wesołe ogniki.

Droczył się z nią.

- Jace - wyszeptała ostrzegawczo.

Nie dał jej chwili do namysłu. Błyskawicznie pochylił się i dotknął ustami jej ust.

Był to raczej niewinny całus, a nie prawdziwy pocałunek, ale Parker zadrżała. Działo się z nią coś niebywałego. I nagle, nie wiadomo skąd, przyszło jej na myśl, że teraz ona go całuje.

Pobije go jego własną bronią.

Zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego mocno i pocałowała go gorąco, namiętnie.

Tęsknota, jaką nieoczekiwanie poczuła, otrzeźwiła ją. To chyba był błąd.

Odsunęła się i uśmiechnęła z przymusem.

- No to do widzenia - powiedziała.

Cofnęła się kilka kroków i popatrzyła na Jace'a. Chyba był w szoku.

Odwróciła się i szybko wyszła na dwór.

Czuła się dziwnie. Nie mogła pozbierać myśli.

To zdecydowanie nie był dobry pomysł. Zamiast ochłonać, cała płonie.

A w dodatku kusilo ją, by wrócić do kawiarni i jeszcze raz go całować.

Albo...

Chciałaby...

Zmusiła się, by odepchnąć od siebie niepokojące myśli. Weszła do salonu.

- Witaj, złotko! - powitała ją Josie, a Libby Gardner, właścicielka zakładu, i Pearly Gates, druga stylistka, znana z tego, że wszystko musi wiedzieć, zawtórowały jej wesoło.

W gabinecie był jeszcze ktoś.

- Hoffman - Parker uśmiechnęła się do emerytowanego policjanta. - I ty tutaj?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała o planie unieszkodliwienia Jace'a.

- Daruj sobie ten uśmieszek, moja panno! - ponuro mruknął detektyw.
- To wszystko przez ciebie.

- Przestań wreszcie biadolić - mitygowała go Josie, poprawiając swoje bujne płomienne włosy.

- Zamięczy mnie - poskarżył się Hoffman. - Wzięła mnie na tortury.

- To tylko manicure - uściśliła Josie. - Trzeba dbać o paznokcie.
Drapią mnie.

- Zamierza je wypolerować - Hoffman zniżył głos do szeptu, robiąc przy tym przerażoną minę.

- Nie przesadzaj - odparła Josie. - Nic takiego nie robię. Doprowadzam tylko twoje ręce do porządku.

- Uhm, a potem Pearly zamierza zrobić zamach na moje włosy - dodał głucho.

- Na tę marną resztkę, jaka ci została - uśmiechnęła się Pearly. Mówiła ze śpiewnym południowym akcentem. - Namawialiśmy go na przeszczep,

ale nie dał się przekonać. Zgodził się tylko, że nie będzie zaczesywać włosów z tyłu na przód. Dobrze i to.

- Widzisz, co one tu ze mną wyprawiają? To twoja wina! - Hoffman popatrzył na Parker oskarżycielsko. - Twoja żądza zemsty doprowadziła mnie to tego stanu. Nasłałaś na mnie Josie i już się jej nie wywinąłem.

- Parker, nie słuchaj go! - zaśmiała się Josie. - Miałaś wspaniały pomysł, by tak to rozegrać. Hoffman dał ci spokój, a sam tyle zyskał! Trafiło się ślepej kurze ziarno!

- Chodź - skinęła na Parker Libby. - Siadaj.

- Dzięki.

Parker z cichym westchnieniem usiadła na fotelu. Dobrze być wśród przyjaciół. Popatrzyła na Hoffmana. No, może nie wszystkich tu obecnych może tak nazwać, ale i tak trochę sobie odpocznie.

Nim Libby upora się ze strzyżeniem, ona zapomni o tym, co się dzisiaj stało. O ramionach Jace'a, o lekkim zapachu jego wody kolońskiej, o pocałunku...

Musi o tym zapomnieć.

Libby okryła ją pelerynką.

- No to opowiadaj - bez wstępów zażądała Pearly, siadając obok na wolnym krześle.

- O czym? - zapytała Parker.

Libby zwilżyła jej włosy i zaczęła je rozczesywać.

- O tym mężczyźnie.

Parker miała nadzieję, że chodzi o Tannera. Nie zamierzała za niego wyjść, ale poopowiadać może.

A Jace niech pozostanie tajemnicą. Nie chce o nim nie tylko mówić, ale nawet myśleć.

- O jakim mężczyźnie? - zapytała z niewinną miną.

- Doszły nas słuchy o brunecie, który nie odstępował cię na krok. To nas bardzo zaintrygowało. - Pearly popatrzyła znacząco.

- Bardzo - poparła ją Josie.

- Mów wszystko, ze szczegółami - nalegała Pearly. - Od kiedy się spotykacie? Czy to coś poważnego?

- Czy twój ojciec o tym wie? - wtrącił się Hoffman.

Jej prawdziwe pochodzenie wyszło na jaw w zeszłym roku, właśnie za jego sprawą.

- To nie tak, jak myślicie. Jace i ja nie spotykamy się. On za mną chodzi i pilnuje, by nic mi się nie stało. - Powiedziała prawdę. Przecież tak właśnie było. - Ma na mnie teczkę - dodała.

Teraz przypomniawszy sobie o kopercie, którą Jace dał jej rano. Była tak zaabsorbowana myślami o pocałunkach, że zupełnie wypadło jej to z głowy.

Ciekawe, co tam jest w środku?

- Teczka? - dopytywała Pearly.

- Ja też mam trochę papierów na twój temat - powiedział Hoffman. - Och, to boli! - zajęczał.

- Przepraszam, niechcący cię drasnęłam - rzekła Josie. - Taki pilnik może być równie niebezpieczny jak teczka - dodała.

- Pozbędę się jej - zapewnił natychmiast Hoffman. - Spalę wszystko i rozsypię popiół, nikt nie zrobi z tego użytku.

Josie zamruczała z zadowoleniem.

- Cóż, szkoda - zmartwiła się Pearly. - Muszę przyznać, że czuję się zawiedziona. Gdy wreszcie pojawił się obok ciebie przystojny mężczyzna, okazuje się, że to zupełnie inny rodzaj znajomości. Ciągłe wbijamy ci w głowę, że musisz więcej wychodzić z domu.

- Parker, nie daj się zrobić - jęknęła Libby. - One tylko czekają, żeby cię wyswatać.

- Zaraz, zaraz, Libby! - obruszyła się Pearly. - Poznałyśmy cię z Joshem i już jesteście po ślubie. Sarah i Donovan też zeszli się dzięki nam.

- Tak samo jak Louisa i jej przystojny doktorek - przypomniała Josie.

- No i Mac i Mia! - triumfalnie zakończyła Pearly. -Znamy się na rzeczy.

-I wszystkie nasze pary są ze sobą bardzo szczęśliwe -dodała Josie, badawczo przyglądając się Parker. - Możemy znaleźć ci odpowiedniego mężczyznę, który nic na ciebie nie ma.

Hoffman niespokojnie cofnął rękę.

- Przed miłością się nie ucieknie - zapewniła Pearly. -Znajdziemy Parker fajnego chłopaka!

- Nikogo nie szukam - odparła Parker. - Przeciwnie, właśnie próbuję pozbyć się nie jednego faceta, a dwóch.

- Dwóch? - zdumiała się Pearly.

- Ojciec przysłał tu mojego rzekomego narzeczonego, który ma mnie zabrać do domu.

- Narzeczonego? - powtórzyła Josie. - To mi się podoba.

- A mnie nie. Nie mam ochoty wychodzić za kogoś tylko dlatego, że tak wypada - rzekła z niesmakiem.

Dla niej to za mało. Chciała więcej. I to dużo więcej.

- Chcę wyjść za mąż z miłości - szepnęła, bardziej do siebie niż do koleżanek.

I znów przypomniała sobie Jace'a i jego pocałunki.

- Za kogoś, kto naprawdę mnie porwie.

- Mówisz o chemii - domyślnie rzekła Pearly.

-Tak.

- I o miłości - dodała Josie.

- Właśnie. Miłość i chemia - podsumowała Parker. A między nią a Jace'em nie brakowało chemii.

Ale miłość?

- Jak chcesz to znaleźć, skoro z nikim się nie umawiasz? - zapytała Josie.

- Miałam w rodzinie kogoś... - zaczęła Pearly.

- Pearly! - zgodnym chórem wykrzyknęli Josie, Libby i Hoffman.

- Cicho! - Pearly w ogóle się nie przejęła ich protestem. Odwróciła się do Parker i ciągnęła dalej: - Miała na imię Linda. Mówiliśmy na nią Lin. Powoli wchodziła w wiek staropanieński, tak jak ty.

-I ty, Pearly - uściśliła Josie. - Zobacz, Mabel spotyka się z Elmerem, ja mam Hoffmana, a ty... Musimy ci kogoś naraić.

- O nie, nie! Tak mi jest dobrze - zaproponowała Pearly.

- Ale Linda nie była zadowolona ze swojego życia. Była paleontologiem i wciąż utrzymywała, że nie może znaleźć nikogo, kto interesuje ją bardziej niż szczątki starych kości.

- Czyli odpowiadało jej takie życie - rzekła Parker. - Ze mną jest inny problem. Nie chodzi o to, że nikt nie wydaje mi się dostatecznie interesujący. To ja nie pociągam tych, którzy mi się podobają. Zwykle wychodzi na to, że za bardzo się różnimy.

- Takie różnice tylko dodają barw każdemu związkowi

- rzekła Pearly.

- Pearly ma rację - poparła ją Josie. - Popatrz tylko na mnie i na Hoffmana. Bardzo się różnimy, a doskonale nam się układa.

- Lin też była inna, gdy miała piętnaście lat - Pearly wróciła do swojej opowieści. - Nawet...

- Pearly, ja już prawie skończyłam - przerwała jej Libby.

- Pospiesz się, bo Parker zaraz wyjdzie.

- Wciąż tylko szybko i szybko. Co mnie tak poganiacie? Nie wiecie, że dobra historia musi mieć początek, środek i koniec? To takie typowe dla was, ludzi z Północy - zrzędziła Pearly. - Opowiadanie musi mieć swój rytm, nieoczekiwane zwroty akcji... - Z głębokim westchnieniem nabrała powietrza i wróciła do swojej opowieści: - Przez to swoje podejście Linda nie znalazła sobie żadnego chłopaka. Obudziła się dopiero wtedy, gdy już była dobrze po trzydziestce. Przez cały czas uważała, że nawet jeśli z kimś w końcu się zwiąże, to będzie to ktoś z jej środowiska, człowiek prowadzący podobne życie, jakiś naukowiec. I wiecie, na kogo trafiła? Na pisarza. Nie od spraw naukowych, a od romansów.

- Co ty opowiadasz? - skrzywił się Hoffman. - Mężczyźni nie piszą romansów.

- Zastanów się, zanim coś powiesz - Josie zgromiła go wzrokiem. - Wiesz, że przepadam za romansami, więc dobrze ci radzę.

Hoffmanowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zwłaszcza że Josie miała w ręku nadzwyczaj niebezpieczne narzędzie.

- Uff, nie mam nic przeciwko romansom - powiedział szybko. - Nawet zamierzałem wręczyć ci wieczorem bukiet kwiatów. To romantyczny gest, prawda?

Josie uśmiechnęła się czarująco.

Pearly wróciła do swojej opowieści.

- Merv, ten jej narzeczony, okazał się dla niej doskonałą partią, choć Lin nie od razu to przyznała. Zawsze był z niej okropny uparciuch. Każdy

inny mężczyzna mógł się zrazić i dać sobie spokój, ale nie Merv. Wiedział, jak do niej podejść. Może przydało mu się doświadczenie autora romansów. Trochę to trwało, ale wreszcie dopiął swego.

- To raczej mało romantyczne - stwierdziła Josie.

- Ależ skąd! Są małżeństwem od dziesięciu lat. Merv wspaniale się sprawdził. Poza tym jego zawód pozwala mu towarzyszyć żonie w jej wyjazdach na wykopaliska. Są razem, a każde z nich robi swoje. I, choć tak bardzo się różnią, są szczęśliwi. Pomyśl o tym, Parker. Warto się rozejrzeć. Może odpowiedni mężczyzna jest tuż obok.

- Gotowe. - Libby zdjęła pelerynkę z ramion Parker. - Leć, nim Pearly przejdzie do szczegółów albo zacznie kolejną opowieść.

- Libby, mogłabym skorzystać z pokoiku na zapleczu? - zapytała Parker. - Mam coś do przejrzania, a w kawiarni jest dzisiaj okropny młyn.

- Oczywiście - odparła Libby.

O nic nie pytała. Pearly, choć było to do niej niepodobne, też ugryzła się w język.

Parker usiadła na zapleczu i wyjęła z torby kopertę. Jason Patrick O'Donnell.

Przebiegła wzrokiem pierwszą stronę. Dane na temat wzrostu, wagi, wieku. Nie to ją interesowało.

Chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Poznać jego marzenia, motywacje.

Trzydzieści lat. Ona ma prawie dwadzieścia siedem, czyli ponad trzy lata różnicy...

Opamiętała się.

Po co zawraca sobie tym głowę? Jace jest detektywem, który ma śledzić jej poczynania.

Jednak nie mogła się oszukiwać. Przeglądała te papiery nie po to, by opracować optymalną strategię przeciwko niemu, ale po to, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Dużo więcej.

Kolejne kilka kartek było zapisanych równym, drobnym pismem. Nie przeczyta ich teraz, to by za długo trwało. Zatrzymała wzrok na fragmencie dotyczącym jego rodziców i ich rozvodu. „Zbyt różni, by być razem. ”

Na drugiej stronie Jace pisał o Shelly i jej małżeństwie. „Dzielące ich różnice okazały się zbyt duże. ”

Różnice.

Zbyt duże różnice.

Nie czytała dalej. Słowo „różnice” wciąż się przewijało. Czyżby to było ostrzeżenie dla niej?

Nie musi jej ostrzegać. Sama doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak wiele ich dzieli. Jednak co innego wiedzieć, a co innego odczuwać.

Gdy Jace był blisko, wszystkie różnice nagle przestawały istnieć. A Parker chciała być jeszcze bliżej, choć wiedziała, że nie powinna. Jace nie musiał tak subtelnie jej tego przypominać.

Wsunęła kopertę do torebki i wyszła z zaplecza.

- Dziękuję - powiedziała do Libby. - To ja już wracam do siebie.

- Nie powiesz nam, o co chodzi? - nie wytrzymała Pearly.

- Raczej nie - odparła Parker. - W każdym razie nie teraz.

Pearly westchnęła ciężko.

- Cóż, trudno. Nie ma sprawy. Jak tajemnica, to tajemnica. Choć chętnie byśmy się czegoś dowiedziały.

- Nie ma żadnej tajemnicy. - Parker szybko ruszyła do drzwi, by uniknąć dalszych pytań. - Dziękuję - powiedziała na pożegnanie i szybko

wyszła na ulicę. Gdy już była bezpieczna, zwolniła kroku. Musiała trochę ochłonać.

Jace ją pocałował. A ona jego.

Między nimi naprawdę zaiskrzyło. Nie tylko teraz. Wtedy, w wesołym miasteczku, też.

Jednak wciąż miała świadomość różnic, jakie ich dzielą. Pochodzili z innych środowisk, prowadzili zupełnie inne życie, mieli inne oczekiwania.

Nagle przypomniała sobie paleontolożkę i pisarza, autora romansów.

Tak różni, a mimo to dopasowali się do siebie.

Jace pisał o matce i o siostrze, o ich nieudanych małżeństwach.

Ale może czasami różnice mogą zadziałać na plus?

Czy prywatny detektyw chciałby związać się z księżniczką?

Królewskie życie dalekie było od bajki. Pozory bardzo mylą. Płaci się ogromną cenę. Trzeba starannie strzec swojej prywatności, stale pamiętać, że jest się osobą publiczną.

W Erie Parker znalazła spokój, namiastkę normalnego życia, jednak wciąż musiała się pilnować. Nigdy nie wiadomo, czy jakiś dociekliwy reporter nie wpadnie na jej ślad. Najdrobniejszy błąd, a nagłówki brukowców znów będą o niej krzyczeć.

Już raz tak było, gdy jeszcze chodziła do szkoły. Do tej pory pamiętała, jak się wtedy czuła. Przez długi czas nie mogła dojść do siebie.

Nie miała żadnej gwarancji, że podobna rzecz się nie powtórzy. To ryzyko na zawsze wpisane było w jej życie.

Czy Jace byłby gotów się z tym pogodzić? Był człowiekiem, któremu bardzo zależy na prywatności. Wyjątkowo.

Gdyby między nimi zaczęło się coś rozwijać... Czy nie powinna temu przeszkodzić? Czy byłaby w porządku, gdyby tego nie zrobiła?

Trudno znaleźć odpowiedź. Pierwszy raz naprawdę zależało jej na tym, by podjąć ryzyko.

Właśnie przechodziła przez park, gdy zadzwoniła jej komórka. To mama.

- Cześć, mammo.

- Witaj, skarbie. Dowiedziałam się, że tata zablokował ci konto. Strasznie mi przykro.

- Mammo, ja...

- Nic nie tłumacz, nie ma potrzeby. Bardzo chcemy, żebyś wróciła do domu, ale nie za wszelką cenę. Masz w Erie swoje życie, doskonale cię rozumiem. Sama mieszkałam tam ponad dwadzieścia lat, nim poznałam tatę. Wiem, co cię tam trzyma. Nie chcesz być na świeczniku, chcesz normalnie żyć. Rozumiem to. Dlatego pomogliśmy ci tam się urządzić. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz swoje miejsce, swój sposób na życie uwzględniający nie tylko rodzinę, ale i twój kraj.

- Nie wiem.,.

- Tak będzie, zobaczysz. Niczego nie przyspieszaj. Sama decydujesz o sobie i tacie nic do tego. Twoje konto jest już odblokowane. A co do tych chorych planów taty związanych z Tannerem... - matka westchnęła głęboko.

- Mammo, nie przejmuj się - rzekła Parker. - Przecież go znam, wiem, jaki jest. Cieszę się z konta.

- Parker, pamiętaj tylko o jednym. Nie miałaś wpływu na to, w jakiej rodzinie się urodziłaś, ale jesteś naszą córką. Wiem, że nie będziesz przez całe życie uciekać przed swoim losem. W końcu znajdziesz sposób, by wszystko pogodzić: życie, na jakim ci zależy, i odpowiedzialność wynikającą z twojego pochodzenia. Masz naturę wojownika.

Porozmawiały jeszcze chwilę i Parker ogarnęła tęsknota za matką, za rodziną. Za Eliason.

Gdy się rozłączyły, miała poczucie winy. I wcale nie czuła się taka bojowa, za jaką uważała ją matka.

Popatrzyła na kawiarnię po drugiej stronie ulicy. To ich wspólne miejsce. Jej, Shey i Cary.

A w środku czeka Jace.

Szła wolno. Dobrze, że znowu ma dostęp do pieniędzy. Jeden problem został rozwiązany. Znow może zająć się tylko zarządzaniem, dać sobie spokój z pracą kelnerki.

Jednak ciągle pozostawało tyle innych spraw. Tanner. Shey nie będzie w nieskończoność trzymać go z daleka. Parker przypomniała sobie słowa matki: pogodzić normalne życie z obowiązkami członka rodziny panującej. Ale jak to zrobić? Znowu wystawić się na ocenę opinii publicznej, znaleźć się w świetle fleszy? Jak rozegrać sprawę ze śledzącym ją detektywem?

Zwłaszcza to ostatnie pytanie nie dawało jej spokoju.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jace znowu popatrzył na zegarek.

Właściwie odkąd Parker wyszła z kawiarni, nie robił nic innego. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Zastanawiał się, jaki powinien być jego następny ruch. Rozważał różne możliwości. Sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Nie był w stanie traktować Parker w sposób wyłącznie zawodowy, choć wcale mu to nie odpowiadało.

Jak z tego wybrnąć?

Właśnie o tym rozmyślał, gdy Parker stanęła na progu. Zatrzymała się i wbiła w niego spojrzenie. Miała dziwną minę.

- Coś się stało? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się z przymusem. Jace nie dał się zwieść. Czuł, że coś jest nie tak.

- Parker? - zapytał. - Co się stało?

- Nic. Wszystko w porządku. A tobie jak poszło?

Kłamała. Intuicyjnie wiedział, że coś się zmieniło. Coś tu nie grało.

- Dzwoniła Shey. Zapowiedziała, że wpadnie. Bez księcia - powiedział powoli.

Parker skinęła głową.

- To dobrze. Muszę z nią pogadać.

Wzięła się do roboty. Obeszła stoliki, postawiła coś na tacę, coś przestawiła.

Jace nie naciskał. Prędzej czy później dowie się, co wydarzyło się u fryzjera. To nie ucieknie.

Gdy przyjdzie Shey, odciągnie Parker na bok i porozmawia z nią na osobności.

Myśl, że znajdzie się z nią sam na sam, od razu pobudziła jego wyobraźnię. Pospiesznie odepchnął podsuwane przez nią obrazy. Popatrzył na Parker. Była wysoką, jasnowłosą, śliczną dziewczyną, jednak uroda to nie wszystko. Parker miała w sobie coś więcej: była świadoma swoich pragnień, miała jasno określone cele. I niezwykłą siłę wewnętrzną.

Jace przypomniał sobie dzień spędzony w wesołym miasteczku. Parker umiała się bawić i cieszyć życiem. Tak żywiołowo śmiała się wtedy z dziećmi.

Dzisiaj na jej twarzy nie było uśmiechu. Za każdym razem gdy na niego zerkała, w jej oczach widać było zakłopotanie i niepokój.

Co, u diabła, zdarzyło się u fryzjera?

- Cześć, Jace!

Odwrócił się od Parker. Na wprost niego, przy barze, stała Shelly.

Był zupełnie wytrącony z równowagi. Nawet nie zauważył, kiedy siostra weszła do kawiarni. Niezły z niego detektyw.

- Cześć.

- Co ty tu robisz za barem? - zdziwiła się Shelly. Jace wzruszył ramionami.

- Trochę pomagam.

- Jawnie czy pod przykrywką? - zapytała szeptem. - Nie chcę cię zdemaskować.

- Nie przejmuj się. Co u ciebie?

- Byłam w kilku miejscach w sprawie pracy. Dzieci są z Halem. Liczyłam, że cię tu spotkam. Podobno teraz to twoje ulubione miejsce. Dzieciaki mi mówiły. Wiem, że twoja znajoma, Parker, tu pracuje.

- Nigdy nie będą detektywami, skoro nie umieją trzymać języka za zębami - warknął Jace.

- Mogę sobie pójść - rzekła Shelly.

- Nie, nie, przepraszam. Napijesz się kawy?

- Chętnie. Ta wędrownica po mieście dała mi w kość. Jace nalał kawę i podsunął filiżankę w stronę siostry.

- Usiądź sobie wygodnie i odetchnij. Zaraz do ciebie przyjdę.

Shelly kiwnęła głową i ruszyła do wolnego stolika. Zadzźwięczał telefon.

- Kawiarnia „Monarch” - odezwał się Jace.

- Czy mogę prosić Parker? - w słuchawce rozległ się damski głos.

- Parker! - zawołał Jace.

Spojrzała na niego i znowu spochmurniała.

O co w tym wszystkim chodzi?

- Do ciebie - wyjaśnił, podając jej telefon.

Ostrożnie, by nie dotknąć jego dłoni, wzięła słuchawkę. Jeśli będzie unikać choćby najdrobniejszego kontaktu, może zdoła skutecznie odepchnąć niewczesne i niestosowne marzenia.

Marzenia o niej i o nim.

I myśli o...

Odsunęła je od siebie.

- Halo? - odezwała się z niepokojem. Ostatnio stale prześladowały ją mało przyjemne telefony.

- Cześć, Parker. Tu Shey. Niestety, nie pokażę się dzisiaj. Udało mi się przytrzymać księcia, ale to oznacza, że sama też jestem unieruchomiona.

- Co z nim zrobiłaś?

- Wypłynęliśmy na jezioro łódką Cary. Silnik chyba nawalił, radio też nie działa.

Gdy Cara skończyła dwadzieścia jeden lat, otrzymała niewielki kapitał. Rodzice, co było do nich niepodobne, nalegali, by zainwestowała pieniądze. Parker poparła ich argumenty, a Shey poradziła, by Cara poszła za głosem serca.

Cara, z natury zgodna i ugodowa, nie czekała długo. Nic nikomu nie mówiąc, kupiła łódkę. Oznajmiła o tym, gdy już sfinalizowała transakcję.

Na pytania zaskoczonej tak szybką akcją Parker, odpowiedziała z uśmiechem:

- I ty, i Shey wciąż powtarzacie, że każdy powinien realizować swoje marzenia. Właśnie to zrobiłam. Chciałam mieć łódkę i mam.

Cara, subtelna i ujmująca, czasami okazywała zdumiewający upór. Zaskakiwała wszystkich.

Realizować swoje marzenia... Parker podążyła wzrokiem za Jace'em, ale szybko się opamiętała. Zmusiła się do myślenia o Tannerze.

- Tanner nie wie, że masz komórkę? - zapytała.

- Nie - odparła z szatańskim śmiechem Cara. - I nie mam zamiaru się z tym zdradzać. Przynajmniej do czasu, aż zgodzi się wyjechać z naszego miasta.

- Dobra, trzymaj go z daleka ode mnie. Ja mam tu wszystko pod kontrolą - powiedziała Parker, a w tle rozległ się głos Tannera: - Shey, gdzie jesteś? Na pewno możesz coś z tym zrobić!

- Cześć, muszę kończyć - pospiesznie rzekła Shey i rozłączyła się, nim Parker zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Parker odłożyła słuchawkę, po czym przesunęła wzrokiem po sali. Jace siedział przy stoliku z siostrą. Pochylał się do Shelly, słuchając jej w skupieniu, i wyglądał wręcz fantastycznie.

Jak on potrafił słuchać! Już wcześniej to zauważyła. Gdy rozmawiał z nią wczoraj wieczorem, miała wrażenie, że jest jedyną osobą na świecie.

- Proszę pani! - nieoczekiwanie jakiś głos wyrwał ją z tych rozmyślań.

Popatrzyła na mężczyznę stojącego przy barze. Migdałowe oczy, niebywale miękkie, czarne włosy, zabójczy uśmiech.

- Przepraszam pana bardzo - powiedziała pospiesznie. - Zamyśliłam się.

- Chyba domyślam się, co panią tak pochłonęło - rzekł nieznajomy, znacząco spoglądając w kierunku Jace'a.

- Wcale nie... - zaczęła, ale szybko się opamiętała. Nawet jeśli to potencjalny klient, nie musi mu się tłumaczyć.

- Nie wiem, o czym pan mówi - przybrała swój najbardziej zdystansowany ton. - Chciałby pan coś zamówić?

- To ja dostałem zamówienie. Dlatego tu jestem - powiedział łagodnie nieznajomy.

- Zamówienie? - powtórzyła.

- Jestem Peter. Pracuję dla...

Nie musiał kończyć. Wszystko stało się jasne. Wystarczyło spojrzeć na nieskazitelną, kosztowną garnitur, zauważyć sposób, w jaki nieznajomy przyglądał się jej.

- Tanner - powiedziała kwaśno.

Peter obdarzył ją olśniewającym uśmiechem, jakim pewnie uwodził tysiące kobiet.

- Owszem. Mam panią obserwować, póki Tanner się nie zjawi.

- Shey go uziemiła, więc prędko tu nie dotrze - rzekła Parker.

Peter pokręcił głową.

- Naprawdę - powtórzyła Parker, choć jego pewność nieco zbiła ją z tropu.

- Z Tannerem dzieje się coś dziwnego - rzekł Peter. -Ale pojawi się tu, niezależnie od okoliczności.

- W takim razie mnie tu nie będzie.

Wiedziała, że powinna zostać i stawić księciu czoło, jednak nie czuła się na siłach. Była zmęczona. Miała dość ciągłych tłumaczeń, opowiadania o sobie i wyjaśniania motywów swojego postępowania. Dość ciągłego napięcia i ustawicznej presji. Czuła się wykończona.

Potrzebowała spokoju, odrobiny czasu, by zastanowić się nad tym, co dla niej ważne. Zgodnie z sugestią mamy chciała pomyśleć, czy możliwe jest pogodzenie ciężającej na niej odpowiedzialności i obowiązków z normalnym życiem, rozważyć sprawę z Tannerem i może, choć ta kwestia rodziła wiele znaków zapytania, wymyślić rozwiązanie problemu Jace'a.

- To nie takie proste. Nie jestem tu sam - rzekł Peter. -W domu czeka Emil, a u Cary jest Tonio.

Co robić? Parker nie miała ochoty spotkać się z Tannerem.

Już raz rozmawiali. I wystarczy.

Oświadczyła mu wprost, jakie ma plany na przyszłość, jednak do niego to wcale nie dotarło. Typowe zagranie monarchy. Jakby widziała swojego ojca. Nie słyszy tego, czego nie chce słyszeć.

Do diabła. Liczyła, że Tanner okaże się inny. Cóż, przyjdzie jej zadekować się w jakimś hotelu. Teraz, gdy odzyskała już dostęp do pieniędzy, to nie problem.

- Lojalnie uprzedzam, że już go poinformowałem, że pani tu jest.

Przecież radio na łódce było popsute. Peter jakby czytał w jej myślach.

- Tanner ma komórkę. Shey nic o tym nie wie. Poszedł pogrzebać przy silniku i przez ten czas zamówił sobie transport.

Parker zwiesiła ramiona.

A więc wszystko na nic. Nowoczesna technologia pokonała i ją, i Shey.

- Kiedy tu będzie? - zapytała.

- To z pewnością chwilę potrwa. Do tego czasu mam mieć panią na oku.

- Czemu pan mi to mówi? - w Parker obudziła się czujność.

- Nie popieram wymuszonych małżeństw.

- Chodzi panu o mnie? Przecież nawet mnie pan nie zna. Dlaczego panu na tym zależy?

- Cóż, zawsze mi żal, gdy ktoś rani piękną kobietę, ale teraz, muszę przyznać, najbardziej chodzi mi o szefa. Pracuję dla niego od pięciu lat. Przez ten czas wiele się wydarzyło. Wiązał się z różnymi kobietami, ale to nigdy nie było to. Zwłaszcza ostatni związek zakończył się fatalnie. Obawiam się, że księżę stracił ostrość widzenia. - Peter westchnął. - Dla każdej normalnej kobiety to nie jest życie. Ciągłe pod ostrzałem, ciągle na celowniku paparazzich. Pani zna to z własnego doświadczenia. To przekonało księcia do tego małżeństwa. Mówił, że pani ma silny charakter i doskonale wie, co to znaczy być członkiem rodziny panującej.

- Nie wydaje mi się, by był to wystarczający powód, aby się pobierać - stwierdziła Parker.

- Mam takie samo zdanie - zgodził się Peter. - Dlatego pozwoliłem sobie na ostrzeżenie.

Parker roześmiała się.

- Co będzie pan robić, czekając na księcia?

- Myślałem o jagodziance i filiżance kawy.

- Bardzo proszę. - Parker podała mu ciastko i kawę. Pokręciła głową, gdy chciał zapłacić. - Ja stawiam. I bardzo dziękuję.

- Jak powiedziałem, robię to przede wszystkim dla szefa. Ale dzięki. - Posłał jej uwodzicielski uśmiech. - Gdybym się nie obawiał, że Tanner obedrze mnie żywcem ze skóry, sam chętnie bym się z panią umówił.

- Powinam westchnąć i wyznać, że wcale nie byłoby dziwne, gdybym się zgodziła? - zapytała.

- Na pewno bardzo by mnie to podbudowało. - Znowu uśmiechnął się oszałamiająco. Bezbłędnie wiedział, jak trafiać do damskich serc.

Parker nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem.

- Dlaczego coś mi mówi, że to nie jest panu potrzebne?

Peter roześmiał się.

- Bo chyba zna się pani na ludziach.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała Parker.

Peter skinął głową, wziął filiżankę i usiadł w łoży sąsiadującej z łożą Shelly i Jace'a.

Co teraz powinna zrobić? Nie może zostawić Tammy zdanej na własne siły. Cara miała na głowie księgarnię i też się nie rozdwoi. Rozsądek podpowiadał, że nie powinna się stąd ruszać, ale chciała jak najszybciej zniknąć.

Jace podniósł się od stolika i podszedł do baru.

- Pomóc ci w czymś?

- Jak twoja siostra?

- Od rana rozglądała się za pracą.

Naraz Parker doznała olśnienia.

- A może... Poczekaj, zaraz wrócę! Mam pomysł.

- Dokąd idziesz?

- Poczekaj, proszę! - rzuciła przez ramię, idąc do drzwi łączących kawiarnię z księgarnią.

Cara pomachała jej na powitanie.

- Jak leci?

- Nie najgorzej - uśmiechnęła się Parker. - Rano był niesamowity młyn, ale udało mi się to opanować.

- Twoja rodzina chyba nie byłaby zachwycona, gdyby to miał być twój sposób na życie.

- Na pewno nie, ale mnie to nie rusza - odparła Parker, choć w głębi duszy czuła inaczej. Bardzo by chciała spełnić oczekiwania rodziców.

Cóż, na razie nie widziała możliwości, by dostosować się do stawianych jej wymagań. Za to miała na głowie mnóstwo innych pilnych spraw.

- Chciałam cię o coś zapytać. Shey jest zajęta i nie ma szans, by z nią o tym pogadać, ale jesteśmy dwie, więc mamy większość.

- O co chodzi? - zapytała Cara.

- Co myślisz o zatrudnieniu nowego pracownika?

- Nowego pracownika? Wydawało mi się, że ty jesteś naszym pracownikiem. Zostałaś kelnerką właśnie dlatego, by nikogo więcej nie zatrudniać.

- Widzisz tego faceta? - Korzystając z tego, że Jace stał przy barze, Peter usiadł obok jego siostry. Uśmiechał się, a Shelly śmiała się z czegoś, co jej powiedział. - To człowiek Tannera. Mój książęcy narzeczon przysłał go, by miał mnie na oku. Shey przytrzymała Tannera, ale nie wie jeszcze, że jej plan spalił na panewce. Tanner ma komórkę i wkrótce się tu zjawi.

- Chyba nie wszystko pojęłam, ale coś mi zaczyna świtać. Chcesz zrezygnować, tak?

- Właśnie. - Parker skinęła głową. - Ale nie mogę zostawić Tammy samej. Dlatego pytam, jak zapatrujesz się na zatrudnienie nowej osoby.

- Kogo?

- Shelly, siostry Jace'a. Akurat szuka pracy. A skoro ja już nie muszę być kelnerką...

- Jak to? - spytała Cara.

- Już mam odblokowane konto, od rana. Nie muszę pracować, a Shelly szuka roboty. Nie wiem jeszcze, czy w ogóle byłaby tym zainteresowana, ale w razie czego... Jest starsza niż ci studenci, których zatrudniamy na zlecenie, no i ma doświadczenie.

- Nie musisz mnie przekonywać. Mam do ciebie pełne zaufanie. Shey na pewno też nie powie słowa. Jestem za. Shelly już u nas pracuje.

- Pomożesz jej w razie czego?

- Też pytanie! To przecież jasne. Pogadaj z nią. Ale poczekaj chwilę, chciałam cię jeszcze o coś zapytać.

- Słucham?

- Parker, nie znam drugiej osoby tak silnej jak ty, dlatego nie mogę się nadziwić, co się z tobą dzieje. Przez cały czas gdzieś gonisz. Uciekłaś od rodziny, opuściłaś swój kraj, teraz uciekasz od Tannera. Nie ma takiej siły, która by cię zmusiła do poślubienia kogoś wbrew twojej woli, więc powiedz mi, czemu wciąż uciekasz?

- Może ja tylko biegnę do przodu. Do celów, jakie sobie wytknęłam.

Cara nie wyglądała na przekonaną.

- Na jedno wychodzi. Przyzwyczaiłaś się już i ucieczka stała się twoim sposobem na rozwiązanie każdego problemu. Na wszelki wypadek od razu bierzesz nogi za pas, byle tylko uniknąć ryzyka.

- Cara, wcale tak nie jest. Nie masz pojęcia...

- Parker, nie jestem księżniczką, ale mam pewne doświadczenie. Moi rodzice jasno stawiali sprawę. Wiedziałam, czego po mnie oczekują. Dlatego nie grałam w drużynie piłkarskiej, a udzielałam się w klubie dyskusyjnym. Szybko zrozumiałam, że mama i ojciec wolą chwalić się moimi sukcesami, niż poświęcać mi czas. Musiałam zrezygnować z wielu rzeczy, by sprawić im przyjemność. Wierz mi, każdy ma podobne problemy. Każdy musi się mierzyć z tym, czego inni się po nim spodziewają - dokończyła cicho.

- Jeśli nie chcesz, bym przyjęła Shelly...

- To już ustaliłyśmy. Obie, i ja, i Shey od samego początku wiedziałyśmy, że to praca nie dla ciebie, nie na dłuższą metę.

Parker milczała.

- No idź już, porozmawiaj z Shelly! - ponagliła Cara, machnąwszy na Parker jak na krnąbrne dziecko. - I pomyśl o tym, co ci powiedziałam. Zatrzymaj się, nabierz powietrza i zastanów się, czego naprawdę chcesz. No, muszę wracać do księgarni.

Parker wolnym krokiem ruszyła do stolika Shelly. Obejrzała się na drzwi do księgarni. A więc Cara uważa, że wciąż tylko ucieka? Chyba zwariowała. Jest różnica między ucieczką a biegiem do przodu.

Chyba.

Później się nad tym zastanowi. Podeszła do Shelly.

- Cześć, Shelly. Pamiętasz mnie?

- Też pytanie. Jasne. Pamiętam wszystkie kobiety, z którymi spotykał się Jace - odpowiedziała kobieta z figlarnym uśmiechem. - Bo tak niewiele ich było - dokończyła.

Parker najchętniej wypytałaby ją natychmiast o szczegóły, ale teraz nie było na to czasu.

- Shelly, mam pewien pomysł...

- Na pewno chcesz ze mną jechać? - kolejny raz upewnił się Jace.

Początkowo Parker zamierzała zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu, sama, jednak mina Jace'a i jego nieśmiałe prośby przekonały ją. Miał kogoś obserwować i ona zgodziła się mu towarzyszyć.

- No dobrze - przystała. - Ja nie mam gdzie się podziać, a ty musisz pracować. Chętnie się przyjrzę, jak to wygląda.

- To mniej zabawne, niż ci się wydaje. Klientka zleciła mi śledzenie męża. Muszę sporządzić raport, kto w ciągu dnia bywa w jego biurze. Jak sama widzisz, trzeba sporo czasu przesiedzieć w jednym miejscu.

Siedzieli w jego samochodzie. Parker oparła się wygodniej, bo zapowiadało się na dłuższy postój.

- Nie masz lornetki?

- Nie, nie potrzebuję. Wystarczy mi zoom w aparacie.

-Aha.

Po tej lakonicznej wymianie zdań w aucie zapadła długa cisza.

Wreszcie przerwał ją Jace:

- Księżniczko, dlaczego uciekasz?

Parker zaskoczyło tak wprost postawione pytanie. To już trzecia osoba, która ją o to pyta. Komu innemu nie odpowiedziałaby, ale nie Jace'owi. Tak bardzo jej zależało, by zrozumiał jej motywy.

- Wiesz, o to samo pytała mnie dzisiaj mama, a potem Cara. Teraz znowu ty.

- Może powinnaś wyciągnąć z tego wnioski?

- Nigdzie nie uciekam. Jeśli gdzieś biegnę, to do życia, jakie mi odpowiada. - Zreflektowała się. Jace nie tego oczekiwał. - Masz pojęcie, jak to jest, gdy nigdzie nie możesz się ruszyć, nie możesz zrobić niczego, bo każde twoje posunięcie, każdy gest zaraz zostanie opisany w gazetach? Nie tylko takie rzeczy jak narodziny czy chrzest, ale każda najmniejsza bzdura. Media żerują na nas.

- Co się stało? - zapytał miękko.

Nie zamierzała mu tego opowiadać, ale słowa same się potoczyły.

- Miałam szesnaście lat, jeszcze chodziłam do szkoły. Moja koleżanka chciała wymknąć się z internatu na imprezę. Takie wyjście bez ochroniarzy sunących za mną krok w krok było bardzo kuszące. Poszłam z nią. Udało się nam wyslizgnąć. Wypiłam jednego drinka, moja koleżanka kilka.

- I co było dalej?

- Ktoś mnie rozpoznał. Wpadłam w panikę. Odszukałam koleżankę i wyciągnęłam ją na dwór. Była pijana. Prowadziłam ją, prawie niosłam. Dochodziłyśmy już do internatu, gdy nagle błysnął flesz. Koleżanka upadła i pociągnęła mnie za sobą. Fotograf ciągle pstrykał. Nawet gdy ona zaczęła wymiotować. Wyobrażasz to sobie? Robić dziewczynie zdjęcia w takim momencie? Nazajutrz było to we wszystkich gazetach. Krzyżące nagłówki, zjadliwe komentarze. Po prostu straszne. To nie był odosobniony przypadek, wciąż na mnie polowali. Koszmar.

- Wszystko było takie fatalne?

- Z wyjątkiem rodziny. Ale reszta... Gdy tylko się gdzieś pokazywałam, stada reporterów wyrastały jak spod ziemi. Nie tylko oni

żerowali na nas. Ciągłe ktoś chciał się z nami pokazywać. To nie była reklama, a w dodatku całkowicie darmowa. Może gdybym czuła, że moja obecność rzeczywiście coś znaczy, byłoby inaczej.

- Dlatego wyjechałaś na studia do Stanów i postanowiłaś nie wracać do ojczyzny?

- To nie tak. Przez cały czas myślałam, że gdy już się obronię, wrócę do domu. Nie było mi łatwo. Ukrywanie prawdziwej tożsamości rodziło wiele problemów. Rodzice bardzo mi pomogli. Dzięki nim mogłam zostać zwyczajną studentką. Gdybyś słyszał nieustające dyskusje z moim tatą! Upierał się, bym miała tu ochronę, a ja za nic nie chciałam się na to zgodzić. Gdy już nic do niego nie trafiało, zagroziłam, że ucieknę i nikt mnie nigdy nie znajdzie. Tak było. Jednak zawsze myślałam, że po dyplomie wrócę do domu.

-I co?

- Kilka tygodni po skończeniu studiów pożegnałam się z Shey i Carą. Byłyśmy na lotnisku, gdy nagle ktoś zrobił zdjęcie. Nie mnie, komuś obok. I wtedy coś się ze mną stało. Coś niedobrego. Poczulałam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Oblał mnie zimny pot, nie mogłam oddychać. To był atak paniki. Nagle zrozumiałam, że nie chcę wracać do poprzedniego życia. Wszystko się we mnie buntowało.

- Może to oznaka siły?

Parker pokręciła głową.

- Jesteś bardzo miły, ale tak nie jest. Zostałam w Erie, bo to było łatwiejsze. Razem z przyjaciółkami rozkręciłyśmy interes. No cóż, mojego ojca to wcale nie przekonuje. Uważa, że prędzej czy później wrócę do domu. Mama natomiast ma nadzieję, że znajdę sposób, by harmonijnie

połączyć to, czego chcę, z obowiązkami, jakie nakłada na mnie moje urodzenie. Nie wiem, czy to mi się uda.

- Kochają cię i tęsknią za tobą.

- Wiem. Ja też ich kocham. Jednak nie mogę wrócić. To nie był mój wybór, by być księżniczką.

- Czasami człowiek nie ma wyboru. Nie mamy wpływu na to, w jakiej rodzinie przychodzimy na świat, kim są nasi rodzice. I nic na to nie można poradzić.

- Przeczytałam, że twoi rodzice się rozwiedli. Współczuję ci. - Dopiero teraz spostrzegła, że bezwiednie położyła rękę na jego dłoni. Chciała ją cofnąć, ale Jace uściskał ją lekko, co było bardzo przyjemne.

- Nie żałuję, że się rozstali - rzekł. - Żał mi tylko mamy. Ojciec nie był dobrym człowiekiem. Odszedł od nas i założył nową rodzinę. O nas całkiem zapomniał. Mama została z dwójką małych dzieci. Pracowała od świtu do nocy, by zapewnić nam utrzymanie. Ja i Shelly praktycznie wychowywaliśmy się sami.

- Nie widywałeś się z ojcem? - zdumiała się Parker. Wprawdzie czasem miała serdecznie dość taty, jednak nie wyobrażała sobie, że mogliby zerwać kontakty.

- On nie był tym zainteresowany, ja również. Teraz to ona uścisnęła jego rękę.

- Ze mną nie mają lekko, jednak wiem, że ojciec mnie kocha. Że im na mnie zależy.

Jace pochylił się w jej stronę. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Dawał jej czas, by mogła się jeszcze wycofać. Nie, nie skorzysta z tej możliwości. Przysunęła się do niego, bliżej, jeszcze bliżej...

Nagle ktoś zabębnił w szybę. Parker błyskawicznie cofnęła się na swoje miejsce.

- Wujku, wpuść nas!

Obok samochodu stali Bobby i Amanda, uśmiechnięci od ucha do ucha.

Jace zamruczał coś pod nosem i odblokował zamki. Dzieciaki wskoczyły na tylne siedzenie.

- Co wy tu robicie? - zapytał ostro.

- Przyszliśmy pomóc ci w obserwacji - oświadczył Bobby.

- Jak mnie tu znaleźliście?

- Nie możemy zdradzić ci naszych tajnych sposobów - chłopczyk uśmiechnął się szelmowsko. - Weźmiesz nas, jak ci powiemy?

- Chyba możemy zostać? - zapytała Amanda.

Jace zerknął z ukosa na Parker. Przepraszająco. Nie miała do niego żalu. Przepadał za tymi dziećmi, zresztą ona też zdążyła je polubić.

Jace odwrócił się.

- Przez was moja praca może pójść na marne.

- Ale my byliśmy bardzo ostrożni. Poza tym to nawet lepiej, jak tu jesteśmy. Kto pomyśli, że śledzi go cała rodzina? W dodatku z dziećmi.

- A czy nie powinniście być teraz u ojca?

- On zniknął na cały dzień - cichutkim głosem powiedziała Amanda.

W jej oczach malowało się rozczarowanie i smutek, za to Bobby był wściekły. Nie tylko Parker to widziała, Jace również.

- No dobrze - powiedział. - Możecie na chwilę zostać. Ale gdy skończymy, musicie wrócić do taty.

- Super! - rozpromienił się Bobby. - Kupiliśmy notes, żeby zapisywać numery samochodów. I jeszcze...

Dzieci prześcigały się w pomysłach. Jace porozumiewawczo uśmiechnął się do Parker. Odpowiedziała mu uśmiechem.

Była bardzo poruszona. Nie mogła pojąć, dlaczego tyle mu o sobie opowiedziała. Zwykle była zamknięta, tylko Shey i Cara znały jej tajemnice. Chyba chciała, by lepiej ją poznał. By zrozumiał jej motywy.

Przyglądała się, jak rozmawia z dziećmi. To dla niej ważne, że patrzył na nią inaczej, że ją rozumiał. Choć teraz nie będzie się w to wgłębiać, nie będzie roztrząsać swoich uczuć. Niech zostanie, jak jest.

Jace podjechał pod dom.

Odkąd odstawili dzieci, ciągle czuł na sobie wzrok Parker. Teraz zostali sami.

Znowu posłała mu to dziwne spojrzenie.

Może to przez ten niespełniony pocałunek? Chciał tylko podtrzymać ją na duchu, pocieszyć. Nic więcej.

Jednak chyba chodziło o coś innego. Już wcześniej tak na niego patrzyła. Od razu po przyjściu od fryzjera.

Po co tam chodziła? Po powrocie wydawała się zamyślona, może zaniepokojona...

- Jesteśmy na miejscu - rzekł.

Parker patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

- Słucham?

Naprawdę działo się z nią coś dziwnego. Jace zaczął się denerwować.

- Parker, co z tobą? - zapytał prosto z mostu.

- Nic. - Widział, że próbowała się skoncentrować. - Dlaczego pytasz?

- Bo zachowujesz się dziwnie.

- Ciągle ktoś mnie śledzi. Ty, narzeczony, jego goryle. Chyba mogę być trochę...

Nie dał się zwiść.

- Nie wykręcaj się. To coś innego.

- Mylisz się. - Umilkła. - To co, zaprosisz mnie do siebie?

- Chyba tak - odparł, otwierając drzwi i wysiadając.

Teraz zrozumiał jej wcześniejsze wahanie, gdy chciał wejść do jej mieszkania. Ciekawe, co sobie pomyśli, gdy zobaczy jego dom.

- Parker, wracając do... - urwał.

- Chodzi ci o pocałunek? - podjęła cicho. - Ten w kawiarni czy ten niedoszły w samochodzie? Denerwujesz się?

Jace podszedł do drzwi.

- Czy się denerwuję? Daj spokój. Całowałem się z wieloma kobietami. To był tylko niewinny pocałunek. To nie powód, żeby zaraz się denerwować.

Cieszył się, że stała za nim i nie widziała jego twarzy. Chyba nie miał bardzo przekonującej miny.

- To było coś więcej - powiedziała, stając obok niego. - Ja też się wcześniej całowałam.

- Chyba dobrze się domyślałem. Nawąchałaś się czegoś u fryzjera i...

- Jace, jeśli tak się boisz o swoją cnotę, to wracajmy do samochodu - zażartowała. - Po prostu odwieź mnie do domu.

- Nie boję się. Mojej cnotcie nic nie zaszkodzi. Mnie też nie. - Wiedział, że powinien na tym poprzestać, jednak ciągnął dalej: - Może to o twoją cnotę się martwię? Nie pomyślałaś o tym? W końcu jesteś księżniczką.

- A ty jesteś taką pokusą, której nie potrafiłabym się oprzeć? - Roześmiała się. - Nie pochlebiaj sobie. Przy tobie moja cnota jest zupełnie bezpieczna.

Nie musiała robić takiej rozbawionej miny. Gdyby tylko chciał... Na szczęście był dżentelmenem. No, może nie do końca. A może wcale. Ta myśl go przeraziła.

- No to jak będzie, kochasiu? - droczyła się, prowokując go.

- Zobaczymy - odparł, wzruszając ramionami i otwierając drzwi. - Zapraszam.

Obrzuciła salon uważnym spojrzeniem. Niezły bałagan.

Wideo podłączone do wielkiego telewizora, na podłodze kable i porozrzucane zabawki.

Beżowa kanapa, przy niej niski stolik ze stosem kolorowych magazynów, otwarta gazeta.

Zapraszające domowe wnętrze pełne ciepła.

- Napijesz się kawy? - zaproponował, od razu kierując się do kuchni.

- A masz herbatę? - zapytała.

- Chyba Shelly kupiła. - Jace zaczął szperać w kredensie. Nie odwracając się, powiedział: - Skoro mówimy o Shelly, to miłe z twojej strony, że zaproponowałaś jej pracę.

- To nic takiego - odparła, przysuwając sobie stołek do kuchennego stołu. - Ona szuka zajęcia, a ja potrzebuję kogoś do kawiarni. Wspominałeś, że przed laty pomagaliście mamie, więc rozwiązanie samo się nasuwało.

- Jednak to miłe z twojej strony.

- Muszę się stamtąd ewakuować - powiedziała i oparła ręce na blacie.

O czymś takim zawsze marzyła. Zwyczajne życie.

- Księżniczko - odezwał się Jace. - Co byś nie robiła, nigdy nie zginiesz w tłumie. Jest w tobie coś, co cię wyróżnia. Popatrz na swoje przyjaciółki. Zrobią dla ciebie wszystko. Nie dlatego, że jesteś księżniczką, ale dlatego, że jesteś dla nich kimś wyjątkowym.

Parker prychnęła.

- Zrozumiałem to już po pierwszym czy drugim dniu. Widziałem cię na stadionie. Byłaś w dzinsach i klubowej koszulce. Nawet gdybym cię nie śledził i tak zwróciłbym na ciebie uwagę. Byłaś pochłonięta grą, krzyczałaś, nie mogłaś usiedzieć na miejscu. Jesteś niezwykłą osobą. To od razu widać.

- Jace - wyszeptała.

- Od tamtej pory nie mogłem sobie wybić ciebie z głowy. Nie dlatego, że miałem cię obserwować. Powody były inne. A od dnia, gdy w wesołym miasteczku wygrałaś dla Amandy żabkę i po przejażdżce kolejką... nie mogę przestać o tobie myśleć.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiedział, że musi zachować bezpieczny dystans. Wiedział, że on i Parker pochodzą z dwóch zupełnie innych światów.

Wiedział, że żaden układ między nimi nie miał szans przetrwania.

A przede wszystkim wiedział, że nie wolno mu jej pocałować. Bo jeśli do tego dojdzie, to może nie powstrzymać się w porę.

Jednak chyba już było za późno. Jego ręce same się do niej wyciągały. Jakby nie miał na to żadnego wpływu. Otoczył ją ramionami i powoli, przejmująco powoli zaczął przyciągać do siebie.

Jakby liczył, że ona go powstrzyma, da mu znak, że tego nie chce.

Łudził się.

Tak się nie stało.

Parker rozwiała jego wątpliwości. Zarzuciła mu ręce na szyję i podsunęła usta.

- Parker? - wyszeptał, chcąc mieć absolutną pewność.

- Tak - powiedziała.

Niczego więcej nie musiała dodawać. Jego ruchy straciły wcześniejszą powolność. Zapomniał o tkliwych czułościach.

Przygarnął ją mocno i odszukał jej usta. Całował żarliwie, a w gorącym pocałunku zawarł całą tęsknotę i spalające go pragnienie.

Gorąco. Prawdziwy żar.

Jego dotyk palił, zapierał dech. Chociaż gdy Jace był tak blisko, nie potrzebowała powietrza.

Topniała w jego ramionach. Kiedyś natknęła się na podobne określenie w jednej z książek przysyłanych jej przez Carę. Wtedy tego nie rozumiała... za to teraz stało się oczywiste.

Teraz, z Jace'em.

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Cherry coke - wyszeptał. - Masz smak wiśniowej coli.

- To mój błyszczak do ust. - W jej znizonym do szeptu głosie zabrzmiał cichy śmiech.

Odpowiedział jej tym samym.

- Nie, to nie błyszczak To ty. Słodko-gorzka.

- Rozpalona - wyszeptała.

- Rozpalona. Słodka. Gorzka. W tobie jest wszystko. Przesunął dłonią po jej plecach. Parker poczuła na skórze jego dotyk.

Westchnęła radośnie, przepelniona narastającym pragnieniem. Jej ciało wrywało się ku niemu.

- Parker, pragnę cię - wyszeptał.

-Ale...

-Wiem, wszystko przemawia przeciwko - mówił cicho. - Wiem o tym dobrze. Bezustannie powtarzam sobie wszystkie powody, wbijam sobie do głowy, że muszę trzymać się od ciebie z daleka. Ale nic nie pomaga. To mnie przerasta. Walczę z sobą, ale jest coraz gorzej. Powinienem zachowywać się profesjonalnie. I to nie tylko dlatego, że jesteś moją klientką i... księżniczką... Dla mnie twoje tytuły, twoje urodzenie nie mają najmniejszego znaczenia. Ty jesteś dla mnie ważna. Pragnę...

- Ja też ciebie pragnę - wyznała Parker.

Uwolniła się z jego objęć, wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę schodów.

- Jesteś pewna? - zapytał. -Tak. Ja...

Chciała powiedzieć, że te wszystkie powody dla niej też są nieważne, bo tylko to jedno się liczy.

Nie zdążyła. Zanim się odezwała, drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadły dzieciaki.

Buzia Amandy lśniła od łez, a Bobby wyglądał tak, jakby zaraz miał eksplodować.

Parker wyciągnęła ramiona i dziewczynka wpadła w jej objęcia.

- Co się stało? - zapytał Jace.

- Tata - głos chłopca zabrzmiał zaskakująco poważnie jak na jego wiek. - Po całym dniu wreszcie wrócił do domu i powiedział, że zaraz idzie na jakąś ważną kolację i do teatru. Myślał, że dalej będziemy siedzieć w pustym domu i nawet nie piśniemy! Powiedziałem mu, że nic z tego. Jak nie chce poświęcić nam czasu, to niech nas odwiezie do mamy!

- Nie widział nas przez trzy tygodnie - szlochała Amanda.

- Ja mogę go więcej nie oglądać! Powiedziałem mu to.

- Bobby strasznie pokłócił się z tatą - wykrztusiła Amanda.

- Nienawidzę go! - wycedził Bobby.

Parker popatrzyła na chłopca. Czy jego ojciec ma świadomość, jak wiele traci?

- Jeśli go nienawidzisz, nie będzie to takie bolesne. Człowiek cierpi tylko wtedy, gdy mu na kimś naprawdę zależy. Wiem to po sobie - dodała.

Jace położył rękę na ramieniu chłopca.

- Nie mamy wpływu na innych, jedynie na siebie.

- Gdzie mama? - zapytała dziewczynka.

- Mama znalazła pracę - powiedziała Parker.

- Pracę? - powtórzyła Amanda. - Nic nam nie mówiła, ale bardzo się martwiła.

- Może zadzwonimy po pizzę, pooglądamy filmy na wideo i poczekamy na mamę? - zaproponował Jace. - Na pewno będzie miała nam dużo do opowiedzenia.

Parker popatrzyła na niego. Nadal trzymał dłoń na ramieniu siostrzeńca. Czuła, że rodzi się w niej jeszcze inne, nowe uczucie.

Coś bardziej poważnego.

Coś jak... miłość.

Westchnęła i przygarnęła mocniej Amandę. Jej oczy napotkały spojrzenie Jace'a i w tej samej chwili znikły wątpliwości i rozterki. Liczył się tylko ten mężczyzna. To wszystko.

Jace z czułością patrzył na dziewczynę śpiącą w jego ramionach. Jak dobra wróżka rozjaśniła buzie dzieciaków, ukoiła ich rozzalenie i gniew.

Usnęła dobrą godzinę temu, tuż przed powrotem Shelly.

Pewnie powinien ją wtedy obudzić, ale nie zdobył się na to. Shelly zagoniła dzieci do łóżek, a on siedział obok wtulonej w niego Parker.

To, co się działo, było dla niego zupełnie niezrozumiałe. On, zawsze taki zdecydowany i racjonalny, teraz nie był w stanie trzymać się od tej dziewczyny z daleka.

Pragnął jej.

Nie tylko fizycznie.

Znał jej zalety, fascynowała go jak żadna inna kobieta. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale czuł, że właśnie jej szukał przez całe życie.

Wymarzona dziewczyna dla niego... gdyby nie fakt, że pochodziła z zupełnie innego świata. Dla niego zamkniętego i niedostępnego.

Parker poruszyła się i usiadła. Popatrzyła na niego rozespanym wzrokiem.

- Która godzina?

- Dochodzi północ.

Jace wyplątał palce z jej włosów.

- Trzeba mnie było obudzić - powiedziała, odgarniając potargane loki.

- Tak słodko spałaś, aż miło było patrzeć - wyznał.

Zarumieniła się. Lubił wprawiać ją w zakłopotanie.

- Chrapałaś - dodał po chwili.

Parker przymrużyła oczy i spiorunowała go wzrokiem.

- Wcale nie!

- Chrapałaś - droczył się z nią. - Chrapiąca księżniczka! Coś w sam raz dla brukowców. Wyobraź sobie te tytuły.

Przestraszył się, że może przeciągnął strunę, ale Parker roześmiała się i dała mu kuksańca.

Niesforny loczek opadł jej na czoło; Jace wyciągnął rękę i odgarnął za ucho falujące pasemko. Parker znieruchomiała. Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy, a oczy patrzyły z napięciem.

Przez sekundę Jace myślał, że ona chce go pocałować, ale nie. Cofnęła się.

- Muszę się zbierać - powiedziała. - Zrobiło się późno.

Tak, to najrozsądniejsze rozwiązanie, jednak dziś Jace nie chciał być rozsądny. Nie chciał, by odeszła. Nie chciał zostać sam.

- Księżę może czekać na ciebie pod domem - ostrzegł.

- Możliwe. - Parker wzruszyła ramionami. - Chyba pora, bym stawiała mu czoło. Jemu i wielu innym sprawom.

- Koniecznie dzisiaj? - spytał. - Mogłabyś zostać tu na noc, a rano porozmawiasz z nim na spokojnie.

- Przecież u ciebie jest Shelly i dzieci. Nie masz aż tylu pokoi.

O tym jakoś nie pomyślał. Siostra i dzieci zajęli wolne sypialnie.

- Jest jeszcze mój pokój.

- To raczej kiepski pomysł.

- Prześpisz się w moim pokoju, a ja przeniosę się do Bobby'ego. Tam są dwa łóżka.

-Ale...

- Parker, proszę - nie dał jej dokończyć. - Pomyśl o dzieciach. Ucieszą się, kiedy zobaczą cię rano.

- Jace...

- Prześpię się w pokoju Bobby'ego. Nawet nie podejść do twoich drzwi. - Poniósł rękę. - Słowo skauta.

Przez chwilę przyglądała się jego palcom. Widział, że stara się zdusić uśmiech.

- Chyba coś robisz nie tak. Byłeś choć przez jeden dzień skautem?

Jace roześmiał się, opuścił rękę i pokręcił głową.

-Nie.

Parker też nie mogła już dłużej ze sobą walczyć. Uśmiechnęła się.

- Tak właśnie myślałam.

Jace lubił patrzeć na uśmiechniętą Parker. Lubiał, kiedy się z nim droczyła.

- No więc jak? Zostaniesz na noc? - Umilkł, gorączkowo szukając jakichś argumentów. - Na śniadanie upiekę gofry.

- Gofry? - zainteresowała się Parker. - Umiesz zrobić gofry? - spytała, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

- Jasne. - Nie był wybitnym kucharzem, ale gofry wychodziły mu świetnie.

- Przecież sam mi mówiłeś, żebym przestała uciekać. Powinnam wrócić do domu i stanąć twarzą w twarz z Tannerem.

- Możliwe. Ale teraz proszę cię, zostań - rzekł cicho.

- Zgoda - powiedziała, przypatrując mu się badawczo. - Gofry przeważyły.

- No to chodźmy - rzekł i ruszył w stronę schodów. - Zapakuję cię do łóżka.

Parker pokręciła głową.

- Dzięki. Poradzę sobie sama.

- Och, ty! Psujesz zabawę! - zaśmiał się Jace.

Parker zgodziła się przenocować pod jego dachem. W jego łóżku.

Fatalnie tylko, że on będzie spać w pokoju Bobby'ego.

Ścisnęło ją w żołądku, gdy nazajutrz rano na palcach wymykała się z domu Jace'a.

Wieczorem inaczej patrzyła na wiele spraw. Zamierzała zostać na śniadanie.

Bezsenna noc zmusiła ją do zmiany zdania. Zrozumiała, że im szybciej stąd zniknie, tym lepiej.

Kiedy kładła się do łóżka, padała wprost ze zmęczenia. Była pewna, że natychmiast uśnie. Tymczasem...

Wślizgnęła się pod kołdrę i od razu owionął ją znajomy zapach. Zapach Jace'a. Czy to jego ciało wygniotło to lekkie wgłębienie w materacu? Mimowolnie wyobraziła go sobie w tym miejscu. Zaczęła zastanawiać się, jakie nosi piżamy... czy w ogóle je nosi.

Gdy wreszcie usnęła, śniła o nim.

Jak by to było, gdyby oboje byli zwyczajnymi ludźmi? Mężczyzną i kobietą. Bez zobowiązań i tych wszystkich komplikacji.

Ale rzeczywistość była inna, choć może dałoby się coś zrobić.

Dlatego postanowiła działać. Musiała powyjaśniać wiele spraw.

Dopiero wtedy powie Jace'owi, co naprawdę czuje.

Najpierw musi załatwić sprawę z Tannerem, potem doprowadzić do tego, by ojciec rozwiązał umowę z Jace'em. Może nie będzie z tego zadowolony, jednak z jej punktu widzenia to konieczne.

Następnie przeczyta teczkę, którą dostała od Jace'a.

Gdy zrobi to wszystko, spotka się z nim i wyzna, że nie jest jej obojętny.

Nie, to jeszcze nie będzie wyznanie miłości. Na to jest za wcześnie, choć instynktownie czuła, że do tego zmierza. Właściwie już go kochała. Jednak jeszcze trochę poczeka. Nie powie mu tego wprost.

Nadjechał autobus.

W domu Parker wzięła prysznic, przebrała się i pieszo poszła do kawiarni. Na ulicach było jeszcze pusto. Tak, zacnie działać. Najpierw Tanner, potem tata, na końcu Jace.

Wyzna mu, że jest w połowie drogi do zakochania. Ale czy to prawda? Chyba znalazła się już znacznie dalej. Była zakochana po uszy.

Ujmował ją swoim stosunkiem do siostry i jej dzieci, sposobem, w jaki się uśmiechał, jak trzymał ją w ramionach, gdy się z nią przekomarzał.

Nie znosiła, kiedy ktoś nawiązywał do jej szlachetnego urodzenia. Chciała być taka jak inni, niczym się nie wyróżniać.

Ale gdy Jace droczył się z nią i mówił o chrapiącej księżniczce, nie miała mu tego za złe.

Po tamtej szkolnej wpadce na samą myśl, że jej nazwisko znowu pojawi się w tabloidach, cierpła jej skóra. Ale żarty Jace'a wcale jej nie zdenerwowały. Zmieniła się. Nie obawiała się już ani spięcia z ojcem, ani konfrontacji z Tannerem. Wiedziała, że musi się na to zdobyć, i podchodziła do tego ze spokojem.

Dzięki Jace'owi.

On zobaczył w niej Parker, zwyczajną dziewczynę, nie księżniczkę.

O tym zawsze marzyła. By ktoś widział w niej normalną kobietę.

Przez całe lata wmawiała sobie, że nie ucieka przed wymaganiami, jakie nakładało na nią jej urodzenie. Nazywała to szukaniem własnej drogi. Ale rodzina widziała to inaczej. Teraz i ona to zrozumiała.

Nadszedł czas, by zatrzymać się i śmiało zmierzyć z wyzwaniem. Zacznie od Tannera. Z tym postanowieniem weszła do kawiarni.

- Parker? - powitał ją głos Shey.

Z drzwi księgarni wynurzyła się Cara.

- Parker, gdzie ty się podziewałaś? Parker uśmiechnęła się.

Dziewczyny zawsze były przy niej, zawsze ją wspierały. Dla nich była po prostu przyjaciółką, nie księżniczką. Shey popatrzyła na nią pytająco.

- Przenocowałam u Jace'a. Musiałam mieć chwilę spokoju, by przemyśleć sobie parę spraw.

- Tanner wychodzi ze skóry. Jego ochroniarze przeczesali całe miasto.

Parker wzruszyła ramionami.

- Nie muszę mu się tłumaczyć.

- My też się martwiłyśmy - cicho wtrąciła Cara.

Parker poczuła wyrzuty sumienia.

- Przepraszam.

- Na szczęście nic ci się nie stało - powiedziała z ulgą Shey. Przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała uścisnąć Parker, ale ograniczyła się do klepięcia jej w ramię i wcisnęła ręce w kieszenie.

Parker uśmiechnęła się. Shey zawsze starała się odgrywać rolę twardej i niewzruszonej, ale ona i Cara doskonale znały prawdę. Shey tylko maskowała w ten sposób swoje miękkie serce.

- Masz z nim jakiś kontakt? - zapytała Parker.

- Przez komórkę - z dziwnym ociąganiem przyznała Shey.

- To super. Mogłabyś poprosić go, by wpadł do mnie do domu o jedenastej. Pora definitywnie zamknąć parę spraw.

- A co będziesz robić do jedenastej?

- Napiję się kawy, a potem zadzwonię do taty. - Parker uśmiechnęła się. - Dość tego. Nie będę dłużej uciekać. - Posłała Carze znaczący uśmieszek.

Cara tylko lekko skinęła głową.

- Nie muszę się nikomu tłumaczyć, że chcę żyć po swojemu. Tanner nie jest moim narzeczoną i musi się z tym pogodzić. A co do mojego ojca... Może mi zabrać pieniądze i tytuł, nie zależy mi na tym. Chcę tylko, by mnie kochał taką, jaka jestem. Jeśli to okaże się dla niego niemożliwe... - urwała, czując ucisk w gardle.

- To jego strata - cicho dokończyła Cara. - Ale wydaje mi się, że nie masz czym się martwić. Twój tata cię kocha tak, jak ty jego. Znajdźcie sposób, by do siebie dotrzeć.

- Właśnie - mruknęła Shey i klepnęła Parker przyjaźnie. - Cieszę się, że wreszcie doszłaś do takich wniosków.

- Długo to trwało - przyznała Parker. - Ale mam już dość uciekania.

- Możemy ci jakoś pomóc? - zapytała Cara.

- Nie, dzięki za wsparcie. Wiele dla mnie znaczyście, wiecie o tym, prawda? - Oczy Parker zaszyły łzami.

Wprawdzie nie była taka twarda jak Shey, ale zwykle starła się nie okazywać emocji, jednak teraz się rozkleiła. Tyle ich łączyło, były dla siebie jak siostry.

- Ty dla nas też - powiedziała wzruszona Cara.

- Dacie sobie dziś radę beze mnie? - Parker zmieniła temat.

- Podobno już masz odblokowane konto. Kelnerka z ciebie była taka sobie - droczyła się Shey.

- Szło mi coraz lepiej.

- Ale wciąż słabo - przekomarzała się Shey. - Na szczęście mamy Shelly. Ona jest świetna.

- Nie jesteś zła, że nie zapytałyśmy cię o zdanie?

- No co ty! Mam do was pełne zaufanie. No to zabieraj się stąd, a ja umawiam ci Tannera.

- Dzięki jeszcze raz - uśmiechnęła się Parker i ruszyła do wyjścia.

Czuła, że teraz zdoła zmierzyć się z każdym wyzwaniem. I po raz pierwszy od bardzo dawna miała poczucie, że teraz może sama decydować.

- Gdzie ona poszła? - wymruczał Jace, wybierając numer do „Monarch”.

Obudził się radosny. Parker nocowała w jego domu, spała w jego łóżku... Mogłoby tak już zostać.

Wyszedł z sypialni i wtedy zauważył, że drzwi jego pokoju są otwarte. Parker zniknęła.

Na dole też jej nie było.

Wyszła z domu.

Jego dobry nastrój rozwiął się bez śladu. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

- Kawiarnia „Monarch”. - To nie był głos Parker.

- Shey? - zapytał.

- Owszem - odpowiedziała wolno.

- Tu Jace O'Donnell. - Nie miał czasu na uprzejmości. - Gdzie jest Parker?

- Dlaczego pytasz? - odpowiedziała pytaniem.

- Nocowała u mnie, ale kiedy obudziłem się rano, już jej nie było. Nie zjadła nawet gofrów na śniadanie. Niepokoję się o nią.

To ostatnie zdanie wyrwało mu się niechcący, więc by ratować twarz, dodał pospiesznie:

- Miałem jej pilnować. Za to mi płacą.

- Może Parker po prostu nie lubi gofrów. A mówiąc dokładniej, twoich gofrów.

Jace burzył się na myśl, że Parker wróciła do domu autobusem. Tak jak wcześniej oburzał się Tanner. Nie życzy też sobie kąśliwych uwag na temat jego gofrów. Jest mężczyzną i ma swoją dumę.

- Na pewno by jej smakowały, zapewniam cię - rzekł. - Wszystkie dziewczyny za nimi przepadały. Zajadały się nimi.

- Parker nie jest jak wszystkie dziewczyny. Ma wyrobiony smak. Być może gofry nie są w jej guście.

- Będą, gdy tylko ich skosztuje.

- Może się boi, że się w nich rozsmakuje, a potem, gdy ich zabraknie, będzie niepokieszona. Jesteś gotów przyrzadzać jej te gofry do końca życia?

- Tego nie mogę obiecać. Poza tym ona zasługuje na coś więcej niż tylko gofry. Na kawior i szampana. Ale przez jakiś czas moje gofry na pewno będą jej odpowiadać. To mogę obiecać.

- Jeśli sądzisz, że weźmiesz ją na gofry, a potem każesz jej wrócić do kawioru, to znaczy, że za mało ją znasz. Parker znajdzie sposób na połączenie tego, co musi, z tym, co lubi. Jest księżniczką i umie się odnaleźć w tej roli, ale jednocześnie chce być normalną dziewczyną. Jeśli tego nie czujesz, to nie proponuj jej wspólnych śniadań.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Po prostu nie mogę się powstrzymać. To silniejsze ode mnie. Wiem, że ona jest z innego świata, ale gdy jest przy mnie, marzę tylko o tym...

- By piec jej gofry? - miękko przerwała mu Shey.

-Tak.

- To najpierw dobrze się zastanów, czego naprawdę chcesz, i dopiero wtedy wychodź z propozycją, która może skończyć się dla niej źle.

- Jest w dobrej formie? - zapytał Jace.

- W bardzo dobrej. Ma spotkać się z Tannerem i definitywnie to załatwić.

Tanner. Jace skrzywił się.

- Może powinienem przy tym być?

- Nie ma potrzeby. Parker jest dorosła, da sobie radę. Jace, mam klientów i nie mogę dłużej bawić się w psychologa, ale coś ci powiem. Zanim się z nią spotkasz, zastanów się, czego naprawdę chcesz.

Rozłączyła się. Jace przez chwilę patrzył na słuchawkę. Czego on naprawdę chce? Przecież to oczywiste. Chce Parker.

Problem tylko w tym, że nie może jej mieć.

Dokładnie o jedenastej Tanner zapukał do drzwi Parker.

- Mieszkasz w garażu? - zdumiał się, gdy otworzyła. -Mówiono mi o tym, ale nie wierzyłem.

- Odpowiada mi to mieszkanie - ucięła. Nie miała zamiaru tłumaczyć się przed nim. - Usiądź, proszę.

- Wreszcie przestałaś uciekać i możemy pogadać - zaczął Tanner, siadając na kanapie.

Znowu uwaga o ucieczce.

Fakt, przestała uciekać. I wzięła sprawy w swoje ręce. Tanner dziwnie wyglądał w jej mieszkaniu. Zupełnie tu nie pasował. W przeciwieństwie do Jace'a. Usiadła na krześle na wprost niego.

- Zaprosiłam cię tutaj, bo muszę ci powiedzieć...

- To ja muszę ci powiedzieć... - Tanner wszedł jej w słowo.

Nie dała mu skończyć.

- Nie musisz nic mówić. Co byśmy nie powiedzieli, jest, jak jest. Tak jak oznajmiłam ci na samym początku.

- Wiele się zmieniło - rzekł Tanner, jakby nic do niego nie docierało.

- Owszem - potaknęła.

- Co do nas...

- Tanner, nie chcę być niemiła. Pamiętam cię sprzed lat, ale oboje bardzo się zmieniliśmy.

- Tak - skinął głową. - O tym właśnie chcę mówić.

- Co byś nie powiedział, nie zmienię zdania. Nie kocham cię, ty też mnie nie kochasz.

- Mamy uznać, że nic nas nie łączy? Żadnych zobowiązań? Oboje jesteśmy wolni? - Tanner wcale nie wyglądał na załamane. Przeciwnie, jakby kamień spadł mu z serca.

- Właśnie.

Teraz do niego dotarło. Nareszcie. Choć mógłby okazać trochę żalu.

Tak łatwo pogodził się z zerwaniem?

- Czy to znaczy, że powiesz ojcu, że ze mną zerwałaś? - naciskał.

- Niczego nie musiałam zrywać. Ale tak, powiem mu.

- To dobrze. Dziękuję ci, Parker! - Tanner wstał i uśmiechnął się. - Z całego serca życzę ci szczęścia. Naprawdę chcesz tutaj zostać, machnąć ręką na rodzinę i swoje posłannictwo?

- Tak. Nie. To znaczy, chcę połączyć jedno i drugie. Muszę tylko znaleźć odpowiedni sposób.

Parker też wstała z miejsca. Ku jej zaskoczeniu Tanner pocałował ją w policzek. Jak przyjaciel. Uśmiechnęła się do niego.

- Ja też życzę ci szczęścia.

- Może twoje życzenie się spełni - rzekł tajemniczo.

- Tak? - Popatrzyła na niego pytająco.

- Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić, ale obiecuję, że dowiesz się w pierwszej kolejności.

- Umowa stoi. Powodzenia, Tanner.

Odprawiała go wzrokiem. Poszło łatwiej, niż przypuszczała. Może powinna czuć się urażona, że Tanner tak spokojnie to przyjął, ale czuła jedynie ulgę.

Teraz kolej na telefon do ojca. Próbowала połączyć się już wcześniej, ale miał ważną rozmowę. Powiedziała więc, że zadzwoni później.

Musi to zrobić, choć tak trudno jej było się przełamać. Dopiero potem będzie mieć rozwiązane ręce.

Wiedziała, czego chce.

Jace'a.

Wybrała numer.

- Cześć, tato...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bez trudu mógłby odnaleźć Parker, ale zdecydował się nie robić tego.

Chodząc po domu, rozważał w duchu niedawną rozmowę z Shey.

Powiedziała, żeby zastanowił się, czego naprawdę chce.

Łatwo powiedzieć. Wiedział, czego chce, ale znał swoje możliwości.

Niestety. Jeszcze raz na spokojnie wszystko przemyślał. Przede wszystkim musi porozmawiać z ojcem Parker.

Sekretarka połączyła go natychmiast.

- O co chodzi? - rozległ się zaniepokojony głos księcia. - Podobno to pilna sprawa. Czy coś stało się z Parker?

- Nie, Wasza Wysokość - uspokoił go Jace. - Nic złego się nie stało. Chciałem tylko powiadomić, że rezygnuję ze zlecenia.

Tak, teraz ich kontakty stracą charakter zawodowy. Parker będzie dla niego... no właśnie, kim? Jace nie miał jasnego poglądu na ten problem. Czuł tylko, że robi właściwy ruch. Właściwy, ale...

- Cóż - odparł książę. - To pańska decyzja, ale muszę uczciwie przyznać, że Parker zagroziła mi, że zniknie, jeśli pana nie zwolnię. Zakazała mi też zatrudniać innego detektywa.

- Co takiego? - Jace nie wierzył własnym uszom. Parker dzwoniła do ojca, żeby zrezygnował z jego usług? Jace był poruszony.

- Powiedziała dlaczego? - zapytał.

- Owszem. Powiedziała. I nie tylko to - w głosie księcia brzmiało nieukrywane zadowolenie. To chyba znaczy, że rozmowa z Parker przebiegła bez zgrzytów. Jace cieszył się, ale jednocześnie nie rozumiał.

Szybko pożegnał się z księciem.

Dlaczego chciała, żeby jej ojciec go zwolnił?

Co się za tym kryło?

Nie powinien się tym przejmować, przecież uprzedził ruch księcia. Jednak to pytanie nie dawało mu spokoju.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, nawet się nie poruszył. To pewnie do dzieciaków. Godzinami wiszą na telefonie. Jednak okazało się, że tym razem to do niego.

- Wujku, prowadzisz jeszcze tę sprawę? Możemy dzisiaj iść z tobą? - zapytała Amanda, podając mu słuchawkę.

- Już skończyłem - odparł. Zostało mu jeszcze sporządzenie końcowego sprawozdania, no i nadal miał inne, rozpoczęte sprawy. Powinien czym prędzej się za nie wziąć.

- Halo? - odezwał się do słuchawki.

- Jace - od razu rozpoznał głos Parker. - Musimy pogadać.

- Parker. Obudziłem się, a ciebie nie było.

- Musiałam załatwić kilka spraw - powiedziała powoli.

- Jakich? - Zadzwoń do ojca, by go zwolnił.

- Opowiem ci, jak się spotkamy.

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Przyjadę za dziesięć minut. Nigdzie się nie ruszaj.

- Będę na miejscu. Słowo skauta.

Niemal widział jej uśmiech.

- Byłaś kiedyś skautem? - zapytał.

- Nie - zachichotała.

- Tak myślałem.

- To do zobaczenia za kilka minut - powiedziała i rozłączyła się.

Jace przez chwilę wsłuchiwał się w sygnał, wreszcie odłożył słuchawkę.

Pora wyłożyć karty na stół. Musi dowiedzieć się, dlaczego po kryjomu wymknęła się od niego i dlaczego nakłoniła ojca, by go zwolnił.

On też miał jej coś do powiedzenia. Już nie pracował dla jej ojca, sam zrezygnował. Nie była jego zleceniem. Teraz była po prostu Parker.

- Jace? - rozległo się wołanie Shelly.

W jej głosie brzmiała niepokojąca nuta. Jace pobiegł do salonu.

- O co chodzi?

- Dzwonił przed chwilą Hal. Zaraz przyjedzie po dzieci. Nie czuję się na siłach, by stanąć z nim twarzą w twarz. Wciąż jestem na niego wściekła za wczorajsze zachowanie. Mógłbyś mnie zastąpić?

- Może chce cię przeprosić?

- Wątpię. On nie jest z tych, co przepraszają. - Urwała. - Zrobisz to? - zapytała błagalnie.

- Kiedy tu będzie?

- Powiedział, że lada moment.

- No dobra, poczekam.

- Dzięki. Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła. -I nigdy się tego nie dowiesz - obiecał.

Gdzie on się podziewa? Zadzwoił, że niespodziewanie musi pomóc Shelly, więc trochę się spóźni, ale postara się przyjść jak najszybciej.

Parker postanowiła przygotować się do rozmowy. Niespokojnie krążyła po pokoju, obmyślając kolejne zdania. Zacznie od tego, że definitywnie zerwała z Tannerem. Powie o telefonie do ojca i... i że Jace już u niego nie pracuje.

Tak, od tego zacznij.

Potem przejdzie do sedna. Do tego, co jest między nimi. Jace pozna szczegóły rozmowy z ojcem. Powie mu, że zdecydowała kilka miesięcy w roku spędzać w Eliason, ale jej życie pozostanie związane z tym miastem, z Erie. Już nigdy nie będzie uciekać. I ma nadzieję, że...

Tu zaczynały się schody. Bo jak mu to powiedzieć? Jak mu powiedzieć, że chce się z nim spotykać? Co więcej, pragnie, by ją pokochał. Ona też go chyba kocha.

Tak, lepiej dodać to „chyba”. Niczego nie przyspieszać.

Wszystko we właściwym czasie, w odpowiedniej kolejności.

Nadal krążyła po pokoju.

Gdzie on się podziewa?

Znowu popatrzyła na zegar.

Jeszcze raz powtórzyła swoją przemowę.

Znów rzut oka na zegar.

Co się dzieje?

Zmusiła się, by przestać przemierzać pokój i nie patrzeć na zegar. Usiadła na kanapie i zaczęła oglądać telewizję, przeskakując z kanału na za kanał.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Nareszcie!

Wszystkie słowa, wszystkie po tylekroć powtórzone zdania, uleciały w niebyt. Parker zbiegła na dół.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwał się Jace.

- Nic nie szkodzi. - Czuła się dziwnie. Jace był u niej, wreszcie wszystko mu powie. - Wejź.

Od czego zacząć? Nie mogła sobie nic przypomnieć. Co się z nią dzieje.

- Usiądź - powiedziała oficjalnym tonem, zajmując miejsce na wprost niego.

- Parker - odezwał się z powagą. - Rozmawiałem z twoim ojcem.

- Powiedział ci, że już u niego nie pracujesz? Wiem, to moja robota. Nie mam żadnych wyrzutów. Uzgodniłam z nim, że będę mieszkać w Erie, ale co jakiś czas będę przyjeżdżać do domu, by brać udział w oficjalnych występach. Zgodziłam się na to pod warunkiem, że ci wymówi. Spróbuję jakoś to wszystko połączyć.

- Cieszę się.

- Oznajmiłam mu też, że nie wyjdę za Tannera. I...

Jace nie dał jej skończyć.

- Sam zrezygnowałem z pracy. Twój ojciec mnie nie zwolnił.

- To mamy problem z głowy. Teraz chciałabym porozmawiać z tobą o tym, co czuję.

No, początek zrobiony, pomyślała.

- Nie - zaprotestował zmienionym głosem Jace. - Nic nie mów. Proszę. Przyszedłem powiedzieć, że zrezygnowałem z pracy i żeby się pożegnać.

- Pożegnać? - powtórzyła.

- Tak. Nie ma powodu, byśmy się nadal widywali.

-Ale ja... Myślałam, że ty... że my... A wczorajszy wieczór?

- To było zaćmienie. Zapomniałem, kim jestem, kim ty jesteś. Teraz znów będziesz księżniczką...

- Nie cały czas.

- To bez znaczenia. Za bardzo się różnimy i nic tego nie zmieni.

Różnimy się. Zabolęło jak policzek.

- To nie dla mnie - ciągnął szeptem Jace. - Lepiej pożegnajmy się teraz.

Podniósł się i ruszył do drzwi.

- Jace, poczekaj, porozmawiajmy! Co się stało od wczoraj? Wiem, nie podoba ci się, że jestem księżniczką. Ale czy ja miałam na to jakiś wpływ? Gdybym mogła, chętnie bym się z kimś zamieniła.

-I zrezygnowałabyś z kochających rodziców? W takim razie jesteś szalona. Nie doceniasz tego, co masz. -Ale...

- Przestań się nad sobą użalać! Miałaś wszystko, co chciałaś. Spełniali każdą twoją zachciankę. Nie chciałaś lalki, więc dostałaś Myszkę Miki. Nie jedną, a tyle, że teraz ledwie się mieszczą w pokoju. Nie chciałaś być księżniczką, więc tatuś stanął na głowie i załatwił ci kameralną szkołę, a potem opłacił pół miasta, by zapewnić ci anonimowość. Tak, księżniczko, nie znasz życia. Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy człowiek czegoś pragnie, a nie może tego mieć. Na przykład ojca, któremu na tobie zależy. Mój ojciec oszedł, nie oglądając się za siebie. Mama pracowała od świtu do nocy, a i tak nie starczało na związanie końca z końcem. Dlatego ja i Shelly tacy jesteśmy. Solidarni ze sobą, czujni. Wiemy, że życie nie jest słodkie.

- Twoim zdaniem nie potrafię tego zrozumieć, bo pochodzę z innego środowiska? - wyszeptała Parker.

- Nie możesz pojąć, że za bardzo się różnimy, że nigdy nic z tego nie będzie.

- Tylko dlatego, że twoi rodzice nie mogli... - zaczęła.

Przerwał jej.

- Nie tylko moi rodzice. Shelly i jej mąż też są zupełnie różnymi ludźmi. I zobacz, co wyszło z ich małżeństwa. Spóźniłem się, bo byłem rozjemcą w ich dzisiejszym spotkaniu. Niedawno ślubowali sobie miłość aż po grób, a teraz... To zawsze tak się kończy.

- Wcale nie musi tak być - powiedziała cicho.

Jace zaśmiał się gorzko.

- Niestety, tak zawsze jest. Chcesz, żebyśmy porozmawiali o nas. O tobie i o mnie? Księżniczko, jeśli moi rodzice, Shelly i jej mąż są z różnych światów, to my jesteśmy z różnych galaktyk!

- Co ty opowiadasz!

- Tak jest, zaręczam ci. Jesteś księżniczką. Dorośnij, pogódź się z tym. Zaczynaj robić to, co powinnaś. Wracaj do domu, księżniczko. - Wyszedł, zatrzasnął drzwi.

- Jestem w domu - wyszeptała do siebie Parker. - Jestem w domu - powtórzyła.

Pojechał do portu. Zatrzymał samochód i zapatrzył się na światła odbijające się w wodzie. Czuł się fatalnie.

Wciąż miał przed oczami twarz Parker. Spodziewał się gniewu, nawet urazy, tymczasem ona była zawiedziona.

Rozczarował ją. Gryzł się tą myślą. Zrobił to, co należy. Postąpił słusznie.

Gdy Hal przyjechał dziś swoim bmw po dzieciaki, nagle go olśniło. Hal i Shelly tak bardzo się różnią. Dla Hala liczyły się pieniądze i pozycja, dla Shelly zupełnie co innego. Dlatego nie mogli się dogadać. Zbyt wiele ich dzieliło.

Dla jego rodziców to też okazało się kluczowym problemem.

Więc jak mógłby zakładać, że on i Parker mają jakieś szanse?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Mężczyźni! - jęknęła Parker. Minął już tydzień od czasu, jak zdenerwowany Jace wybiegł z jej mieszkania. Wtedy sądziła, że to wyjdzie jej tylko na dobre. Mimo uczuć, jakie dla niego żywiła. Gdyby zostali razem, pewnie raniliby się ciągle nawzajem.

Jednak przez te siedem dni zmieniła zdanie. Bez Jace'a nie mogła znaleźć sobie miejsca. Cierpiała. Stał się jej bardzo bliski.

Jak to możliwe, przecież poznali się tak niedawno?

Nigdy nie należała do dziewczyn, które zakochują się od pierwszego spojrzenia.

Taka miłość spadła na jej rodziców i szczęśliwie przetrwała próbę czasu. Czy to pierwsze oczarowanie Jace'em nie przeminie? Czy jest zapowiedzią czegoś trwałego, prawdziwego?

Tak bardzo chciałyby się o tym przekonać, ale Jace był zbyt ostrożny, by podjąć próbę.

- Mężczyźni - powtórzyła.

- Właśnie, mężczyźni! - zawtórowała podobnym tonem Shey.

Ostatnio nie poznawały Shey. Ulegała zmiennym nastrojom, trudno było dojść z nią do ładu. Zdarzało się, że ponuro mruczała pod nosem imię Tannera.

Parker miała wyrzuty sumienia. Cokolwiek jest między Shey i Tannerem, to jej wina. Bo to przez nią się poznali.

- Mężczyźni! - westchnęła Cara.

Parker i Shey popatrzyły na nią ze zdumieniem.

- Co tak na mnie patrzycie? Wy macie problemy z facetami, ale ja nie. Wciąż szukam tego jedyne - rozmarzyła się Cara.

- No to tak jak ja - powiedziała Shey.

- I ja - potwierdziła Parker.

Był moment, że myślała w ten sposób o pewnym detektywie. Łudziła się, że nie widzi w niej księżniczki, tylko zwyczajną dziewczynę.

Niestety. Dla niego ważniejsze było to, co ich dzieli, nie to, co łączy.

- Moje kochane - rzeczowo oświadczyła Cara. - Może i macie pewne problemy, ale obie jesteście stracone. Już po was. A miłość nie zawsze jest łatwa.

- Miłość? - wykrztusiła Parker.

- Owszem, miłość - z przekonaniem rzekła Cara. - Obie jesteście trafione.

- Ha-ha! - mruknęła Parker, choć bez przekonania. Uważnie popatrzyła na Shey. Czyżby Cara miała rację?

Shey zakochała się w Tannerze? Właściwie co jest między nimi?

- Ha-ha! - jak echo powtórzyła Shey. Wcale nie brzmiało to przekonująco.

Cara przez chwilę przyglądała się im badawczo.

- Możecie się okłamywać, ale mnie nie zwiedziecie. Za dobrze was znam. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Macie wszystkie objawy.

- Objawy? - sceptycznie zapytała Parker, choć wcale jej to nie interesowało. Cara zaczytywała się wprawdzie w romansach, ale to nie znaczy, że była w tych sprawach ekspertem.

- Owszem. - Cara wyprostowała jeden palec. - Obie stałyście się dziwnie drażliwe.

Podniosła drugi palec.

- Nie jesteście sobą.

Następny palec.

- Irytują was mężczyźni.

Opuściła rękę i dodała:

- Ale kiedy wypowiem imię Jace'a czy Tannera, zmieniacie się na twarzy, a wasze spojrzenia łagodnieją. A potem znowu ogarnia was gniew. To typowe objawy.

- Objawy czego? - cicho zapytała Shey.

- Miłości - stwierdziła Cara. - Obie jesteście zakochane. Nie martwcie się, wszystko dobrze się skończy.

- Wątpię - skrzywiła się Parker. - Nie ma szans. Jace poszedł swoją drogą.

- A Tanner... - zaczęła Shey i urwała, bo do księgarni weszła Shelly.

- Już skończyłam - oznajmiła. - Jestem jeszcze potrzebna?

- Nie - odparła Parker. - Dzięki. Chciałam cię tylko zapytać, czy ta praca ci odpowiada.

- Zrobiłam coś nie tak? - spłoszyła się Shelly.

- Skądże - zapewniła Parker. - Chodzi mi tylko o to, że poprzytykałam się z twoim bratem.

- Parker, to wasza sprawa - rzekła Shelly. - Dałaś mi pracę, masz świetne podejście do moich dzieci. Dla mnie tylko to się liczy. To, co jest między tobą i Jace'em, mnie nie interesuje. I tak mam za dużo problemów.

- Coś się stało?

- Och, mężczyźni... a raczej jeden mężczyzna - zboląłym tonem odparła Shelly.

- Twój były mąż? - domyśliła się Parker.

- Robi wszystko, by utrudnić mi życie, ale do tego zdążyłam się przyzwyczaić. Bez niego i tak jest lepiej niż z nim.

- No to o co chodzi? - zapytała Cara i nim Shelly zdążyła otworzyć usta, sama odpowiedziała na swoje pytanie: - Skoro nie o twojego byłego, to jest jakiś nowy.

- Zgadłaś. Tylko że ja nie jestem gotowa na nowy związek. Dopiero pięć dni temu dostałam rozwód. A on nie przyjmuje odmowy.

-Mężczyźni... nie da się z nimi żyć - filozoficznie stwierdziła Shey.

- Ale bez nich też nie - dokończyła Cara.

- No właśnie, mężczyźni - zamyśliła się Shelly.

- Ale wy jesteście! - obruszyła się Cara. - Kto wam powiedział, że miłość nie niesie problemów? Że jest łatwa? Miłość wymaga wyrzeczeń i mozółu, ale tak powinno być. Wszystko, co ważne, przychodzi z trudem. Pamiętajcie, ile włożyłyśmy wysiłku, by uruchomić naszą firmę? Ile się namęczyłyśmy, mimo że dzięki Parker miałyśmy kapitał? A to tylko biznes. Dlaczego z miłością miałyby być łatwiej? To jest prawdziwe życie. Nie sielanka.

- Dobrze ci mówić - wyszeptała Shey. Shelly tylko pokiwała głową.

Parker nie odezwała się, ale miała podobne zdanie na ten temat. Carze dobrze teoretyzować, bo sama nie przeżywała tego, co one.

- Dobrze mi mówić? - zareplikowała Cara. - Zgoda, miłość nie jest łatwa, ale kiedy przyjdzie moja kolej, będę się bardzo starać. Na pewno nie zacznę jęczeć jak wy.

- Jęczeć? - obruszyła się Shey. - Mogę wrzeszczeć, warczeć, nawet prychać, ale na pewno nie jęczę!

Parker popatrzyła na nią uważnie. Shey i Tanner. Może rzeczywiście mimowolnie stała się swatką? Zamyśliła się, w milczeniu przysłuchując się przekomarzaniom przyjaciółek.

Ta przyjaźń nigdy nie wymagała szczególnych poświęceń, przyszła łatwo. Dlaczego z miłością tak nie jest?

Do domu szła w znacznie lepszym nastroju. Rozmowa z przyjaciółkami dużo jej dała. Nadal nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić, jednak powoli rodziła się w niej nadzieja.

Cara miała rację. O miłość trzeba walczyć.

Teraz to nie ona uciekła, a Jace. Kto jak kto, ale ona znała się na tym doskonale. Sama wciąż to robiła. Na szczęście ją miał kto zatrzymać.

Więc może teraz to ona powinna zatrzymać jego? Niechby przemyślał wszystko, rozważył po raz kolejny. W końcu dzielące ich różnice to tylko jedna strona medalu. Gotowa była dać głowę, że nie jest mu obojętna.

Tak, pójdzie do niego. Weszła na jezdnię, gdy nagle z cienia wynurzył się jakiś mężczyzna. W pierwszym momencie pomyślała, że to Jace, i serce zabiło jej jak szalone.

Ale to nie Jace.

To Michael.

Michael w Erie?

Teraz przypomniała sobie, że mama mówiła o jego wyjeździe do Stanów.

- Michael! - Rzuciła się bratu na szyję.

- Tak, to ja. Nie byłem pewien, czy ucieszysz się na mój widok.

- Okropnie się za tobą stęskniłam! Za wami wszystkimi. Pociągnęła go na parkową ławeczkę.

- Długo jesteś w Stanach?

- Nie, to krótka wizyta. Kurtuazyjna. Spotkania, uściski dłoni. Najpierw Waszyngton, potem Nowy Jork. Nie mogłem się oprzeć, żeby się z tobą nie zobaczyć.

- Bardzo się cieszę. Jeśli nie rozmawiałeś z tatą, to powiem ci, że za kilka tygodni wybieram się do domu.

- Mówił mi o tym - rzekł Michael. - Na stałe?

- Nie, z wizytą - odparła stanowczo. - W końcu wypracujemy jakiś kompromis.

- Świetnie. - Michael uściskał ją. - Tęskniliśmy za tobą.

- Ja za wami też. Tak dawno cię nie widziałam. Mów, co u ciebie...

Przez długi czas rozmawiali o wszystkim i o niczym. Jak niegdyś.

Parker nie mogła pojąć, dlaczego tak odcięła się od rodziny. Przecież to jej najbliżsi.

Nie wiedziała, jak to się stało, że opowiedziała bratu o problemach z Jace'em.

- Wiem, to wszystko dzieje się za szybko. Michael pokręcił głową.

- W miłości czas się nie liczy. Ona spada na ciebie jak grom. A gdy słyszę, jak o nim mówisz... To miłość.

- Też tak myślę. Tylko że on jest okropnie uparty.

- I kto to mówi? - zaśmiał się Michael.

- Nie jestem uparta, po prostu wiem, czego chcę - sprostowała z uśmiechem.

- Wiesz, że go kochasz?

-Tak.

- W takim razie dlaczego tu jeszcze siedzisz?

- Sądziłam, że wybierzemy się na kolację. Michael przytulił ją mocno.

- Uhm, ale myślami byłabyś zupełnie gdzie indziej. Poza tym mam już różne zobowiązania na wieczór. Idź do niego i powiedz mu, co czujesz.

- On nie zechce mnie wysłuchać.

Teraz to Michael roześmiał się na cały głos.

- Od kiedy takie rzeczy cię powstrzymują?
- Masz rację. Ale zobaczymy się jutro?
- Tak. A gdy wrócisz do domu, nadrobimy stracone lata.

Parker uścisnęła go mocno.

- Bardzo za tobą tęskniłam.
- Ja za tobą też. A teraz idź już.

Uścisnęła go raz jeszcze i wstała.

- Życz mi szczęścia! - zawołała na odchodne.

Szła szukać Jace'a. Postara się go przekonać, by spróbowali, bez względu na dzielące ich różnice. Nie pójdzie jej łatwo, ale nic jej nie powstrzyma. O miłość trzeba przecież walczyć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Miłość wymaga trudu.

Te słowa kołatały jej w głowie, gdy szła do kawiarni, by zamówić taksówkę. Wprawdzie konto zostało odblokowane, ale nie miała czasu pomyśleć o kupnie samochodu. Teraz pochłaniało ją co innego.

Miłość.

Musi być z Jace'em. Tylko on się dla niej liczy.

Michael miał rację, potrafi być uparta. Nawet gdyby przyszło jej tygodniami koczować na jego progu, tropić go, czy co tam jeszcze, nie cofnie się. Przekona go, że powinni spróbować.

Gdyby tylko Jace nie był taki uparty! Wszystko przez te smutne doświadczenia jego rodziców i siostry. Dlatego uważał, że pochodzą z różnych galaktyk.

Mylił się. Wcale tak nie było.

Jeśli chodzi mu o jej księżęce pochodzenie, ona znajdzie na to sposób. Nie ma obawy.

Jace siedział przed hotelem w centrum miasta, obserwując klienta. Wszystko świadczyło przeciwko niemu. Spotkał się dziś z jedną kobietą, teraz z kolejną. Nic dziwnego, że jego żona coś podejrzewała i chciała mieć dowody. Co te baby w nim widzą? - zamyślił się. Otyły, łysiejący, budzący raczej odrazę.

Jace upił łyk letniej kawy.

Paskudne zajęcie. Ale dokuczała mu nie tylko niechęć do obiektu obserwacji. Przede wszystkim brakowało mu Parker.

Po raz tysięczny pomyślał, by do niej pojechać. Tak bardzo pragnął wyznać jej swoje uczucia, a jednocześnie wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Chyba że...

Naraz ktoś zastukał w szybę od strony pasażera. Jace podskoczył, niechętny rozlewając nieco kawy.

To na pewno Amanda i Bobby. Odwrócił się ze złością i osłupiał.

- Parker?

- Mogę wsiąść? - zapytała z uśmiechem i nie czekając na zaproszenie, otworzyła drzwi.

- Co ty tu robisz?

- Pracuję - powiedział, ścierając kawę z dzinsów.

- Musimy porozmawiać.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał.

- Dzieciaki - wyjaśniła krótko.

- Już ja im dam! - Zasłużyły na nagrodę, wielką nagrodę, dodał w duchu.

- Ani się waż! Bardzo się o ciebie martwią. Od naszej ostatniej rozmowy podobno wciąż jesteś nie w sosie.

- Tak im się tylko wydaje. Po prostu byłem zajęty. Parker zignorowała jego wyjaśnienie i mówiła dalej:

- Uważają, że jesteś rozdrażniony, bo tęsknisz za mną.

- Też coś. Prawie się nie znamy. A już na pewno nie tak, żeby za sobą tęsknić.

- Może i nie znamy się długo, ale nie zapominaj, że mamy na siebie teczki.

- Niczego nie zapomniałem - wymruczał.

- Ja też nie - powiedziała miękko.

- Nie to miałem na myśli.

- Nie przyszłam tu, by się z tobą kłócić - powiedziała szybko. - Chcę zadać ci jedno pytanie. Czy gdybym nie była księżniczką, chciałbyś się ze mną spotykać?

- Jesteś księżniczką, więc czemu pytasz? - odpowiedział pytaniem. Sprawa była przecież oczywista. Wtedy nie chciałby rozstawać się z nią nawet na chwilę.

Gdyby nie była księżniczką, wyznałby jej swoje uczucia. Nigdy nie spotkał takiej dziewczyny jak ona. Powiedziałby jej jeszcze tyle innych rzeczy...

- Tak, jestem księżniczką, ale gdybym nie była? - nie zrażała się Parker.

- To wtedy pewnie bym chciał - odparł, siląc się na obojętny ton i wzruszając ramionami.

Parker uśmiechnęła się.

Jej uśmiech. Tak chciał uchwycić ten uśmiech, gdy byli z dziećmi w wesołym miasteczku.

Wtedy nie miał ze sobą aparatu, ale teraz ma. Pstryknął fotkę, nim Parker zdążyła zaprotestować.

Poruszyła się niespokojnie. Przypomniawszy sobie jej opowieści o paparazzich.

- Przepraszam.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Chciałem sprawdzić, czy aparat działa. Przepraszam, zapomniałem, że nie lubisz, gdy ktoś robi ci zdjęcia.

- Nie przeszkadza mi, gdy ty je robisz.

Od jej spojrzenia zrobiło się mu ciepło na sercu.

Zapomniał w jednej chwili o bożym świecie. Marzył, by wziąć ją w ramiona.

- Parker, musisz już iść. Jestem w pracy.

- Ja też pracuję. I to ciężko - odrzekła.

Jace westchnął. Chyba nie pozbędzie się jej tak łatwo.

- Czego chcesz?

- Dowiedzieć się, czy będziesz się ze mną spotykał, jeśli nie będę księżniczką. Powiedziałeś, że tak. I dobrze. Bo wkrótce nią nie będę. Być może już w ten weekend, jak się uprę.

- O czym ty mówisz?

Parker wygięła usta w uśmiechu. Teraz zapragnął ją pocałować.

Pocałować ją, gdy się tak uśmiecha. Odsunął się w stronę drzwi, położył aparat na kolanach. Zawsze to jakaś przeszkoda.

- Mogę przestać być księżniczką. Już to sprawdziłam. Zamierzałam pójść na kompromis. Mieszkać tu, a jakiś czas spędzać w ojczyźnie, czego się po mnie oczekuje. Dla ciebie zrzeknę się tytułu i dziedzictwa. Rodzicom bardziej zależy na córce niż na księżniczce. Stanę się zwyczajną dziewczyną. Będziemy mogli chodzić do kina jak normalni ludzie i opychać się prażoną kukurydzą. Kupisz mi największą porcję.

- To niemożliwe. - Jace był poruszony.

-Możliwe. Nigdy nie przepadałam za przecinaniem wstęg czy pozowaniem do zdjęć. Wprawdzie myślałam o kilku organizacjach charytatywnych, którym mogłabym patronować, ale znajdę inne sposoby. Za to na pewno nie będę tęsknić za dziennikarzami. Czyli kino i duża porcja kukurydzy są jak najbardziej możliwe. Podzielę się z tobą, obiecuję.

- Nie mówiłem o kukurydzy. Nie możesz zrzec się tytułu. Nie ma mowy.

Parker roześmiała się.

- Wręcz przeciwnie. Na razie nie jesteśmy na takim etapie, byś mógł mi na coś pozwalać czy czegoś zabraniać, a nawet jeśli wszystko potoczy się według mojej myśli, to też będzie wykluczone. A co do zrzeczenia się tytułu, to jest to jak najbardziej realne. Nasze prawo dopuszcza taką możliwość. Jeszcze dziś wieczorem skontaktuję się z tatą i zacznę działać. Chyba będzie niepokieszony, ale to wyprostuje nasz układ. Znikną dzielące nas różnice. Stanę się zwyczajną Parker Dillon. Moje dzieci nie będą miały prawa do tytułu ani do tronu. Na placu boju zostanie tylko mój brat. Wprawdzie rodzice natychmiast zaczną go cisnąć, by się ożenił, ale Michael na pewno da sobie radę.

Uśmiechnęła się znowu.

- Chyba zwariowałaś. Nie możesz tego zrobić, nie możesz odrzucić swojego dziedzictwa. Przyjdzie czas, że będziesz miała dzieci. One powinny należeć Bo waszej rodziny, dzielić jej historię.

- Mogę i zrobię to - odparła cicho. - Nie rozumiesz? Jestem gotowa na wiele więcej, byle być z tobą. Nie wiem, czy to ma jakiś sens, czy jest przed nami przyszłość, ale zależy mi na tobie. Bardzo. Czy jeśli zrezygnuję z korony, dasz nam szansę?

A więc zależało jej na nim i była gotowa wiele dla niego poświęcić, zrezygnować ze wszystkiego.

- Zależy ci na tym? - zapytał.

- Bardzo. To...

- Miłość? - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że potwierdzisz. Bo to jest to, co czuję. Nie potrzeba mi czasu, by się upewnić. Ja to wiem.

- Ale mnie odepchnąłeś.

- Chciałem zachować się szlachetnie, choć po czasie zrozumiałem, że to bez sensu.

- Wkrótce problem przestanie istnieć.

- Parker, zrzekniesz się tytułu, ale różnice pozostaną. Nie mogę ci na to pozwolić.

-Ale Jace...

- Miałem czas, by przemyśleć sobie wiele rzeczy. I choć się przed tym wzdragam, bo wiem, że nie będzie to proste, bo pochodzimy z dwóch różnych światów... to chcę być z tobą.

Teraz, gdy wypowiedział to głośno, nagle spłynął na niego spokój. I poczucie, że tak musi być. Był gotów na wszelkie ryzyko, byle tylko nie odeszła.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Chcę być z tobą. Chcę wszystkiego.

- To znaczy?

- To, co jest między nami, dzieje się naprawdę. Możemy czekać... godziny, dni, miesiące... ale nic tego nie zmieni. Kocham cię. Chcę być z tobą, na zawsze.

- Jace? - Patrzyła na niego niepewnie.

- Na zawsze - powtórzył. - Wyjdź za mnie.

-Nie.

-Nie?

- To za szybko.

- Parker, posłuchaj...

- Miałam nadzieję, że kiedyś usłyszę te słowa, ale nie dzisiaj. To zbyt szybko. Ale...

- Ale? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Powtórz to za miesiąc, jeśli nadal będziesz tego chciał. Chyba spodoba ci się moja odpowiedź.

- Zgoda, jeden miesiąc. Na pewno nie zmienię zdania. Nie mam pojęcia, jak nam się ułoży, ale postaramy się.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Mogę zrzec się tytułu, jednak prawo nakazuje osobie z rodziny panującej poślubić kogoś z jej sfery.

- A więc musiałybyś zerwać z rodziną?

- Jest inne rozwiązanie - rzekła powoli.

- Jakie?

- Mój ojciec może nadać ci tytuł. A gdy się pobierzemy, zostaniesz...

- Nie mów - odezwał się błagalnie.

- Księciem.

Roześmiała się wesoło. Jej twarz promieniała radością. Jace nie mógł się powstrzymać, by jej nie pocałować.

Gdy trzymał ją w ramionach, nic więcej się nie liczyło. Tylko ona.

Parker Dillon.

Jego księżniczka.

Jego ukochana.

EPILOG

... kameralna ceremonia. Tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele - marzącym głosem powiedziała Parker, wtulona w ramiona Jace'a.

Od tamtej rozmowy minął miesiąc. Wspaniałe cztery tygodnie.

- Mnie to pasuje, ale co powie twój ojciec?

Wreszcie wszystko zaczęło się układać. Znowu rozmawiała z tatą, normalnie, jak kiedyś. Ustalili, że będzie przyjeżdżać i choć w niewielkim stopniu wypełniać spoczywające na niej obowiązki. Opowiedziała mu o ukochanym, o ich planach. Ojciec przyjął to zadziwiająco dobrze. Dodał nawet, że nigdy by go nie zatrudnił, gdyby Jace nie był porządnym człowiekiem.

Cieszyła się z ich odnalezionej bliskości. Nie mogła się doczekać, kiedy znowu znajdzie się w domu, zobaczy rodziców, przedstawi im Jace'a.

- Przystanie na to, jeśli zgodzimy się na wydanie wielkiej gali. Zwłaszcza że on i mama uciekli.

- Naprawdę?

- Tak. Pobrali się po dwóch tygodniach znajomości. Tata mówi, że w naszej rodzinie tak jest. Jak się zakochujesz, to szybko i na amen.

Przesunęła dłonią po jego twarzy.

- Zdajesz sobie sprawę, że pół miasteczka poleci za tobą do Eliason?

- Wiem. Josie i Hoffman już oświadczyli, że mają zamiar tańczyć na naszym weselu.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co z nim zrobiłaś.

- To co z tobą.

- To znaczy?

-Znalazłam żonę temu zatwardzialemu kawalerowi. Hoffman zarzeka się, że to gorsze od śmierci, ale chyba jest bardzo zadowolony.

Jace roześmiał się.

- Powiedziałaś ci, że cię dopadnę.

-I zrobiłaś to. Ale ja nigdy nie zwieję...



RS

Holly Jacobs

*Szarmancki
książę*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Shey Carlson stała w hali przylotów niewielkiego lotniska w Erie w Pensylwanii i czekała na księcia.

Nie wypatrywała bynajmniej jakiegoś wymagowanego księcia z bajki, ale prawdziwego następcy tronu - księcia Eduarda Matthew Tannera Ericsona z Amaru, narzeczonego Parker Dillon, jej najlepszej przyjaciółki. Niechcianego narzeczonego, narzuconego Parker przez ojca.

Jak zaskakujące bywają koleje losu! Shey, dziewczyna z nizin społecznych, będzie witać prawdziwego potomka królewskiego rodu. Chociaż może nie ma się co dziwić, skoro za przyjaciółkę ma się księżniczkę z krwi i kości.

Naraz w otwartych drzwiach pojawił się mężczyzna, który natychmiast zwrócił uwagę Shey. Kosztowny, nie-nagannie leżący garnitur, perfekcyjnie ostrzyżone włosy i olśniewający uśmiech białych zębów. Tuż za nim kroczyło trzech postawnych mężczyzn. Już pierwszy rzut oka nie pozostawiał złudzeń - to z pewnością ochroniarze dandy. Spięci i czujni, rozglądali się wokół uważnie, gotowi w każdej chwili do akcji.

Pierwszy był najwyższy, umięśniony i mocno zbudowany, drugi, tylko odrobinę niższy od pierwszego, sprawiał wrażenie doskonale wytrenowanego zapaśnika, a trzeci,

o wyraźnych azjatyckich rysach twarzy, był najszczuplejszy i wyglądał na bardzo zwinnego. Gdy mijali Shey, posłał jej zabójczy uśmiech, który z pewnością działał na większość kobiet.

Shey skrzywiła się w odpowiedzi. Nie była taka jak większość kobiet.

A więc księżę przybył tu z obstawą.

- Wasza Wysokość? - Właściwie mogła sobie darować to pytanie, bo sprawa była oczywista. Aura władzy i dostojństwa aż od niego biła, podobnie jak ze strony jego ochroniarzy czuło się ostrzeżenie i ukrytą groźbę.

- Maria Anna... - zaczął księżę i urwał, jakby nagle zabrakło mu odpowiednich słów. - Zmieniłaś się, odkąd ostatnio się widzieliśmy.

Shey popatrzyła na swoją skórzaną kurtkę.

Parker nigdy w życiu nie założyłaby czegoś takiego. I wcale nie z powodu upodobania do balowych sukien i złotych diademów z brylantami. Po prostu wolała inny styl ubierania niż Shey.

- Nie jestem Marią Anną... zresztą ona teraz nazywa się Parker... więc rzeczywiście można mówić o zmianie. - Shey wyciągnęła rękę na powitanie. - Shey. Shey Carlson.

Księżę nie ujął jej dłoni. Pewnie przywykł, że poddani kłaniają się przed nim w pokorze i z szacunkiem dotykają ustami jego pierścienia.

Zaraz, zaraz, chyba coś pomyliła. Czy to przypadkiem nie dotyczy dostojników kościelnych? To chyba oni podają pierścień do pocałowania?

A może przed księciem należy dygać?

W biednej dzielnicy, gdzie się wychowała, takie rzeczy

nikomu do niczego nie były potrzebne. Zresztą to i tak bez znaczenia. Nawet jeśli protokół dyplomatyczny nakazuje okazać księciu szczególne względy, ona może jedynie podać mu rękę.

Na pewno przed nikim nie będzie dygać czy giąć się w ukłonach, nie mówiąc już o cmokaniu w pierścień.

Nawet gdyby ten pierścień należał do przystojnego księcia.

- Pani nie jest Marią Anną... Parker? - Księżę przesunął wzrokiem po tłumie w poczekalni. - W takim razie, czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie jest moja narzeczona?

- Z tym też jest pewien problem - odparła Shey. - Niestety, wychodzi na to, że Parker nie jest pana narzeczoną.

Księżę już się nie uśmiechał. Zmarszczył groźnie brwi.

- Dokumenty mówią co innego, a ojciec Marii Anny je potwierdza.

- Zakładam, że nie zamierza pan poślubić jej ojca, więc w tej kwestii jego słowa nie mają żadnego znaczenia. Podobnie jak dokumenty. Parker nie jest pana narzeczoną.

- Dlaczego Parker - to imię księżę wypowiedział z wyraźnym niesmakiem - sama nie przyszła mi o tym powiedzieć? Gdzie ona jest?

- Chciała uniknąć tego spotkania. Poprosiła, bym odebrała pana z lotniska.

- Proszę mnie do niej zawieźć - zażądał kategorycznie księżę, a lewy kącik jego ust zadrgał nieznacznie.

Czy to oznaka zaniepokojenia?

Shey miała nadzieję, że tak właśnie jest.

- Nie ma sprawy - odparła, wzruszając ramionami. -

Ale na moim motorze nie wystarczy miejsca dla pańskich goryli.

- Na motorze? - zdumiał się książę, uwagę o ochroniarzach pozostawiając bez komentarza.

- Tak, na moim harleyu. Zapraszam, jeśli Wasza Wysokość ma ochotę się przejechać. Pańscy goryle mogą zabrać bagaże. Spotkają się z panem później w hotelu.

- Wasza Wysokość... - zainteresował najwyższy ochroniarz.

- Spokojnie, Emil - książę zbył go dostojnym skinieniem głowy.

Iście królewska maniera, pomyślała Shey.

Emil nie dawał za wygraną.

- Król będzie bardzo niezadowolony, gdy dowie się, że książę pojechał z obcą osobą. W dodatku bez nas.

Tanner obrzucił Shey szybkim spojrzeniem, po czym zwrócił się do Emila:

- Myślę, że dam sobie radę z tą panią.

- Nigdy nie wiadomo, Wasza Wysokość. Może jednak ja się nią zajmę - niskim, aksamitnym głosem odezwał się smagły czaruś.

- Peter ma podejście do kobiet - poparł go milczący do-
tąd trzeci cerber.

- Tonio, wystarczy. Poradzę sobie z naszą nieoczekiwaną przewodniczką.

Shey starała się zdusić śmiech, ale to się jej nie udało. Roześmiała się w głos.

- Już lepsi od was próbowali sobie ze mną poradzić!

- Z powodzeniem? - zapytał książę, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

Shey potrząsnęła głową.

- Żadnemu się nie udało.

- Jakoś wcale mnie to nie dziwi! - Teraz księżę uśmiechał się już szeroko.

Gdyby Shey łatwo ulegała pierwszemu wrażeniu, nogi pewnie od razu by się pod nią ugięły. Ten uśmiech naprawdę był niesamowity! Jednak ona, osoba mocno stąpająca po ziemi, nawet nie drgnęła. Choć z ręką na sercu musiała przyznać, że od dawna nie widziała równie przystojnego mężczyzny.

Tak, od bardzo dawna.

Księżę odwrócił się do swoich aniołów stróżów.

- Wkrótce spotkamy się w hotelu.

- Ale Wasza Wysokość - zaczął Tonio, wyraźnie gotów spierać się z chlebobdawcą.

- Tonio, ani słowa więcej - uciał księżę, po czym odwrócił się do Shey i oświadczył: - Chciałbym zobaczyć się z moją narzeczoną.

- No to zapraszam na przejażdżkę.

Shey bez dalszych wyjaśnień ruszyła przed siebie. Wyszli na zewnątrz i skierowali się w stronę parkingu. Po chwili Shey zatrzymała się i z dumnym uśmiechem oznajmiła:

- Oto mój skarb! - Pieszczotliwym ruchem przeciągnęła ręką po czerwonym zbiorniku na benzynę.

W jej głosie zabrzmiała wielka duma. Trudno, nic nie mogła na to poradzić. Jej ojciec zmarł, gdy miała pięć lat, zostawił po sobie niewiele wspomnień, ale jedno z nich, bardzo wyraziste, mocno zapadło w pamięć Shey. Do dziś ma przed oczami tatę, jak siedzi na swoim płomiennie

czerwonym harleyu i uśmiecha się do swojej córeczki. Był wtedy młodym mężczyzną, miał kochającą rodzinę i całe życie przed sobą.

- To pani pojazd? - głos księcia przywołał ją do rzeczywistości, a jego ton daleki był od entuzjazmu.

- Nie. Harley to nie jest jakiś tam pojazd. To rmotor, krążownik szos, sposób na życie, ale nie pojazd. To zbyt banalne, zbyt przyziemne określenie dla harleya.

- Pani go kocha. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie jak pytanie.

- Owszem, to prawda.

Shey nie czuła się ani trochę zakłopotana. Zdobycie harleya kosztowało ją wiele trudu i wyrzeczeń. Ten motor nie tylko przywoływał drogie sercu wspomnienie. *Był* czymś więcej. Symbolem drogi, jaką przeszła Shey od czasów, gdy jako dziewczynka z ubogiego domu nosiła ubrania z lumpeksu.

- Ale przecież to tylko sposób na przenoszenie się z miejsca na miejsce. - Księżę był wyraźnie stropiony.

- Harley to coś więcej niż środek lokomocji.

Księżę z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Jechał pan kiedyś takim? - zapytała Shey, choć była w stu procentach pewna odpowiedzi.

- Nie.

- W takim razie pozwolę sobie czegoś pana nauczyć.

Jest ciemny jak tabaka w rogu! Shey wyjęła zapasowy kask i podała go Jego Księżęcej Mości.

- Proszę to założyć.

Spodziewała się, że księżę zacznie się opierać, choćby ze względu na misternie ufryzowane włosy, ale zaskoczył ją. Posłusznie, bez słowa protestu wziął kask.

Shey założyła swój kask, zwinnie wsiadła na motor i przekręciła kluczyk.

Silnik zaryczał.

- Proszę usiąść za mną! - zawołała, przekrzykując warkot maszyny.

Książę nie kazał się prosić. Nie minęła chwila, a siedział za Shey, mocno opierając się o jej plecy i obejmując ją w talii.

Shey poczuła ciarki na plecach.

Opamiętała się szybko. To pewnie dlatego, że od miesięcy z nikim się nie spotykała. Zwyczajna reakcja organizmu. Hormony, nic więcej.

Wrzuciła bieg i ruszyła.

- Niech się pan trzyma! - zawołała, wrzucając dwójkę i zaraz potem trójkę.

Wiatr uderzył ją w twarz, prędkość upajała. Jazda motorem zawsze była dla niej najlepszym remedium, lekiem na wszystko. Jednak dziś było inaczej. Może dlatego, że siedzący z tyłu mężczyzna obejmował ją lekko i zamiast uspokojenia, jakie powinno na nią spłynąć, czuła dziwną ekscytację. Brakowało jej tchu.

Nie chciała tego teraz analizować. Najważniejsze, to dowiedzieć księcia do Parker.

Niech przyjaciółka sama się z nim rozmówi.

Parker każe mu zbierać się do domu i znów wszystko będzie jak dawniej.

Parker, Cara i Shey, przyjaciółki jeszcze ze studiów, a dziś współwłaścicielki kawiarni i księgarni, były samowystarczalne. Nie potrzebowały mężczyzn. Z facetami są tylko same problemy.

Shey doskonale pamiętała wieczór, gdy wymyślały nazwy dla swoich dwóch miejsc: kawiarnia „Monarch” i księgarnia „Tytuły”. Nawiązanie do książęcego pochodzenia Parker. To właśnie Parker zapewniła ich przedsięwzięciu finansowe wsparcie, więc przyjaciółki chciały to jakoś zaznaczyć. Butelka wina krążyła wtedy z rąk do rąk, a one śmiały się i snuły plany na przyszłość.

Przedtem Shey nie miała koleżanek. I nigdy by nie uwierzyła, że zaprzyjaźni się akurat z tymi dziewczynami. Z księżniczką krwi i z Carą, dziewczyną o gołęmbim sercu.

Choć gdy się nad tym zastanowić, to nie był świadomy wybór żadnej z nich, tak po prostu wyszło, że zbliżyły się do siebie i polubiły. Teraz były zżyte jak rodzina.

Nieoczekiwanie książę wzmocnił uścisk. To przypomniało Shey, że ma pasażera, i wyrwało ją z zamyślenia.

Tak, niech Parker wyjaśni sytuację swemu niewczesnemu narzeczonemu i jak najprędzej odeśle go do domu, a wtedy znów wszystko będzie po staremu...

Tanner zdawał sobie sprawę, że nakłonienie narzeczonej do opuszczenia Erie i powrotu do rodzinnego kraju nie będzie łatwym zadaniem. Jej ojciec uprzedził go, że Maria Anna jest temu przeciwna.

Przygotował się na najróżniejsze scenariusze, jednak rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. W najbardziej fantastycznych przypuszczeniach nie wyobrażał sobie jazdy przez miasto na harleyu prowadzonym przez nieprawdopodobną, intrygującą dziewczynę.

Już sam jej wygląd wywoływał mieszane uczucia. Krótkie, nastroszone płomiennorude włosy i zdystansowany

sposób bycia nie pozostawiały wątpliwości - nie ma mowy o przekroczeniu nakreślonych przez nią granic. Od razu widać, że ta ślicznotka ma silny charakter.

Przysunął się odrobinę bliżej i mocniej zacisnął ręce wokół jej talii. Wcale nie dlatego, by obawiał się, że spadnie z motoru. Po prostu przyjemnie było tak ją obejmować.

Shey zjechała z czteropasmówki i po chwili zahamowała na jakiejś niezbyt ruchliwej ulicy.

Zgasiła silnik.

Tanner zsiadł z motoru, zdjął kask i podał go Shey.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła.

W jej głosie zabrzmiała ledwie słyszalna duma, jakby to miejsce było dla niej bardzo ważne. Tanner popatrzył na budynek z czerwonej cegły. Od frontu było dwoje drzwi. Nad prawym wejściem wisiał szyld kawiarni „Monarch”, a nad pierwszą literą nazwy jaśniała malutka korona.

Drugie drzwi prowadziły do księgarni „Tytuły”. Nad jej nazwą też umieszczono małą koronę.

- Maria Anna jest tutaj?

- Parker - z naciskiem rzekła Shey - jest współwłaścicielką kawiarni i księgarni. Wraz z Carą i ze mną - dodała z dumą i ruszyła do wejścia. - Proszę za mną, Wasza Wysokość.

Tanner był przyzwyczajony, że zwykle tak się do niego zwracano, choć wołał, gdy mówiono mu po imieniu. Rzecz jasna, w rodzinnym kraju większość sytuacji wykluczała podobną poufałość, jednak teraz był w Stanach i może darować sobie formalności. Zwłaszcza z tą kobietą.

- Tanner - powiedział. - Proszę mówić mi po imieniu.

Shey nie odpowiedziała. Nie zwolniła kroku.

Nie pozostało mu nic innego, jak podążyć za nią.

Weszli do kawiarni, gdzie jasnowłosa dziewczyna rozmawiała właśnie z jakimś brunetem.

To musi być ona, Maria Anna.

Tanner uważnie popatrzył na kobietę, którą zamierzał poślubić.

Nie zmieniła się wiele, choć wyglądała nieco inaczej niż kiedyś. Teraz nosiła się bardziej swobodnie, niż to pamiętał: jasne włosy związane były jak w koński ogon, zwykłe spodnie w kolorze khaki i jasnoniebieska bluzeczka, słowem nic, co kojarzyłyoby się z księżniczką.

I z tą kobietą ma spędzić resztę życia.

Przyrzekł to zrobić, jednak jeszcze nie do końca się z tym pogodził. Miał się ożenić z kobietą, której właściwie nie znał. W imię dobra ojczystego kraju.

Od urodzenia wkładano mu w głowę, że dobro ojczyzny musi być dla niego na pierwszym miejscu. W dzisiejszych czasach los niewielkich państweczek, takich jak Amar czy Eliason, był poważnie zagrożony. Łącząc swe siły, zwiększały szanse na przetrwanie. Dlatego Tanner nie miał wyboru. Musiał ulec i zgodzić się na aranżowane, dynastyczne małżeństwo. Tak jak to było od wieków.

Oficjalnie przystał na takie rozwiązanie ze względu na uwarunkowania polityczne. Prywatne powody, których nie rozgłaszał, były nieco inne. Tak naprawdę czuł się zmęczony związkami z kobietami, bo w ostatecznym rezultacie zawsze okazywało się, że chodziło im jedynie o jego tytuł i majątek. Godziły się na odgrywanie roli księżniczki, ale bardzo szybko się zniechęcały, kiedy okazywało się, że to wcale nie jest takie słodkie zajęcie, a ciężka praca.

Miał tego serdecznie dość.

Ostatni związek otworzył mu oczy. Gdy rozstał się z Stephana, uzmysłowił sobie nagle, jak jałowe były jego dotychczasowe znajomości. Nie tego pragnął. W duchu marzył o miłości, ale wiedział, że to tylko rojenia bez szansy na spełnienie. Chciał więc choć wzajemnego szacunku. Dlatego małżeństwo z Marią Anną było dla niego do zaakceptowania. Ona doskonale zdaje sobie sprawę z powinności ciążyących na rodzinie panującej. Ich związek przyniesie korzyści obu krajom.

Skoro on nie może mieć tego, czego pragnie, niech przynajmniej jego kraj coś zyska.

- Księżniczka Marie Anne? - odezwał się.

Dziewczyna wbiła w niego wzrok, marszcząc czoło.

- Parker - powiedziała. - Dawno się nie widzieliśmy, Tanner.

- Bardzo dawno - odparł, uśmiechając się.

Nie odpowiedziała uśmiechem, wprost przeciwnie, spochmurniała jeszcze bardziej.

W przeciągu ostatniej godziny to już druga ślicznotka, która tak na niego patrzyła. Skąd ta ponura mina? Nie bardzo mu to odpowiadało.

- Nie aż tak bardzo - wymamrotała.

A więc powitanie mieli już za sobą. Tanner postanowił przejść do rzeczy.

- Twój ojciec wysłał mnie tutaj, bym ściągnął cię do domu.

- Jestem w domu.

Nie przypominał sobie, by Maria Anna... Parker... była taka uparta.

- Do domu w Eliason - uściślił.

- Możesz spokojnie wracać do Eliason czy do Amaru. Pierwszym samolotem. Ja tu zostaję.

- Słucham? - zapytał. - Przyleciałem na drugi koniec świata, by spotkać się z narzeczoną...

- Nie jestem twoją narzeczoną - przerwała mu, a w jej głosie zabrzmiała stanowczość.

Aha, chce dać mu do zrozumienia, że jej decyzja jest nieodwołalna. Ale on nie poddaje się tak łatwo.

- ... i jedyne, co masz mi do powiedzenia, to „żegnaj”?

- Dokładnie tak. A skoro mówimy o pożeganiu, to ja właśnie wychodzę. Shey, zamkniesz kawiarnię?

- Jasne, nie ma sprawy - odparła Shey.

Tanner już niemal zapomniał o swojej zmotoryzowanej eskorcie.

Zapomniał, ale nie do końca.

Ktoś, kto raz poznał Shey Carlson, z pewnością nigdy jej nie zapomni. Co do tego Tanner był absolutnie pewny.

Shey skinęła głową w jego stronę.

- A co z nim?

- Mogłabyś podrzucić go do hotelu? - zapytała Parker.

- Jasne - odparła Shey, wzruszając ramionami.

- Ty, agent, idziesz? - Parker popatrzyła na bruneta, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

- Uhm - mruknął nieznajomy. - Oczywiście - dodał. - Może ja poprowadzę?

- Mnie to pasuje, bo przyjechałam autobusem.

- Autobusem? - zdumiał się książę. - Moja narzeczoną podróżuje publicznym autobusem?

Wysłała po niego na lotnisko Shey, potem stanowczo

zaprzeczyła, że są zaręczeni, a teraz opowiada, że jeździ do pracy autobusem?

- Nie masz narzeczonej - powiedziała Parker. - Ale jeśli mówiłeś o mnie, to owszem, jeżdżę publicznym transportem. Ojciec zablokował mi konto i zostałam bez grosza. Dlatego musiałam sprzedać samochód.

- Ale, ale... - wykrztusił książe.

- Proszę się nie martwić - rzeczowym tonem odezwał się nieznajomy. - Dopilnuję, by Parker bezpiecznie dotarła do domu.

- Do domu - powtórzyła Parker, patrząc na Tannera. - Tu jest mój dom, a ty wracaj do siebie. Do Amaru. Nic tu po tobie, nic cię tu nie trzyma. A już na pewno nie naręczona.

Po tych słowach odwróciła się i wyszła, a tajemniczy brunet podążył za nią.

Po chwili trzasnęły drzwi, jakby definitywnie kończąc sprawę.

- No cóż, książe, już po wszystkim.

- Tanner. Tak mam na imię. Jeśli nie jesteś w stanie tego zapamiętać, pozostań przy Waszej Wysokości. Nie życzę sobie żadnego księcia.

Shey roześmiała się.

- Nie denerwuj się tak, książe!

- Już po wszystkim? - z łukowatego przejścia wiodącego do księgarni dobiegł łagodny kobiecy głos.

Dziewczyna, która stanęła na progu, była, niższa od Shey i bardziej zaokrąglona. Miała brązowe, przycięte do ramion włosy.

- Po wszystkim - potwierdziła Shey. - Cara, to jest ten

czarujący księżę naszej Parker. Choć jak na razie wcale mi nie wygląda na czarującego.

- Tanner - przedstawił się księżę. - Proszę mówić mi po imieniu, pani...

- Cara Philips, ale wystarczy Cara.

- Cara - powtórzył Tanner. - Piękne imię.

- Dziękuję - powiedziała Cara, uśmiechając się. - Przykro mi Tanner, że niepotrzebnie przejechałeś taki szmat drogi.

- Niepotrzebnie? Ja tak nie myślę. Zabieram Parker do domu.

- Zgodziła się? - Cara nie ukrywała zdumienia.

- Nie! - prychnęła Shey.

- Ale niedługo się zgodzi - z przekonaniem zapewnił Tanner. - Wkrótce zrozumie, że to małżeństwo naprawdę ma sens.

- Kochasz ją? - zapytała Cara.

- Słucham?

- To bardzo proste pytanie, Wasza Wys... Tanner. Czy kochasz Parker?

- Maria Anna, to znaczy Parker i ja doskonale do siebie pasujemy. Oboje zostaliśmy wychowani w poczuciu, że największą wartością jest dobro naszego kraju. Przed laty przyjaźniliśmy się. Jestem przekonany, że świetnie do siebie pasujemy.

- To bardzo ważne - powiedziała Cara, podchodząc krok bliżej. - Jednak w małżeństwie ważna jest także miłość, Kochasz Parker?

- Nauczę się ją kochać - odparł Tanner.

I szczerze w to wierzył. Nie chciałby, by jego dzieci, ich przyszłe dzieci, dorastały w domu pozbawionym miłości.

- Zdaję sobie sprawę, że jest wiele rzeczy, których się można nauczyć - odparła Cara. - Wystarczy dobra wola, bystry umysł i odpowiedni podręcznik. Ale nauczyć się miłości? To niemożliwe. Musi zaiskrzyć, dopiero na tym można coś budować. Gdyby między tobą a Parker to było, od razu byś o tym wiedział. Podobnie jak my. Myślę jednak, że właśnie tego wam brak.

Początkowo Tannerowi wydawało się, że woli Carę od Shey, jednak teraz, gdy w zawołowany sposób wyraziła obawy, z jakimi sam przez cały czas się zmagał, uznał, że bardziej przemawia do niego Shey. Ona od razu wykląda kawę na ławę, nie bawi się w podchody.

- Jakim prawem twierdzisz, że wiesz, co ja czuję? - zapytał, przybierając oficjalny, władczy ton, który zwykle skutecznie deprymował rozmówców i ucinał wszelką dyskusję.

Jednak Cara nie dała się stłamsić. Nawet nie mrugnęła okiem.

- Parker jest moją przyjaciółką - odparła śmiało. - Dlatego mam moralne prawo występować w jej sprawie. Wiem, jak wyglądają dobrane pary. Wiem też, choć cię nie znam, że nie władza i pieniądze czynią człowieka szczęśliwym, a miłość. Należy ci się to, tak samo jak należy się Parker.

-Ja...

Cara przerwała mu, uśmiechając się lekko:

- Dobranoc, Shey. Kiedy przyszlście, właśnie zbierałam się do wyjścia, a skoro już jest po wszystkim, mogę spokojnie wracać do domu. Do zobaczenia rano. Miło mi było cię poznać, Tanner.

Odwróciła się i wyszła do księgarni.

- Ho! - Shey nie kryła zdumienia. - Co w nią wstąpiło?
- Jak mam to rozumieć? - zapytał Tanner.

- To najdłuższa wypowiedź, jaką Cara wygłosiła przed nieznanym jej człowiekiem. A w zasadzie, jaką wygłosiła kiedykolwiek, bo nigdy nie wypowiada swoich opinii, nawet jeśli kogoś dobrze zna.

- Miałem szczęście - mruknął Tanner.

Najchętniej wymazałby z pamięci wszystko, co przed chwilą powiedziała Cara. Odrzuciłby każde jej słowo. Jednak prawda była taka, że sam miał podobne myśli. Tak, podzielał zdanie tej dziewczyny.

- No to co teraz? - zapytał.

- Poczęstuję cię kawą i zamknę kawiarnię. Potem odwożę cię do hotelu. Jutro, jeśli jesteś wystarczająco bystry, znajdziesz się w samolocie do Europy.

Nie skomentował tego. Nie bardzo wiedział, co mógłby odpowiedzieć. Poza tym nie czuł się jeszcze gotowy do wyjazdu z Erie.

Shey przyniosła mu kawę i zaczęła szykować kawiarnię do zamknięcia. Wyłączyła ekspresy, umyła karafki, wyjęła z lady chłodniczej kanapki i przekąski. Wyłożyła je na tacę i ruszyła do kuchni.

- Pomogę ci! - Tanner poderwał się z miejsca.

- Dzięki, obejdem się bez pomocy - usadziła go. - Sama doskonale dam sobie radę.

- Jak chcesz - odparł książę, posłusznie siadając przy stoliku.

Odprowadził wzrokiem znikającą na zapleczu Shey.

W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Cary.

Miała rację. Miłość jest najważniejsza, to na niej powin-

no się budować wspólne życie. Na uczuciu, którego zabrakło w małżeństwie jego rodziców.

Zamyślił się. Minęła dobra chwila, gdy zorientował się, że Shey już dawno powinna wrócić. Podniósł się, podszedł do drzwi wiodących na zaplecze i ostrożnie je uchylił.

Sądził, że zastanie dziewczynę czyszczącą coś lub zmywającą, tymczasem Shey stała w otwartych drzwiach wychodzących na tył kawiarni. Taca, przed chwilą wypełniona jedzeniem, była niemal pusta.

Odwrócona do wyjścia Shey nie widziała Tannera. Na dworze stali jacyś ludzie, a ona podawała im kanapki i ciastka.

- Leo - Tanner usłyszał jej głos. - Poszedłeś do lekarza z tym kaszlem?

Starszy mężczyzna w podniszczonym ubraniu odpowiedział coś cicho. Zbyt cicho, by Tanner mógł usłyszeć.

- To dobrze - odparła Shey. - Bo gdybyś tego nie zrobił, to jutro siłą bym cię zaciągnęła do przychodni. Musiałbyś pojechać ze mną na harleyu.

Mężczyzna roześmiał się, a jego śmiech przerywały ataki chrapliwego kaszlu.

- Pamiętaj, dziś musisz iść do schroniska i tam przemocować. Nieważne, że na dworze nie jest zimno. Musisz przespać się pod dachem i wziąć leki.

Mężczyzna pokiwał głową i odszedł. Teraz jego miejsce zajął ktoś nieco młodszy, choć podobnie zniszczony.

Tanner ostrożnie zamknął drzwi. Poszedł do stolika i usiadł.

Dopiero co poznał Shey, jednak instynktownie czuł, że nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że ją podglądał.

Niesamowita dziewczyna.

Intrygująca.

Bez względu na to, co mu radziła, nie ma mowy, by jutro wsiadł do samolotu.

Nie ma też mowy, by pojechał teraz do hotelu.

Wyjął komórkę i wybrał numer Emila.

- Słucham, szefie?

- Daję wam dziś wolne. Do rana - powiedział.

- Jak to? - zdumiał się Emil, a jego głos jednoznacznie zdradzał niezadowolenie.

- Nie przyjadę dzisiaj do hotelu.

- Mogę zapytać, gdzie w takim razie księżę spędzi noc?

- Nie, nie możesz.

Emil roześmiał się.

- W porządku, to pytanie nie padło. Potrafię zachować dyskrecję. W takim razie niech Tonio i Peter pobuszują sobie po mieście. Peter nie może się już doczekać, żeby poznać tutejsze kobiety.

- Wyobrażam sobie - zaśmiał się Tanner. Peter zawsze miał słabość do płci pięknej.

- Ja będę na miejscu, szefie - z powagą oświadczył Emil.

- W każdej chwili na twoje rozkazy. W razie jakichś problemów, dzwoń. Twój ojciec byłby bardzo niezadowolony, gdyby dowiedział się, że kursowałeś po obcym mieście bez obstawy.

Na salę weszła Shey.

Tanner uśmiechnął się.

- Spokojnie, Emil. Myślę, że dam sobie radę.

Emil, który był bardziej przyjacielem niż ochroniarzem księcia, westchnął tylko.

- Ale w razie potrzeby w każdej chwili mogę wkroczyć do akcji.

- Dzięki. - Tanner rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

- Jesteś gotowy? - zapytała Shey.

- Tak - odparł Tanner, podnosząc się z miejsca.

Był bardziej niż gotowy. Nie wiadomo tylko, czy Shey również.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kwadrans później Shey wybrała numer Parker. Czeka-
jąc na połączenie, zerkała z ukosa na mężczyznę siedzące-
go w fotelu i wyglądającego przez okno jej salonu.

Wiedziała, że Parker ma identyfikację numerów, więc
nie zdziwiła się, gdy przyjaciółka odezwała się bez żadnych
wstępów:

- Dzięki za odebranie Tannera.

- Z tym właśnie jest problem - oświadczyła bez owija-
nia w bawełnę Shey.

Mówiła cicho, jednak jej głos obudził w Parker złe prze-
czucia. Poczowała skurcz w żołądku.

- Coś się stało? - zapytała. - Co jeszcze mój ojciec wy-
myślił?

Gdyby na tym polegał problem! Z apodyktycznym
ojcem i Parker, i Shey, i Cara radziły sobie od lat. Miały
w tym niezłą wprawę.

- Nie chodzi o twojego ojca, a o twojego księcia.

- To nie jest mój książę - wymamrotała Parker i ode-
tchnęła z ulgą. - No dobrze, co takiego zrobił?

- Rzecz w tym, czego nie zrobił. Nie chce stąd wyjść.

- Nawet nie zamierzam - łagodnie potwierdził Tanner.

Shey zakryła słuchawkę dłonią.

- To bardzo nieładnie przysłuchiwać się czyjejs rozmowie, a jeszcze gorzej dogadywać. Po księciu spodziewałabym się lepszych manier.

- Lubię burzyć ludzkie wyobrażenia - odparł Tanner, uśmiechając się szelmowsko, bynajmniej nie jak księżę.

- Jak mam to rozumieć? - Parker nie kryła zdumienia.

- Że Tanner i jego goryle...

- O czym ty mówisz? Goryle?

Shey dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie miała okazji powiedzieć Parker o towarzyszącej księciu świcie.

- Przywiózł ze sobą ochroniarzy. Trzech. To zresztą nieważne. Mają zarezerwowane pokoje w tym nowym hotelu nad jeziorem, ale księciu nie chce się tam jechać. Zapowiedział, że zostaje u mnie.

- Wykoncypował sobie, że pospieszysz mi na ratunek, a wtedy on będzie miał okazję z tobą pogadać.

- Chcesz, żebym cię od niego wybawiła? Mam przyjechać? - zapytała z niepokojem Parker.

Shey przez lata była zdana wyłącznie na siebie. Po przedwczesnej śmierci ojca szybko musiała stać się samodzielna. Matka pracowała od świtu do nocy, by zapewnić im środki do życia. Nie starczało jej już czasu na zajmowanie się córką.

Zdobycie stypendium w Mercyhurst College diametralnie zmieniło życie Shey. To tam, w czasie studiów poznała Parker i Careę. Sama nie wiedziała, jak to właściwie się stało, tak po prostu wyszło, zresztą teraz nie miało to najmniejszego znaczenia. Były bardzo różne, a jednak doskonale do siebie pasowały.

Znajomość przekształciła się w głęboką przyjaźń, która

trwała już kilka lat. Wiedziały, że zawsze mogą na siebie liczyć. Że nie zawiodą w żadnej sytuacji.

Wystarczy słowo, a Parker rzuci wszystko i pospieszy jej z pomocą, mimo że Tanner jest ostatnią osobą, z którą przyjaciółka chciałaby mieć teraz do czynienia. Shey uśmiechnęła się mimowolnie. Wspaniale jest mieć świadomość, że jest ktoś, do kogo można się zwrócić w potrzebie. Od razu robiło się jej ciepło na sercu.

- Nie! - zachichotała Shey. - Zadzwoiłam, żeby się upewnić, jak bardzo mam być dla niego miła. W końcu to twój narzeczony.

- Żaden narzeczony. Kolega z dzieciństwa. Wcale nie musisz być dla niego miła.

- Na pewno? - zapytała Shey, uśmiechając się do Tannera. Na jego twarzy malował się skrywany niepokój. Wstał i wyciągnął rękę, by dała mu słuchawkę.

- Na pewno - potwierdziła Parker.

- To super! - rzekła Shey, udając, że nie widzi wyciągniętej ręki Tannera.

- Tylko uważaj. Nie zrób czegoś, za co można trafić do więzienia. Ja jeszcze bym się jakoś wykręciła, bo chroni mnie immunitet dyplomatyczny, ale ty przepadniesz.

- Nie martw się. Poczekał, książę chce z tobą mówić.

- Parker, musimy porozmawiać. To konieczne.

Tanner umilkł, wsłuchując się w słowa Parker.

- Parker, twój ojciec powiedział...

Chyba musiała mu przerwać, bo urwał w połowie zdania.

- Ktoś inny? Kto? - Nie czekał na odpowiedź. - Ten mężczyzna, który był w kawiarni?

Shey nie spuszczała księcia z oka. Prawie już go pożałowała. Z Parker nie ma żartów.

Wystarczyło przypomnieć sobie biednego Hoffmana, detektywa nasłanego na Parker przez jej ojca. Nieźle go urządziła. Podpuściła na niego Josie, manikiurzystkę z pobliskiego salonu kosmetycznego. Razem z koleżankami nie dawały mu chwili spokoju. Opędzał się od nich, jednak w końcu załamał się i zrezygnował ze zlecenia. Jednego tylko nie wziął pod uwagę - przez ten czas tak zbliżył się z Josie, że nawet się nie obejrzał, jak zostali małżeństwem. Zresztą bardzo szczęśliwym.

Może Shey na wszelki wypadek powinna przestrzec Tannera. Niech zdaje sobie sprawę z zagrożeń.

Popatrzyła na pochmurną twarz księcia i szybko zdecydowała, że nie ma co.

- Nie mówisz poważnie.

Tanner odczekał jeszcze chwilę i odłożył słuchawkę.

- No i co? - zapytała Shey.

- Czy ona się z kimś spotyka?

Shey doskonale wiedziała, że Parker nikogo nie ma, ale nie zamierzała tego zdradzać.

- Naprawdę nigdy nie przyszło ci do głowy, że taka atrakcyjna dziewczyna może mieć wielbicieli?

- Nie.

Tanner zrobił taką minę, jakby coś podobnego było nie do pojęcia.

- No cóż, Tanner, chyba jednak nie jesteś taki bystry, jak myślałam. Mężczyźni uganiają się za Parker, uwodzą ją, czarują. Chyba nie przypuszczałeś, że taka dziewczyna będzie siedzieć w kącie i czekać, aż po nią przyjedziesz.

Zakłopotanie, jakie przez chwilę malowało się na twarzy Tannera, szybko ustąpiło. Książę popatrzył na Shey wyніósle.

- Skoro mówimy o czekaniu, to czekam, byś pokazała mi mój pokój. Mam za sobą długi lot i muszę wreszcie odpocząć.

- Nie mam gościnnego pokoju - odparła Shey. Nawet gdyby miała i tak by mu tego nie powiedziała. Nie zamierzała ułatwiać mu życia. Może wreszcie się ugnie i sobie pójdzie.

- To gdzie nocują twoi goście? - zdumiał się.

- Nie mieszkam gości.

- A rodzina?

Shey poczuła przykre ukłucie żalu. Bardzo by chciała mieć rodzinę. Cóż, o tym mogła sobie tylko pomarzyć. Opamiętała się szybko. Powinna się cieszyć z tego, co ma.

- Moja rodzina to Parker i Cara - odparła. - Nikogo więcej nie mam. A one mają swoje mieszkania, więc nie muszą u mnie nocować.

- Nie powiesz mi, że jest tu tylko jedna sypialnia.

Shey westchnęła.

- Owszem, jest jeszcze jeden pokój, ale ponieważ nie mieszkam gości, przerobiłam go na gabinet.

- Na pewno jest tam jakaś kanapka - rzekł z nadzieją w głosie Tanner.

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem Shey. - Jest biurko, półki na książki, są nawet szafki. Ale nie ma niczego do spania.

- W takim razie prześpię się tutaj - zdecydował Tanner, z kwaśną miną, mierząc wzrokiem skórzaną kanapę.

Shey śmiało mogłaby postawić naprawdę dużą sumę, że książę jeszcze nigdy w życiu nie spędził nocy na kanapie.

Istniało nawet bardzo duże prawdopodobieństwo, że nigdy w życiu nie spał w zwyczajnym podwójnym łóżku. Dla niego odpowiedni był tylko rozmiar największy z możliwych.

- Nic z tego - powiedziała spokojnie. - Wrócisz do hotelu i spędzisz noc w przestronnym i wygodnym apartamencie na ostatnim piętrze.

Nie miała pewności, czy w tutejszym hotelu jest taki luksusowy apartament. Jeśli rzeczywiście go mają, to z pewnością książę go sobie zakępał.

- No dobrze - ciągnęła. - Rozerwałeś się, ale z twojego planu nici. Póki tu będziesz, Parker będzie się trzymać ode mnie jak najdalej. Dzwonź po swoją obstawę. Niech cię stąd odbiorą. Chyba że wolisz taksówkę. Jeśli tak, to zaraz ci zamówię.

- Skoro Parker jest dla ciebie rodziną, to prędzej czy później się tu pojawi. Przyjdzie ci z odsieczą. A wtedy będzie miał okazję się z nią rozmówić.

- Nie zostaniesz tu na noc - zniecierpliwiła się Shey. Ledwie się powstrzymała, by nie tupnąć, co zupełnie nie było w jej stylu. Skrzyżowała ręce na piersi.

- No to ja się rozbieram - oświadczył książę, uśmiechając się. - Oczywiście możesz zostać, jeśli masz ochotę.

- Chcesz się rozbierać przy obcej osobie? - Shey z niesmakiem pokręciła głową. - A podobno jesteś zaręczony.

Tanner zdjął marynarkę i sięgnął do guzika koszuli.

- Nie zrobisz tego - sprzeciwiła się Shey.

- Przekonaj się.

Nieoczekiwanie poczuła, że ta propozycja ma dla niej

pewien urok. Gdyby mężczyzna rozpinający teraz koszulę nie był księciem, w dodatku zaręczonym z jej najlepszą przyjaciółką, to kto wie...

Opanowała pokusę i odwróciła się szybko.

- W porządku. Wychodzę.

- Shey, chyba masz poduszkę i koc, z których mógłbym skorzystać?

Irytował ją ten jego władczy ton. I subtelna aluzja, że skoro ma skromne mieszkanie, to być może nie dysponuje dodatkowym kompletem pościeli dla gościa.

Wprawdzie nieproszonego gościa, ale jednak.

Jak to się stało, że dała się wmanewrować w taką idiotyczną sytuację?

Fakt, nie miała dodatkowej pościeli. Bo nigdy do niczego nie była jej potrzebna. Nie kłamała, twierdząc, że nikt u niej nie nocuje. Oczywiście nigdy mu tego nie powie.

Weszła na górę do swojego pokoju, wzięła z łóżka narzutę i jedną z trzech poduszek, po czym wróciła z tym wszystkim do salonu.

Tanner zdążył już rozpiąć koszulę, ale na szczęście jej nie zdjął. Shey była mu za to wdzięczna.

Choć chyba też i troszeczkę rozczarowana, co zaskoczyło ją samą. Kto by pomyślał, że te dwa uczucia mogą być do siebie tak bardzo podobne?

- Proszę - rzekła, podając Tannerowi narzutę i poduszkę.

Tanner skłonił się nisko.

- Dziękuję - odparł, biorąc pościel.

Shey nie mogła odejść, nie przywoławszy go do rozsądku.

- Snując się za mną jak cień, tylko tracisz czas.

- Ale to mój czas.

Leżał na kanapie, okryty narzutą, z głową na poduszce.

Czuł zapach Shey. Gorący i korzenny.

Ona nie wybiera słodkich aromatów.

Uśmiechnął się.

Ta Shey Carlson jest naprawdę wyjątkową dziewczyną.

Wręcz zniewalającą.

Zaśmiał się pod nosem, przypominając sobie, jak chciała się go pozbyć.

Ma charakter. Jest lojalna względem swoich przyjaciół, oddana im na śmierć i życie. Podziwiał ją za to.

Do tej pory miał do czynienia z zupełnie innymi kobietami. Łagodnymi i uległymi.

Shey przypominała mu wojownika.

Przekreślił się, szukając wygodniejszej pozycji. Przy tym poruszeniu zapach, jakim były przesiąknięte poduszka i narzuta, stał się jeszcze bardziej wyrazisty. Otaczał go zewsząd, rozbudzając zmysły.

Wiedział, że nie zaśnie. Czekala go bezsenna noc.

Jest w obcym mieście, w obcym kraju i śpi na kanapie w domu dziewczyny, której właściwie nie zna, a jego narzeczona wcale nie jest zadowolona z jego przyjazdu. Miał nadzieję, że gdy się spotkają, między nimi zaiskrzy, że coś stanie, że to małżeństwo może być udane.

Jednak niczego takiego nie poczuł. Zobaczył przed sobą tylko dawną koleżankę z dzieciennych lat.

Żadnej iskry.

Nawet odrobiny.

Po fatalnym związku ze Stephana zaczął inaczej patrzeć na małżeństwo rodziców. Przyznawał rację ojcu, który zaaranżował jego przyszłe małżeństwo. Skoro nie można

mieć pewności, czy ewentualnej żonie nie chodzi przypadkiem wyłącznie o majątek i tytuł, to lepiej ożenić się z dziewczyną, która to wszystko już ma.

Stephana, gdy tylko zrozumiała, na czym naprawdę będzie polegać rola księżęcej małżonki, szybko się zniechęciła. Chciała się bawić, korzystać z życia. Niekończące się oficjalne obowiązki nużyły ją i męczyły. Dlatego odeszła.

Tanner nie rozpaczał. I nie oszukiwał się. Wiedział, że skoro wcale mu jej nie brakuje, to nie łączyła ich prawdziwa miłość. Oboje tylko się oszukiwali.

Układ z Parker od samego początku będzie przejrzysty i uczciwy.

Tyle że bez tej iskry.

Wtulił twarz w poduszkę i znowu owionął go zapach Shey. Od razu zrobiło mu się gorąco.

To jest dopiero dziewczyna!

Co z tego, skoro on jej w ogóle nie interesuje. W dodatku jest przyjaciółką tej, o której teraz powinien myśleć.

W końcu zapadł w lekki sen. Spał, śniąc o Shey. O tym, jak jadą na jej harleyu, a on obejmuje ją w talii i wzbierają w nim nieznane uczucia, od których cały płonie...

Shey obudziła się, zanim zadzwonił budzik. Przyszło jej to łatwo, bo przez całą noc niemal nie zmrużyła oka. Świadomość, że w salonie śpi książę, nie pozwalała jej zasnąć, a gdy już na chwilę usnęła, widziała go we śnie. Wtedy budziła się i przewracała z boku na bok, odpychając od siebie te obrazy.

Szybko przygotowała się do wyjścia. Jest duża szansa, że Tanner jeszcze śpi, więc ona wymknie się z domu nie-

postrzeżenie. Musi mieć chwilę spokoju, by odzyskać równowagę.

Tanner to facet nie dla niej. I wcale nie dlatego, że jest zaręczony z Parker.

Powody są inne. Gdy wczoraj poczuła obejmujące ją męskie ramiona, coś się z nią stało. Ale co z tego, skoro on jest księciem. Ma władzę i pozycję. Należy do innego świata. A jej największym osiągnięciem jest wspólna firma i harley... no i przyjaciółki, rzecz jasna. Odpowiada jej życie, jakie prowadzi. Zwyczajne życie. Książę zrobił na niej wrażenie, fakt, ale to wszystko.

Na palcach przeszła przez kuchnię i nacisnęła klamkę tylnych drzwi.

Udało się.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

- Dzień dobry, Shey! - Książę opierał się o jej harleya.

Do diabła!

- Co ty tu robisz? - zapytała, mierząc go ostrym spojrzeniem.

Wyglądał aż za dobrze jak na kogoś, kto od wczoraj chodził w tym samym ubraniu i nawet się nie ogolił.

Ten lekki cień zarostu na twarzy tylko przydawał mu uroku.

Nie to, żeby jej się podobał.

W żadnym razie.

- Czekam na ciebie - odparł z uśmiechem. - To co masz dzisiaj w planie? Jest jakaś szansa, że spotkamy się z Parker?

Shey uderzyło, że Tanner przestał nazywać Parker jej dawnym imieniem. Może jednak starania nie poszły na marne i zaczynało do niego docierać, że Parker nie jest

dziewczyną z jego wyobrażeń, nie jest dziewczyną odpowiednią dla niego.

- Nie, nie pojedziemy spotkać się z nią. Ja muszę jechać do pracy, a ty skontaktuj się z ochroniarzami i zajmij się swoimi sprawami.

- Nic z tego. Jeśli wybierasz się do kawiarni, to ja jadę z tobą.

- Czemu wreszcie nie spojrzysz prawdzie prosto w oczy i nie pogodzisz się z faktem, że nic tu po tobie? Wracaj do domu.

- Obiecałem, że przywiozę ze sobą narzeczoną. I mam zamiar dotrzymać słowa.

- Rozsądny człowiek wie, kiedy sprawa jest przegrana.

- A dobry dowódca powie ci tylko, że walka jeszcze się nie zaczęła.

- Och, przestań głądzić i wsiadaj. Pojazd czeka - prychnęła szyderczo.

Tanner był zbyt spięty, by zorientować się, że to kpina. Uśmiechnął się i rzekł:

- Po wczorajszej jeździe przyznaję, że harley to coś więcej niż tylko pojazd. To styl życia.

Teraz on sobie z niej drwił.

Spiorunowała go wzrokiem i podeszła do motocykla. Energicznie założyła kask. Może ze zbytnią przesadą.

- Jak chcesz jechać, to siadaj!

- Moglibyśmy po drodze wpaść do hotelu? Chciałbym się umyć i przebrać. Wyszłaś z domu tak wcześnie, że chyba będziemy przed czasem.

- Hm... Dobra. Skoro mam być dzisiaj skazana na twoje towarzystwo, to wolę, żebyś przyjemnie pachniał.

- Miła z ciebie gospodyni.
 - Nie przesadzaj. Nie jestem gospodynią, raczej twoim stróżem.
 - Zawsze mnie wkurzało, że jestem bezustannie chroniony i wciąż ktoś się za mną snuje, ale tym razem wcale mi to nie przeszkadza.
 - Jesteś perwersyjny.
 - Może i tak, a może...
- Motor zaryczał, zagłuszając jego słowa. Shey wrzuciła bieg i ruszyli.

Uważnym spojrzeniem przebiegł po niewielkiej salce kawiarni. Wszystko aż błyszczało.

Poczuł prawdziwą dumę i dziwne ciepło.

Choć może to wrażenie ciepła bierze się z tej mokrej plamy na koszuli. Ochlapał się wodą, gdy płucał ostatnią partię naczyń.

Ani przez chwilę nie przypuszczał, że dzisiejszy dzień minie mu w taki sposób.

Gdy rano Shey aż zastygła, widząc go czekającego przy motorze, był pewien, że to on pociąga za sznurki. Triumfował, gdy postawił na swoim i nakłonił ją, by podrzuciła go do hotelu. Poczekała na dole, a on w tym czasie błyskawicznie wziął prysznic i przebrał się w świeże ubranie.

Jednak wszystko zmieniło się, gdy tylko przestąpili próg kawiarni. Shey rzuciła mu ścierkę i patrząc na niego prowokacyjnie, powiedziała:

- Domyślam się, że księżciu, takiemu jak ty, nigdy nie zdarzyło się choćby sprzątnąć po sobie ze stołu. Myślę jednak, że jesteś na tyle inteligentny, by wykombinować sobie,

jak to się robi. - Uśmiechnęła się z jawnym powątpiewaniem, dając tym samym do zrozumienia, że nie bardzo liczy na jego bystrość. Ten wyzywający uśmiezek powinien go rozgniewać.

Jednak zamiast złości obudziła się w nim ciekawość. Jak to by było, gdyby ją pocałował?

Absolutnie nieodpowiedni pomysł.

Zdecydowanie odepchnął od siebie te zaskakujące myśli, skupiając się na udowodnieniu Shey, że bardzo się myliła w jego ocenie. Dlatego pod koniec dnia nie tylko już bez problemów sprzątał stoliki, ale nauczył się obsługiwać wielką zmywarę i kasę.

Co prawda miał pewne kłopoty przy opłukiwaniu talerzy. Niechcący oblewał się przy tym wodą i to dlatego miał ciągle mokrą koszulę. Jednak generalnie dzień nie poszedł na marne.

W każdym razie pomagierem kelnera mógłby już chyba być.

Za to ściągnięcie do domu narzeczonej szło mu znacznie słabiej.

- Jeśli ci coś nie wyszło z rządzeniem, zawsze możesz przestawić się na gastronomię. Radzisz sobie nieźle - powiedziała Shey, podchodząc do niego. - Książę mnie zaskoczył. Myślałam, że przez cały dzień będziesz tu siedzieć ze zboląłą miną, a ty naprawdę okazałeś się bardzo pomocny. Dzięki.

- Książę nie może się dąsać. I zapewniam cię, że zdarza mi się naprawdę ciężko pracować.

- Jasne. Od podpisywania królewskich dekretów i obwieszczeń może rozboleć ręka.

- Ćwiczysz się w docinaniu innym czy to po prostu wrodzony talent?

- Jak mam ci na to odpowiedzieć? - Shey wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Mam taki dar.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Podobało mu się to przekomarzanie. Mógłby to robić od rana do nocy. Ujmuje go jej zadziorny charakter. Większość kobiet, z jakimi dotąd miał do czynienia, była uległa i zgodna. Liczyły, że w ten sposób usidla bogatego księcia.

Shey na pewno do takich nie należy. O każdą bzdurę będzie się spierać do upadłego. Jeśli on powie „białe”, ona z miejsca zaprzeczy i oświadczy, że coś jest czarne. Dla zasady.

Tanner popatrzył na zegarek. Przesiedział w kawiarni cały dzień.

- Kiedy przyjdzie Parker?

- Och, czyżbym ci nie wspomniała, że ona ma dzisiaj wolny dzień? - powoli powiedziała Shey. - Tammy zostanie do końca i zamknie lokal.

Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z siebie. Świetnie to sobie zaplanowała.

Jeszcze przed chwilą Tannerowi podobały się słowne utarczki, ale teraz przeszła mu ochota do żartów. Zaciął zęby.

- Nie, nie wspomniałaś - wycedził.

- Przepraszam. Ale właśnie dzisiaj Parker ma wolny dzień. Chyba zmarnowałaś czas, pomagając mi tutaj.

Jej oczy się śmiały, choć starała się zachować powagę.

- Celowo mnie tu uziemiłaś, choć doskonale wiedziałaś, że Parker na pewno się nie pojawi.

- Przecież powiedziałam ci na samym początku, że Par-

ker jest moją przyjaciółką i zrobię dla niej wszystko, co w mojej mocy. Uziemienie cię tutaj jak najbardziej mieści się w tym określeniu.

Oczy Tannera błysnęły gniewnie. Bez sensu zmarnował cały dzień.

Jaki powinien być jego następny ruch?

Piorunując Shey wzrokiem, sięgnął po komórkę i zadzwonił do Emila. Kazał mu przyjechać do kawiarni.

- Poddajesz się? - zapytała Shey. - Chciałabym powiedzieć, że będzie mi ciebie brakowało, ale nie umiem kłamać.

- Naprawdę nigdy nie kłamiesz?

- Nigdy.

- Ja też nie. Ciekawe zatem, co powiesz, jeśli wyznam, że choć jesteś wyjątkowo irytującą dziewczyną, to przez cały dzień myślałem o tym, że jesteś bardzo atrakcyjna i chciałbym cię pocałować?

Sam nie rozumiał, jak to się stało, że wypowiedział te słowa. Zupełnie nie mógł nad tym zapanować. Teraz czekał na reakcję Shey. Na pewno zaraz wybuchnie.

Zaskoczyła go, bo tylko się roześmiała.

- Coś ci powiem. Nie jesteś pierwszym facetem, którego irytuję. Nie jesteś też pierwszym, który chciałby mnie pocałować ani jedynym uważającym mnie za atrakcyjną dziewczynę. Na pewno nie jesteś też ostatnim. Niestety, nie jestem zainteresowana twoimi pocałunkami, choć jak najbardziej możesz nadal myśleć, że jestem irytująca i atrakcyjna.

- A jeśli ci nie wierzę? Nie wierzę, że nie jesteś zainteresowana moimi pocałunkami. Przez cały dzień wodziłaś za mną oczami.

- Odpowiem ci szczerze. Tak, rzeczywiście tak było. Nie spuszczałam cię z oczu. Strzeżonego Pan Bóg strzeże... - zawiesiła głos.

- Nie zwiedzisz mnie. Wyobrażałaś sobie te pocałunki.

Shey nawet nie raczyła odpowiedzieć. Prychnęła tylko i znowu się roześmiała.

Dobrze, że nigdy nie miał problemów z poczuciem własnej wartości, bo inaczej mógłby się teraz załamać.

- Nie wiem, po co zawracam sobie tym głowę - rzekł. - Jesteś najbardziej wkurzającą dziewczyną, jaką dotychczas spotkałem. Nawet nie ma porównania do mojej ostatniej partnerki. Dlatego, jak bardzo ta rozmowa nie byłaby interesująca, muszę się pożegnać - dodał szyderczo.

Shey przestała się uśmiechać. Nagle zrobiła się bardzo poważna.

- Nadal zamierzasz tropić Parker, prawda?

- Może - odparł Tanner, wzruszając ramionami.

- W takim razie ja idę z tobą - oznajmiła i rzuciła ścierekę. - Tammy, wychodzę.

- Nigdzie nie idziesz - zaproponował Tanner.

- Nie ma sprawy - powiedziała Tammy i dodała: - Miło mi było pana poznać.

Shey pomachała do niej na pożegnanie, po czym uśmiechnęła się do Tannera.

- Owszem, idę z tobą. To mi się od ciebie należy.

- Skąd taki dziwny wniosek?

- Nie tylko odebrałam cię z lotniska, ale jeszcze cię przemocowałam. Nawet dałam ci narzutę i poduszkę z własnego łóżka.

To wyjaśnia ten zapach, pomyślał Tanner.

- Teraz odbieram swoje. Jadę z tobą.
- Niech ci będzie. - Tanner chciał tonem wyrazić rozczarowanie, jednak jakoś nie bardzo mu to wyszło.
- Dokąd jedziemy? - zapytała Shey.
- Zobaczysz. To niespodzianka.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie powiem, żeby mnie to specjalnie zaskoczyło - wymamrotała Shey, kiedy już siedzieli w saloniku w hotelowym apartamencie Tannera. - Choć to niezłe szpanerstwo. Większość ludzi cieszy się, gdy ma w pokoju telewizor podłączony do kabla. Ty wynająłeś sobie całe piętro hotelu. Ten apartament jest większy od mojego domu.

- Byłem u ciebie, więc wiem, że nie tak trudno znaleźć lokum większe od twojego mieszkania. - Spodziewał się, że zdenerwuje ją tym stwierdzeniem. I nie zawiódł się.

Popatrzyła na niego zjadliwie.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, zamierzałeś szukać Parker? Po to wyszliśmy z kawiarni. Czyżbyś zrezygnował? - w jej głosie zabrzmiała nutka nadziei.

- Zamierzałem rozpocząć poważne poszukiwania, ale po męczącym dniu pod okiem despotycznej szefowej muszę chwilę odetchnąć i coś przegryźć - wyjaśnił Tanner.

Shey miała rację, powinien wszystko rzucić i szukać Parker. Im szybciej się z nią rozmówi, tym lepiej. Przekona ją, że to małżeństwo ma rację bytu, że wszystko za tym przemawia.

Powinien się ruszyć, ale jakoś nie mógł się przemóc. Sam nie wiedział, dlaczego. Może jutro pójdzie mu lepiej.

- W takim razie, skoro nie idziesz jej szukać, ja zbieram

się do domu - odezwała się Shey. Po tonie jej głosu poznał, że takie rozwiązanie jest jej bardzo na rękę.

W żadnym wypadku nie powinien jej zatrzymywać, ale nie mógł się oprzeć, by się z nią nie podroczyć.

- Jak sobie chcesz. Ale skąd wiesz, czy po kolacji jednak nie wybiorę się na poszukiwania?

Shey westchnęła ciężko. Milczała. Siedziała na kanapie i patrzyła w okno, za którym rozciągał się wspaniały widok na zatokę. Jednak Tanner wcale nie miał pewności, czy w tej chwili Shey rzeczywiście zachwycą się światłami odbijającymi się w ciemnej tafli wody.

O czym ona sobie teraz myśli? - zastanawiał się.

W pokoju za ścianą Emil, Peter i Tonio grali w pokera. Zapraszali go nawet do gry, ale nie miał ochoty. Wciąż wisiła nad nim konieczność rozmowy z Parker. Jutro z nią pogada. Jutro ją przekona, by wracała z nim do Europy.

Jak to kobieta potrafi skomplikować najprostszą rzecz!

Naprawdę istniały wszelkie przesłanki ku temu, by ich małżeństwo było udane. Jeśli tylko uzyska możliwość porozmawiania z Parker na poważnie, przekona ją.

Wychowała się w rodzinie panującej, więc doskonale wie, z czym to się wiąże. Już jako nastolatka na własnej skórze przekonała się, do czego są zdolne media, byle tylko dostarczyć sensacji swoim widzom i czytelnikom. Doświadczyła życia osoby publicznej, której każdy krok jest skrupulatnie obserwowany, opisywany i oceniany.

A ponadto wychowała się w kochającej rodzinie. Rodzina, czyli to, co jemu było tak potrzebne do szczęścia, stanowiła dla niej ogromną wartość.

W młodości kilka razy jeździł do Eliason. Już wtedy był

pod urokiem rodziców Parker. Robili wszystko, by ich dzieci miały normalne życie. Łączyły ich głębokie rodzinne więzy.

I to był jeden z powodów, dla których przystał na plany swego ojca.

Marzył o rodzinie innej niż jego. O takiej, jaką miała Parker. Oddanej sobie, pełnej ciepła. Na miłość nie liczył, ale miał nieśmiałą nadzieję, że może choć w niewielkim stopniu zazna takiej bliskości i oddania. To byłaby jego ucieczka przed trudami rządzenia krajem i bycia osobą publiczną.

Parker jest wymarzoną kandydatką na żonę. To najbardziej logiczny wybór. W dodatku znają się od dziecka, przed laty nawet się przyjaźnili. To już jest jakiś początek, mają od czego zacząć.

Może nie będzie to małżeństwo z miłości, jednak bardzo wiele ich łączy. Podobne pochodzenie, wychowanie, dziecięca przyjaźń. Z czasem może pojawi się coś więcej, może zrodzi się między nimi uczucie.

To dlatego w końcu przyznał ojcu rację i zgodził się na jego plan.

- Mój dom jest wystarczająco duży - głos Shey wybił go z tych rozmyślań.

- Twój dom? - zapytał, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi. Po chwili przypomniał sobie swój kiepski dowcip.

- Parker nieraz opowiadała, że warowne zamki wcale nie są takie rewelacyjne, jak się powszechnie uważa - mruknęła Shey.

Dopiero teraz Tanner zdał sobie sprawę, że swoją nieprzemyślaną uwagą zrobił dziewczynie przykrość.

- Przepraszam. A Parker ma świętą rację. Zamki nie są takie ciekawe, jak się zazwyczaj sądzi.

- Ona nie zgodzi się z tobą wrócić... zresztą bez ciebie również nie. Odpowiada jej życie tutaj.

- Parker może uciekać, ale to nie zmienia faktu, że jest księżniczką. Należy do określonej sfery. Podobnie jak ja.

- Jednak wyjazd z tobą nie wyszedłby jej na dobre. Parker jest dobrze tutaj. Gdyby wyszła za kogoś, kogo nie kocha, obróciłoby się to przeciwko niej. Bardzo by cierpiała. Nie chcę, by do tego doszło. Dlatego póki nie wyjedziesz, jesteś skazany na moje towarzystwo.

- Kto wie, może to wcale nie jest takie złe? - wymamrotał Tanner, sam zaskoczony tymi słowami.

Bo towarzystwo Shey wcale nie było dla niego niemiłe. Co więcej, z każdą chwilą odpowiadało mu coraz bardziej.

Shey roześmiała się w głos, wytrącając go z marzycielskiego nastroju.

- Nie jest złe? Raczej fatalne! Jeszcze trochę, a nie będziesz mógł na mnie patrzeć!

- Zobaczymy - powiedział przekornie.

- No dobrze, póki co, czy ci to pasuje, czy nie, idę do twoich ochroniarzy. Może dadzą mi trochę pograć.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Tanner patrzył, jak znika w sąsiednim pokoju. Od razu znalazło się dla niej wygodne miejsce.

Ciągnęło go, by się do nich przyłączyć. Nie, żeby pograć, lecz żeby być bliżej Shey.

Gra trwała w najlepsze, a Shey czuła się coraz bardziej za pan brat z jego obstawą.

- Strit - oznajmiła. - To lubię - dodała ze śmiechem.

- Jesteś mężatką? - z nadzieją w głosie zapytał Peter. Był

odwrócony tyłem, ale Tanner doskonale wyobrażał sobie jego minę.

- Nie. I nie mam zamiaru wychodzić za męża.

- No wiesz! Taka piękna dziewczyna jak ty powinna jak najszybciej wyjść za męża... - powiedział Tonio.

Tonio wyjechał z takim tekstem? To do niego zupełnie niepodobne. Peter, owszem, to flirciarz. Ale Tonio? Zawsze był spokojnym, poważnym facetem. Mimo potężnej postury wykazywał wobec kobiet pewną nieśmiałość. Hm, cóż, widać nie dotyczyło to Shey.

- .. i mieć dużo dzieci - dokończył.

Shey wybuchnęła śmiechem.

- Nie wydaje mi się, by mi to było pisane. Odpowiada mi takie życie, jakie prowadzę. Poważne związki często tylko wszystko komplikują.

- A niepoważne? - zagadnął Peter.

- O, takie mogą być. Jak najbardziej - odparła Shey.

Flirtuje z nim. No nie!

Tanner miał już tego dość. Wstał i wszedł do pokoju ochrony.

- Myślę, że już wystarczy na dzisiaj.

Mężczyźni zaczęli składać karty, za to Shey popatrzyła na niego groźnie.

- Słucham?

- Powiedziałem, że na dzisiaj wystarczy tych kart. Jutro moich ludzi czeka wyczerpujący dzień. Muszą odnaleźć moją narzeczoną.

Shey ponownie spiorunowała go wzrokiem. Energicznie podniosła się.

- Dzięki za grę. To były najprzyjemniejsze chwile dzi-

siejszego dnia. - Popatrzyła zuchwale na Tannera i dodała:
- Wczorajszego również.

Ochroniarze, zerkając na Tannera pytająco, pożegnali się i poszli do swoich pokoi.

- Pięknie, panie Psuju. Jesteś nadęty, bo nie poszedłeś szukać Parker, więc się na wszystkich odgrywasz.

Tanner próbował znaleźć w pamięci jakąś ciętą replikę, jak za czasów, gdy studiował w Bostonie. Przez cztery lata uczył się na Harvardzie. To były piękne czasy. W pewnym sensie miał zapewnioną anonimowość, co dawało mu poczucie wolności, której tak mu brakowało w codziennym, podporządkowanym ścisłym rygorom życia.

Shey mimowolnie przypominała mu ducha tamtych dni. Wolna, zuchwała, ekscytująca.

Była jak tchnienie świeżego, rześkiego powietrza. Przy niej przypomniawszy sobie wreszcie, jak oddycha się pełną piersią.

Jazda na motorze, gdy obejmował ją mocno, bardziej dla przyjemności niż z obawy, że spadnie... Shey była wyjątkową, atrakcyjną dziewczyną. I chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Przypomniawszy sobie, jak spał na kanapie w jej salonie, otulony narzutą przepojoną jej zapachem. Ze świadomością, że ona jest w sypialni na piętrze.

Nie chciał być świadkiem jej mizdrzenia się do Petera, bo kiepsko się z tym czuł.

Oczywiście nie powie jej tego.

- Powiedzmy, że nie jestem jakoś szczególnie zachwycony.

Shey mimowolnie uświadamiała mu też, że wyjeżdżając z Bostonu, zostawił tam część samego siebie - to cudowne poczucie wolności. Którego ona była uosobieniem.

Tak, nie jest zachwycony. Ani trochę.

Shey uśmiechnęła się szeroko.

- To może znaczyć tylko jedno: że dobrze się staram.

- Wygodnie ci? - zapytał Tanner. Nadal był jakby nieobecny, może zamyślony.

To były pierwsze słowa, które wypowiedział do niej po tym, jak stwierdziła, że dobrze się stara. W jej zamierzeniu miał być to żart, ale Tanner najwyraźniej wziął je sobie do serca.

Wprawdzie nieustannie próbowała przekonać go, by zrezygnował ze swoich zamierzeń, jednak to jego wycofanie trochę ją zdeprimowało.

Nim poszła do łazienki, Tanner bez słowa podał jej jedwabną piżamę, o wiele na nią za dużą, ale gdy już się w nią ubrała, musiała przyznać, że czuła się fantastycznie i seksownie. Jedwab był wspaniale gładki, miękki i chłodny. Pełna dekadencja. Do tej pory Shey z upodobaniem ubierała się w skórę i dzins, ale teraz w skrytości ducha zaczęła się zastanawiać, czy może nie kupić sobie czegoś jedwabnego.

Najlepsza będzie jedwabna bielizna. Coś, o czym nikt poza nią nie będzie wiedzieć, więc jej wizerunek twardej dziewczyny nie ucierpi.

A teraz bardziej niż kiedykolwiek musi o to zabiegać. Jeśli Tanner dostrzeże jakąś ryś, może to wykorzystać. Kto wie? Jej zadaniem jest utrzymanie go z daleka od Parker i wyrobienie w nim przekonania, że nic tu nie zdziała i może spokojnie wracać do domu. Sam, bez narzeczonej.

Dzisiejszy dzień okazał się znacznie lepszy, niż się na to zносиło. Tanner świetnie sprawdził się w kawiarni, Shey nie miała z nim *żadnego* problemu. Wieczorna gra w po-

kera też była miłą rozrywką. Ochroniarze Jego Wysokości okazali się całkiem przyjemnymi ludźmi. Poza tym stanowili coś w rodzaju buforu między nią a księciem.

Peter prawie przez cały wieczór z nią flirtował, ale Shey nie odbierała tego osobiście. Po prostu facet miał taki charakter, nie potrafił się powstrzymać. Trudno było brać mu to za złe.

Emil też jest chłopakiem całkiem do rzeczy. No i ma zaraźliwy śmiech.

Tonio wydaje się najbardziej poważny z nich trzech, ale pod koniec i on zaczął się rozluźniać. Póki Tanner ich nie wykopał.

Shey nie chciało się wychodzić z łazienki. Dość miała na dzisiaj towarzystwa księcia. Najchętniej, poszłaby sobie teraz do domu. Bała się jednak, że gdy tylko wyjdzie, Tanner wyruszy na poszukiwania Parker. Tak jak to zapowiedział.

Zrobiła głęboki wdech i otworzyła drzwi.

Tanner stał przy kanapie, ale gdy tylko Shey pojawiła się w drzwiach, wbił w nią wzrok. Shey pospiesznie popatrzyła po sobie. W porządku, było dokładnie tak, jak myślała. Za duża piżama skutecznie maskowała jej kobiecość.

A zatem Jego Wysokości chodzi o coś innego. Przez cały dzień przyłapywała go na tych dziwnych spojrzeniach. Na początku denerwowało ją to, potem machnęła ręką, ale teraz zrobiło się jej jakoś ciepło na sercu.

- Słucham? - zapytała.

- Pytałem, czy będzie ci wygodnie. - Jego głos też brzmiał dziwnie. Łagodnie, niemal pieszczotliwie.

Minęła go i usiadła na kanapie.

- Będzie, jeśli przestaniesz gapić się tak na mnie.

- To cię krępuje? - zapytał, pochylając się nad nią. Jego oczy znalazły się teraz na poziomie jej twarzy. Uśmiechał się lekko.

Nigdy mu tego nie powie, ale ma piękny uśmiech. Gdy się uśmiecha, śmieją się nawet jego oczy.

Nie chciała, by tak się w nią wpatrywał. I by sprawiało mu to przyjemność.

- Nie mam zamiaru droczyć się teraz z tobą. Zrobiło się późno. Pora iść do łóżka.

- Zapraszam do mojego - rzekł, uśmiechając się prowokacyjnie.

Nie mogła się nie roześmiać.

- Przykro mi, księżę, ale chyba sobie daruję.

- Psuj - odciął się, powtarzając jej określenie. Wyprostował się i ruszył do swojego pokoju.

- Tanner? - zawołała za nim.

- Tak? - Odwrócił się.

Sama była zaskoczona swoimi słowami.

-Brakuje ci jej?

- Kogo?

-Tej kobiety, o której wspomniałeś. Twojej ostatniej dziewczyny, która była cholernie irytująca, ale ja ją przebiłam. Tęsknisz za nią? Brakuje ci kogoś bliskiego? Domyślałam się, że nie jest ci łatwo kogoś poznać. To znaczy kogoś, kogo nie pociągają tylko twoje tytuły i majątek. To samo jest z Parker. Zawsze miała takie obawy.

- Mówiła ci o tym?

- Może nie zwierzała mi się z detalami, ale jesteśmy przyjaciółkami, więc nie potrzeba wielu słów, by wiedzieć, w czym rzecz. To jak, tęsknisz za *swoją ostatnią dziewczyną*?

- Nie - odparł Tanner. - Tamten układ i tak trwał dłużej, niż powinien. To była pomyłka, od samego początku. Stephana widziała się w roli damy brylującej na salonach, podczas gdy rzeczywistość... - urwał.

- To ciężka praca - dokończyła za niego Shey.

- Właśnie. Masz rację, mówiąc, że kobiety, z którymi się stykam, widzą we mnie przede wszystkim przyszłego króla. Nieważne, jaki naprawdę jestem. Marzy się im rola księżnej, ale nie mają pojęcia, z czym to się wiąże. Dlatego Parker jest wymarzoną kandydatką na moją żonę. Doskonale wie, jaki jest los księżniczki i co znaczy, stale być na świeczniku.

- Tak, ona to wie, ale nie chce takiego życia.

Tanner wzruszył ramionami.

- Jak już wcześniej powiedziałem, to mój obowiązek względem kraju. Parker byłaby idealną księżną, ma duże doświadczenie w tej mierze. Stephana natomiast spodziewała się bogactwa i luksusu, podczas gdy, jak sama podkreśliłaś, takie życie to ciężka praca. Nieustające służbowe podróże, spotkania, oficjalne uroczystości. Stale coś musisz robić, żyjesz w nieustannym w pogotowiu. Dodaj do tego dyplomację, filantropię, historię, ba, nawet zapewnienie królewskiemu rodowi ciągłości.

- Jasne, z Parker wszystko byłoby prostsze. Wiele zagrożeń od razu by odpadło. Ona nie musi walczyć o tytuły czy bogactwo.

- No właśnie - potwierdził Tanner. - To co, pomożesz mi? Proszę...

- Chciałabym powiedzieć, że tak. Teraz bardziej rozumiem twoje podejsście, jednak nadal mam inne zdanie. Dla

ciebie Parker jest tylko idealnym wyjściem. Niestety, ona nie myśli w ten sam sposób. Bo ona wcale nie chce takiego życia, jakie czekałoby ją przy twoim boku.

- To jej przeznaczenie. Urodziła się do tego - nie zrażał się Tanner.

- Jednak wybrała inną drogę.

- Czasami człowiek nie ma wyboru.

- To prawda. Ale jest i druga strona medalu: jeśli nie dostajesz tego, na czym ci zależy, musisz sam po to sięgnąć.

- Czy to odnosi się również do ciebie? Sama sięgnęłaś po to, co było dla ciebie ważne, czy raczej zadowoliliś się tym, co zostało ci dane?

- W moim wypadku było inaczej. Nic nie zostało mi dane, na wszystko sama musiałam zapracować. Na to, kim jestem, jak żyję.

- Było warto?

Shey pomyślała o Carze i Parker, o łączącej ich przyjaźni, o firmie, którą zbudowały od zera.

- Tak - odparła. - Było warto.

Tanner przez chwilę przyglądał się jej badawczo. Shey nie bardzo wiedziała, dlaczego. W końcu uśmiechnął się i lekko skinął głową.

- Dobrej nocy.

- Dobranoc - odpowiedziała.

Gdy tylko poszedł do swojego pokoju, podniosła się, podeszła do drzwi i powiesiła na kłamce swoje klucze. Jeśli ktoś spróbuje otworzyć, zadzwieczą. Wtedy powinna się obudzić. Bo jednak musi choć trochę się przespać.

Kto by pomyślał, że deptanie księżciu po piętach może być takie męczące?

Nazajutrz po południu Tanner definitywnie zmienił: zdanie. Poprzedniego wieczoru był pewien, że wreszcie nawiązała się między nimi nić porozumienia, że Shey zaczyna rozumieć jego racje, jednak ten jej zadowolony uśmiezek mówił sam za siebie. Siedzieli naprzeciw siebie w niewielkiej łódce. Shey pomachała do niego.

Całkiem dobrze się bawiła. Jego kosztem.

Ledwie wstali, zaproponowała, by wypłynąć na zatokę i zjeść śniadanie na łódce Cary. Cara już wcześniej dała jej klucze. Potem Tanner miał wyruszyć na poszukiwanie Parker.

Wiedział, że powinien odmówić. W hotelu był na swoim terenie, pod bokiem miał swoich ludzi, bez trudu mógł pozbyć się Shey i skończyć wreszcie z tą zabawą w kotka i myszkę.

Jednak nie zrobił tego. Przyjął jej propozycję.

Nie powinien był jej zaufać. Z kobietami najlepiej mieć się na baczności.

Na szczęście on jest sprytniejszy. Dotknął dłonią ukrytej w kieszeni komórki i powstrzymał uśmiech. Teraz musi zająć czymś Shey, póki nie przybędą posiłki.

- Napraw go - powiedział po raz kolejny. Nie musiał pokazywać, o co mu chodzi. Niewielki silnik umocowany na rufie milczał jak zaklęty. Oczywiście, to sprawka Shey. Wszystko sobie zaplanowała.

Shey zrzuciła sandałki, popatrzyła na Tannera i odpowiedziała:

- Nie mogę.

Znowu ten jej uśmiezek. Krew zaszumiała mu w żyłach, a serce zabiło szybciej. To ze złości.

No bo jaki mógłby być inny powód?

- Popsułaś coś - rzucił oskarżycielsko.

- Tak? Ciekawe, jak mi to udowodnisz. - Odwróciła się i zaczęła machać nogą za burtą. Była całkowicie rozluźniona... i seksowna.

Co za bzdury przychodzą mu do głowy! Wcale nie jest seksowna. Nie powinien w ten sposób o niej myśleć.

- Niczego nie muszę ci udowadniać. Ja to wiem - rzekł z przekonaniem.

Jest seksowna... Nie, nie seksowna, poprawił się szybko, choć mimowolnie się spał. Jest irytująca. Wydaje się taka zrelaksowana i swobodna, kiedy tak beztrudno macha nogami.

Niewielka fala uderzyła o burtę, ochlapując siedzącą dziewczynę. *Shey wcale się tym nie przejęła.* Odwróciła się do księcia.

- Możesz coś wiedzieć, ale musisz to jeszcze udowodnić. A to dwie różne rzeczy. Tak stanowi prawo. Nie wiem, jak jest w Amarze, ale u nas obowiązuje zasada domniemania niewinności. Póki coś nie zostanie ci udowodnione, jesteś niewinny.

- Mam wrażenie, że ty już od dawna nie jesteś niewinna. - Wprawdzie był na nią zły, jednak miał to być tylko żart. Shey natychmiast przestała się uśmiechać, a na jej twarzy pojawił się nowy wyraz. I nie był to wyraz gniewu, choć Tanner wołałby, żeby się rozgniewała. Shey poczuła się dotknięta.

W ciągu ich krótkiej znajomości już tyle razy był na nią taki wściekły, że chętnie skreśliłby jej kark, ale naprawdę nigdy nie zamierzał jej urazić.

- Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało - powiedział, zniżając głos.

- Oczywiście, że chciałeś. Wiadomo, co powszechnie myśli się na temat dziewczyn, które jeżdżą motorem i mają tatuaż.

Te gorzkie słowa uzmysłowiły mu, że pewnie nie pierwszy raz została tak oceniona. Zaszufiadkowana zgodnie ze stereotypem.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale tak pomyślałeś. - Shey odwróciła się i zanurzyła nogi w wodzie.

- A domniemanie niewinności? - nie poddawał się Tanner. - Naprawdę nie chciałem, byś to tak odebrała.

- W porządku.

Spróbował zmienić temat, by choć trochę poprawić jej nastrój.

- Jaki masz tatuaż?

- Nie twój interes - odcięła się, ale złość powoli jej przechodziła.

- Gdzie go masz? - dociekał dalej. - Mogę sam zobaczyć, co przedstawia. Nie ma sprawy.

Shey odwróciła się do niego i odpowiedziała ostro:

- Nie wydaje mi się.

Na jej twarzy pojawił się jednak cień uśmiechu. Tanner odetchnął lżej.

- Proszę cię - nalegał.

- Myślałam, że księżęta nie proszą, a wydają rozkazy.

- Księżę nie tylko potrafi czasem poprosić, ale umie też przeprosić. Jak na przykład ja teraz. Przepraszam cię, posunąłem się za daleko. Jeździsz motorem, masz tatuaż, którego nie chcesz pokazać, ale te dwie rzeczy to nie wszystko, co mogę o tobie powiedzieć.

- A co jeszcze możesz powiedzieć? - zapytała Shey.

- Jesteś oddaną, lojalną przyjaciółką, gotową w imię przyjaźni zrobić wszystko. Nawet nie spuszczać mnie z oka i nie odstępować na krok.

- Uściślijmy: najpierw to ty nie chciałeś się ode mnie od-czepić. Poza tym może nie jesteś taki odpychający, jak początkowo sądziłam.

- Muszę przyznać, że poczyniłam podobne spostrzeżenia na twój temat.

- To chyba powinniśmy mieć się na baczności - powiedziała Shey, uśmiechając się szeroko. - Bo jeszcze trochę, a staniemy się towarzystwem wzajemnej adoracji.

- Nie wiem, czy to właściwe określenie - rzekł Tanner, lecz ledwie wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że nie są dalekie od rzeczywistości.

Był pod urokiem Shey.

A nawet coś więcej... ona naprawdę mu się podobała.

Może to niezbyt dokładny opis stanu jego uczuć, ale nie zamierzał teraz zagłębiać się w swoje emocje.

Podobało mu się, że Shey zawsze wie, czego chce. Ma własne zdanie, nie boi się mówić wprost, co myśli. Jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Dobrze się przy niej czuł.

Jednak teraz, choć znajdowali się na szerokich wodach zatoki, miał dziwne poczucie ograniczenia.

- Długo zamierzasz mnie tu więzić? - zapytał.

- Może póki nie dojdiesz do wniosku, że nic tu po tobie, i wreszcie zdecydujesz się wrócić do Amaru.

Tanner pokręcił głową.

- To się nie stanie nigdy, a przecież nie możesz w nie-skończoność trzymać mnie na jeziorze.

- Fakt, jednak przytrzymam cię wystarczająco długo, by Parker zdążyła prysnąć.

- I co będziemy przez ten czas robić?

- Podziwiać piękne widoki - odparła, uśmiechając się i wskazując ręką na otaczający ich krajobraz.

Nie skomentował jej słów, miał jednak przeczucie, że każde z nich będzie podziwiać co innego.

Jego dziwne spojrzenie dało jej do myślenia. Wołałaby, żeby tak na nią nie patrzył. Obudził w niej niepokój.

- Popatrz tam - rzekła, starając się ukryć zdenerwowanie. - Tam do samego brzegu dochodzi miasto. Z drugiej strony znajduje się Presque Isla, naturalny półwysep z cudownymi plażami. Można stamtąd podziwiać wspaniałe zachody słońca albo wybrać się na przejażdżkę pontonem po lagunach. Cały teren, ze względu na bogactwo flory i fauny, jest pod ochroną jako park stanowy. Niektóre gatunki występują wyłącznie tutaj.

- To może wybierzemy się tam razem. Oczywiście pod warunkiem, że da się uruchomić łódkę, a ty nie zamierzasz zaraz wracać ze mną do Erie - powiedział Tanner, przyglądając się jej przenikliwie.

- Nie dam się na to nabrać! - roześmiała się Shey. - Liczysz, że w parku spotkamy strażnika i doniesiesz na mnie, że cię wprowadziłam.

- A nie przyszło ci czasem do głowy, że twój opis półwyspu zaintrygował mnie i obudził chęć, by go zobaczyć na własne oczy?

- Jakoś nie - odparła Shey.

Lubiła się z nim przekomarzać. W ogóle coraz bardziej od-

powiadało jej jego towarzystwo, choć było to dziwne i wcale nie na rękę. Lepiej jednak nie zastanawiać się teraz nad tym. Tanner już wkrótce wyjedzie i sprawa się zakończy.

- No dobrze, może nie chodzi mi tylko o podziwianie krajobrazów - przyznał Tanner. - Miałem nadzieję, że gdy znajdziemy się na plaży, zechcesz trochę popływać.

- Nic z tego. Nie mamy kostiumów - oświadczyła kategorycznie Shey. Rano wprawdzie podjechali do niej, by mogła wziąć szybki prysznic i przebrać się w świeże ubranie, ale nie pomyślała o stroju plażowym.

- Kupię ci bikini - zaproponował Tanner, uśmiechając się psotnie. Wyglądał teraz jak chłopiec przekomarzający się, kto zje ostatnie ciasteczko.

- Jasne - odparła z przekąsem.

- Chciałbym zobaczyć cię w bikini. - Znowu uniósł brwi.

Shey nie mogła się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Nic z tego, spryciarzu. Nie jestem z tych, co noszą bikini.

- Może raz zrobisz wyjątek? Chciałbym zobaczyć twój tatuaż. - Urwał na chwilę. - Chyba będzie widoczny, gdy włożysz kostium?

- Nie zamierzam wystąpić w bikini, więc się tego nie dowiesz. Przykro mi, że cię rozczarowałam. Jak się domyślam, księżę raczej nie jest przyzwyczajony, że mu się odmawia, ale temat bikini uważam za wyczerpany.

- Na pewno nie dasz się przekonać?

- Na pewno - potwierdziła.

- Może coś za coś? - kusił.

Shey zastanowiła się przez moment.

- Czemu nie. Odpuścisz sobie ten idiotyczny pomysł

ślubu z Parker i dasz jej spokój, a wtedy nie tylko ci powiem, gdzie mam tatuaż, ale nawet ci go pokażę.

Nieoczekiwanie Tanner spoważniał.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić - powiedział.
- Wiem, że nie chcesz, a to różnica.
- Czyli mamy pat? - zapytał miękko.
- Uhm.

Przez kilka minut dryfowali w milczeniu. Shey rzucała na Tannera ukradkowe spojrzenia. Miał skupioną minę, jakby roztrząsał coś w duchu. Nawet nie zauważał piękna natury.

Shey uwielbiała tę okolicę. Kochała zapach wody, ciepło słońca na skórze, odgłosy...

- Zadzwoiłem, by ktoś po mnie przyjechał - nieoczekiwanie odezwał się Tanner. - Mam ze sobą komórkę. Moi ludzie pewnie już wynajęli łódkę i są w drodze.

- W takim razie chyba jednak zabiorę cię na wycieczkę po lagunach - oświadczyła w odpowiedzi Shey.

Nie chciała, by ochroniarze zaraz go stąd zabrali. Chodziło jej o Parker... tylko i wyłącznie.

W ten sposób przekonywała samą siebie. Jednak myśl, że ten dzień wkrótce się skończy i Tanner pójdzie swoją drogą, budziła poczucie... chyba rozczarowania?

- Będziemy się ukrywać? - zapytał spokojnie.
- Zgadłeś.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Shey popatrzyła na zegarek. Czas mijał szybko. Zrobiło się późno.

Przeniosła wzrok na siedzącego obok niej księcia. Usnął już jakiś czas temu i wciąż smacznie spał.

Skierowała łódkę w stronę półwyspu. Gmatwanina lagun i zatoczek to doskonałe schronienie przed ścigającymi ich ludźmi Tannera. Tutaj na pewno szybko ich nie znajdą.

Słońce z trudem przebijało się przez wiszące nad wodą chmury i nie prażyło zbyt silnie. Na pewno się nie spieką. Było ciepło i parno. Wymarzona pogoda na popołudniową drzemkę.

Sama też chętnie by się zdrzemnęła, wtuliwszy się w księcia. Tanner tak przyjemnie pachnie. Świeżością, czystością... naprawdę z trudem opierała się pokusie.

Stop. Nie ma nawet mowy. To ostatnia rzecz, na jaką mogłaby sobie pozwolić. Nie dość, że facet jest nieźle zakrecony, to jeszcze uważa się za narzeczonego jej najlepszej przyjaciółki.

- Zrobiło się późno - odezwała się, szturchając go w bok.
- Pora wracać.

Księżę usiadł i jeszcze nie całkiem rozbudzony zapytał:

- Późno?

- Tak. Zabawa w chowanego z twoimi goryłami to całkiem niezła rozrywka, ale pora się zbierać - powiedziała.

Dla niej to też był nadspodziewanie przyjemny dzień. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak miło spędziła czas wolny od pracy.

Cara często wypływała łódką i zaszywała się z książką w jakiejś lagunie. Nieraz namawiała Shey na taką wyprawę, ale jak do tej pory bezskutecznie.

Może od dziś Shey nie będzie już odmawiać przyjaciółce.

- Mam spotkanie, na które nie chcę się spóźnić - oznajmiła Tannerowi. - Dlatego musimy wracać.

- Masz randkę? - zapytał, mrużąc oczy.

- Spotkanie - powtórzyła rzeczowo.

- Jakiego rodzaju spotkanie? - nalegał.

Zastanawiała się nad odpowiedzią. Chciałbyś wiedzieć, co? - chodziło jej po głowie, jednak uznała, że to zbyt dziecinna odzywka.

- Podrzucę cię do portu. Twoi goryle z przyjemnością cię stamtąd odbiorą.

Nie mogła się oprzeć pokusie, by się z nim nie podroczyć, choć tak naprawdę nic nie miała do jego ochroniarzy. Wczoraj wieczorem absolutnie się do nich przekonała. Grało się z nimi całkiem miło.

Tanner milczał, gdy skierowała łódkę w stronę portu.

Wpatrywał się w Shey z dziwnym wyrazem twarzy.

Kiedy dopłynęli do brzegu, Shey wysiadła z łodzi i przycumowała ją do nabrzeża.

- Było bardzo miło - powiedziała, robiąc krok do tyłu.

Tanner milczał.

Do diabła, podczas wspólnej przejażdżki księżę chyba przeżył coś w rodzaju załamania nerwowego.

Zaraz, jak określa się kogoś, z kim nie ma żadnego kontaktu?

Katatonik?

Chyba coś w tym stylu.

Shey weszła ponownie na pokład i zbliżyła się do księcia.

- Dobrze się czujesz? Przez całą drogę byłeś jakiś dziwny.

- Sam nie wiem - odpowiedział wolno.

- Nie wiesz, czy zachowujesz się dziwnie, czy nie wiesz, jak się czujesz?

Nadal nic nie mówił, tylko wpatrywał się w nią uporczywie.

- Zadzwońię po pomoc - zdecydowała Shey. Chyba rzeczywiście coś z nim nie tak. Czy za doprowadzenie księcia do takiego stanu grozi więzienie?

- Oni mi nie pomogą - powiedział nieco pewniej Tanner, choć jego głos nadal był bardzo zmieniony.

- W takim razie kto może ci pomóc? - zapytała.

- Ty. Tylko ty.

Nim Shey się spostrzegła, przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach.

Zaczęła się wyrывać, próbując oswobodzić się z jego uścisku, gdy nagle jej wzrok napotkał spojrzenie ciemnobrązowych, otoczonych czarnymi obwódkami oczu. Oczu, które mogą coś ukrywać.

Co kryło się za tym spojrzeniem? Kim jest ten człowiek?

Shey nie odrywała od niego wzroku i z każdą chwilą coraz bardziej zatapiała się w magicznym blasku jego oczu. Przestała się wyrывać.

Nagle coś ją tknęło. Zrobiło się jej gorąco.

Tanner jej pragnie, zobaczyła to w jego oczach. Nawet nie usiłował tego ukryć.

I ona czuła dokładnie to samo.

Musnęła ustami jego wargi. Przelotnie i lekko, jak tchnienie wiatru od zatoki. Jednak to wystarczyło, by zapragnęła więcej.

Nigdy nie należała do kobiet, które zastanawiają się i czekają. Jeśli czegoś chciała, sięgała po to od razu, nie rozważając żadnych za i przeciw. Zawsze była żywiołowa i spontaniczna.

A teraz zapragnęła jego ust.

Zapomniała, że jest księciem, że już ma swoją księżniczkę. Otoczyła go ramionami i pocałowała namiętnie.

Tanner nie kazał się prosić. Odwzajemnił pocałunek.

Nagle Shey oprzytomniała. Dość. Są jakieś granice. I pragnienia, na które nie można sobie pozwolić.

Cofnęła się.

- Przepraszam, muszę już iść - powiedziała, zeskakując z jego kolan i wychodząc na pomost.

Musi zmyć się stąd jak najszybciej.

- Do zobaczenia, książę! - zawołała, nie odwracając się. Miała nadzieję, że głos jej nie zdradził, bo prawie nie mogła złapać tchu.

- Do widzenia, Shey. Chciałbym powiedzieć, że było miło, ale się powstrzymam. Powiem tylko, że było ciekawie.

Nie odwróciła się. Zawsze starała się mieć ostatnie słowo, ale tym razem darowała sobie. Pragnęła tylko jednego - jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od Tannera.

No właśnie, na tym polegał problem. Tanner. Teraz nie myślała już o nim jak o księciu.

Szła przed siebie, powtarzając w duchu „książę, książę, książę”, jakby chciała sobie to utrwalić. Co z tego, że tak świetnie całuje, skoro jest całkowicie poza jej zasięgiem.

Minęła swojego harleya. Do umówionego spotkania miała jeszcze godzinę, nie musiała się spieszyć. Pójdzie do biblioteki na piechotę, a potem wróci po motor.

Spacer dobrze jej robi. Ochłonie i zapomni, że kiedykolwiek miała do czynienia z Tannerem... z księciem.

A może nawet uda się jej znaleźć wyjaśnienie swojego zachowania. Dlaczego go pocałowała?

No nie, akurat na to pytanie odpowiedź była dziecinnie prosta. W ogóle wtedy nie myślała, tak zwyczajnie. Bo gdyby choć chwilę się zastanowiła, na pewno by do tego nie doszło. Zdecydowanie nie powinna całować Tannera.

Zwolniła jeszcze bardziej. Właściwie wlokła się noga za nogą, wpatrując się w rozciągającą się przed nią zatokę.

Parker na pewno przez ten czas znalazła sobie kryjówkę i jest już bezpieczna.

Shey przytrzymała księcia, ile mogła. I wystarczy.

Teraz niech Parker się z nim buja. Niech się z nim szczerze rozmówi albo niech ukryje się tak, żeby Tanner nie mógł jej znaleźć. W razie potrzeby może przecież poprosić Careę, by teraz ona zajęła się księciem. Shey już zrobiła swoje. I na tym koniec.

Zatrzymała się raptownie. Instynktownie wyczuła, że ktoś ją śledzi. Nawet nie musiała się odwracać. Wiedziała, kto za nią idzie.

- Hej! - z uśmiechem odezwał się Tanner.

- Co ty tu robisz? - zapytała nadspodziewanie ostro. Na-

wet dla niej samej ten ton był zaskoczeniem. - Myślałam, że Wasza Wysokość już siedzi w limuzynie.

- Idę za tobą - przyznał się Tanner najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- To jakaś farsa. Ty śledzisz mnie, ja ciebie. Pożegnajmy się i skończmy z tymi dzieciennymi gierkami. - Shey nie wiedziała już sama, o co w tym wszystkim chodzi. Miała tylko niezbitą pewność, że w ostatecznym rezultacie to ona będzie przegrana.

Nie cierpiała przegrywać.

- Ty coś przede mną ukrywasz - rzekł Tanner. - Znamy się od niedawna, ale czuję, że jest coś, czego mi nie chcesz powiedzieć. To mnie niepokoi. Co to za spotkanie, na które się wybierasz?

- Nie twoja sprawa - odparła Shey i szybko ruszyła z miejsca. Jednak Tanner bez trudu dotrzymywał jej kroku.

- Zostaw mnie w spokoju, bo wezwę policję. Na brzegu zawsze kręci się jakiś patrol. Uprzedzam, nasi stróże prawa nie są zbyt wyrozumiali dla natrętów.

- Mam nadzieję, że zasada domniemania niewinności podziała i tym razem. Poza tym bycie księciem ma pewne plusy. Nie jest ich wiele, ale zawsze. Wprawdzie nie jestem tu z oficjalną wizytą, jednak mogę chyba iść w tym samym kierunku co ty.

- Moim zdaniem powinieneś pójść raczej w przeciwną stronę.

- Raczej nie. O policjantów się nie martw. Jeśli na jakiegoś wpadniemy, przedstawię mu się i powiem, że uprowadziłaś mnie na cały dzień.

- Jesteś najbardziej wnerwiającym facetem, jakiego w życiu

spotkałam - wycodziła Shey przez zaciśnięte zęby, z trudem tłumiąc wesołość. Ledwie się opanowała, by nie uśmiechnąć się od ucha do ucha.

- Mogę odwzajemnić ten komplement - odparł pogodnie Tanner.

- W porządku. - Shey z udaną nonszalancją wzruszyła ramionami. - Chcesz, to chodź ze mną.

- Dokąd idziemy?

- Do biblioteki. To niedaleko. Po drugiej stronie portu.

- Umówiłaś się w bibliotece? - zapytał z niedowierzaniem Tanner.

- Jak w każdą sobotę - odparła Shey.

Tanner wyraźnie czekał, że jeszcze coś doda.

Shey westchnęła.

- Spotykam się tam z Lawrence'em.

- I co wy tam robicie co sobota?

- Nie wiesz, co się zwykle robi w bibliotece? - spytała z przekąsem. - Chyba w twoim kraju są jakieś biblioteki? Prawda! Jakże mogłam zapomnieć! Jako księżę zapewne wyręczasz się innymi. Gdy ci czegoś potrzeba, po prostu rozkazujeś, a przynoszą ci wszystko na tacy.

- Spotykacie się tam i czytacie książki? To chciałaś powiedzieć?

- Bingo.

- Zaraz, coś mi tu nie gra. Najpierw całujesz mnie tak, jakby świat miał za moment się skończyć, potem nagle odchodzisz, zostawiasz swój motor i idziesz kilometr czy dalej do biblioteki, by spotkać się tam z kimś na czytanie?

- Mniej więcej.

- Wyjaśnij mi to! - rozkazał władczym tonem.

Pewnie nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby nie spełnić jego rozkazu. Ale tym razem się pomylił! Nie z nią takie numery! Shey roześmiała się w głos.

- Nie bądź taki książę! Nie jestem twoją poddaną.

- Nawet gdybyś była, pewnie byś nie posłuchała - podsumował z irytacją.

- Zgadłeś. Nie jestem z tych, co lubią się podporządkowywać.

- A jeśli poproszę? - Tanner zmienił taktykę. - Shey, złotko, mogłabyś mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego co sobota umawiasz się z jakimś facetem w bibliotece na czytanie książek?

Shey westchnęła ciężko.

- Lawrence był w pewnym sensie analfabeta. Umiał się podpisać i przesyłabizować podstawowe słowa, ale czytanie, nawet gazet, przekraczało jego możliwości. Spotykam się z nim raz na tydzień, pomagam mu wprawiać się w czytaniu. Jeśli nadal zamierzasz za mną iść, to z góry uprzedzam, że nie pozwolę, byś sobie z niego żartował.

- Jak możesz tak myśleć? Miałbym nabijać się z kogoś, kto stara się wyjść na prostą? - obruszył się Tanner.

Shey wiedziała, że tym razem nieco się zagalopowała. Potrząsnęła głową.

- Nie, na pewno byś tego nie zrobił. Przepraszam.

- Dzięki... przynajmniej za to.

- No to już teraz wiesz wszystko - podsumowała. - Możesz sobie iść.

- Nie mógłbym na ciebie poczekać? Potem odprowadziłbym cię do twojego motoru, a ty podrzuciłabyś mnie do hotelu.

- Przecież przywiozłeś tu ze sobą całą świtę. Czemu nie zadzwonisz po któregoś z twoich ludzi?

Nie zamierzał wyjaśniać, że jazda z ochroniarzem to zupełnie nie to samo, co jazda z nią na motorze.

Włożył ręce w kieszenie.

- Jestem księciem. Robię to, na co mam ochotę. Teraz mam ochotę poczekać.

Słyszał, jak Shey zamruczała pod nosem coś niepochlebnego na jego temat, ale wcale się tym nie przejął. Przeciwnie, uśmiechnął się.

- No to ustalone. Będę czekać - rzekł, doganiając ją.

- Jak ci pasuje. Ale zostaw mnie i Lawrence'a samych.

Więcej się do niego nie odezwała. Gdy weszli do budynku, machnęła do Tannera ręką i poszła na umówione miejsce.

Czekając na jej powrót, Tanner zwiedził bibliotekę. Przez oszklone drzwi widział Shey i Lawrence'a. Siedzieli w czytelnicy. Pochyleni nad niewielkim stolikiem, zaśmiewali się z czegoś.

Lawrence był łysiejącym, brzuchatym mężczyzną pod pięćdziesiątkę.

Shey wydawała się rozluźniona i pogodna. Z uśmiechem zachęcała podopiecznego do kolejnego wysiłku. Tylko gdy napotkała wzrok przechodzącego obok Tannera, jej twarz od razu spoważniała.

Tanner obejrzał bibliotekę, odwiedził nawet miejscowe muzeum, gdzie dowiedział się, jaką rolę odegrało miasto podczas działań wojennych w 1812 roku, po czym wrócił do biblioteki.

Nagle spał się. Wiedział, że Shey stoi tuż za nim.

Nie widział jej, nie czuł nawet jej delikatnego zapachu, po prostu wiedział, że ona jest.

- O co ci chodzi? - zapytała.

To nawet nie było pytanie. Wcześniej zarzucała mu, że zachowuje się władczo, ale ona wcale mu w tym nie ustępowała. Jeśli czegoś chciała, żądała tego. Po prostu.

- Skończyliście? - odpowiedział pytaniem.

- Tak, ale to nie twój interes. - Czuł, że chciała być ostra, ale nie do końca jej się udawało. Oczywiście nie powie jej tego.

- Wracam do domu - oświadczyła, po czym odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- To co, dzisiaj śpimy u ciebie? - zapytał, doganiając ją z łatwością.

- Nie. - Spiorunowała go wzrokiem, ale w jej spojrzeniu nie było już poprzedniego gniewu.

Stosunek Shey do Tannera nieco się zmienił, choć ona pewnie nigdy się do tego nie przyzna.

Postanowił ją przetestować.

- A zatem jedziemy do hotelu? Wiesz, uwielbiam, gdy kobiety same się do mnie wprasza, kiedy wykazują inicjatywę. Mężczyzna ma wtedy poczucie, że jest upragniony.

Nie odpowiedziała, tylko spojrzała na niego jeszcze ostrzej. Tanner zauważył jednak, że kąciki jej ust wyginają się leciutko w tłumionym uśmiechu.

- Znamy się od niedawna, ale cieszę się, że jesteś taka otwarta, nie kryjesz swoich pragnień. Jeśli wolisz iść ze mną do hotelu, to czy mógłbym odmówić? Bierz mnie, jestem twój! - Z emfazą przycisnął ręce do serca.

- Jesteś bardzo zabawny. Naprawdę szkoda, że masz już

określoną misję do spełnienia. Z takim talentem spokojnie mógłbyś zostać komikiem. Zrobiłbyś światową karierę.

- Może więc powinienem porzucić moje obowiązki, tak jak zrobiła to twoja przyjaciółka, i spróbować swoich sił na scenie? - zamyślił się Tanner. - Już to widzę. Tanner, Książę Komedii. Taki mógłbym mieć pseudonim artystyczny.

- Jasne.

- Wiesz, pomysł, by odpuścić sobie te wszystkie męczące i nudne zajęcia, zająć się tym, co naprawdę mnie interesuje, bardzo do mnie przemawia.

Tanner nie mijał się z prawdą. Taka sytuacja rzeczywiście miałyby swe plusy. Wreszcie byłby oceniany nie za to, kim jest z racji urodzenia. Liczyłoby się tylko to, jaki naprawdę jest, czego sam dokonał.

- Nie możesz tego zrobić i dobrze o tym wiesz - powiedziała Shey.

- Dlaczego? - zapytał. - Parker to zrobiła.

- Z Parker jest zupełnie inaczej. Nie porównuj jej sytuacji z twoją. Ona ma brata, który przejmie władzę, gdy zajdzie taka konieczność. Ty jesteś jedynakiem. Nikt cię nie zastąpi.

- Mam kuzynów, którzy z wielką chęcią wskoczą na moje miejsce. Nie jestem niezastąpiony. Inni przejmą moje obowiązki, a ja zajmę się robieniem kariery komika.

- Możesz sobie żartować, ale oboje wiemy, jak jest naprawdę.

- Bo Parker jest twoją przyjaciółką - podsumował Tanner.

Zdażył już się przekonać, jak bardzo Shey jest lojalna i oddana. Był dla niej pełen uznania i podziwiał ją za to.

- Stoję murem za przyjaciółmi, bez względu na wszyst-

ko - powiedziała Shey, w ten sposób potwierdzając jego opinię.

- Ale nie jesteś w stu procentach przekonana, że Parker postępuje słusznie? - naciskał. - Uważasz, że jednak powinna wrócić?

- Nie do ciebie, raczej do pewnych funkcji, do obowiązków, które na niej spoczywają. Mogłaby wykorzystać swoją pozycję, by zrobić coś dobrego. Nie tylko dla swojego kraju, ale w szerszym aspekcie. Rodzina panująca to jest coś, co ludzie uwielbiają.

- Czy ja wiem? - skrzywił się Tanner. - Sądząc po mojej byłej...

- Może chodziło o ciebie - odparła Shey. - Chyba nawet ją rozumiem.

- Na pewno - mruknął. Nigdy jej tego nie powie, jednak zrobiło mu się naprawdę przykro. Przyspieszył kroku, wyprzedzając Shey.

Złapała go za ramię.

- Przepraszam. Lubię ci docinać, ale teraz przesadziłam. Zrobiłam ci przykrość. Naprawdę nie chciałam.

Mówiła tak szczerze, że nie mógł jej nie uwierzyć.

- Chyba oboje przekroczyliśmy dziś pewne granice. Ale nie przesadziłaś. Stephana miała mnie dość. Podobnie jak ciążących na mnie obowiązków, od których nie mogłem się uchylić.

- Właśnie to miałam na myśli. I ty, i Parker należycie do rodów panujących. Ludzie liczą się z wami, naśladują was, słuchają. To daje wam ogromne możliwości wpływania na innych. Możecie forsować swoje pomysły, pokazywać, co należy zrobić, wytyczać nowe kierunki, nowe drogi.

- Myślisz, że Parker chciałaby się tym zająć?
- Szczerze mówiąc, jej nigdy nie zależało na tego rodzaju władzy. Ale gdybym to ja była na jej miejscu, z pewnością bym to robiła. Mówiłabym o tym, co jest mi bliskie, co najbardziej leży mi na sercu.

- Na przykład? - zapytał.

- Na przykład o walce z analfabetyzmem - odparła bez chwili namysłu Shey, a jej twarz natychmiast się rozjaśniła.
- Znasz powiedzenie o tym, że jak dasz komuś rybę, to przez jeden dzień nie będzie głodny, ale jeśli nauczysz go łowić, do końca życia będzie miał co jeść? Podobnie jest z czytaniem. Jeśli człowiek nauczy się czytać, nie tylko łowienie ryb przestanie być dla niego tajemnicą. Otworzą mu się oczy na mnóstwo innych rzeczy. Świat stanie przed nim otworem.

Tanner przypomniał sobie pierwszy wieczór, kiedy podpatrzył, jak Shey rozdaje ludziom kanapki i ciastka. Pomaganie innym to jej prawdziwa pasja.

- Chcesz zapewnić ludziom nie tylko pokarm dla ciała, ale i strawę duchową?

Shey przestała się uśmiechać.

- Ja niewiele mogę zdziałać. Kto by mnie posłuchał? Ale Parker i ty, to co innego. Jesteście na świeczniku, nosicie książęce tytuły. Wasz głos jest wszędzie słyszalny.

- Sama przynależność do królewskiego rodu nic nie znaczy - powiedział łagodnie Tanner.

- Jednak wasz głos liczy się bardziej niż głos takiego szarego, normalnego człowieka jak ja.

- Na pewno nie wiem o tobie jeszcze zbyt wiele, ale jedno jest pewne: ty wcale nie jesteś normalna.

- Miło słyszeć - powiedziała z uśmiechem Shey, bo na-

prawdę wcale nie poczuła się urażona. - Wielkie dzięki. Ublizas mi, choć wzięłam cię pod swoje skrzydła. Pilnowałam, by w tym wielkim i strasznym kraju nikt cię nie skrzywdził.

Dopiero teraz Tanner zauważył, że oboje się zatrzymali.

- Czy to znaczy, że mogę się obejść bez mojej ochrony, bo mam ciebie? - zapytał cicho.

- Niewiele jest rzeczy, z którymi nie byłabym w stanie sobie poradzić.

- W to nie wątpię. - Rzeczywiście tak myślał. - A skoro zeszlśmy na takie tematy... To, co się stało...

Shey znowu ruszyła przed siebie. Bardzo szybko.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzekła.

- Oczywiście, że masz. Chodzi o ten pocałunek na łódce.

Wiedział, że choćby szli teraz jeszcze szybciej, choćby nie wiadomo co robili, żadne z nich nie ucieknie przed świadomością, że ten pocałunek w jakimś stopniu zmienił ich wzajemne relacje.

Pocałunek, który z chęcią by jeszcze powtórzył. Gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Problem w tym, że miał wyrzuty sumienia. Wprawdzie Parker zarzekała się, że nic ich nie łączy, jednak w Tannerze odezwało się poczucie winy. Najpierw musi wyjaśnić sprawę z narzeczoną, dopiero potem może marzyć o pocałunkach Shey.

- Nie przypominam sobie niczego takiego - z przekonaniem powiedziała Shey.

- Nie? - zdziwił się.

-Nie.

- Mam ci przypomnieć? - zapytał, choć doskonale wie-

dział, że tego nie zrobi. Nie może tego zrobić. W każdym razie nie teraz.

- Nie. To już się nie powtórzy.

- To mi pasuje - odparł i roześmiał się ponownie, widząc krzywe spojrzenie Shey.

Nawet gdy się na niego boczyła, czuł się uskrzydłony, lekki jak piórko. Cudownie było być przy niej, bo traktowała go jak każdego innego mężczyznę. Jak normalnego mężczyznę.

Przez kilka minut szli w milczeniu, a Tanner cieszył się z obecności Shey. Idąc, przyglądał się sznurowi pojazdów ciągnącemu w stronę nabrzeża.

- Co tam się dzieje? - zainteresował się.

- Ludzie jadą do amfiteatru. Przez całe lato odbywają się koncerty na świeżym powietrzu.

- Dzisiaj też?

- Na to wygląda.

- Może sprawdzimy?

- Chyba miałeś zamiar poszukać Parker?

- Czasami warto być księciem. Nie muszę sam jej tropić. Moi ludzie robią to za mnie. Obserwują dom Parker, Cary i twój. Dadzą mi znać, jeśli tylko Parker gdzieś się pojawi.

- Och ty! - obruszyła się. - I uważasz, że to w porządku? To nie jest fair play. Choć domyślałam się, że księżę nie musi się tym przejmować. Nie musiałeś dzielić się zabawkami, stać w kolejce czy tym podobne rzeczy.

Powinna wziąć mu za złe, że nie szuka Parker sam, tylko wysługuje się innymi, jednak odczuła ulgę.

Bo to oznaczało, że jeszcze przez jakiś czas będzie z nią, choć nie chciała przyznać, jak bardzo jej na tym zależy.

- Jesteś prawdziwym ekspertem od życia rodziny królewskiej! - zażartował.

- Bo od lat przyjaźnię się z Parker.

- Czy to znaczy, że ona nie uznaje zasad fair play?

- Ona nie jest taka jak inni, już to ustaliliśmy. - Właśnie minęli jej harleya i kierowali się w stronę amfiteatru. - Ja wcale nie mówiłam, że chcę iść na koncert.

- Ale nie powiedziałaś również, że nie chcesz, więc podjąłem decyzję.

- Ależ z ciebie despota! - powiedziała Shey, uśmiechając się. Denerwowało ją jego zachowanie, ale z drugiej strony mogła mu wciąż przygadywać, co zawsze lubiła robić.

- Ty też nie jesteś lepsza - odciął się.

- No, ładnie mnie podsumowałaś! Fakt, zawsze byłam trudna, tak o mnie mówiono, choć może to nie do końca była prawda. Po prostu zawsze miałam swoje zdanie. Ludzie tego nie lubią. Dlatego przypięli mi etykietkę trudnej dziewczyny.

Tanner roześmiał się.

- I do tego jesteś bardzo skromna.

- Uhm. Poza tym zawsze byłam uparta i waliłam prawdę prosto w oczy.

Natychmiast wszedł jej w słowo:

- Od tej strony już zdążyłem cię poznać. Jednak nie powinnaś zapominać o innych swoich zaletach. Jesteś opiekuńcza, lojalna, wesoła, otwarta na innych...

- No już dobrze, dość tego - przerwała mu, zmieszana. To wyliczanie jej plusów i zalet niebezpiecznie wykraczało poza ich słowne utarczki.

- Peszysz się, gdy ludzie widzą w tobie więcej, wolisz się maskować.

- Nie chcę, by nabrali mylnych przekonań i zaczęli mieć nieodpowiednie pomysły.

- A jakie są te właściwe?

Więcej pocałunków, przebiegło jej przez myśl.

- Daj spokój Parker i wyjedź stąd.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Teraz tym bardziej muszę z nią porozmawiać, ustalić, na czym stoimy. Zostawmy więc tę dyskusję i chodźmy znaleźć jakieś miejsce, gdzie w spokoju będziemy mogli posłuchać koncertu. - Rozejrzał się. - Tu nie ma żadnych ławek?

- A co, książki nigdy nie siadają na trawie? - zapytała prowokacyjnie.

Tanner nie wziął sobie do serca tej złośliwości i uśmiechnął się promiennie.

- Ależ siadają, oczywiście. Jednak nie wszyscy chcą. - Nadal rozglądał się po okolicy. - Poczekaj chwilę - powiedział nagle.

Shey przyglądała się, jak podchodzi do jakiejś pary siedzącej na trawie, wyjmując portfel i coś podaje. W zamian otrzymał koc w szkocką kratę.

- Proszę - rzekł, podchodząc do Shey. - Teraz możemy rozsiaść się wygodnie.

- Odkupiłeś od tych ludzi koc?

- Mieli dwa - odparł spokojnie.

- Nie mogłeś tak po prostu podejść i zażądać sprzedaży koca.

- Przed chwilą właśnie to zrobiłem - odpowiedział z zadowoloną miną.

Ostatnio Shey coraz częściej zapominała, że Tanner jest księciem.

Dzieliło ich tak wiele, ale gdy patrzyła teraz na niego, jak z kocem w ręku idzie w dół wzgórza, jeszcze wyraźniej zdała sobie sprawę z istniejących między nimi różnic.

Jej nic nie przychodziło lekko. Jeśli czegoś chciała, musiała się dobrze napracować, by to zdobyć. Brała dodatkowe prace, oszczędzała, nie pozwalała sobie na żadne zbędne wydatki. Książę, jeśli czegoś zapragnął, po prostu to kupował. Wyjmował pieniądze i po kłopotcie.

- Nic nie mówisz - zagadnął, rozkładając koc i wyciągając do niej rękę.

Usiadła ciężko, ignorując całkowicie zapraszający gest.

- Coś cię dręczy.

- Nie, nic, zupełnie nic.

- Wołałabyś siedzieć na trawie, prawda?

- Nie - odparła po chwili namysłu. - Po prostu mnie zaskoczyłeś. Nie jestem przyzwyczajona, by od razu kupować sobie coś, na co tylko przyjdzie mi ochota.

- Jak ja? - zapytał.

- Tak.

- Niepokoi cię to? - zdziwił się.

- Nie - odpowiedziała powoli, analizując swoje uczucia.

- To mnie nie niepokoi. Tylko przypomina, jak bardzo jesteśmy różni.

- Przyznam szczerze, że właśnie te różnice wynikające z płci czynią naszą znajomość tak interesującą.

- Daj spokój. Nie chodzi o różnice płci. Nie różnimy się tylko tak jak kobieta i mężczyzna - zaprotestowała, niezbyt zadowolona z kierunku, jaki Tanner chciał nadać rozmowie.

- Nie? - Tanner pytająco uniósł brwi.

- Jesteśmy inni, ale nie chodzi mi o ten aspekt.

- Shey, coś ci powiem...
- Cii... Już zaczynają.
- Dobry wieczór, Erie! - Na scenę wyszła wokalistka i wesoło powitała zebranych.

Tłum odpowiedział zgodnym pomrukiem i po chwili rozległy się pierwsze takty muzyki.

- Bardzo lubię muzykę. Każdy rodzaj, od klasyki po folk i country - szepnęła Shey. - W lecie bardzo często odbywają się tu koncerty. Dobrze trafiliśmy, dziś będą grać utwory Jimmy'ego Buffeta. Oczywiście domyślałam się, że ty spędzasz wolny czas, słuchając wyłącznie Bacha i Mozarta.

- Słucham klasycznej muzyki, ale nie wyłącznie. Folku i country również.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Czy to możliwe?

- Posługujesz się swoimi wyobrażeniami na mój temat - miękko rzekł Tanner. - Wyobrażeniami, które mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Może powinnaś przestać. W gruncie rzeczy nic o mnie nie wiesz.

- Poza tym, że chcesz się ożenić z moją przyjaciółką i wywieźć ją ze Stanów.

- Co do tej sprawy... - zaczął Tanner.

Shey nie chciała teraz tego słuchać. Uciszyła go ruchem ręki i skoncentrowała się na muzyce.

Przyjemnie było poddać się magii chwili, zamknąć oczy, wystawić twarz na tchnienie ciepłego wiatru, wsłuchać się w dźwięki muzyki i szum wody.

Shey zrzuciła sandały i wyciągnęła się na kocu. Było bosko. Szkoda, że zespół tak szybko ogłosił przerwę.

Wokół rozlegał się teraz gwar rozmów.

- Wspaniale - wymamrotał Tanner. - Jest po prostu doskonale.

- Doskonale? Z moich doświadczeń wynika, że może być dobrze, nawet bardzo dobrze, ale doskonale?

Popatrzył na nią dziwnie, po czym odezwał się wolno:

- Nie zgodzę się z tobą. Czasami naprawdę może być doskonale. Sam nieraz tego doświadczyłem.

- Na przykład?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i popatrzył tak, że zrobiło się jej gorąco.

- Przestań! - prychnęła.

- Co mam przestać? - zapytał z miną niewiniątka.

Ten jego uśmiech, wyraz twarzy... Aż się prosi, by zaraz go pocałować.

- Przestań tak na mnie patrzeć!

- Tak? Znaczą jak? Określ to dokładniej.

- Boże, czemu nie zadzwonisz po swoich kumpli i...

Nie dokończyła, bo tuż obok rozległo się wesołe powitanie. Shey popatrzyła w tę stronę i jęknęła.

- Jakies problemy? - zapytał Tanner.

- Nie, ale trzymaj się.

- Shey, tak właśnie myślałyśmy, że to ty! - zgodnym chórem powiedziały dwie starsze panie, podchodząc do koca.

Shey uśmiechnęła się z przymusem, choć najchętniej od razu dałaby drapak.

- Nie przedstawisz nas swojemu znajomemu? - zapytała Mabel, a towarzysząca jej Pearly Gates poparła ją gorąco.

Obie pracowały w salonie piękności mieszczącym się naprzeciwko kawiarni „Monarch” i obie były doskonale zorientowane we wszystkim, co działo się w mieście i w okolicy.

Szczególnie Pearly nie przepuściła żadnej informacji dotyczącej lokalnej społeczności, a mimo to cieszyła się powszechną sympatią, bo zawsze chętnie służyła wiedzą i mądrą radą.

- Oczywiście - rzekła Shey. - Mabel i Pearly, to jest Tanner Ericson.

- Och, tak? - zdumiała się Pearly. - To księżę naszej Parker?

- Wiedzą, kim jestem? - cicho zapytał Tanner.

- One wiedzą wszystko - odpowiedziała szeptem Shey.

- Jak najbardziej. - Pearly popatrzyła na Tannera zwięzonymi oczami. - Przyjechał pan wykraść nam Parker. Ale nic z tego. Ona się nie nadaje do zamknięcia pod kloszem i wystawiania na pokaz. Jest jak stokrotka. Potrzebuje powietrza i swobody.

- Nie wydaje mi się, by to był problem miłych pań - stanowczo oświadczył Tanner.

- Oczywiście - zaśmiała się Pearly. - Dlatego tym bardziej nas to interesuje!

- Shey, co ty tu z nim robisz? - zapytała Mabel.

- Nic z nim nie robię. Pilnuję go. A to różnica.

- Masz rację. Choć nie do końca. Widziałyśmy, jak on na ciebie patrzył.

- Jak na mnie patrzył? - zdumiała się Shey.

- Właśnie - powoli powiedziała Pearly.

- Znamy się na takich spojrzeniach - poparła przyjaciółkę Mabel. - Widziałyśmy je nieraz, zwłaszcza ostatnio.

- No i nie mamy pewności, czy księżę, który chce się żenić z Parker, powinien tak na ciebie patrzeć - dodała Pearly.

- Panie wybaczą, ale ja ciągle tu jestem - rzekł Tanner.

- Jak nie powinien patrzeć? - dopytywała się Shey, nie zwracając uwagi na księcia.

- Jakby chciał cię pocałować... albo jakby już to zrobił.

- Bardzo panie proszę o pozostawienie nas samych - nie znoszącym sprzeciwu tonem rzekł Tanner.

Mabel roześmiała się w głos.

- Och, pędzę po resztę, niech oni też usłyszą ten ton!

- Oni? - zapytała Shey.

- Mój Elmer i Hoffman. Są tu też Libby i Josh z dziećkami i... - Mabel urwała na mgnienie. - Najlepiej chodźcie do nas - zaproponowała.

- Dzięki, ale my już wychodzimy - z miejsca zaoponowała Shey.

- *Me, nie, jeszcze nie idziemy - zaprotestował Tanner.*

- Z przyjemnością poznam twoich znajomych. Mam tylko jedną prośbę - popatrzyl na starsze panie. - Proszę nie rozgłaszać, że jestem księciem.

- Obiecujemy - zapewniła Pearly.

- No to idziemy! - popędziła ich Mabel.

Shey popatrzyła na uśmiechającego się tajemniczo Tannera. Chyba wpadła w pułapkę.

- No dobrze. Ale tylko na chwilę. Niedługo muszę wracać do domu - zastrzegła się.

Nikt jej nie słuchał. Tanner już prowadził obie panie pod ramię, więc Shey nie pozostało nic innego, jak tylko złożyć koc i podążyć za nimi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Cześć, Shey! - Ich przybycie wywołało wesołe okrzyki.

Tanner zerknął na stojącą obok niego Shey. Wydawała się nieco zmieszana.

- Spotkałyśmy Shey i ściągnęłyśmy ją do nas - wyjaśniła Pearly. - A oto jej kawaler.

- To żaden mój... - zaczęła Shey, ale Pearly nie dała się uciszyć.

- To jest Elmer - zaczęła prezentację. - To Josie i jej Hoffman. Libby, Josh i dwójka ich urwisów, Meg i J.T. A to Mac, Mia i ich córeczki, Katie i Merry. A to...

Prezentacjom nie było końca.

Tanner od małego wprawiał się w zapamiętywaniu twarzy i nazwisk, jednak nawet dla niego było to zbyt wiele.

- No to na dzisiaj wystarczy - powiedziała w końcu Pearly. - Normalnie byłby tu jeszcze Joe z Louisa i Aaronem, ale Ella, ich najmłodsza pociecha, jest jeszcze za mała na koncerty na świeżym powietrzu.

- Miło mi było wszystkich poznać - rzekł Tanner, siadając na kocu rozłożonym przez Shey.

- Wracając do Shey i... - zaczęła siwowłosa Pearly.

- Chyba właśnie zaczynają grać - przerwała jej Shey, znacząco spoglądając na Tannera.

- Zaraz, zaraz - ożywiła się Josie. - Teraz coś zaczyna mi świtać. Czy przypadkiem ten rzekomy narzeczony Parker nie miał na imię Tanner?

- A teraz spotyka się z Shey? - Hoffman popatrzył na Tannera podejrzliwie.

- Nie, on wcale nie jest jej narzeczonym - pospiesznie zapewniła Shey.

- Wyjaśnienie moich relacji z Parker to dłuższa historia, na którą teraz raczej nie mamy czasu - dyplomatycznie powiedział Tanner. - Mogę jedynie zapewnić, że znajomość z Shey w żaden sposób z nimi nie koliduje.

Pearly posłała mu ostre spojrzenie.

- Znałam kiedyś mężczyznę, który łudził się, że bez problemu pogodzi znajomość z dwiema kobietami.

- Iak to się skończyło? - zapytał Tanner. Zdziwił się, bo całe towarzystwo jęknęło głucho.

- No i mamy - mruknęła Mabel.

- O co chodzi? - Tanner pytająco popatrzył na Shey.

- Przyjdzie nam wysłuchać całej historii - odparła. - Nie mogłeś ugryźć się w język?

- No więc - zaczęła Pearly, absolutnie niewzruszona chłodnym przyjęciem. - Ten człowiek, Burkle Martellini, ożenił się z Ann, córką bankiera. Pracował w dziale sprzedaży i regularnie wyjeżdżał na pół tygodnia. Wszystko szło jak po maśle, póki pewnego razu nie zabrał żony na lokalny jarmark. I tam wpadł na swoją... drugą żonę, Selinę, która mieszkała w sąsiednim miasteczku. Jej ojciec miał firmę brokerską. Okazało się, że te wyczerpujące podróże to było niecałe czterdzieści kilometrów, do sypialni Seliny.

- I co dalej? - zaciekawiał się Tanner.

- Burkle Martellini został aresztowany za bigamię, a obie panie podzieliły się jego pieniędzmi i stwierdziły, że ich wzajemne towarzystwo odpowiada im znacznie bardziej niż towarzystwo byłego męża. Gdy ostatnio byłam w tamtych stroinach, mieszkały pod jednym dachem. - Pearly umilkła na chwilę, po czym dokończyła swoją historię: - Burkle dostał rok więzienia. Tak to się dzieje, gdy mężczyźni nie wystarcza jedna kobieta. Łąduje w więzieniu z takimi jak Burkle.

- Zaręczam, że w moim kraju bigamia jest zakazana. A co do mojego związku...

Shey szturchnęła go łokciem w bok

- Między nami nie ma żadnego związku. Niezależnie od roli Parker.

- Cii, już grają - uciszyła ją Josie.

Tanner opadł na koc. Pełne potępienia spojrzenia Shey nie robiły na nim żadnego wrażenia. Skupił się na muzyce.

Wszystko mu tu pasowało. I wspaniała sceneria, i ciepły wiatr znad zatoki, i słońce zachodzące za półwyspem. No i to, że Shey siedzi tuż obok.

Tuż obok to może za dużo powiedziane, bo przesunęła się na sam skraj koca, ale siedziała z nim na jego kocu. A po koncercie pojedą jej motorem.

Musiał przyznać, że motor ma swoje plusy. Zapewniał większą bliskość, co dawało Tannerowi dużą przewagę. Może powinien powiedzieć o tym Shey, gdy będą już jechać do domu.

Przysunął się do niej odrobinę bliżej, ale popatrzyła na niego groźnie.

W odpowiedzi przysunął się jeszcze bliżej.

- Uspokój się - ostrzegła go szeptem.

- Słucham? - Miał minę jak chodząca niewinność.

Nie odpowiedziała, tylko spiorunowała go wzrokiem, po czym znów zapatrzyła się na scenę.

Położył rękę na jej dłoni.

Chciała ją oswobodzić, ale Tanner nie puszczał.

- Puść mnie - syknęła.

- Wolę nie.

- Nie obchodzi mnie, co wolisz. Nie jestem twoim chłopem pańszczyźnianym, który musi godzić się na każdą zachciankę czy fantazję swojego pana.

- O, ciekawią cię moje fantazje? - podchwycił. - Jeśli tak, to chętnie ci je zdradzę.

- Dziękuję, ale nie. Zatrzymaj je dla siebie. Ręce też trzymaj; *przy* sobie.

Pearly pochyliła się w ich stronę.

- Znacie to przysłowie? Kto się czubi, ten się lubi!

Koncert zakończył się jakąś godzinę później. Shey pożegnała się ze znajomymi i szybkim krokiem ruszyła w stronę parkingu.

Nie oglądała się, by sprawdzić, czy Jego Książęca Wysockość łaskawie za nią podąży. Miała nieśmiałą nadzieję, że Tanner zgubi się w tłumie.

- Poczekaj!

Nawet nie zwolniła.

- Jesteś na mnie zła? - zapytał, zrównując się z nią.

- Świetnie się bawiłeś! - rzuciła szyderczo.

Ten drań celowo dał wszystkim do zrozumienia że między nimi coś jest, choć powinien wyjaśnić, że Shey tylko trzyma go z daleka od Parker.

- Oczywiście. Dla każdego normalnego człowieka taki koncert w przepięknym otoczeniu i w towarzystwie miłych osób to prawdziwa przyjemność.

- Nie znasz tych ludzi, więc skąd możesz wiedzieć, jacy są? I nigdy się nie dowiesz, bo nie zabawisz tu długo. Książęce obowiązki zapewne cię wzywają.

- Dlaczego jesteś taka rozeźlona? Było mi bardzo miło poznać twoich znajomych. To naprawdę niezwykle sympatyczni ludzie.

Shey nic nie odpowiedziała. Bo niby co mogła rzec?

Owszem, jej znajomi byli mili, ale co to obchodziło Jęgo Wysokość Tannera! Shey chciała tylko jednego - żeby książę wyniósł się stąd jak najszybciej.

- Przecież nic takiego się nie stało - mitygował ją. - Pomysłeli sobie, że przyszedliśmy razem, to wszystko. Nikt na tym nie ucierpiał.

- Dla ciebie to świetna zabawa, co? Ale to dotyczy mojego życia. I nie życzę sobie, by ktoś z tego drwił.

- O czym ty mówisz? - zdumiał się.

- Naśmiewałeś się, że moi znajomi są tacy przyjemni. Wiem, że porównywałeś ich z ludźmi z twojego otoczenia. Darmowy koncert na świeżym powietrzu to nie to samo, co spektakl w operze czy koncert symfoniczny w filharmonii.

Teraz to on się obruszył.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś jasnowidzem i czytasz w moich myślach?

Na taki zarzut nie potrafiła odpowiedzieć. Powinna przeprosić, ale nie zrobi tego. Niech Tanner zabiera się stąd. Im szybciej, tym lepiej.

- Idź już sobie - powiedziała.

- W takim razie powiedz mi - zagadnął spokojnie - co teraz myślę?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- A ja myślę, że wiesz. I że cię obchodzi. Bardziej niż jesteś skłonna przyznać.

Naraz ją olśniło. Nie, nie miała daru czytania w cudzych myślach, poznała to po oczach Tannera.

- Tanner - zaczęła ostrzegawczo, jednak jej głos zabrzmiał znacznie łagodniej, niż chciała.

Z natury nie była osobą delikatną, jednak teraz, gdy Tanner stał tak blisko, a nawet przysuwał się jeszcze bliżej, działo się z nią coś dziwnego. Jej upór i opór topniały jak lody w popołudniowym słońcu.

- Myślę... - urwała, bo nagle uświadomiła sobie, że w ogóle nie potrafi zebrać myśli. Widziała jedynie Tannera, przysuwającego się do niej bliżej i bliżej, powoli...

Znieruchomiła na mgnienie.

A potem Tanner ją pocałował.

Mogła się odsunąć, cofnąć się, zrobić unik, by nie dotknął jej ust. Jednak nie zrobiła tego.

Przez chwilę nic się nie liczyło, o niczym nie pamiętała. Myślała jedynie o tym, że są mężczyzną i kobietą i zostali stworzeni właśnie po to, by stać tuż przy sobie, trzymać się w ramionach i całować.

Przeznaczenie.

Ich usta zetknęły się lekko, nieśmiało. Jak muśnięcie motyla. Nie trwało to długo. Oboje tego chcieli i wiedzieli. .. że nie mogą się bez tego obyć.

Zatracali się w coraz gorętszym, coraz bardziej namiętym pocałunku.

Nagle Shey opamiętała się. Dotarło do niej, że stoją na parkingu, wokół nich kłębi się ludzki tłum, a ona na oczach wszystkich całuje się z księciem. Całuje się z przyszłym królem.

Z mężczyzną, który uważa się za narzeczonego jej najlepszej przyjaciółki.

Zrobiło się jej słabo.

- Muszę już iść - wykrztusiła.
- Shey, porozmawiajmy. Musimy o tym pomówić.
- Nie. Zadzwoń po swoją obstawę, niech cię zabrają.
- Chcesz mnie tu zostawić?
- Tak. Jesteś dorosły, dasz sobie radę.

Wsiadła na harleya. Silnik zaryczał. Jeszcze nigdy nie czuła takiej ulgi jak teraz.

- Żegnaj, Tanner. Chyba wreszcie dotarło do ciebie, że nic tu po tobie. Zapomnij o narzeczonej, zapomnij o wszystkim. Wracaj do domu.

Odprowadzał ją wzrokiem, gdy odjeżdżała z parkingu. Jej ostatnie słowa poruszyły go.

Zapomnij o narzeczonej.

Akurat to miał już za sobą. Zupełnie zapomniał o Parker.

Teraz uświadomił sobie coś ważniejszego - że właściwie już wcześniej przestał widzieć w Parker swoją przyszłą żonę. Instynktownie czuł, że ten związek nigdy nie dojdzie do skutku.

Wiele sobie przemyślał po rozstaniu ze Stephana. Ostatecznie pogodził się z faktem, że nie jest mu pisana miłość, że kobiety, które o niego zabiegają, nie widzą w nim mężczyzny, a tylko przyszłego króla. Pogodził się z tym i uznał,

że w takim razie dokona wyboru opartego na racjonalnych przesłankach.

Parker wydawała się idealną kandydatką.

Jednak od kiedy poznał Shey - od kiedy ją pocałował - miał niezbitą pewność, że rozsądny wybór to jeszcze nie wszystko. Zwłaszcza gdy pojawia się pragnienie.

Parker budziła w nim braterskie uczucia, nic więcej. Za to Shey... Płonął na samą myśl o niej.

A więc małżeństwo z rozsądku odpada. Zresztą nie tylko dla niego. Podobnie rzecz miała się z Parker. Tylko ona okazała się bystrzejsza i szybciej to zrozumiała.

Tanner zapragnął poślubić kobietę, która nie tylko będzie doskonale spełniać ciężące na niej oficjalne obowiązki, ale będzie kimś więcej niż tylko dobrą matką dla jego przyszłych dzieci.

Zapragnął żony, której nie będzie zależeć na bogactwie i tytułach, która nie będzie onieśmielona i niepewna, która w każdej sytuacji potrafi mieć swoje zdanie.

Ruszył w stronę hotelu.

Tak, pragnie kobiety o płomiennych, nastroszonych włosach, która potrafi się śmiać i cieszyć się życiem, która nie lęka się sięgać po to, o czym marzy. Kobiety, która jeździ harleyem i ma tatuaż.

Ten pierwszy pocałunek przypieczętował jej los.

Tanner pragnął Shey. Owszem, w przeszłości miewał już różne zachcianki i pomysły, z których potem nic nie wychodziło, jednak teraz to coś znacznie więcej. Pragnął Shey z całych sił, z całej duszy, każdą cząstką swojego ciała. Pragnął jej fizycznie i psychicznie. Nie znajdował odpowiednich słów, by opisać swój stan.

Nie potrafił nazwać przepełniających go uczuć, ale musi podjąć wysiłek i zdefiniować je. Uściślić i doprecyzować. Musi to zrobić dla Shey.

Najpierw porozmawia z Parker. Od tego zacznie. Musi przekonać się, że nic ich nie wiąże, że nie ma w stosunku do niej żadnych zobowiązań.

Gdy już wszystko sobie wyjaśnia, skoncentruje się na Shey.

Shey na pewno będzie się opierać, walczyć z nim na wszystkie możliwe sposoby, ale on się nie ugnie. Dopnie swego.

Tego był pewien.

- Parker? - Shey odetchnęła z ulgą na widok wchodzącej do kawiarni przyjaciółki, ale ulgę szybko zastąpiło poczucie winy.

Wczoraj całowała się z jej narzeczonym.

Wprawdzie Parker nie uważa Tannera za swojego narzeczonego i robi wszystko, by się z nim nie spotkać, jednak fakt pozostaje faktem - wczoraj Shey całowała się z księciem.

Cara wynurzyła się zza drzwi księgarni.

- Parker, gdzie ty się podziewałaś?

Parker miała dziwnie nieobecny wyraz twarzy.

- Parker? - Shey popatrzyła na przyjaciółkę pytająco.

- Tanner wychodzi ze skóry - powiedziała Cara. - Jego ochroniarze przeczesały całe miasto.

Parker wzruszyła ramionami.

- Nie muszę mu się tłumaczyć.

- My też się martwiłyśmy - cicho rzekła Cara.

Parker stropiła się. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Przepraszam.

- Dobrze, że nic ci się nie stało - powiedziała Shey.

Klepnęła przyjaciółkę po ramieniu i wcisnęła ręce w kieszenie. Takie sceny zwykle zbijały ją z tropu.

- Masz z nim jakiś kontakt? - nieoczekiwanie zapytała Parker.

Parker chce się skontaktować z Tannerem? Co się za tym kryje?

Shey z ociąganiem skinęła głową.

- Przez komórkę.

- To super. - Parker uśmiechnęła się z ulgą. - Mogłabyś poprosić go, żeby wpadł do mnie do domu, na przykład o jedenastej? Pora definitywnie zakończyć parę spraw.

- A co będziesz robić do jedenastej?

- Napiję się kawy, a potem zadzwonię do taty. - Parker uśmiechnęła się. - Nie muszę się nikomu tłumaczyć, że chcę żyć po swojemu. Tanner nie jest moim narzeczonym i musi się z tym pogodzić. Co do mojego ojca... Może mi zabrać pieniądze i tytuł, nie zależy mi na tym. Chcę tylko, by mnie kochał. Taką, jaka jestem. Jeśli to okaże się dla niego niemożliwe...

- To jego strata - cicho dokończyła Cara. - Ale wydaje mi się, że nie masz o co się martwić. Twój tata cię kocha, tak jak ty jego. Znajdźcie sposób, by do siebie dotrzeć.

- Właśnie - mruknęła Shey i klepnęła Parker przyjaźnie.

- Cieszę się, że wreszcie doszłaś do takich wniosków.

- Długo to trwało - przyznała Parker. - Ale mam już serdecznie dość.

- Możemy ci jakoś pomóc? - zapytała Cara.

- Nie, ale dzięki za dobre chęci. Wiele dla mnie znaczy-

cie, wiecie o tym, prawda? - Jej oczy zaszyły mgłą. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać.

O nie, tylko nie to, modliła się w duchu Shey. Kompletnie nie radziła sobie w takich sytuacjach. Choć bardzo by chciała, nie potrafiłaby pocieszyć przyjaciółki, a samo poklepywanie po ramieniu to jeszcze za mało.

- Ty dla nas też - powiedziała Cara.

Przyjaciółki się wzruszyły.

- Dacie sobie dziś radę beze mnie? - zmieniła temat Parker.

- Jasne, nie przejmuj się - zapewniła Shey. - Poza tym będziecie jeszcze Shelly. Jest rewelacyjna.

- Nie jesteś zła, że przyjęliśmy ją, nie pytając cię o zdanie?

- No co ty! Mam do was pełne zaufanie. No to zabieraj się stąd, a ja umawiam ci Tannera.

- Dzięki jeszcze raz - wyszeptała Parker i ruszyła do wyjścia.

Cara szybko wróciła do księgarni. Shey popatrzyła na telefon.

Obiecała, że zadzwoni do Tannera.

Czemu po prostu nie dała Parker jego numeru? Przecież przyjaciółka mogła sama zadzwonić.

Ja chyba całkiem zwariowałam, nie widzę innego wytłumaczenia, pomyślała Shey.

Wybrała numer i odetchnęła lżej, kiedy telefon odebrał jeden z goryli Tannera. Domyślała się, że to Emil.

- Przekaż księciu, że ma dziś spotkanie z Parker. W jej mieszkaniu o jedenastej.

- A kto mówi? - zapytał Emil.

- Shey.

- Poczekaj chwilę. Tanner przykazał, by natychmiast go zbudzić, jeśli zadzwonisz. Chce z tobą rozmawiać.

- Nic z tego. Dzwonię tylko po to, by przekazać wiadomość.

- Ale... - zaczął Emil.

Shey rozłączyła się, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Tanner był ostatnią osobą, z którą chciałyby teraz rozmawiać.

Po chwili rozległ się dzwonek telefonu, a serce Shey podeszło do gardła. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić i podniosła słuchawkę.

Na szczęście to nie Tanner, a bardzo zdenerwowany Jace O'Donnell. Szukał Parker.

- ...była bez samochodu. Nie poczekała na dzieci ani na gofry! - wyrzucił z siebie.

Shey nie miała zielonego pojęcia, czemu te gofry były dla niego takie ważne, ale nie zamierzała zdradzać, gdzie jest Parker. W razie czego Parker sama znajdzie Jace'a. Jednak w jego głosie było coś, co ją tknęło. On wcale nie martwił się, że znikła mu z oczu klientka!

Jace chyba zaangażował się uczuciowo.

Parker i prywatny detektyw? Cóż, może to ma większy sens niż Parker i księżę. Ale dla Jace'a najwyraźniej fakt, że Parker jest księżniczką, był bardzo trudny do przełknięcia.

Shey rozumiała go. Zapewne martwił się, że nie ma niczego, co mógłby zaoferować ukochanej. Zupełnie nie pojmował, że Parker nie zależało na diademach i brylantach. Nie wzdychała za księciem, który przybędzie na białym koniu i zawiezie ją do pałacu na szklanej górze.

Parker pragnęła jedynie miłości. Marzyła, by ktoś pokochał ją dla niej samej.

Shey delikatnie do tego nawiązała.

- Jest księżniczką i umie się odnaleźć w tej roli, ale jednocześnie chce być normalną dziewczyną. Jeśli tego nie czujesz, to nie proponuj, że będziesz jej robić śniadania.

Może zbyt subtelnie mu to wyjaśniłam, zastanowiła się, odkładając słuchawkę. Może to wcale do niego nie dotarło?

Kłębiły się jej w głowie gorączkowe myśli. Jeśli księżniczka może związać się z prywatnym detektywem, to czy zwyczajna dziewczyna ma jakąś szansę na związek z księciem?

Niepotrzebnie się łądzi. Parker i Jacea łączy nieporównywalnie więcej niż ją i Tannera. Mimo tych pocałunków. Bo ona jest zwyczajną dziewczyną zajadającą gofry, a on należy do tych, co raczą się kawiozem. Niestety.

Choć cóż to ma za znaczenie? Wkrótce Parker definitywnie pożegna się z księciem i Tanner wyjedzie. Oczywiście Shey będzie się z tego tylko cieszyć.

Tak właśnie objawia się jej radość. Przez to dziwne poczucie pustki, które nie chce ustąpić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nadeszła pora zamknięcia kawiarni. Tanner obserwował, jak Shey rozmawia z Shelly, nową kelnerką, i mówi jej, by zbierała się do domu.

Wreszcie zostaną sami.

Przez cały dzień czekał na taką chwilę, zastanawiając się w duchu, jak przemówić do Shey, jakich użyć słów, by przekonać ją, że on od dziś jest wolny, że nie ma żadnych zobowiązań względem jej przyjaciółki.

Rozmowa z Parker przebiegła spokojnie i gładko. Oboje mieli podobne zdanie na temat swoich zaręczyn. Uznali, że była to zwyczajna farsa i rozstali się po przyjacielsku.

Wychodząc z mieszkania Parker, Tanner odetchnął z prawdziwą ulgą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jakim był głupcem, wierząc w zaaranżowane małżeństwo. Liczył, że z czasem jakoś się dotrą, że jakoś się ułożą. Teraz wiedział, że nie takiego losu dla siebie pragnie. Marzył o czymś zupełnie innym, o kimś zupełnie innym... o dziewczynie takiej jak Shey.

Nie miał pojęcia, czym zakończy się ich znajomość, jednak był pewien, że może to być coś porywającego, wspaniałego. Jak ta pierwsza ekscytująca przejażdżka na jej

harleyu, gdy mknęli po nieznanym mu mieście. Z Shey za kierownicą wszystko wydawało się możliwe.

Pierwsze, co musi zrobić, to spróbować się z nią umówić. Na prawdziwą randkę.

Tak to sobie obmyślił, ale do tej pory nie miał sposobności pogadać z nią sam na sam. Shey jakby celowo go unikała. Teraz, gdy Shelly pójdzie do domu, wreszcie nadarzy się okazja.

Peter, który przez cały wieczór kręcił się po kawiarni, popatrzył na księcia.

- Chciałbym odprowadzić Shelly. Mogę?
- Oczywiście - odparł Tanner.
- Sama trafię do domu - odezwała się Shelly.

Po Peterze spłynęło to jak woda po kaczce. Nie zważając na protesty Shelly, wyszedł za nią na ulicę. Już w drzwiach pomachał do Tannera.

- Nie czekajcie na mnie! - rzucił.

Shey podeszła do drzwi, przekreśliła tabliczkę z napisem „Zamknięte”.

- Ty też już możesz iść - prosto z mostu powiedziała do Tannera.

- Nie, chętnie zaczekam - zapewnił spokojnie.

Shey wzniosła oczy do nieba. Weszła za bar, mrucząc coś do siebie pod nosem. Tanner domyślił się, że wybrzydzę na jego temat, ale przyjął to ze stoickim spokojem.

Shey otworzyła lodówkę i wystawiła na ladę sporo rzeczy: wędliny, sałatę, majonez i pieczywo. Zaczęła robić kanapki.

- Co robisz? - zapytał, podejrzewając, że celowo wyszukuje sobie jakieś prace, by udawać zajęta.

W sumie to mu nie przeszkadzało. I tak na nią poczeka. Wyjaśnienie układu z Parker podziałało na niego ożywczo.

Jakby kamień spadł mu z serca. Czuł się lekko i radośnie jak nigdy.

- Hm... - Shey zagryzła wargi. Była zmieszana jak małe dziecko przyłapanie na tasowaniu w spiżarni. - Szykuje kanapki na jutro.

- Nie lepiej poczekać do rana i dopiero wtedy je zrobić? Będą świeższe.

Shey zignorowała jego uwagę.

- A może byś napełnił solniczki i pieprzniczki, zamiast tak siedzieć i patrzeć? I czepiać się mnie - rzekła.

Tanner nie kazał się dwa razy prosić. Już zdążył wciągnąć się do różnych prac. Robił swoje, ale od czasu do czasu zerkał spod oka na Shey. Zdziwił się, bo gdy taca była już pełna, nie przykryła jej folią i nie wstawiła do lodówki, ale wyniosła ją na zaplecze.

Domyślał się, co tam robi. Ostrożnie podszedł do drzwi i delikatnie je uchylił. Chciał mieć pewność.

Shey stała na progu tylnego wyjścia. Na zewnątrz było kilkanaście osób.

- Cześć, Leo - rozległ się głos dziewczyny. - Nocowałeś dziś pod dachem?

- Oczywiście, Shey. Już prawie przestałem kaszleć. - Mężczyzna wziął dwie kanapki. Jedną schował, drugą od razu zaczął jeść. - Robisz najlepsze kanapki z szynką i serem.

- To nic trudnego. Wystarczy kawałek szynki, sera i trochę sałaty.

- Ale ten twój sos, to dopiero jest coś!

Shey roześmiała się.

- Majonez z musztardą. Nic takiego.

Po kolei witała się z innymi, zwracając się do nich po

imieniu, wypytując ich o różne rzeczy, zaśmiewając się z nimi.

Tanner stał w uchylonych drzwiach. Już pierwszego dnia był pod wrażeniem, gdy Shey wyniosła potrzebującym jedzenie, które zostało z całego dnia. Jednak dzisiaj w kawiarni był wyjątkowy ruch. Nic nie zostało. Shey zrobiła kanapki specjalnie dla nich.

Tanner czuł dziwne ciepło w środku. Shey. Jaka to nieprawdopodobna dziewczyna!

W kieszeni cichutko zabręczała jego komórka. Cofnął się i zaczął ostrożnie zamykać drzwi, ale w tej samej chwili Shey odwróciła się. Zauważyła go.

Ich oczy spotkały się. Przez moment patrzyli na siebie z poczuciem, że na całej ziemi są tylko oni dwoje.

Znowu zadzwonił telefon. Shey spochmurniała, ale Tanner nie dał się zwieść. Była zła nie z powodu jego obecności, lecz dlatego, że przyłapał ją na jej dobrym uczynku. Nie znał Shey jeszcze tak dobrze, jak by tego chciał, jednak tego jednego był absolutnie pewien - ona nie robiła tego na pokaz. I nie chciała, by ktokolwiek o tym wiedział.

Pozuje na twardą, niezależną dziewczynę. Może nie dziewczynę, a kobietę. Bo jest kobietą pod każdym względem. Za maską, którą zakłada, kryje się wrażliwość i dobre serce.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Tanner wyjął z kieszeni komórkę.

-Tak?

- Gdzie jesteś, szefie? - w słuchawce rozległ się głos Emila.

Shey wyszła z zaplecza i popatrzyła na niego spode łba.

Nie mógł pohamować uśmiechu. Jej groźna mina wcale na niego nie podziałała.

- Szefie? - powtórzył Emil.

- Wszystko w porządku - zapewnił Tanner, ale nie powiedział, gdzie jest.

- Nadal na tropie księżniczki? - dopytywał się Emil. - Możemy jakoś pomóc?

- Nie, dzięki. Dziś na szczęście spotkałem się z księżniczką i wszystko sobie wyjaśniliśmy. Oboje uznaliśmy nasze zaręczyny za niebyłe. Żaden układ między nami nie wchodzi w grę. Nie jestem z nikim zaręczony - dokończył i pochwycił ukradkowe spojrzenie Shey.

- Czyli wracamy do domu? - podjął Emil. - Najwyższy czas. Najpierw ten niejasny układ z księżniczką, teraz Peter, który stracił głowę dla jakiejś panienki. Wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli. Pora się stąd zbierać.

- Nie, jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę tu zostaniemy - rzekł Tanner, nie spuszczać wzroku z Shey.

- Ale skoro z księżniczką wszystko już wyjaśnione, to...

- Emil urwał raptownie. - Och!

- Możesz wyrażać się jaśniej? - prowokował Tanner.

- Chyba raczej nie! - Emil roześmiał się głośno. - Ale jeśli miałbym zgadywać, to powód naszej zwłoki ma rude włosy i umie zupełnie nieźle grać w pokera.

- Zapomniałeś, że jestem twoim pracodawcą? I że zachowanie dyskrecji jest jednym z głównych i najważniejszych wymogów?

- Pamiętam, a jakże! - pogodnie zapewnił Emil. - Przecież mówię do ciebie „szefie”.

Tanner przyjął to ze spokojem.

- Dałem Peterowi wolne, więc nie czekaj na niego - zmienił temat.

- Czekać na Petera? Musiałbym zwariować. Przecież dobrze wiesz, jakie z niego ziółko.

Tanner przypomniał sobie zabiegi Petera wokół nowej kelnerki.

- Może i tak? - powiedział wolno. - Tym razem chyba jest trochę inaczej. - W słuchawce rozległo się zduszone prychnięcie. - Ja nie wracam, więc ty i Tonio też macie wolne.

- Nie wiem jak Tonio, ale ja nie ruszę się z hotelu. Wolę się trzymać z daleka od tutejszych pokus. .

- No to do zobaczenia jutro - zakończył rozmowę Tanner.

- Trzeba mu było powiedzieć, że niedługo wrócisz - odezwała się Shey, nie kryjąc, że słyszała całą rozmowę.

Zresztą to było Tannerowi na rękę. Celowo powiedział Emilowi o unieważnionych zaręczynach. Shey nawet nie zapytała, jak poszła rozmowa z Parker. Chociaż, między Bogiem a prawdą, wcale się tego nie spodziewał.

- Może mam nadzieję, że pójdziesz ze mną, gdy tu wszystko pozamykasz.

- Przykro mi, ale nic z tego. Skoro ciebie i Parker już nic nie łączy, moja rola skończona.

Chciała się go pozbyć. To jasne jak słońce. Jednak to wcale nie będzie takie proste. Shey sama się o tym przekona.

- To dobrze - powiedział. - Nie chcę, byś postrzegala mnie w takim kontekście. - Zrobił krok w jej stronę.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała, obronnie cofając się za ladę.

- Myślę, że wiesz - rzekł, pochylając się w jej stronę.

- Przestań tak na mnie patrzeć - parsknęła, cofając się

jeszcze bardziej, by nie mógł jej dotknąć. - To już się więcej nie powtórzy - dodała.

- Dlaczego? - zapytał. - Jestem wolnym człowiekiem, nie mam żadnych zobowiązań. Oboje jesteśmy młodzi, z nikim nie jesteśmy związani. Między nami iskrzy, nie zaprzeczysz. Dobrze wiesz, że oboje tego chcemy.

- Jest wiele rzeczy, których mogłabym chcieć, ale świadomie sobie na nie nie pozwalam. Na przykład na smażone potrawy. Ciągną mnie, ale ich unikam. Bo mam po nich zgagę.

- Czy można dopatrzeć się jakichś freudowskich skojarzeń w tym przyrównaniu mnie do zgagi?

Shey pokręciła głową.

- Jesteś niemożliwy. No i jesteś księciem. Księciem, który wraca do domu.

- Jeszcze nie zdecydowałem, kiedy stąd wyjadę. Jest w Erie kilka rzeczy, które chciałbym zobaczyć. I parę rzeczy, które chciałbym zrobić.

- Nie ma problemu. Zadzwoń po swoją obstawę i zacznij zwiedzanie.

- Wolałbym robić to z tobą.

- To odpada. Nie ma powodu. Teraz, jeśli pozwolisz...

- Dobrze. Teraz sobie pójdę, ale wrócę.

W niedzielę, wychodząc z kawiarni, powiedział, że wróci. I rzeczywiście dotrzymał obietnicy. Przychodził dzień w dzień, nie przejmując się bardziej niż chłodnym przyjęciem Shey.

Zniechęcała go do siebie, jak tylko mogła, a wciąż miała wrażenie, że go to bawi.

Początkowo proponował jej pomoc, ale stanowczo odmówiła.

To wcale go nie ostudziło. Przychodził nadal, razem z Peterem, swoim ochroniarzem. Godzinami przesiadywali przy kawiarnianym stoliku.

Peter też wkrótce stał się nieodłącznym elementem ich kawiarni. Zwłaszcza gdy Shelly była w pracy.

Shelly, matka dwójki dzieci, kobieta świeżo po rozwodzie, niechętnie przyjmowała jego awanse. Pod tym względem ona i Shey zachowywały się podobnie.

W połowie tygodnia sytuacja się pogorszyła, bo Tanner zaczął przysyłać kwiaty.

Zdumiewał ją.

Nigdy w życiu nie przypuszczała, że należy do kobiet ceniących takie gesty. Musiała mu oddać sprawiedliwość, że przynajmniej ocenił ją należycie. Zamiast róż, które same się narzucały, wybrał delikatne kompozycje ze stokfotek. I tym ją ujął. Bo gdyby już miała na coś się zdecydować, na pewno byłyby to stokrotki. Zwykłe polne kwiatki rosnące według własnego widzimisię.

W sobotę przysłała do kawiarni i otworzyła drzwi.

O dziwo, nie czekał na nią żaden bukiet.

Tannera też nigdzie nie było.

Shey przekonywała się w duchu, że bardzo się z tego cieszy. Włączyła ekspres, odebrała poranną dostawę z piekarni. Może do Tannera wreszcie coś dotarło. Tym baf dziej że niczego nie owijała w bawełnę.

Zaczęła obsługiwać pierwszych klientów i wykładać produkty do lady chłodniczej. Naraz zadzwieczał dzwonek u drzwi. Shey podniosła głowę, spodziewając się, że

ujrzy Tannera. Chwilę potem gorączkowo zaczęła sobie wmawiać, że uczucie, jakie ją ogarnęło, to ulga. Bo na progu stanęła Parker.

Tak, to dziwne uczucie w żołądku to ulga, że Tanner wreszcie zostawił ją w spokoju. W końcu dotarło do niego, że nic nie działa.

- Cześć! - powiedziała do wchodzącej Parker.

Parker tylko zamruczała coś niezrozumiałego.

To do niej zupełnie nie pasowało. Nie mówiąc już, że takie mruczenie w ogóle nie pasowało do księżniczki. Najwyraźniej coś było nie tak.

- Masz kiepski dzień? - zagadnęła Shey.

- Nie, skąd - odparła Parker. - Gdyby tak było, wystarczyłoby zadzwonić do tatusia i wyzalić mu się. A on zaraz by się postarał, by wszystko było dobrze. W końcu jestem księżniczką, mogę mieć wszystko, czego tylko zapragnę.

- Parker? - Shey popatrzyła na przyjaciółkę badawczo. Znała ją bardzo dobrze, domyślała się więc, że Parker zaraz wybuchnie. Szkoda, że nie ma Cary. Ona znacznie lepiej sobie radzi z takimi sytuacjami.

Dużo lepiej.

Shey starała się rozszyfrować, co kryje się za zaciętą miną przyjaciółki. Z pewnością chodziło o faceta. O Jacea? Pewnie tak. Wiele na to wskazuje. Shey znała taką minę. Sama wygląda podobnie, gdy ma problemy z Tannerem.

Nie miała pojęcia, czym naraził się Jace, jednak czuła, że Parker nie zdoła długo dusić w sobie dręczących ją uczuć. Zresztą gdy wyrzuci z siebie żale, będzie jej lżej. Och, gdyby była tu teraz Cara! Ona znalazłaby właściwe słowa, by uspokoić Parker. Tymczasem rola pocieszycielki przypadła

Shey. Musi wesprzeć przyjaciółkę. Jednak nim zdążyła otworzyć usta, Parker odwróciła się i rzuciła:

- Problemy? Jakże ja mogę mieć problemy, skoro jestem księżniczką? Jestem rozpieszczona, zepsuta, uważam, że wszystko mi się należy. Każda moja zachcianka powinna być spełniona. Wystarczy, że czegoś zapragnę, a już to mam.

Tak, z całą pewnością chodzi o faceta. Shey z nadzieją popatrzyła na przejście łączące kawiarnię z księgarnią. Może Cara wreszcie się pojawi? Niestety, były to płonne nadzieje. Nie pozostało nic innego, jak wymyślić dla Parker jakąś pociechę.

- Z mężczyznami są same problemy. Nie są warci, by się nimi przejmować.

Parker nabrała powietrza. Wyraźnie próbowała się uspokoić.

- Nie ze wszystkimi. Jeśli sędzić po tych kwiatach, którymi obsypuje cię Tanner... On udowodnił, że jest coś wart. Dobrze się razem bawicie?

- Czy dobrze się bawimy? - Shey prychnęła szyderczo.
- To jest straszne. Jak tortura. Do niego nie dociera, że nie jestem nim zainteresowana.

Chociaż dzisiaj nie przyszedł, więc może wreszcie poszedł po rozum do głowy.

- Naprawdę go nie chcesz? - miękko zapytała Parker.
- Jasne, że nie! On jest księciem. Ma na głowie poważniejsze rzeczy niż dręczenie mnie.

Parker pokręciła głową.

- Tego nie jestem taka pewna, Shey. On potrafi być bardzo uparty.

- W stosunku do ciebie też był bardzo uparty, ale osta-

tecznie przejrzał na oczy i dał sobie spokój. Prędzej czy później moje przesłanie też do niego dotrze. Zresztą zobacz, dzisiaj nie przyszedł, więc może już po wszystkim.

- No, nie do końca było tak, jak mówisz. W stosunku do mnie on wcale nie był taki nieustępliwy. Niby mnie szukał, ale tak jakoś bez przekonania. Po tym, jak odebrałaś go z lotniska i po naszym pierwszym spotkaniu, ukrywanie się przed nim bynajmniej nie nastęczało mi trudności. - Parker przez chwilę w milczeniu spoglądała na Shey. - Ani trochę.

- Bo ja go rozpraszałam - pospiesznie rzekła Shey, zaniepokojona kierunkiem, w jakim niebezpiecznie zmierzała rozmowa. - Masz już jakieś zdanie w sprawie tego nowego ekspresu do cappuccino? - zmieniła temat w nadziei, że Parker nie będzie ciągnął wcześniejszego wątku.

- Hm... - Parker popatrzyła na bukiet przysłany wcześniej przez Tannera. - Może on nie był taki uparty, bo nie był przekonany, że nasz związek to dobry pomysł. Teraz jest inaczej. On naprawdę uparcie dąży do celu.

- To tylko chwilowe zaćmienie. Temat zastępczy, bo ty dałaś mu kosza.

- Shey, wiele o tobie da się powiedzieć, ale na pewno nie to, że mogłabyś być zastępczym tematem. Jesteś wyjątkowa. Niesamowita. Tanner będzie szczęściarzem, jeśli jego zabiegi przyniosą skutek.

Shey wsunęła ręce w kieszenie. Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Komplementy zawsze ją peszyły. Wolała pominąć je milczeniem.

- Myślę, że już mu się znudziło. Dzisiaj nie przyszedł. Przypuszczam, że jest w drodze do domu.

- Nie wydaje mi się - zaprotestowała Parker.

- A mnie tak. Bo to... - Shey urwała nagle, bo drzwi kawiarni otworzyły się i do środka wszedł Tanner, a towarzyszył mu mężczyzna trzymający w ręku skrzypce.

To był prawdziwy muzyk. Trzymał instrument tak, jakby zaraz zamierzał grać.

- Tanner - ostrzegawczym tonem odezwała się Shey. Każdy by się przestraszył, ale nie on.

Uśmiechnął się szelmowsko, wcale nie jak książę. Najwidoczniej był bardzo z siebie zadowolony.

- Shey, to mój znajomy, David.

Mężczyzna uprzejmie skinął głową i wsunął skrzypce pod brodę.

- Czego sobie życzyście?

- Przyszedłem poprosić cię o prawdziwą randkę. Domyślałem się, że nie będziesz do tego skora, więc wziąłem Davida, by zapewnić sobie moralne wsparcie.

- Nie - powiedziała stanowczo Shey.

Chyba musiałyby zwariować, żeby umówić się z nim na randkę. Wystarczy przypomnieć sobie, czym skończyły się ich wcześniejsze niewinne spotkania. Te pocałunki... Na pewno nie podejmie takiego ryzyka.

- Cóż, David - odezwał się Tanner. - Sama się o to prosiła.

Skrzypek zaczął grać. Salę wypełniły powolne, smętne dźwięki.

- Proszę przestać! - zaprotestowała Shey. - Parker, pomóż mi ich stąd wyprowadzić!

Parker nie odpowiedziała. Shey odwróciła się do niej i znieruchomiała. Parker śmiała się histerycznie. To dlatego nie mogła nic odpowiedzieć.

Z księgarni wynurzyła się Cara. Przekrzykując rzewne dźwięki skrzypiec, zawołała:

- Shey, co ty robisz?

- Ja nic nie robię. To ten...

- David - usłużnie podpowiedział Tanner.

- To David. - Odwróciła się do muzyka. - Wystarczy!

Skrzypek wcale się nie przejął i grał dalej.

- Będzie grał, póki nie każę mu przestać - spokojnie oznajmił księżę.

- Co za to chcesz? - przez zęby zapytała Shey, choć w istocie już się domyślała.

- Chodź ze mną na randkę.

- Tak zachowuje się księżę? Szantażem wymusza spotkania?

- Jaki to szantaż? - bagatelizował Tanner. - Mogłoby być znacznie gorzej. Gdybym zatrudnił akordeonistę, wtedy mogłabyś tak to nazwać.

- Akordeonistę? - Shey zaparło dech.

- Albo dudziarza - dodał szelmowsko. - Hmm... muszę to chyba przemyśleć. Serenada na dudach, słyszałaś kiedyś? Mogę też wynająć cały zespół dudziarzy. To jest pomysł!

- Tanner, przestań się wygłupiać - wycedziła Shey. Musiała walczyć ze sobą, by nie tupnąć nogą. Jej cierpliwość już dawno się wyczerpała. - To wcale nie jest zabawne - powtórzyła.

Parker zachichotała żywiłowo, jeszcze bardziej wytrącając Shey z równowagi.

- Uspokój się! - rzuciła Shey w stronę przyjaciółki, ale Parker śmiała się coraz bardziej.

- Tanner, opamiętaj się. Ty nie musisz pracować na życie,

ale my tak. To jest nasze miejsce pracy. Uszanuj naszych klientów, oni nie chcą być świadkami twoich idiotycznych zagrywek

- Ależ chcemy! - zawołał ktoś z sali.

Shey jastrzębim wzrokiem obrzuciła stoliki, szukając adwokata diabła. Następnym razem dostanie kawę z fusami!

- Powiedz tylko, że się zgadzasz - naciskał Tanner. - Nic więcej. Od razu się stąd wyniesiemy. Wpadnę po ciebie o szóstej.

- Nie - odpowiedziała kategorycznie.

- Przykro mi - rzekł Tanner. Skinał na Davida. Muzyk przerwał wcześniejszy utwór i zaczął grać bardziej żywy kawałek.

- Ten jest znacznie lepszy - skomentowała Shey.

W tym samym momencie Tanner zaczął śpiewać. Na cały głos. W dodatku fałszował przeraźliwie.

Efekt był nie do wytrzymania. Trudno było rozpoznać słowa. W ogóle nie dało się tego słuchać.

- Dobrze - uległa w końcu Shey.

Tanner umilkł i kiwnął ręką na grajka. David natychmiast przestał grać.

- Powiedz to jeszcze raz, przy świadkach.

- Dobrze. Umówię się z tobą pod warunkiem, że już nie będziesz śpiewać. A on grać. - A przypomniawszy sobie, że odgrażał się zaproszeniem akordeonisty albo dudziarza, dodała:

- I żadnych instrumentów muzycznych w naszej kawiarni.

- Obiecuję - zapewnił solennie Tanner. Jednak uśmiech, jaki odmalował się na jego twarzy, osłabił to wrażenie. - O szóstej. Przyjadę po ciebie do domu dokładnie o szóstej.

- Lepiej przyjedź tutaj - powiedziała. Nie będzie ryzy-

kować. Tanner mógłby zechcieć zostać u niej, a o tym nie ma mowy.

- Dobrze. W takim razie tutaj. O szóstej.

Tanner i skrzypek wyszli z kawiarni. Dopiero wtedy Shey jęknęła boleśnie.

- Boże, co ja zrobiłam?

Popatrzyła na swoje przyjaciółki, szukając w nich pociechy i wsparcia. Potrzebowała pomocy w obmyśleniu zemsty. Zwłaszcza Parker była w tym dobra.

Jednak nie doczekała się choćby cienia współczucia. Obie dziewczyny śmiały się do rozpuku.

- No, pięknie! - zde gustowanym tonem podsumowała Shey. - Proszę bardzo, cieszcie się! Tylko przypomnijcie sobie stare powiedzenie: nie śmiej się dziadku... - zawiesiła głos. - Was też coś takiego może trafić.

Parker opamiętała się nieco, ale Cara dalej chichotała w najlepsze. Może uważała, że takie sytuacje jej nie dotyczą. Obyś się nie przeliczyła, pomyślała Shey.

Ona sama też ani przez moment nie przypuszczała, że historia z Tannerem może się tak zakończyć. Chciała tylko pomóc Parker uwolnić się od niechcianego narzeczonego.

I do czego to ją doprowadziło? Idzie na randkę z prawdziwym księciem.

Jak mogło do tego dojść?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przyjaciółki chciały pomóc jej w szykowaniu się na wieczorne wyjście, ale Shey podziękowała.

Zabroniła sobie myśleć o spotkaniu z Tannerem jak o randce.

Wymusił to na niej. Zgodziła się, bo nie miała wyboru. To jak łapówka. Po prostu.

Nie widziała innego wyjścia, by wyprowadzić go z kawiarni. Po dzisiejszym wieczorze ich drogi się rozejdą. Tanner zapewne planuje, że zabierze ją na kolację do jakiejś szpanerskiej restauracji, otumani dobrym jedzeniem i winem, aż straci rozum i znowu go pocałuje.

I bardzo się zdziwi.

Shey popatrzyła na swoje spłowiałe džinsy, koszulkę z napisem „Kocham kłopoty” i czarną skórzaną kurtkę, może zbyt ciepłą na późnowiosenny wieczór. Pewnie powinna ją sobie darować, jednak była to istotna część jej stroju.

Popatrzyła na swoje odbicie. Hm, jej zdaniem całkowite przeciwieństwo kobiety, z jaką księżę chciałby umówić się na randkę.

- W tym chcesz iść? - zapytała Parker, nawet nie kryjąc niesmaku.

- Uhm.

Parker pokręciła głową.

- Masz jeszcze czas. Przebierz się.

- Nie ma mowy. Nie wpakowałamby się w to wariactwo, gdybym nie ratowała ciebie przed tym walniętym księciem, prawda?

Parker bynajmniej się nie przejęła.

- Na początku tak było, ale później raczej już tak nie myślałaś.

- Parker, zostaw ją - wtrąciła się Cara.

- Widzisz - uśmiechnęła się Shey. - Cara dobrze wie, że ten strój skutecznie go do mnie zrazi.

- Cara nie ma o tym zielonego pojęcia. To jeszcze bardziej go weźmie. - Parker popatrzyła na przyjaciółkę tak-
sujaco. - Aż się zagotuje.

- Nie żartuj. W tych ciuchach nie wyglądam ani trochę seksownie. Nawet koszulka jest wciśnięta w dżinsy. Ani skrawka skóry na wierzchu.

- No wiesz - zamyśliła się Cara. - Czasami najbardziej intryguje to, czego nie ma na widoku. To właśnie pobudza wyobraźnię i zmysły. Ten strój ma charakter.

- Bzdury - mruknęła Shey, jednak jej pewność siebie znikła. Choć wcale nie miała poczucia, że wygląda seksownie, to może jednak powinna zastanowić się i coś zmienić...
A gdyby tak...

Nie zdążyła pojąć decyzji, bo do kawiarni wkroczył Tanner.

- Jak widzę, jesteś gotowa - rzekł, błyskając olśniewającym uśmiechem.

Tego się nie spodziewała.

- Może rozkażesz, bym poszła ubrać się bardziej odpowiednio?

- A chcesz się przebrać? - zapytał.

- Raczej nie. W tym czuję się całkiem dobrze. - Nie była to prawda. Zagadkowy uśmiech Tannera wprawiał Shey w zakłopotanie. Być może Cara miała rację. Chyba jednak ten styl nie był do końca przemyślany.

- Wprawdzie w kurtce może być ci trochę za ciepło, ale jak sobie chcesz. - Tanner otworzył drzwi. - Idziemy?

W jego tonie zabrzmiało wyzwanie. Jakby domyślał się jej rozterek.

Wyprostowała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Uhm, jasne.

- Zachwyca mnie twój entuzjazm. - Jej ociąganie i skwaszona mina wcale go nie zniechęcały.

- No to dokąd idziemy? - zapytała, gdy wyszli na ulicę.

- Do jakiejś modnej restauracji, gdzie będziesz mógł się popisać i zrobić na mnie wrażenie? Jeśli tak, to jeszcze raz się zastanów. Na mnie to nie działa.

- Zgaduj dalej - zaśmiał się Tanner. - Mam inny pomysł na naszą randkę.

- To nic nie zmieni. Zgodziłam się, bo nie miałam innego wyjścia. Zaszantażowałeś mnie. To nie jest prawdziwa randka, skoro mnie do tego zmusiłeś.

- Niektóre kobiety potrzebują specjalnej zachęty. Mam nadzieję, że wykazałem się kreatywnością. Jednak jesteśmy tu teraz razem. - Tanner miał bardzo zadowoloną minę.

Podprowadził ją do czekającej limuzyny.

Gdy Shey wsiadała do eleganckiego wnętrza, poczuła panikę.

Dzisiejszy wieczór to fatalna pomyłka. Była tego pewna.

- Księgarnia? - powtórzyła Shey.

- Uhm. Nawet pomyślałem o butach. Kupiłem je - powiedział z dumą w głosie Tanner. - Nie liczę się z kosztami, gdy chcę oczarować kobietę.

Shey popatrzyła na niego ostro, ale nic nie odpowiedziała.

- I jak, działa?

Shey zaczęła sznurować buty. Z większym zaangażowaniem niż było to potrzebne.

- Czy co działa?

- Moje czarowanie.

Tym razem popatrzyła na niego drwiąco. Jednak on był święcie przekonany, że w jej oczach oprócz kpiny pojawiło się rozbawienie.

Domyślał się, że na takiej dziewczynie jak Shey kolacja w dobrej restauracji nie zrobi wrażenia. Gdy tylko ujrzał jej strój, miał pewność, że się nie pomylił. Specjalnie się tak ubrała, chciała go zdenerwować. Jednak jej widok budził w nim zupełnie inne uczucia.

Budził w nim zmysły.

Uświadomienie sobie tych pragnień było jak uderzenie obuchem. I nie chodziło tylko o strój, choć różowa koszulka z prowokacyjnym napisem i czarna kurtka zachwycały, mimo że w zamierzeniu miały raczej odpychać. Za każdym razem, gdy widział Shey, budziły się w nim żądze.

I nie tylko wtedy, gdy ją widział. Wystarczyło, że o niej pomyślał.

- Chciałem, żeby to była zwyczajna pierwsza randka. - Początkowo nie miał pomysłu, ale potem zdecydował, że najważniejsza będzie dobra zabawa.

Shey patrzyła na niego ponuro, jednak intuicja podpowiadała mu, że dokonał trafnego wyboru.

- Nie wydaje mi się, by wynajęcie całego toru było typowe dla zwyczajnej randki. - Takim samym tonem robiła mu wyrzuty, gdy kupił koc.

- Chciałem, żeby to była zwyczajna randka, ale zależało mi również, by mieć cię tylko dla siebie. Dlatego wynajmowałem cały tor. To kompromis.

Shey, mamrocząc coś pod nosem, pochyliła się i dalej sznurowała buty.

- Pasują? - zapytał Tanner. - Dzwoniłem do Parker, żeby podała mi rozmiar.

- Parker ci pomagała?

- Tak. Teraz, gdy już nie jesteśmy narzeczonymi...

Shey nie dała mu skończyć.

- Nigdy nimi nie byliście.

Tanner nie przejął się jej uwagą.

- ...możemy się przyjaźnić. Przypuszczam, że Parker jest dobrym kumplem.

- Dla mnie raczej średnim, skoro dostarcza ci takich informacji.

- Poprawię ci humor, gdy powiem, że zagroziła mi zemstą, jeśli cię skrzywdzę?

Shey uśmiechnęła się.

-Zdziwisz się, ale tak.

Tanner roześmiał się serdecznie.

- Tak myślałem!

Shey pochyliła się nad drugim butem. Przy tym ruchu koszulka wysunęła się jej z džinsów, odsłaniając wążutki pasek skóry. Małeńki i pokazany niechcący, ale Tannerowi to wystarczyło.

Wszystko, co wiązało się z Shey, tak na niego działało. Nawet jej wybuchy, złości i ta skórzana kurtka. To, jak się śmiała, jak szybko znajdowała ciętą replikę i ten ledwie widoczny kawałek skóry, od którego nie mógł oderwać oczu.

- Tu nie masz tatuażu - wymruczał, bardziej do siebie niż do niej.

Shey odwróciła się i szybkim szarpnięciem obciągnęła bluzkę.

- Powiedziałaś ci, że go nie zobaczysz, jeśli ci sama nie pokażę, więc przestań się gapić.

- Ale ja to lubię - rzekł z przekonaniem.

Shey wzniosła oczy do nieba i pokręciła głową.

- Idziemy grać w kręgle czy zostajemy tu i przerzucamy się słowami?

- Idziemy grać - potwierdził. Liczył po cichu, że w czasie gry koszulka znowu przesunie się nieco w górę. - Będę potrzebował kilku wskazówek - dodał.

- Nigdy nie grałeś w kręgle? - zapytała Shey.

- Nigdy.

- W Europie nie ma kręgielni?

- Są, oczywiście. Tyle że ja nigdy dotąd nie miałem okazji spróbować.

- Pewnie pasjonują cię inne sporty, bardziej odpowiednie dla księcia. Na przykład polo.

No nie, przecież nie powie jej teraz, że polo było jego ulubioną dyscypliną. Nie po tej uwadze.

Shey westchnęła ciężko.

- A więc wychodzi na to, że mam cię wprowadzić w tajniki gry w kręgle.

Po dwóch rundach Tannerowi udało się strącić wszystkie kręgle. Wiedział, że po prostu miał farta, ale sukces sprawił go w doskonały nastrój. Krzyknął z radości.

Shey wybuchnęła śmiechem.

- Poczekaj, to dopiero początek. Zobaczymy dalej.

- Jeszcze kilka rund i będę grać jak zawodowiec - zapewnił.

Shey znowu się serdecznie roześmiała. Teraz przyszła kolej na jej rzut.

Tanner promieniał. Pomysł z kręglami okazał się trafiony w dziesiątkę. Z satysfakcją przyglądał się Shey rzucającej kulę. Nigdy nie przypuszczał, że w kręgielni można zaosztować takich widoków.

Shey chyba czytała w jego myślach, bo odwróciła się i zażądała:

- Przestań się na mnie gapić.

- Przecież mamy tor tylko dla nas. Nie ma nikogo innego, na kogo mógłbym patrzeć.

Shey potrząsnęła głową i usiadła na ławeczce.

- Twoja kolej.

Może nie od razu zostanie asem w tej grze, ale randka rozwija się w odpowiednim kierunku. Shey wprawdzie nieco się krzywi, ale tylko dla formy. Za to jej bliskość budziła w nim prawdziwy żar.

Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i delikatnie przesunął dłonią po policzku dziewczyny.

Shey odchyliła głowę.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo cały wieczór tylko o tym marzyłem, choć starałem się zachowywać jak dżentelmen.

Shey nic nie odpowiedziała. To go ośmieliło. Odłożył kulę, ujął Shey za rękę i przyciągnął do siebie.

- Wiesz, o czym jeszcze marzyłem?

Shey nadal milczała.

- O tym.

Wiedział, że nie powinien tego robić, Shey w ogóle nie dopuszczała do siebie myśli, że między nimi mogłoby coś zaistnieć, ale nie potrafił się powstrzymać. Otoczył ją ramionami i odszukał jej usta. Pospiesznie, nim rozum weźmie górę.

Musiał ją pocałować. Po prostu.

Zdawała sobie sprawę, jak wiele ryzykuje. Za każdym razem. Jednak gdy czuła dotyk jego ust, zapominała o obawach, o rozsądku. Nic innego się nie liczyło.

Nie zastanawiała się już, dlaczego powinna się wycofać, dlaczego powinna jak najszybciej to skończyć. Mogła myśleć tylko o jednym: o tej chwili, o tym pocałunku, o tym mężczyźnie.

Jego bliskość rozpałała jej zmysły. Pragnęła go. Bardziej niż cegokolwiek czy kogokolwiek dotąd.

Jak cudownie było jej w jego ramionach! Jakby wreszcie dotarła do domu, do bezpiecznej przystani. Znalazła to, czego bezskutecznie szukała przez całe życie. Tego mężczyznę, tę chwilę.

Stała w nowych butach do gry w kręgle w pustej sali i całowała się z księciem.

Nie mogła wyobrazić sobie niczego innego, czego by bardziej pragnęła.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocniej. Przywarła do niego całym ciałem, bezwiednie chcąc stopić się z nim w jedną całość.

Cichy okrzyk, jaki wydobył się z jego piersi, jeszcze mocniej ją rozpałił.

Tanner na mgnienie odsunął się nieco i wyszeptał jej imię.

W tym jednym słowie było tyle uczuć, tyle żaru! Zawarł w nim wszystko!

Shey delikatnie pogładziła go dłonią po policzku. Poczowała pod palcami leciutki zarost.

- Lepiej wróćmy do gry, bo niechcący posuniemy się za daleko.

- Ja bardzo chętnie posunę się jak najdalej.

Nie mogła znaleźć szybkiej odpowiedzi, więc nawet nie próbowała się odciąć. Usiadła na ławeczce i skinęła na niego ręką.

- Twoja kolej.

Przez moment myślała, że Tanner odmówi, że może będzie chciał znowu wziąć ją w ramiona. Wcale by się nie sprzeciwiła. Ale on nie zrobił tego. Sięgnął po kulę.

Nie poszło mu nadzwyczajnie.

- Chyba pora na kolację - rzeki.

W tej samej chwili dwóch mężczyzn wjechało z wózkiem zastawionym srebrnymi półmiskami.

- To raczej nietypowa sytuacja na kręgielni - zauważyła Shey.

- To moja pierwsza zwyczajna randka.

Kolacja była po prostu wyborna. Wyszukane potrawy, o jakich Shey dotąd nie miała pojęcia, smakowały wyśmienicie. Łosoś w delikatnym sosie, ryż z dodatkami, a do tego lekkie białe wino.

Na pewno nie był to posiłek w stylu popularnego baru z hamburgerami. I Shey musiała przyznać, że ta odmiana bardzo jej odpowiadała.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

Shey rzucała na Tannera ukradkowe spojrzenia. Był taki przystojny. Chętnie by go pocałowała.

Chętnie by...

- Nie obrazisz się, jeśli cię o coś spytam? - głos Tannera przywrócił ją do rzeczywistości.

- Skąd mam to wiedzieć z wyprzedzeniem? - odparła.
- Ale strzelaj.

- Dlaczego?

Już chciała zapytać, co dokładnie miał na myśli, gdy dodał:

- Dlaczego tak się kryjesz z tym, co robisz dla innych?
- I uprzedzając jej reakcję, wyjaśnił: - Chodzi mi o tych ludzi, którym wynosisz jedzenie na zaplecze.

- Oni po prostu tego potrzebują, a ja mogę to dla nich zrobić, więc nie ma się nad czym zastanawiać.

- Nie każdy zauważa potrzeby innych.

- Wiesz, co to znaczy, gdy człowiek jest głodny? - zapytała cicho. - Doświadczyłam tego na własnej skórze. Po śmierci taty było nam z mamą bardzo ciężko. Czasami nie starczało na jedzenie, zwłaszcza przed wypłatą tygodniówki. Mama odejmowała sobie od ust, żeby w lodówce zostało coś dla mnie. Połapałam się w tych jej sztuczkach. Gdy

już naprawdę było krucho, wmawiałam jej, że idę na kolację do koleżanki. Po powrocie opowiadałam ze szczegółami, co jedliśmy. Byłam w tym tak przekonująca, że mi wierzyła.

- Stany to przecież taki bogaty kraj - pokręcił głową Tanner.

- Jednak jest mnóstwo ludzi, którzy nie są w stanie związać końca z końcem. I dużo takich, którzy nie mają co włożyć do garnka. Tak jak wszędzie.

- Gdy na nich natrafiasz, pomagasz im? - bardziej stwierdził, niż zapytał.

Shey wzruszyła ramionami. Nie była zadowolona, że ją przyłapał, ale jeszcze bardziej irytowało ją, że robił z tego takie wielkie halo.

- To nic takiego. Parę kanapek. Naprawdę nie ma o czym mówić. Każdy może to zrobić.

- Ale nie wszyscy robią. - Umilkł, a po chwili zapytał:
- A problem analfabetyzmu?

Shey chciała zbyć go czymkolwiek, ale w jego spojrzeniu dostrzegła prawdziwe zainteresowanie i szczerłość. Jego nie uda się zwieść, będzie drażyć temat do skutku.

- Do mojej klasy chodziła dziewczynka, która nie nadążała za resztą. Obie trzymałyśmy się na uboczu, byłyśmy wyrzutkami. W końcu zaprzyjaźniłyśmy się.

- Ty, na uboczu? - zdumiał się.

- Pochodziłam z biednej rodziny, nosiłam używane ubrania. Ale miałam też swoją dumę i cięty język Nikomu nie schlebiałam. - Teraz mogła się z tego śmiać, lecz wtedy było jej naprawdę bardzo ciężko.

- I co z tą koleżanką? - dociekał Tanner.

- Któregoś dnia zauważyłam, że gdy czyta, porusza ustami. Dopiero wtedy zrozumiałam, że ona ma problemy z czytaniem. Tak jak teraz Lawrence. Czytała, ale nie sprawiało jej to żadnej przyjemności. Czytanie było dla niej tylko męczącym obowiązkiem. Zaczęłam jej pomagać. Z czasem odkryła książki i naprawdę je polubiła.

- Jesteś niesamowita. - Pod jego spojrzeniem poczuła się speszona.

- Och, daj spokój, przestań mnie wychwalać. Nie jestem jakimś cudem, po prostu miałam szczęście. Niesamowita to była moja mama.

- To miałaś więcej szczęścia, niż myślisz - powiedział.

W jego tonie było coś, co ją zastanowiło.

- *Opowiedz mi o swoich rodzicach* - poprosiła.

- Moi rodzice... - Wzruszył ramionami. - Zawsze byli i są bardzo zajęci. Ojciec odegrał kluczową rolę w restrukturyzacji rządu, wprowadził kraj w nowe tysiąclecie. Nie było to łatwe zadanie. A mama ma tysiące różnych zajęć.

- A jaka jest w tym twoja rola?

- Jestem następcą tronu. Dziedzicem. Spoczywają na mnie obowiązki i odpowiedzialność. To kwintesencja naszego życia: obowiązki i odpowiedzialność.

- A miłość? - zapytała cicho.

- Hm... - Zamyślił się. - Nie demonstrujemy uczuć. Trzymamy je na wodzy. To dotyczy także miłości. Nasze relacje rodzinne są bardzo formalne.

- Mówisz tak, jakbyś wolał, by było inaczej.

- Właśnie dlatego zgodziłem się na małżeństwo z Parker. Widziałem jej rodzinę. Właśnie takiej chciałem dla moich dzieci i dla mnie. Takiej jak rodzina Parker. I jak twoja.

- Parker i ja wychowałyśmy się w krańcowo różnych środowiskach.

- Jednak obie doznałyście miłości ze strony waszych rodziców.

Shey wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W zgodnym milczeniu.

W końcu Shey przerwała ciszę:

- Powiem ci, że moja mama do końca życia tęskniła za tatą. Oddałaby wszystko, by być z nim. Chciałam jej jakoś pomóc, dać jej coś, pokazać świat. Niestety, nie zdażyłam.

- Shey, przecież ona to wszystko widziała w tobie. Ty przypomiłaś jej męża, w tobie widziała nadzieję na lepsze jutro. Za każdym razem, gdy na ciebie patrzyła, widziała przyszłość. I, co jeszcze ważniejsze, widziała miłość... bo i ja to widzę, gdy patrzę na ciebie. Piękno, nadzieję, możliwości. ..

Shey zmieszała się jeszcze bardziej. Nie chciała dłużej tego słuchać.

- Chyba powinieneś kupić sobie okulary - przerwała mu. - Widzisz mnóstwo zabawnych rzeczy.

- Nie obawiaj się mnie - rzekł łagodnie.

- Ja nie obawiam się nikogo i niczego - zaperzyła się natychmiast Shey.

- Udowodnij to - powiedział prowokacyjnie. - Pocałuj mnie. Tu i teraz.

- Mam cię pocałować, żeby udowodnić, że niczego się nie boję? - spytała z oburzeniem, choć marzyła, by to zrobić. Ale tego nigdy mu nie powie.

- Że nie boisz się mnie - uściślił.

- Ja miałabym się bać? Dobre sobie!

- No to na co czekasz?

Powinna się opanować, jednak to było silniejsze od niej. Sama nie wiedziała, jak to się stało, że pochyliła się prosto w jego ramiona.

I znowu doświadczyła tego cudownego uczucia, że wreszcie jest w domu.

- Dzisiejszy wieczór wiele zmienił. Też to czujesz, prawda? - zapytał Tanner, gdy godzinę później Shey wysiadła z jego samochodu.

- Niekoniecznie - odparła, bardzo chcąc wierzyć w szczerść swoich słów. - Ciągnie nas do siebie, ale to nic takiego. Chemia.

- To coś więcej. Naprawdę. Wiem o tym.. Od tego pierwszego dnia, gdy wsiadłem na twój motor. A każdy dzień z tobą tylko pogłębia moje doznania.

- Tanner, ja już muszę iść.

- Nie zaprosisz mnie do siebie? Może powinnaś wrócić do wcześniejszych pomysłów i nadał nie spuszczać ze mnie oka. Jak sądzisz?

- Wiesz, że jesteś męczący?

- Może jak cię zmęcę, to coś na tym wygram.

- Dobranoc, Tanner.

- Tylko psujesz zabawę.

- Dobrze się bawiłam - powiedziała Shey, niespodziewanie dla samej siebie. Ten wspólny wieczór naprawdę przeszedł jej oczekiwania. Dobrze jej było z Tannerem i chyba szybko mogłaby przyzwyczać się do jego towarzystwa.

Choć lepiej tego nie robić. Przecież on wkrótce stąd zniknie.

- Muszę już iść.
- Nie mam zbyt dużego doświadczenia w amerykańskich randkach, jednak wydaje mi się, że istnieją pewne ustalone rytuały.

- Na przykład?

- Buziak na dobranoc.

- Na dziś już chyba wystarczy buziaków.

- No ładnie! - Tanner zrobił dramatyczną minę. - Moja pierwsza zwyczajna randka...

Shey prychnęła szyderczo, ale on wcale się tym nie przejął.

- ...zwyczajna randka, a ty odrzucasz uświęcony zwyczaj!

- Niech ci będzie. - W jej głosie nie było nawet śladu niechęci, choć tak się starała. Uśmiechnęła się lekko, po czym pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

Tanner potrząsnął głową.

- To wszystko, co potrafisz?

Teraz już nie skrywała uśmiechu. Uległa pokusie i pocałowała go tak, jak od początku chciała.

- Zapisz to sobie w pamiętniku - rzekła, z satysfakcją patrząc w jego rozmarzone oczy. Pocałunek naprawdę na niego podziałał.

- Zapiszę, jak najbardziej - wymamrotał. - I będę z niecierpliwością czekał na kolejny amerykański zwyczaj.

- To znaczy? - zapytała, choć wiedziała, że lepiej trzymać język za zębami.

- Buziak na dzień dobry.

- Co do jutra... Myślę, że przyda mi się wolny dzień.

- Super. Pojedziemy...

- Dzień bez ciebie. Muszę mieć trochę czasu, by prze-

myśleć sobie parę spraw. Gdy jesteś ze mną, myślenie zupełnie mi nie idzie.

Spodziewała się protestu, przekonywania, tymczasem Tanner przyjął jej słowa ze spokojem.

- Dobrze. W takim razie zobaczymy się w poniedziałek. Wtedy pogadamy. Postaraj się przez ten czas zastanowić nad tym, co cię tak przeraża.

- Mnie nic nie...

Nie dał jej skończyć.

- Dobranoc, Shey.

I nic na temat buziaków. Ani o dniu bez niej. Tylko „dobranoc”.

Shey otworzyła drzwi i weszła do środka. Dom naraz wydał się jej przytłaczająco pusty.

Przecież tego właśnie chciała: mieć ciszę i święty spokój. Żadnego snującego się za nią księcia, żadnych hałasów.

Powiesiła żakiet i usiadła na kanapie. Nie zapaliła światła.

Ma się zastanowić, co ją przeraża?

Ha!

Nie istnieje nic takiego.

A już na pewno nie przeraża jej księżę szukający narzeczonej, człowiek niemający pojęcia, jak wygląda zwyczajna randka. Trudno mu robić z tego zarzut, skoro sam nie jest nawet odrobinę zwyczajny.

Mówiąc wprost, jest wyjątkowy.

Nie dlatego, że jest księciem, uzmysłowiła sobie nagle. Jest wyjątkowy jako człowiek.

Gdyby był kimś innym... Pewnie wtedy mogłaby pomyśleć o nim poważnie.

Jednak gdyby nie był tym, kim jest, nie byłby Tannerem. I wcale by jej nie obchodził.

No dobrze, więc gdyby tylko nie był księciem...

To też nie tak Książęcy tytuł to część jego osobowości. Podobnie jak kolor oczu czy poczucie humoru, jak sposób, w jaki się do niej odnosi, jak jej dotyka. Jakby była kimś kruchym i ważnym.

Te wszystkie fragmenty składają się w całość i tworzą mężczyznę, z którym...

Zadzwonił telefon.

Całe szczęście, bo wreszcie oderwie się od tych myśli.

- Halo? - zapytała z nadzieją, że zaraz usłyszy głos Parker lub Cary i pogadają sobie od serca.

- Czy zastałem Tannera? - w słuchawce rozległ się męski głos.

To nie był głos żadnego z ochroniarzy. Shey na pewno by ich poznała.

- Przepraszam, a z kim mam przyjemność? - zapytała. Nie była skora do przekazywania informacji na temat Tannera byle komu.

- Jestem jego ojcem. Dzwoniłem do niego na komórkę, ale nie odbierał. Jego ludzie podali mi ten numer. Podobno często tu bywa.

- Tego bym nie powiedziała. Nie ma go tutaj. Przypuszczam, że za kilka minut będzie w hotelu. Tam można go złapać.

Spodziewała się, że rozmówca podziękuje i zaraz się rozłączy, tymczasem tak się nie stało.

- Czy mógłbym zapytać, kim pani jest i co łączy panią z moim synem?

- Nazywam się Shey Carlson, jestem przyjaciółką Parker. Chyba można powiedzieć, że również i pańskiego syna.

- Pomaga im pani się dogadać?

- Nie, tego bym raczej nie powiedziała.

- Co w takim razie by pani powiedziała?

- Że aranżowane małżeństwa to przestarzały pomysł. Parker i Tanner zasługują na coś więcej niż taki narzucony związek. Oboje zasługują na miłość.

- Do tego też jest potrzebny odpowiedni fundament. Parker i Tanner mają podobne pochodzenie, wychowali się w tym samym środowisku. Na tym można budować. I my, i jej rodzice na to liczymy. - Rozmówca umilkł na chwilę.

- Zależy mi, by mój syn był szczęśliwy.

- Mnie również. Tylko nie wydaje mi się, że taka przyszłość czeka go z Parker.

- Podobno poszedł na romantyczną randkę.

- Nic o tym nie wiem - odparła Shey, przypominając sobie buty do kregli. - Ja bym raczej nie przywiązywała wagi do jego dzisiejszego wyjścia. Obawiam się też, że pański syn nie przyjedzie do domu z narzeczoną. Wprawdzie pan nie pyta, jednak ja to powiem: Tanner zasługuje na miłość. Zarówno w małżeństwie, jak i ze strony rodziców.

- Kocham mojego syna.

- To może pora mu o tym powiedzieć - rzekła łagodnie.

- Dobranoc, Wasza Wysokość.

Shey odłożyła słuchawkę.

Rozłączyła się z królem. Może powinna zwracać się do niego Wasza Królewska Mość? Za słabo się na tym znała. Zresztą to bez znaczenia.

Pierwsze, co musi zrobić, to definitywnie rozstać się

z księciem. Rzecz w tym, jak tego dokonać, by przestać się z nim widywać. Ani jego ojciec, ani tym bardziej jego poddani nie chcieliby dla następcy tronu kogoś takiego jak ona.

Shey wiedziała, co powinna zrobić. Problem w tym, że wcale tego nie chciała. Miała przeczucie, że zerwanie złamie jej serce.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Mężczyźni! - jęknęła Parker.

W niedzielę kawiarnia i księgarnia były otwarte krócej niż w dzień powszedni. Przyjaciółki zamknęły drzwi za ostatnim klientem i wreszcie spokojnie usiadły na zapleczu.

Shey tego właśnie potrzebowała - pobyć wśród bliskich, życzliwych osób, odetchnąć łżej. Wiedziała, że może liczyć na przyjaciółki. Nie dadzą jej zginąć. Pocieszą w potrzebie, pomogą zobaczyć rzeczy we właściwej perspektywie. Ucieszyła się, że to Parker zaczęła temat, a sądząc po tonie głosu przyjaciółki, faceci wyraźnie jej dopiekli.

- Mężczyźni - powtórzyła Parker.

- Właśnie, mężczyźni! - zawtórowała Shey.

Mężczyźni. A właściwie jeden mężczyzna. Tanner.

Chyba zwariowała, jeśli choć przez moment uważała, że ma jakieś szanse u księcia... zwłaszcza u tego księcia. Tanner przyjechał do Erie po swoją narzeczoną, księżniczkę czystej krwi. Wprawdzie Parker zdecydowanie odmówiła, ale to przecież nie znaczy, że Shey jest godna ją zastąpić. Tanner z pewnością ani przez chwilę tak nie myślał.

Między nimi żaden układ nie mógł wchodzić w grę. Po prostu.

- Mężczyźni! - westchnęła Cara, robiąc rozmarzoną minę. Shey popatrzyła na nią groźnie. To nie jest odpowiedni kierunek dla tej rozmowy.

Może się wściekać, może szydzić i drwić, ale na pewno nie będzie się zachwycać i wzdychać jak heroina romansu. Nie chciała słuchać niczego dobrego na temat mężczyzn.

Cara wcale się nie przejęła jej spojrzeniem.

- Co tak na mnie patrzycie? Wy macie problemy z facetami, ale to nie znaczy, że ja też je mam. Na razie wciąż szukam tego jedyne - rozmarzyła się Cara.

- Jak ja - powiedziała Shey.

Bo Tanner się nie liczy. Potrzebowała kogoś, kto kocha harleye.

Choć, prawdę mówiąc, Tanner wyrażał się z uznaniem o jej motorze.

No dobrze. Potrzebowała kogoś, kto potrafi czerpać radość z prostych przyjemności.

Zmarszczyła brwi. Przypomniała sobie, że przejażdżka łódką, koncert na świeżym powietrzu, nawet kręgle - też całkiem mu się podobały. I co z tego? I tak nie był mężczyzną, jakiego by chciała dla siebie.

- I ja - potwierdziła Parker.

- Moje kochane - rzeczowo oświadczyła Cara. - Może i macie pewne problemy, ale obie jesteście stracone. Już po was. A miłość nie zawsze jest łatwa.

- Miłość? - wykrztusiła Parker. Miała dziwnie zmieniony głos.

- Owszem, miłość - z przekonaniem rzekła Cara. - Obie jesteście trafione.

- Ha-ha! - mruknęła Parker.

- Ha-ha! - jak echo powtórzyła Shey.

Miałyby się kochać w Tannerze?

Chyba musiałyby stracić rozum.

Cara dalej upierała się przy swoim. Perorowała z przejęciem, gdy na zaplecze przyszła Shelly. Shey była tak poruszona tezami przyjaciółki, że część jej wypowiedzi chyba jej umknęła. Przez cały czas gorączkowo zastanawiała się, co naprawdę czuje do Tannera.

Przede wszystkim Tanner irytował ją jak mało kto.

Choć potrafił też rozbawić ją do łez.

Był okropnie, męcząco uparty.

I niesamowicie, fantastycznie przystojny.

Zdziwiłyby się, gdyby okazało się, że go polubiła. Ale *coś więcej?*

Nie jest aż taka głupia.

Musiałyby zwariować, żeby zakochać się w księciu.

Nie ma mowy, by kiedykolwiek do tego doszło., Topniała w jego ramionach, gdy ją całował, czuła się wspaniale w jego towarzystwie, ale to można w sobie zwalczyć.

Nie ma obaw, by straciła dla niego głowę.

Nie mogła już dłużej słuchać romantycznych uniesień Cary. Musi stąd wyjść. Po raz pierwszy rozmowa z przyjaciółkami nie przyniosła jej ulgi, nie uspokoiła rozedrganych nerwów. Czuła się fatalnie. Już nic nie było dla niej proste i jasne.

Nie miała pomysłu, dokąd pójść.

Nie miała pomysłu, co ze sobą zrobić.

Nie chciała wracać do domu.

Chciała znaleźć Tannera. I być z nim. Tymczasem zamiast niego spotkała Petera.

- Tanner cię wysłał na przeszpiegi? - zapytała, nie mając pewności, jaką odpowiedź chciałaby usłyszeć.

-Nie.

Jej serce na chwilę zamarło. Chyba jednak w cichości ducha łudziła się, że Peter potwierdzi jej przypuszczenia. No i dobrze, powinna mieć pretensje sama do siebie. Przecież oświadczyła Tannerowi, że chce odpocząć od jego towarzystwa, i on się tego trzyma.

Powinna się cieszyć.

Ale nie cieszyła się. To wszystko wydawało się pozbawione sensu.

Podobnie jak jej uczucia względem Tannera.

Absolutnie bez sensu.

- No dobrze. - Znowu ruszyła przed siebie parkową alejką.

- Poczekaj! - zawołał Peter. Shey zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. - Czy Shelly jest jeszcze w kawiarni? - spytał niepewnie.

-Tak.

Peter uśmiechnął się.

- To dobrze.

- Czemu po prostu nie wejdiesz i jej nie poprosisz?

- Powiedziała mi, żebym ją przestał nachodzić - ponuro odparł Peter. - Potrzeba jej trochę oddechu. - Miał coraz bardziej pośonną minę. - Dlatego czekam, aż wyjdzie z pracy. Mam nadzieję, że odpoczęła trochę ode mnie.

Shey przypomniała sobie niedawną przemowę Cary. Kto wie, może przyjaciółka rzeczywiście się nie myliła? Między SheEy a Peterem chyba coś jest.

- No, widzę, że nieźle cię trafiło - wymruczała.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odciął się Peter.

Shey skrzywiła się. Peter wzruszył ramionami.

- Przyglądam się tobie i Tannerowi - ciągnął Peter. - I wydaje mi się, że nie tylko mnie trafiło.

- Jest jednak bardzo znacząca różnica. Między mną a Tannerem nic nie jest możliwe.

- Wiesz co, gdy chodzi o takie sprawy, decyduje serce - odparł Peter pogodnie, a ton jego głosu niesłychanie przypominał ton rozkochanej w romansach Cary.

- Muszę już iść - powiedziała Shey i ruszyła przed siebie, nie oglądając się więcej.

Wszystkim tylko miłość w głowie. Wszyscy jakby się zmówili. Nawet Parker tylko jęczy i wzdycha do swojego detektywa.

Dość już tego. Jej to na pewno nie grozi. Nie zwariuje na punkcie Tannera. Odepchnie od siebie to, co do niego czuje. Odczeka, aż Tanner wyjedzie. Jeszcze go do tego będzie zachęcać.

Bo przecież on musi wreszcie stąd wyjechać.

Chyba musi?

Tanner przysiadł na ławce na nabrzeżu. Po prawej stronie stał pomnik z delfinem. Ciekawe, dlaczego akurat delfin? Przecież delfiny nie żyją w jeziorach.

Wiedział, że niepotrzebnie zaprzęta sobie myśli takimi głupstwami, ale w sumie to lepsze niż głowienie się nad zagadką Shey.

Ta dziewczyna pozostawała dla niego tajemnicą. I z każdym dniem wydawała się coraz bardziej nieprzenikniona. Gdy tylko zaczynał myśleć, że ją rozgryzł, pojawiała się coś

nowego. Jakby los podsuwał mu coraz to nowy kawałek łamigłówki, o którego istnieniu dotąd nie miał pojęcia.

Na przykład wczorajsza randka. Znow zobaczył Shey w innym świetle. Dobrze to sobie wymyślił. Wynajęcie kręgielni okazało się strzałem w dziesiątkę. Typowe zagrywki w ogóle by na nią nie podziały. Ale kręgle... naprawdę, to był świetny pomysł!

Teraz musi wymyślić coś nowego. Jutro znowu ją czymś zaskoczy. Musi znaleźć coś oryginalnego. Coś wyjątkowego. No i jutro musi z nią poważnie porozmawiać.

Na samym początku znajomości Shey wydała mu się dość irytującą dziewczyną, choć jednocześnie zajmującą. Jego zainteresowanie nią szybko wzrosło, a do tego dołączył się podziwi szacunek. Oczywiście nadal bywały chwile, gdy go złościła, ale już w zupełnie innym, męsko-damskim aspekcie.

Powoli zakochiwał się w niej, ale teraz ten etap miał już za sobą. Doskonale wiedział, kiedy to się stało. Tego wieczoru, gdy szykowała kanapki dla bezdomnych. Wtedy nagle go oświeciło. To było jak rażenie piorunem. Wtedy zdał sobie sprawę, że ją kocha.

Przyjechał do Erie po Parker, księżniczkę i idealną kandydatkę na jego żonę. Zamiast niej znalazł Shey, bezkompromisową dziewczynę, walącą prawdę prosto w oczy, niezależną, i z miejsca stracił dla niej głowę. Tylko że Shey była uparta i może minąć dużo czasu, nim zdoła ją przekonać, że są sobie przeznaczeni.

Nie podda się jednak, choć kochać Shey jest łatwo, a przekonać ją, że są dla siebie, z pewnością będzie trudniej.

Musi wymyślić coś specjalnego. Coś, co sprawi, że jej opór zostanie złamany.

Popatrzył na rozciągającą się przed nim linię wybrzeża. Z daleka dostrzegł dach amfiteatru.

Przypomniał sobie wcześniejsze słowa Shey. Sięgnął po komórkę.

- Tonio, chciałbym, żebyś wykonał parę telefonów...

Shey liczyła, że szybki spacer ukoi jej rozdygotane nerwy. Lubiła tę część miasta, która dochodziła do jeziora. Teraz szła prosto nad zatokę. Widok wody zawsze dobrze na nią działał.

Przeszła ulicę State, minęła szpital i zaczęła schodzić w dół wzgórza. Tuż przy wejściu do portu dumnie wznosiła się w niebo wieża zbudowana z okazji dwóchsetlecia miasta. Ulicą mknęły samochody, tłumy ludzi wyległy na nabrzeże. Niektórzy łowili ryby, niektórzy spacerowali, inni siedzieli przy restauracyjnych stolikach wystawionych na ulicę.

Dziwne, ale wcale nie poczuła się lepiej. Dzisiaj wszystko działało jej na nerwy. I to coraz bardziej. Aż trudno jej z tym wytrzymać.

To przez Tannera. To jego wina. Z jego powodu czuła się podenerwowana i rozdrażniona, jakby zaraził ją jakąś chorobą.

Jutro się z nim zobaczy i jutro dojdzie do decydującej rozmowy. Wyjaśni mu kilka rzeczy. Tanner musi zdać sobie sprawę, że wczorajszy wieczór już nigdy się nie powtórzy, że to był błąd. Nie będzie żadnych spotkań, żadnych pocałunków. Pora, by Jego Wysokość zbierał się do domu. Nic tu po nim. Niech wraca i bierze się do roboty u siebie. A ona będzie... tęsknić za nim.

Choćby ze wszystkich sił starała się wmówić sobie, że jest inaczej, że wcale go nie chce, prawda była inna. Brakowało jej Tannera. Jego śmiechu, jego bliskości. Brakowało jej jego pocałunków. Nawet teraz.

Doszła do portu. Jak to się stało, że całkiem straciła dla niego głowę? Jak to się stało, że zwyczajna Shey Carlson zakochała się w księciu? Przecież to śmieszne. Trzeba z tym jak najszybciej skończyć.

Stado mew z krzykiem opadło na chodnik, gdzie poniewierały się rozrzucone okruchy prażonej kukurydzy. Krzyk ptaków rozbrzmiewał w uszach dziewczyny. Jakby drwiły z jej naiwnych pomysłów. Bo przecież choćby się bardzo starała, nie jest w stanie zapanować nad tym, co do niego czuje. *Nie może zapomnieć, nie może zabić narastających* w niej z każdym dniem uczuć.

Może to wszystko stało się zbyt szybko, zbyt gwałtownie? Chyba tak.

Ale stało się. Naprawdę.

Walczyły w niej sprzeczne emocje. Z jednej strony chciałyby, by Tanner był teraz przy niej, z drugiej była przekonana, że wołałyby już nigdy w życiu go nie zobaczyć.

- Shey?

Objawił się przed nią nieoczekiwanie. Czyżby anioł stróż odczytał jej myśli?

- Właśnie myślałem o tobie - powiedział z uśmiechem.

Już miała się przyznać do tego samego, ale zamilkła, słysząc jego słowa.

- Czy jutro będziesz mogła wziąć sobie wolny wieczór? Poprosić Shelly czy tę studentkę, by któraś cię zastąpiła?

- Ale po co?

- Bo mam pewne plany.

- Jeśli chodzi o... - Teraz mu powie. Od razu, nie czekając na sposobny moment. Jedyne plan, jaki powinien natychmiast wcielić w życie, to plan powrotu do domu.

Tanner stał, nie odrywając od niej oczu i czekając na odpowiedź. Nie mogła się zdobyć, by wydusić z siebie to, co powinna powiedzieć. Jutro. Jutro mu powie. Jeszcze tylko ten jeden wspólny wieczór. Potem oświadczy mu, by wracał do siebie.

- No to jak? - zagadnął.

- Na pewno nie będzie z tym problemu. A zdradzisz mi, co będziemy robić?

- Nie. Ale jeśli przestaniesz się tak denerwować i uśmiechniesz się da mnie, postawię ci lody.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, jednak uśmiechnęła się. Było jej lekko na duszy jak nigdy.

- No dobrze. Sztama?

Tanner wyciągnął rękę.

- Sztama.

Uścisnęła jego dłoń i od razu poczuła, jak po jej ciele przebiega znajomy dreszcz.

Tak było za każdym razem.

W końcu znalazła mężczyznę, którego była w stanie kochać, ale dla dobra obojga musi go odepchnąć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- No i jak? Wszystko przygotowane? - Tanner pytająco popatrzył na Emila. Siedział przy stoliku w „Monarch” i nie mógł się doczekać, kiedy Shey skończy pracę i będzie mogła wyjść.

Przez całe lata był przekonany, że doskonale radzi sobie z kobietami. Rzeczywiście tak było i nadal jest. Tylko nie z Shey. Na niej nic nie robiło wrażenia, nic jej nie poruszało. Choćby wyszedł ze skóry, Shey pozostawała nieugięta. I nie dawała mu żadnej nadziei. Nie miał pojęcia, jak do niej dotrzeć, czym ją ująć. Starał się, ale bez pewności, czy strzela w dobrym kierunku. Działał na oślep.

- Wszystko przygotowane zgodnie z życzeniem - uspokajającym tonem powiedział Emil. Zwracał się do księcia łagodnie i cicho, jak do człowieka ogarniętego szaleństwem. - Na ulicy czeka już limuzyna.

Tanner zdawał sobie sprawę, że jego ludzie traktują go ostatnio jak niegroźnego wariata, ale wcale się tym nie przejmował. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Liczyła się tylko Shey. I przekonanie jej, że między nimi naprawdę coś jest. Coś, czego nie mogą zmarnować.

- To dobrze - mruknął. - Teraz zostało mi najtrudniejsze zadanie.

- Najtrudniejsze zadanie? - spytał Emil.

- Namówienie jej, by zechciała pójść - pochmurnie rzekł Tanner. Z góry wiedział, że nie będzie to proste. Shey była nieprawdopodobnie uparta. Podziwiał ją za to, z wyjątkiem chwil, gdy kolidowało to z jego planami, a miał podejrzenia, że dzisiaj tak właśnie będzie.

- Jaka kobieta nie dałaby się skusić na taki wieczór? - zdumiał się Emil.

Tanner roześmiał się.

- Shey Carlson. Mam przecucie, że będzie kopać i drapać, byle tylko nie dać się tam zaciągnąć.

- No to po co zawracasz sobie głowę szykowaniem tego wszystkiego, skoro z góry wiesz, że ona tego nie doceni?

- Myślę, że doceni i będzie jej miło, ale za nic się do tego nie przyzna. Wiesz, jak to jest z kobietami - rzekł filozoficznie Tanner. - Każdej, nawet tej, która nigdy ci tego nie powie, potrzeba odrobiny magii. - Miał tylko nadzieję, że dotyczy to również Shey.

Emil nadal nie wydawał się przekonany.

- Cóż, w takim razie życzę szczęścia. Bo chyba bardzo ci się przyda. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Żebyś wiedział - wymamrotał Tanner, bardziej do siebie niż do Emila. - Bardzo mi będzie potrzebne. Tego jestem pewien.

- Czego jesteś pewien? - zapytała Shey, wychodząc z zaplecza kawiarni.

- Już jesteś gotowa? - odpowiedział pytaniem.

- Tak. Wiem, że obiecałam ci dzisiaj wspólny wieczór, ale przemyślałam to sobie i doszłam do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł. Myślę, że...

Przerwał jej, pochylając się i dotykając ustami jej ust. Miał to być niezobowiązujący buziak, by uciszyć jej przemowę, jednak stało się inaczej. Bo gdy tylko jej dotknął, zaczęło dziać się z nim coś dziwnego. Otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie.

Zatapiał się w niej, w jej bliskości, w jej zapachu.

Całym ciałem wyrwał się do niej. To ona, podszeptowała intuicja. Wciąż było mu jej mało, a dzieląca ich odległość wciąż była zbyt duża. Nie mógł, po prostu nie mógł jej puścić.

Shey chyba odczuwała podobnie, bo przyłgnęła do niego, wtuliła się w jego ciało. Pocałował ją mocniej, a z jej piersi wydarł się zduszony okrzyk.

Powoli cofnął usta, zanurzył palce w jej włosach. Uśmiechnął się.

- Shey, bardzo cię proszę. Chodź ze mną. Jest wiele rzeczy, o których musimy pomówić. Chyba się z tym zgodzisz... powinniśmy pogadać o tym, co jest między nami.

- Dokąd chcesz pójść? - zapytała, nie odpowiadając wprost na jego prośbę.

- Zaufaj mi.

Zaufaj mi.

Tak powiedział.

Co jej się stało, że zgodziła się wyjść z tym szalonym księciem? Chyba przystała na jego prośbę tylko dlatego, że sama jest jeszcze bardziej szalona niż on.

Zaufaj mi?

Luksusowa limuzyna wiozła ich ulicami Erie. Shey siedziała na tylnym siedzeniu i nie widziała, którędy jadą, bo

oczy miała przesłonięte przepaską. Jak to się stało, że dała się wmanewrować w tak idiotyczną sytuację?

- Tanner, to bez sensu.

- Shey, wytrzymaj, proszę.

- Na pewno mnie do niczego nie zmusisz - odparła ostrym tonem, starając się zachować poważną minę. Bo strasznie chciało się jej śmiać.

Tanner wyraźnie był z siebie bardzo zadowolony. Słyszała to w jego głosie.

- Jeśli zechcę, to zaraz ściągnę tę przepaskę - zagroziła.

- Nie zmusisz mnie, bym jechała w ciemno.

- Zgodnie z tym, co o mnie mówiłaś, jestem zarozumiałym, aroganckim księciem, któremu wydaje się, że wszystko mu wolno... więc chyba mogę cię do czegoś zmusić.

- Może kiedyś tak sobie myślałam, ale teraz chyba zmieniłam zdanie. O tym, że jesteś arogancki. Na pewno nie o tym, że możesz mnie do czegoś zmusić. - Wprawdzie przepaska nie zasłaniała jej oczu bardzo szczelnie, jednak Shey nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Tannera. Ciekawe, jak zareagował na jej słowa. A zwłaszcza na ten zaskakująco miękki ton w jej głosie, który ją samą zdumiał.

- Już nie uważasz, że jestem arogancki? - zapytał.

Nie musiała widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że się uśmiecha. Zrobiło się jej ciepło na sercu.

- Nie, już tak nie myślę.

Umilkła na chwilę, po czym dodała:

- Tylko nim zaczniesz się puszyć i wyobrażać sobie Bóg wie co, powiem ci, że nadal uważam cię za okropnie męskiego człowieka i rozpuszczonego, rozwyrzonego księ-

cia. - Po tych słowach nieco jej ulżyło. Od razu poczuła się lepiej.

- Ale nie za nadętego aroganta - podsumował Tanner.
- To chyba znaczy, że moja pozycja się poprawia. Rosnę w twoich oczach.

Niemożliwy jest ten facet. Nic go nie rusza. Choćby nie wiadomo jak się starała, wszystko po nim służywało. Właściwie nie powinna zwracać sobie tym głowy, bo wszystko, co mówiła, było jak rzucanie grochem o ścianę. Nie łudziła się, że cokolwiek do niego dotrze. Jednak spróbowała.

- Owszem, rośniesz. Ale raczej jak wrzód.

- Super, Shey. Nieźle ci idą te słowne przepychanki. Naprawdę jesteś dobra w te klocki. Boję się tylko, że twoje komplementy uderzą mi do głowy.

- Chcesz mnie zbajerować, ale nic z tego. Dokąd jedziemy?

- Nie lubisz niespodzianek? - zapytał zamiast odpowiedzieć. - To cię nie bawi?

- Nie miałam okazji, by się tego nauczyć - odparowała.

- Więc może chcę ci to teraz wynagrodzić? A może chciałbym dać ci coś więcej niż kilka niespodzianek... może chciałbym ofiarować ci cały świat?

Shey prychnęła szyderczo.

- Nauczyłeś się tego na pamięć z jakiejś książki? Jeśli tak, to pudło. To na mnie nie działa.

Łgała jak z nut. Jego ostatnie słowa poruszyły ją do głębi, ale nigdy się z tym przed nim nie zdradzi. Tanner już i tak za dużo wie.

- Nic nie szkodzi. Twój uśmiech był wart wszystkie pieniądze.

- Wcale się nie uśmiechnęłam! - obruszyła się. Chyba tego nie zrobiła. Wprawdzie miała zawiązane oczy, ale panowała nad mimiką... chyba?

Ten książę wytrącał ją z równowagi. Musi zachować czujność. Intuicja podpowiadała jej, że Tanner obmyślił jakiś niebezpieczny plan, który ma osłabić jej wolę.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł nieoczekiwanie i auto zatrzymało się.

Tanner pomógł jej wysiąść.

- Mogę już zdjąć przepaskę?

- Jeszcze chwilę.

Nie do końca wiedziała, czemu pozwoliła mu się prowadzić. Przecież mogła się szarpnąć. Czuła, że gdzieś wchodzi.

- Teraz już mogę?

Tanner odsłonił jej oczy.

- Pomyślałem sobie, że urządzimy sobie piknik

Shey rozejrzała się wokół. Ogromny, wyłożony lustrami hol, w oddali imponujące, zakręcone schody. Od razu zorientowała się, gdzie się znajdują.

- Piknik w takim miejscu? Przecież jesteśmy w operze.

Wiekowy budynek teatru niedawno przeszedł generalny remont. Shey miała wykupiony karnet i regularnie przychodziła na koncerty symfoniczne, więc mimowolnie kibicowała wszystkim pracom modernizacyjnym.

- Wiesz, pierwszy raz byłam tutaj z wycieczką szkolną - zamyśliła się. - Oglądaliśmy wtedy „Giselle”. Do dziś pamiętam, jakie wrażenie wywarł na mnie tamten spektakl. To było niesamowite przeżycie. Nie mogłam oddychać. Tamtego dnia zakochałam się w balecie i w muzyce klasycznej.

- Wiem, jak to jest, gdy człowiek nagle się zakochuje -

rzekł Tanner , a jego głos zabrzmiał dziwnie miękko, niemal pieszczotliwie.

- Tanner - zaczęła Shey, ale nagle urwała. Nie była pewna, co chce mu powiedzieć.

- Słucham - powiedział zachęcająco, prowadząc ją do schodów. - Zjemy razem kolację, a potem porozmawiamy. Musimy.

Na pewno powie jej, że wyjeżdża.

No i dobrze. Tanner jest księciem i ma swoje obowiązki. Jego kraj z utęsknieniem czeka na powrót następcy tronu. Bardzo dobrze, nich już wraca do domu, bo każdy wspólnie spędzony dzień sprawia, że dla niej rozstanie będzie coraz trudniejsze.

A więc dzisiejszy wieczór to wieczór pożegnalny. Może nawet dojdzie do pożegnalnego pocałunku. I na tym sprawa się zakończy. Tanner wróci do siebie, a Parker zostanie w Erie, gdzie jest jej miejsce.

Jej zadanie dobiegło końca. Powinna się z tego cieszyć. Jednak z jakichś niejasnych powodów wcale tak nie było.

- Może to, co zaraz usłyszysz, nie będzie takie złe - rzekł tajemniczo Tanner.

- Bardzo wątpię. - No tak, to już pewne. On niedługo wyjeżdża. Na zawsze. I uważa, że dla niej to doskonała wiadomość.

Bo tak być powinno.

Jednak nie jest.

Weszli na balkon. Shey ze zdziwieniem patrzyła, jak Tanner rozkłada koc. On naprawdę zamierza urządzić tu piknik. Obok koca stał sporych rozmiarów kosz piknikowy. No nie...

Dopiero teraz zauważyła, że na scenie są ludzie.

- Co oni tu robią?

- Orkiestra właśnie ma próbę. Pomyślałem sobie, że miło będzie posiedzieć przy muzyce.

Jak na zawołanie orkiestra zaczęła grać.

- Nieźle - mruknęła Shey.

Tanner nalał wino do dwóch kieliszków i podał jeden Shey.

- Za magiczny wieczór! - wznosił toast.

Shey z ociąganiem stuknęła się z nim kieliszkiem.

- Tanner, dajmy sobie z tym spokój. Wiem, że niedługo wyjeżdżasz. Przestańmy się łądzić. Nie będzie żadnej magii.

- Zawsze jest magicznie, gdy tylko jesteś przy mnie.

- Przestań. To cytat z tej samej książki cp poprzednio? Powinieneś czym prędzej zwrócić ją do księgarni. To zbyt cliwe.

Tanner zaśmiał się.

- Widzę, że taki kwiecisty styl na ciebie nie działa. Shey, więc może zdradzisz mi, co robi na tobie wrażenie?

- A niby dlaczego miałbyś robić na mnie wrażenie? Jakoś nie widzę powodu.

- Nie widzisz? - zapytał, upijając łyk wina i wzdychając z zadowoleniem. - Jesteś niesamowitą dziewczyną.

- A ty jesteś księciem, który przyjechał po narzeczoną. Ja nią nie jestem, więc o co tyle hałas?

- Miło spędzamy razem czas, jest nam przyjemnie. - Tanner upił kolejny łyk. - Skosztuj wina.

Posłuchała. Wino, jak się spodziewała, smakowało wybornie. Podobnie jak jedzenie. To nie był zwyczajny piknik.

Nie było suchego prowiantu, a wyszukane gorące potrawy. Tym razem danie z wołowiny z ziemniakami i warzywami. A na deser przepyszne czekoladowe ciasto.

Jedli w zgodnym milczeniu, rozkoszując się wyśmienitym smakiem i przepiękną muzyką.

- Już więcej nie dam rady - westchnęła Shey. Wiedziała, że powinna być bardziej zdystansowana, jednak wszystko ją urzekło: jedzenie, atmosfera i... czego nie chciała przyznać... towarzystwo.

- Wolałbym teraz wrócić do wcześniejszego wątku - zagadnął Tanner.

- Którego? Badań kosmosu? Nie ma sprawy, z przyjemnością. Ludzkość musi eksplorować nowe obszary, a to ostatni niezbadany teren.

- Nie myślałem o kosmosie, a... o nas.

- Tanner, to miał być wyjątkowy wieczór. Nie psujmy go, rozmawiając o mrzonkach, które nie mają najmniejszych szans na spełnienie. Wkrótce wyjeżdżasz, a mnie jest miło, że zostaliśmy przyjaciółmi.

- Racja, wyjeżdżam.

No tak, przeczucie jej nie myliło. Dobrze się domyśliła. To ich ostatni wspólny wieczór.

- Tak przypuszczałam. Pogodziłeś się z myślą, że między tobą a Parker wszelkie układy są wykluczone, że nic z tego nie będzie. Twój kraj na ciebie czeka, musisz wracać. Dokuczałam ci, ale ty docinałeś mi wcale nie gorzej, co było nawet fajne. Dobrze się z tobą bawiłam. - Podniosła się. - Ta kolacja to bardzo miły akcent. Jednak jeśli pozwolisz, pójdę już do domu. Muszę wcześniej rano otworzyć kawiarnię.

- Shey... - zaczął Tanner.

- Nic nie mów. Zwłaszcza nie życzę sobie żadnych cytatów z tej książki, do której wracasz co chwila. Wystarczy krótkie „do widzenia”.

Tanner też podniósł się z miejsca. Jego oczy błysnęły niebezpiecznie. Shey chciała się cofnąć, by nie być tak blisko niego, jednak nie mogła tego zrobić.

- Wyjeżdżam, ale nie sam. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. - Sięgnął do kieszeni i wyjął pierścionek.

-Shey...

- Nic nie mów... ani słowa. Nie mogę w to uwierzyć. Chcesz dać mi pierścionek, który był przeznaczony dla Parker? Obiecałeś wrócić do domu z narzeczoną, więc łapię pierwszą z brzegu dziewczynę...

- Ten pierścionek kupiłem specjalnie dla ciebie. I zapewniam cię, że wcale nie łapię pierwszej lepszej dziewczyny...

- Dobra, niech ci będzie. Tak czy inaczej zabieraj go.

- Shey, zdążyłem cię trochę poznać. Pozujesz na twardą kobietę, ale to tylko maska, pod którą ukrywasz złote serce.

Shey czuła, że się rumieni. Jak uczennica. Jej policzki piekły ogniem. Ten mężczyzna robił z nią coś niebywałego.

- Chyba bredzisz - wykrztusiła z trudem. W zamierzeniu powinno to być powiedziane ostro, jednak wcale tak nie zabrzmiało. Raczej tak, jakby zaraz miała się rozpłakać.

- Nie mów tak. To nieprawda - rzekł z przekonaniem. - Widziałem, jak pomagasz potrzebującym. Widziałem twój stosunek do ludzi, z którymi pracujesz, do twoich przyjaciół. Masz czułe serce, Shey. Tego nie da się ukryć. Zależy ci na innych. Odcigałaś mnie od Parker, bo nie chcia-

łaś, by wpakowała się w układ, który by ją unieszczęśliwił. Miałaś rację, Parker nie jest stworzona do takiego życia, to byłaby dla niej udręka.

Shey popatrzyła na pierścionek, a potem na Tannera.

- Dla mnie też.

- Mylisz się. Masz tyle do zaproponowania. Pamiętasz, co mówiłaś o Parker? Ona woli trzymać się na uboczu, z dala od uwagi tłumów. Ty byś wykorzystała szansę. Wiem o tym. Masz tyle do zaoferowania innym. Angażujesz się całym sercem. Nie chodzi tylko o mój kraj. Chodzi też o mnie. Czy dasz mi swoje serce, Shey?

- Tanner, przecież nie mogę... - wyszeptała zmienionym, nabrzmiałym łzami głosem.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie - poprosił Tanner. - Wiem, że to wszystko dzieje się zbyt szybko, ale czy mnie kochasz?

Shey wzruszyła ramionami.

- Nie odpowiem ci, bo co to ma za znaczenie?

- Jak możesz tak mówić? - zapytał, przesuwając dłonią po jej policzku. - Shey, miłość zawsze ma znaczenie.

- Twój kraj potrzebuje księżnej. Kogoś, kto będzie go godnie reprezentował na arenie międzynarodowej. Nie wyobrażam sobie, by to mógł być ktoś taki jak ja.

- Za to ja doskonale to sobie wyobrażam. Shey, zastanów się tylko. Tutaj możesz pomagać zaledwie kilkunastu osobom. Jako księżna będziesz mogła promować programy, na których skorzystają setki, a nawet tysiące ludzi. Zamiast uczyć jednego człowieka, będziesz pilotować program nauki czytania dla ogromnej rzeszy analfabetów. Pomyśl tylko, jak wiele mogłabyś zdziałać!

- Nie robię tego, by zdobyć poklask czy uznanie - odpowiedziała. - Po prostu wiem z doświadczenia, jak człowiekowi może być ciężko, jak ważna jest pomocna dłoń.

- To wszystko prawda, ale chodzi o skalę. Będziesz mogła nieporównywalnie więcej. Będziesz też mieć mnie. - Tanner urwał na moment, po czym dodał: - Może w tym tkwi problem. Mieć mnie. Kochać mnie.

- To nie jest problem. Powiedziałaś, że powinnam za ciebie wyjść, bo to da mi szansę na zwielokrotnienie pomocy dla ludzi w potrzebie. I tu jest problem. Uważasz, że powinnam przyjąć twoje oświadczenia ze względu na tych ludzi i na to, co mogę dla nich zrobić jako żona następcy tronu.

- To tylko dodatkowa korzyść. Proszę, żebyś za mnie wyszła, bo kocham cię i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Myślę też, że jeśli jesteś ze sobą szczerą, to przyznasz, że ty też mnie kochasz.

- Wiesz, że cię pragnę. Dowiedliśmy tego nie raz i nie dwa. - Nie wyprze się tego, bo taka jest prawda. Co nie znaczy, że powie mu wszystko.

- No to powiedz „tak” - naciskał.

-Ja...

- Shey, chciałem wyjechać, ale po prostu nie mogłem się na to zdobyć.

- Obiecałeś, że wrócisz do domu z narzeczoną i teraz próbujesz mnie namówić, by wyjść z tej historii z twarzą.

- Nie chodzi o obietnice, jakie dałem ojcu. Chodzi o ciebie. Chcę, byś pojechała ze mną. Owszem, przyjechałem po narzeczoną. Przyjechałem po ciebie. Tylko wcześniej nie miałem o tym pojęcia.

- Nie mogę być księżną - powiedziała cicho Shey.
- Nie ma sprawy - odparł, wzruszając ramionami. - W takim razie ja zrezygnuję z tytułu.
- Nie możesz tego zrobić! - obruszyła się.
- Oczywiście, że mogę. Tak jak Parker.
- Już raz o tym rozmawialiśmy. Ona ma brata. Ty jesteś jedynakiem i następcą tronu. To zupełnie inna sytuacja.
- Co z tego? Mam kuzynów, którzy bardzo chętnie mnie zastąpią. - Ujął ją za rękę. - Nie widzisz, że dla mnie to bez znaczenia? Liczysz się tylko ty.
- Nie możesz zrezygnować.
- Nie będę pierwszym księciem, który to zrobi.
- Ale...
- Shey, naprawdę nie rozumiesz? - zapytał z determinacją. - Dla ciebie jestem gotów na wszystko. Zrezygnuję z tytułu. Zrobię wszystko, byle cię ubłagać. Powiedz, że za mnie wyjdiesz, a zostanę tu i będę pracował w kawiarni. Będę chłopcem do wszystkiego, a ty będziesz robić kanapki. Będziemy razem szczęśliwi, przyrzekam ci.
- Shey roześmiała się i popatrzyła mu prosto w oczy. I wtedy dotarło do niej, jak bardzo poważny jest Tanner.
- Ty naprawdę jesteś gotów to zrobić - powiedziała wolno. - Naprawdę byś to zrobił?
- Żeby być z tobą? Oczywiście. To, i dużo więcej.
- Tak - wyszeptała, czując narastające w niej uczucia. Nie mogła ich opanować. - Tak - powiedziała nieco głośniej i westchnęła.
- Tak - powtórzył Tanner. - To, i dużo więcej. Powiedz mi tylko, co mam zrobić, a ja...
- Na pewno nie obejdziesz się bez lekcji etykiety dworskiej,

to na początek. Parker udzieli mi pierwszych wskazówek, to wiem, ale będzie mi potrzebny nauczyciel, gdy już przyjadę do Amaru. Nie chciałabym wprawić w zakłopotanie ani ciebie, ani twojej rodziny. Właśnie, skoro o tym mowa, co oni powiedzą? Zastanowiłeś się nad ich reakcją, gdy przyjedziesz ze mną, a nie z Parker?

- Myślę, że po tej krótkiej rozmowie, jaką odbyłaś z moim ojcem, sprawa będzie prosta. Raczej nie będą ryzykować, by ci się narazić.

- Och, zupełnie o tym zapomniałam. - No tak, wiedziałam, że nie powinna w taki sposób rozmawiać z królem. - On mi tego nigdy nie zapomni.

- Na pewno nie. - Nagle Tanner urwał, jakby coś go tknęło. - Zaraz, poczekaj! Powiedziałaś: „tak”. Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz?

- Tak, wyjdę za ciebie. Wiem, że to wszystko dzieje się za szybko i pewnie do końca życia będziesz tego żałował, ale nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Tak! - powiedział Tanner i podbiegł do barierki balkonu. - Powiedziała: „tak”! - zawołał do muzyków na scenie.

Orkiestra urwała w pół taktu i zaczęła grać nowy utwór. Bardzo klasycznie brzmiącą piosenkę country.

Shey wybuchnęła śmiechem.

- Co ty robisz?

- Umówiłem się, że zagrają nam naszą piosenkę.

- Naszą piosenkę? - popatrzyła na niego ze zdumieniem. Miała wątpliwości co do małżeństwa z księciem, ale żadnych co do małżeństwa z tym mężczyzną.

- Oczywiście, że tak! - odparł, biorąc ją w ramiona. - Chyba że jest jakaś inna, która podoba ci się bardziej.

Shey zaśmiała się wesoło.

- Nie, ta jest w sam raz. Nasza piosenka.

- Mogą ją zagrać na naszym ślubie.

Och, zgodziła się wyjść za niego, ale w ogóle nie pomyślała o reszcie. Na przykład o ślubie i weselu.

- Boże, ale co ludzie sobie pomyślą?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Podał jej pierścionek.

- Powiedz te słowa - poprosił.

Usłuchała jego prośby. W przyszłości biedaka czekają ciężkie chwile, bo wcale nie zamierzała mu ulegać, ale dziś nie będzie się z nim spierać. Ustąpi. Nawet bardzo chętnie.

- Tak, wyjdę za ciebie.

- Nie, nie to. Powiedz te słowa.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że dotąd nie powiedziała głośno tego, co czuje... co czuje chyba już od pierwszej chwili, gdy go ujrzała.

- Kocham cię.

- Jeszcze raz.

- Och, ale z ciebie dyktator! Jeszcze ktoś pomyśli, że jesteś jakimś księciem czy kimś takim. Ale niech ci będzie. Kocham cię. Wiem, że to wariactwo, ale kocham cię i wyjdę za ciebie.

- Boisz się, że będę żałował? Zapytaj mnie o to za pięćdziesiąt lat. Jestem pewny, że będę ubolewał jedynie nad tym, że nie poznałem cię wcześniej. - Wsunął jej pierścionek na palec.

- To chyba znów cytat z tej cholernej książki? Dużo jeszcze ich znasz? - zapytała Shey, z podziwem zerkając ukradkiem na lśniący brylant.

- Mam nadzieję, że wystarczy mi do końca życia. Shey westchnęła tylko.
- Cóż, wygląda na to, że będę musiała przyzwyczać się do codziennego wysłuchiwania twoich banalnych powiedzonek.
- Jak najbardziej. Shey, kocham cię.
- Ja ciebie też, Tanner. Użyłabym całego twojego tytułu, ale jest strasznie długi.
- Masz czas do końca życia, żeby się go nauczyć. Książko Shey.
- O mój Boże! Na co ja się zgodziłam?
- W mojej książce znalazłby się na to odpowiedni cytat: „na miłość do grobowej deski”.

Shey jęknęła głucho, po czym pochyliła się i pocałowała swojego księcia.

Tak wiele ich dzieli, a jednak ich historia ma tak wspaniałe zakończenie.

EPILOG

Parker i Jace pomachali na pożegnanie, przyglądając się, jak Shey i Tanner wsiadają na harleya. Shey tym razem usiadła z tyłu. Zgodziła się, by Tanner prowadził, choć było to raczej określenie na wyrost, bo dopiero się tego uczył, a szło mu raczej opornie.

Przed chwilą odprowadzili Carę na lotnisko. Poleciała do Eliason. Spoczywało na niej odpowiedzialne zadanie - pomoc w przygotowaniu kameralnego ślubu. Podwójnego ślubu, bo obie jej przyjaciółki miały jednocześnie wyjść za mąż. Parker za Jace'a, a Shey za Tannera.

Mieli nadzieję, że ten wybieg uspi czujność mediów i paparazzi dadzą im spokój. Po jakimś czasie wydadzą huczne przyjęcie, ale na razie Shey zależało na cichej ceremonii w gronie najbliższej rodziny i przyjaciół.

Tanner odezwał się nagle:

- Shey, obiecałaś, że jak już wsadzimy Carę do samolotu, pokażesz mi swój tatuaż. Jako twój narzeczony mam prawo go zobaczyć. Możemy natychmiast wrócić do mnie do hotelu albo pojechać do ciebie.

- To nie będzie konieczne - powiedziała Shey.

- Jak to? - zdumiał się Tanner. Przez ostatnie tygodnie tajemniczy tatuaż Shey nie dawał mu spokoju. Wciąż o nim

myślał. Zastanawiał się, co przedstawia i gdzie się znajduje. Powoli wariował na tym punkcie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - dociekał.

Shey odciągnęła lekko kołnierzyk bluzki, odsłaniając prawy obojczyk. Tuż nad nim widniała maleńka korona. Ledwie widoczna, mniejsza niż paznokieć. Gdy z przyjaciółkami założyły firmę, Parker postanowiła jakoś upamiętnić to wydarzenie. Wszystkie trzy zrobiły sobie wtedy takie same tatuaże.

Tanner uśmiechnął się, po chwili zachichotał, a w końcu wybuchnął śmiechem.

- No widzisz? Przyjechałem do Erie po moją księżniczkę i znalazłem ją. Masz nawet koronę.

Shey roześmiała się.

- Uważaj, jak jedziesz, mój ty księżę. Żeby tym razem żaden bieg nie zazgrzytał.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem... księżno.

Holly Jacobs

Królewski sekret

PROLOG

Cara Phillips pochyliła się i wyrzała przez okno. Samolot schodził do lądowania, w dole już było widać Eliason, niewielkie europejskie państewko, o którego istnieniu większość świata nie miała pojęcia.

Dla niej, dziewczyny urodzonej i wychowanej w Stanach, Eliason było miejscem magicznym. To państwo rządzone przez prawdziwego monarchę. Ciekawe, co odczuwa ktoś, kto ma świadomość, że cały kraj należy do niego, a jednocześnie odczuwa ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności za skrawek ziemi i za ludzi ten skrawek zamieszkujących.

W Eliason przyszła na świat najlepsza przyjaciółka Cary, Parker Dillon. Księżniczka Anna Maria Parker Mickowicz Dillonetti z Eliason.

Ale rodowe dziedzictwo okazało się dla Parker zbyt wielkim obciążeniem. Nie czuła się na siłach, by zmierzyć się z posłannictwem, jakie nakładało na nią jej urodzenie. Postanowiła podążyć za tym, co było dla niej ważniejsze, w czym widziała szansę na samorealizację. Poszła za swoim marzeniem i odnalazła swoje miejsce pod słońcem. Postanowiła osiąść w Erie w Pensylwanii i związać się z Jace'em, mężczyzną, który wkrótce zostanie jej mężem. Do ich ślubu pozostał już tylko miesiąc. Krótkie cztery tygodnie.

Tego samego dnia w związek małżeński wstąpi wspólna przyjaciółka Cary i Parker, Shey Carlson. Wyjdzie za Tannera Ericsona. Za księcia Tannera Ericsona.

Podwójny ślub. W dodatku księżący ślub.

Dla romantycznej duszy Cary było to spełnienie marzeń. Bajka, po prostu bajka. Przyjaciółki wygrały swoje losy na loterii.

Shey nie szukała miłości. Zwłaszcza nie takiej. Książę Amaru, Eduardo Matthew Tanner Ericson, z założenia nie był kimś, kim Shey mogłaby się zainteresować. W dodatku przybył do Erie w konkretnym celu - po narzeczoną. Tymczasem znalazł Shey, miłość swojego życia.

Shey zgrywała się na twardą, mocno stąpającą po ziemi dziewczynę, ale to była tylko maska. Ktoś, kto ją znał, doskonale wiedział, jak bardzo jest delikatna i wrażliwa i jak łatwo ją zranić. Zasługiwała na swojego księcia, bez dwóch zdań.

Cara znowu westchnęła. Jak cudownie wszystko się ułożyło! Jej dwie najbliższe przyjaciółki znalazły swoje połówki jabłek, mężczyzn, których pokochały całym sercem, z którymi chcą spędzić resztę życia.

Kiedyś miała nadzieję, że jej życie też potoczy się takim torem. I przez chwilę, ulotną chwilę, łudziła się, że tak właśnie się stało. To było trzy miesiące temu.

Mike King pojawił się w jej życiu nieoczekiwanie, a wraz z nim obudziły się uczucia, jakich dotąd nigdy nie doświadczyła, o jakich nie miała pojęcia. Obudziła się też nadzieja, że oto znalazła człowieka, na którego czekała, za którym w skrytości duszy tak bardzo tęskniła. Tymczasem jej wymarzony mężczyzna zniknął równie szybko, jak się pojawił. Po prostu nagle rozpląnął się w niebycie, pozosta-

wiając po sobie tęsknotę i niekończące się rozważania na temat tego, co mogłoby być, gdyby...

Pozostało wspomnienie jednej, jedynej nocy, kiedy Cara myślała, że oto spełniają się jej marzenia, gdy uwierzyła w miłość od pierwszego spojrzenia i w szczęśliwą przyszłość.

Ale po nocy nastał ranek i Mike zniknął bez śladu. Cara obudziła się z pięknego snu, a zetknięcie z rzeczywistością było jak uderzenie obuchem.

Cudowna, magiczna noc wydawała się teraz sennym marzeniem zatopionym w nierealnej mgle, która rozwiała się wraz ze wschodem słońca. Zostało tylko wspomnienie ciemnowłosego mężczyzny o przepastnych błękitnych oczach, przenikających Carę na wskroś. Oszukiwała samą siebie, sądząc, że Mike, tak jak ona, czuł tę niezwykłą więź, która ich połączyła.

Zniknął, ale coś po nim pozostało. Coś namacalnego i bardzo realnego.

Koła samolotu dotknęły ziemi.

Cara jeszcze raz westchnęła głęboko. Dość tego. Powinna myśleć o ślubie przyjaciółek. To musi być wspaniała, niepowtarzalna uroczystość, w iście królewskiej oprawie.

Tak, Parker i Shey odnalazły swoje przeznaczenie. Mają kogo kochać. Znalazły miłość na całe życie, aż po grób. Ją też to kiedyś spotka.

I co z tego, że nie będzie to Mike King? On przemknął przez jej życie jak meteor, ich drogi zeszyły się tylko na krótką chwilę, ale wkrótce w życiu Cary pojawi się ktoś, kto zostanie przy niej na zawsze.

Dziecko.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Michael, przestań wreszcie tak krążyć. Wyglądasz jak zdenerwowana panna młoda przed nocą poślubną, a nie jak księżę i następca tronu.

Michael, słysząc to porównanie, nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Jak panna młoda? Marstel, chyba przesadziłeś. Raczej jak pan młody.

- Daj spokój, tak mi się powiedziało - uśmiechnął się Marstel.

Z Marstelem znali się od dziecka, dlatego wolno mu było znacznie więcej niż innym ludziom z otoczenia księcia. Jako osobisty asystent i prawa ręka orientował się doskonale w wielu sprawach, a jako przyjaciel z dzieciństwa wiedział o księciu bardzo dużo.

Naraz Marstel przestał się uśmiechać.

- Weź głęboki oddech i uspokój się trochę.

- Uspokój się? - Michael nerwowym gestem przesunął palcami po włosach. - Uspokój się? - powtórzył. - Dobrze ci mówić. Czekam na koleżankę siostry, by wspomóc ją w przygotowaniach do ślubu. - Do ślubu Parker, siostry Michaela, pozostał niecały miesiąc, a jej przyjaciółka miała

osobiście wszystkiego dopatrzeć. - Zamiast się w to bawić, powinienem być teraz w Erie i szukać jej.

Jej? Tak, bo nawet nie wie, jak miała na imię.

Cara mia, tak ją nazywał.

Przypomniał sobie jej uśmiech, gdy pierwszy raz tak się do niej zwrócił. Wyszeptał jej to do ucha: *cara mia*.

Spotkali się nagle, nieoczekiwanie i ta krótka chwila zmieniła całe jego życie.

- Powinienem być tam, a nie służyć za kierowcę jakiejś tam Carze.

Już samo brzmienie tego imienia pogłębiało frustrację Michaela.

Cara, ale nie jego *cara mia*.

- Przecież twój przyszły szwagier szuka tej tajemniczej dziewczyny, ale gdy nie zna się nawet imienia... - Marstel zawiesił głos.

Sytuacja była jasna. Szanse na odnalezienie nieznajomej równały się zeru. Tamtej nocy była dla Michaela po prostu *cara mia*.. O jej prawdziwe imię zamierzał zapytać rano, w świetle dnia. Nie chciał mać uroku czarownicy, wręcz nierealnej nocy takimi drobiazgami. Tymczasem rano dziewczyna zniknęła. I jak ją teraz odnaleźć?

Erie to niewielkie miasteczko w Pensylwanii, zaledwie sto tysięcy mieszkańców, ale znaleźć kogoś, jeśli nie zna się jego nazwiska, to jak szukanie igły w stogu siana.

Michael sporo wiedział o Erie. Według ostatniego spisu, w miasteczku mieszkało sto trzy tysiące siedemset siedemnaście osób, ale do tego należało doliczyć ludzi zamieszkujących miejscowości leżące wokół Erie. *Cara mia* równie dobrze może mieszkać w jednej z nich.

Na razie Michael nie mógł się ruszyć z Eliason. Postanowił jednak, że zaraz po ślubie siostry poleci do Erie i zacznie poszukiwania. I nie spocznie, póki jej nie znajdzie choć wiedział, że to sprawa niemal beznadziejna.

Tak, czekało go ciężkie zadanie, ale dopnie swego. W każdym razie spróbuje. Ta znajomość nie może się tak po prostu zakończyć. Jedna wspólna noc to za mało. Instynktownie czuł, że ta kobieta jest mu przeznaczona.

Wiedział to od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzał. Był tak pochłonięty tym, co działo się między nimi, uczuciami, jakie nieoczekiwanie w nim wybuchły, że o nic nie pytał, a gdy w końcu otrząsnął się i zaczął normalnie myśleć było za późno. Dziewczyna zniknęła.

Pozwolił, by mu się wymknęła. Szukał jej kilka godzin ale daremnie. Nie mógł dłużej zostać w Erie, bo plan jego dyplomatycznej wizyty był dokładnie ustalony.

Ale wróci do Erie i nie wyjedzie ze Stanów, póki nie odnajdzie swojego szczęścia.

Nie miał romantycznej natury, nigdy przedtem nie zdarzyło się mu stracić głowy na widok atrakcyjnej dziewczyny, jednak gdy tamtego dnia ujrzał ją na ulicy, stało się. Od razu wiedział, że to ona.

To samo przed laty przeżył jego ojciec. Dokładnie w taki sposób poznał mamę, miłość swojego życia. Na dodatek to również zdarzyło się w Erie. Parker też doświadczyła czegoś podobnego. Zakochała się w prywatnym detektywie wynajętym przez ojca. Jace O'Donnell miał ustalić, czemu księżniczka nie chce wracać do rodzinnego kraju.

Wcześniej Michael nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, mimo że sam przyszedł na świat jako owoc

związku zrodzonego z takiego uczucia. Nie przekonywały go jednak opowieści rodziców, póki sam tego nie doświadczył. Dopiero wtedy uwierzył. I od tej chwili każdy dzień bez niej był nie do przeżycia.

Jeszcze miesiąc. Gdy tylko wywiąże się z rodzinnych obowiązków, poleci do Erie i wróci ze swoją ukochaną. Ze swoją *cara*.

- Łąduje - głos Marstela wyrwał go z rozmyślań.

Samolot zszedł niżej i koła dotknęły pasa.

Oczekujący musieli cierpliwie czekać, aż podróżni odbiorą bagaże i przejdą odprawę. Wydarzenia ostatnich lat wiele zmieniły i nawet w Eliason przepisy bezpieczeństwa zostały mocno zaostrzone, jednak bycie księciem miało pewne plusy, nawet jeśli nie było ich wiele. Michael i Marstel stanęli przy wyjściu awaryjnym i obserwowali pasażerów wysiadających z samolotu.

Wysiadło już kilkanaście osób, gdy nagle Michael zobaczył ją. Gwałtownie wciągnął powietrze. Był pewien, że ma halucynacje.

- Michael, co z tobą? - zaniepokoił się Marstel.

- To ona - wyszeptał księżę, nie odrywając oczu od zbliżającej się kobiety. - To ona. *Cara mia*.

- Twoja tajemnicza dziewczyna?

Trzy miesiące temu Michael przebywał z wizytą w Stanach, a przy okazji spotkał się z siostrą. Miał ją namówić do powrotu do domu, choć nie spodziewał się, że to mu się uda. Gdy Parker się na coś uparła, nie trafiały do niej żadne argumenty. Kiedy tylko przyjechał do Erie, wszystko stało się jasne. Wystarczyło popatrzeć na Parker, gdy opowiadała o swoim detektywie. Tak, jej miejsce było te-

raz tam, przy ukochanym. Do rodzinnego Eliason mogła co najwyżej przyjechać z wizytą.

Program pobytu Michaela w Stanach był bardzo napięty, więc książę nie zdążył poznać przyjaciółek siostry. Jedną z nich, Shey Carlson, zaręczyła się z Tannerem Ericsonem, księciem sąsiedniego Amaru. Druga nazywała się Cara Phillips i miała przyjechać do Eliason, by wziąć udział w przygotowaniach do podwójnego ślubu. To będzie cicha, skromna uroczystość w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół, dopiero miesiąc później zaplanowano huczną ceremonię. Na razie oba śluby zostaną zachowane w tajemnicy.

Parker i Shey przybędą do Eliason w ostatniej chwili. W ten sposób żadne informacje nie przeciekną do mediów i nic nie zakłóci rodzinnej atmosfery tej wyjątkowej uroczystości. W takim rozwiązaniu było sporo sensu.

Swoją tajemniczą dziewczynę Michael spotkał w parku w Erie, niedaleko kawiarni i księgarni, które należały do Parker i jej przyjaciółek. Dziewczyna zaśmiała się tak dziwnie, gdy nazwał ją *cara mia*.

Cara Phillips.

A więc znał jej imię, choć sam o tym nie wiedział. To jeszcze jeden dowód, że przeczucia go nie myliły - ta dziewczyna była mu przeznaczona.

A teraz przyjechała do niego.

Czy potrzeba więcej dowodów?

- Michael? - Marstel popatrzył na księcia z niepokojem.

- W porządku. Teraz już wszystko jest dobrze - powiedział z przekonaniem Michael.

Bardzo dobrze. Już nie musi szukać swojej *cary*.

To ona go znalazła.

Cara wysiadła z samolotu i odetchnęła głęboko. Parker często powtarzała, że nigdzie nie pachnie tak jak w Eliason..

Może to prawda, ale w tej chwili Cara czuła tylko zapach paliwa i robiło się jej od tego trochę niedobrze.

Zmusiła się, by myśleć o czymś innym. Zaraz pozna rodzinę Parker. Rodzinę panującą w Eliason. Nie ma powodów do zdenerwowania. Przecież to dla niej nie pierwsza. Parker jest księżniczką, Tanner jest księciem, a po ślubie nawet Jace i Shey dostaną tytuły.

Lata przyjaźni z Parker wiele ją nauczyły. Dobrze wiedziała, jak trudne i stresujące bywa życie członków rodziny panującej. Już jako nastolatka Parker przeżyła szok, gdy jej osobiste sprawy zostały upublicznione i stały się pożywką dla brukowców. Na szczęście zawsze mogła liczyć na rodziców, którzy wspierali ją bez zastrzeżeń. Dla książęcej pary dzieci były najważniejsze i choć rodzice pragnęli, by Parker wróciła do domu, uznali jej prawo do wyboru własnej drogi.

Cara nie знаła ich, jednak mimo to uważała za wzór. Dlatego bez wahania przyjęła propozycję, by zatrzymać się u nich. Parker pokazała jej zdjęcia rodzinnego domu. Była to imponująca, usytuowana pośród wspaniałych ogrodów rezydencja z szarego kamienia, z jedną wieżą w zachodnim skrzydle. Parker przyznała, że jeszcze nie była we wszystkich pokojach. Ciekawe, czy Carze uda się to w ciągu miesiąca.

Mało prawdopodobne. Czekają ją mnóstwo pracy, musi dopilnować każdego, nawet najdrobniejszego szczegółu. Chciała, by ta uroczystość była wspaniała i na zawsze zapadła w serca i pamięć przyjaciółek i gości.

To była jej misja. Nie będzie czasu na inne rzeczy. A jeśli koniecznie chce się martwić, ma przecież inne problemy. Ważniejsze.

Weszła do sali przylotów i rozejrzała się wokół. Ktoś miał ją odebrać, ale Parker nie powiedziała, kto po nią przyjedzie. Pewnie sama nie wiedziała.

Cara założyła torbę na ramię i ruszyła przed siebie.

- *Cara mia* - usłyszała nagle za sobą.

Zatrzymała się i znieruchomiała. Nogi się pod nią ugięły. Czuła, że brakuje jej powietrza.

Czy można się udusić, gdy nagle człowieka coś niebywale zaskoczy?

Choć zaskoczenie to za mało powiedziane.

Cara była w szoku.

Czy można udusić się z powodu szoku?

Nie chciała się odwracać. Nie byłaby w stanie przeżyć rozczarowania. A jednak odwróciła się. Musiała.

Mike.

Mike King w Eliason?

- Ty? - wybąkała ledwie słyszalnie, bo wciąż brakowało jej tchu.

- Ja - odparł z szerokim uśmiechem Mike.

Drań wydawał się bardzo zadowolony.

- Odnalazłem cię - powiedział.

Nadzieja, jaka się w niej obudziła, rozwiąła się w jednej chwili. Cara przypomniała sobie, jak Mike się zachował. Szkoda słów. Drań i łobuz.

Zawsze była cicha i nieśmiała, trzymała uczucia na wodzy, ale widok roześmianej twarzy Mike'a podziałał na nią jak płachta na byka.

- Odejdź ode mnie! - Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Nie zważała, gdzie idzie, chciała tylko znaleźć się jak najdalej od tego człowieka, który tak podle z nią postąpił.

Mike King, ojciec jej dziecka.

- Caro, dokąd idziesz? - Mike podążył za nią, wcale nie przejęty tym, co mu przed chwilą powiedziała.

Może była zbyt subtelna. Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy.

- To nie twoja sprawa. Zapomnij, że kiedykolwiek się znaliśmy. Ja zapomniałam cię tamtego ranka, gdy tylko się obudziłam się w hotelu. Zresztą ciebie już nie było.

Tak, skłamała, ale zrobiła to w słusznej sprawie.

Bo choć uciekła się do wierutnego kłamstwa, pierwszy raz w życiu nie miała poczucia winy. Pierwszy raz w życiu tak dalece rozminęła się z prawdą, ale playboy zasłużył sobie na to, by jak najszybciej wymazać go z pamięci.

Nigdy mu nie wyzna, że myślała o nim bezustannie.

- Ja nie potrafię zapomnieć - powiedział z powagą.

Cara znów ruszyła przed siebie.

- Odejdź, bo zawołam strażnika. Aresztują cię za naga-bywanie nieznajomej. Jestem tu gościem i mam wysoko postawionych przyjaciół.

Może trochę nagięła prawdę, bo jeszcze nie poznała rodziców Parker, ale oni z pewnością staną w jej obronie i ochronią ją przed natręctwem byłego kochanka.

- Powiedz mi, dokąd idziesz - zażądał stanowczo Mike. Cara przyspieszyła kroku.

- Nie twoja sprawa! - rzuciła opryskliwie przez ramię.
- Zostaw mnie, ty draniu.

- Draniu? - rozbawiła go tym określeniem.

- Ty podrywacz!

- Podrywacz? - Mike zachichotał.

Wspomnienie tego cichego, głębokiego śmiechu prześladowało ją przez ostatnie trzy miesiące.

Nagle Mike położył rękę na jej ramieniu, jakby chciał przytrzymać ją w miejscu.

Cara szarpnęła się.

- Zostaw mnie! I przestań za mną iść!

- Nie mogę. Przyjechałem tutaj po ciebie, Caro. Mam cię zabrać do zamku.

- Pracujesz u księcia? - zapytała i naraz spłynęło na nią olśnienie. - To dlatego byłeś w Erie. Teraz już rozumiem. Wysłano cię, byś namówił Parker do powrotu. Wtedy poznałeś mnie i postanowiłeś zabawić się przed wyjazdem. Sądziłeś, że nigdy więcej się nie spotkamy. I niech już tak zostanie. Uznajmy, że nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. Odwieź mnie do zamku i wracaj do swoich spraw. I na zawsze zapomnij, że kiedyś się znaliśmy.

- Obawiam się, że to niemożliwe, *cara mia*.

Cara ledwie się trzymała, a czułe słowa Mike'a ostatecznie ją dobiły.

- Nie mów tak - wykrztusiła.

- Nie mogę. Jesteś *cara mia*, moja ukochana. - Michael wyciągnął rękę, jakby znowu chciał jej dotknąć, ale szybko się wycofał. - Szukałem cię - powiedział.

- Ha!

- Nie mogę cię zostawić, bo mój ojciec życzył sobie, bym ci towarzyszył i pomagał.

- Twój ojciec? - zapytała Cara i poczuła gwałtowny

skurcz w żołądku. Nagle zaczęła docierać do niej przerażająca prawda. - Twój ojciec? - powtórzyła.

- Mój ojciec, Antonio Paul Capelli Mickowicz Dillonetti.

Cara bała się, że zaraz upadnie.

Mike pochwycił ją za ramię i podtrzymał.

Cara zebrała wszystkie siły.

- Więc jak ty się naprawdę nazywasz? - zapytała cicho, choć już wiedziała.

- Antonio Michael Paul Mickowicz Dillonetti. To nie jest pełne brzmienie, dochodzą jeszcze tytuły. Ale dla przyjaciół jestem po prostu Michael.

- No więc, Wasza Wysokość...

- Michael - poprawił ją.

- To dla przyjaciół, a ja się do nich nie zaliczam. Pozostanę przy „Wasza Wysokość”.

- Jak sobie życzysz - rzekł miękko, jakby chciał ją uspokoić.

Ale ten ton był zbyt miękki, zbyt pieszczotliwy, by po działał na nią uspokajająco.

- Rzeczywiście nie zaliczasz się do moich przyjaciół... - zaczął. - Jesteś dla mnie kimś więcej.

Cara nie mogła tego słuchać.

Parker i Shey zdały się na nią. Wierzyły, że dopilnuje, by ich zaślubiny były kameralną, wzruszającą uroczystością, inną niż bywają zazwyczaj królewskie śluby. Przyjaciółki nie chciały pompy i celebry. Tymczasem Cara nie może zostać w Eliason, mając w perspektywie ciągle towarzystwo Mike'a, dzień po dniu.

Parker i Shey rozumieją jej racje. Muszą,

Odwróciła się i ruszyła do kasy.

- Dokąd się wybierasz? - zdumiał się Michael, depcząc jej po piętach.

Dopiero teraz Cara zauważyła kilku mężczyzn, idących za nimi krok w krok.

Ochroniarze?

Bardzo możliwe. W końcu to książę.

Książę, dobre sobie. Po prostu kawał drania.

- Idę kupić bilet powrotny - odpowiedziała.

- Znowu uciekasz? - zapytał Michael, ścisząc głos.

- Co chcesz powiedzieć przez to „znowu”? Obudziłam się rano, a ciebie nie było. Nie pozostawało mi nic innego, jak odejść. Wysłałam, ale z całą pewnością nie uciekłam.

Gdyby wtedy nie zniknął, zostałyby.

- Poszedłem tylko po śniadanie. Gdy wróciłem, ciebie już nie było - powiedział cicho Michael.

- Wróciłeś wtedy? - wyszeptała.

- Oczywiście. Przecież byliśmy w moim pokoju.

Nie, czy to możliwe? On wcale nie odszedł. Wcale jej nie zostawił. Dotknęła dłonią brzucha.

Naraz uderzyła ją jeszcze jedna myśl.

Ojciec jej dziecka jest księciem. Następcą tronu Eliason.

Zamarła. Jej dziecko należy do rodziny panującej.

Krew odpłynęła jej z głowy i Cara zrobiła coś, co nigdy dotąd jej się nie zdarzyło. Zemdlała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niewiele było rzeczy, które budziły w Michaelu niepokój czy obawy. Cierpiał na przykład na lęk wysokości, jednak umiał sobie z tym radzić. W samolocie unikał miejsc przy oknie, a w innych sytuacjach po prostu przełamywał wewnętrzny opór. Jednak teraz nie potrafił ukryć strachu, a tym bardziej nie był w stanie go zdusić. Trzymał w ramiionach zemdloną dziewczynę i to było przerażające.

Ostrożnie, podtrzymując jej głowę, położył ją na podłodze.

- Dzwonź po pogotowie! - warknął do Marstela.

Marstel pospiesznie wybierał numer.

Michael odetchnął łżej. Lada moment zjawi się karetka. Popatrzył na Carę. Dziewczyna zamrugała, a po chwili otworzyła oczy.

Michael nabrał głęboko powietrza i wypuścił je powoli. Nareszcie znowu mógł oddychać.

- Cara - wyszeptał.

- Co się stało? - zapytała, próbując usiąść.

- Nie ruszaj się. Zemdlałaś. Zaraz przyjedzie pogotowie.

- Nie! Nic mi nie jest. Po prostu zmęczyłam się długim lotem. Nic mi nie dolega.

- Jeśli zemdlałaś z powodu długiego lotu, to innych pa-

sazerów też to powinno spotkać, a jak na razie nikt inny nie padł na ziemię. Musi obejrzeć cię lekarz.

- Nie - powtórzyła Cara i usiadła, nie zważając na sprzeciw Michaela. - Puść mnie.

- Caro, zaraz przyjedzie lekarz. To konieczne.

Cara podniosła się, jeszcze chwiejnie, ale szybko odzyskała równowagę. Popatrzyła na księcia ostro.

- Nie ma mowy.

Michael wyprostował się.

Ta zdecydowana, piorunująca go wzrokiem dziewczyna różniła się od obrazu słodkiej Cary, jaki zachował w pamięci. Wygląda na to, że przyjdzie mu jeszcze wiele się o niej dowiedzieć.

- Musi zbadać cię lekarz - rzekł stanowczo. Rzadko zdarzało mu się używać takiego tonu, lecz jeśli już to robił, zawsze osiągał zamierzony efekt.

Najwyraźniej nie tym razem. Cara skrzyżowała ręce na piersi i oznajmiła:

- Niech Wasza Wysokość raczy posłuchać. To, że jesteś księciem, nie znaczy, że zacznę odgrywać rolę twojej poddanej. Nikt nie będzie mnie badał. - Następnie zwróciła się do Marstela trzymającego w dłoni komórkę: - Proszę natychmiast odwołać karetkę. Szkoda ich fatygować. Przydadzą się komuś, kto naprawdę potrzebuje pomocy.

Zdezorientowany Marstel popatrzył na Carę, potem na księcia.

Książę wzruszył ramionami.

- Dobrze, odwołaj. Poprosimy doktora Stevensa, naszego domowego lekarza, żeby rzucił na ciebie okiem.

Cara uśmiechnęła się zjadliwie.

- Chyba że zaprosisz go na herbatę, bo ja na pewno nie pozwolę się dotknąć.

Odwróciła się i ruszyła do punktu odbioru bagażu.

- Zawsze jesteś taka uparta i kłótniwa? - zapytał Michael, doganiając ją.

Twarz Cary nieoczekiwanie złagodniała.

- Nie uwierzysz, ale nie. Zazwyczaj jestem cicha i zgodna.

- A więc tylko ja dostąpiłem zaszczytu poznania cię od tej drugiej strony? - Książę uśmiechnął się pogodnie.

Cara wzruszyła ramionami.

- Na to wygląda.

Uśmiechnęła się, choć Michael widział, że zrobiła to wbrew sobie.

No, nazwanie uśmiechem tego grymasu to może określenie na wyrost. Zawsze jednak to jakiś początek. Błede przypomnienie kobiety, jaką pamiętał.

- No to mam szczęście - rzekł żartobliwie.

- Dlaczego za mną idziesz?

- Przyjechałem odebrać cię z lotniska. Chyba nie chcesz zawieść swoich przyjaciółek?

Na twarzy dziewczyny nie było już śladu uśmiechu. Popatrzyła chmurnie.

- Pojadę do zamku, ale zrobię to wyłącznie ze względu na Parker i Shey. Ale nie pojadę z tobą. Wezmę taksówkę.

- Znowu się kłócisz.

- Bo mnie irytujesz.

- A ty mnie denerwujesz. Wciąż się upierasz i sprzeciwiasz. Dlaczego?

- No to znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia - podsumowała Cara.

- Czemu po prostu nie pojedziesz razem ze mną?
- Czy jeśli to zrobię, zostawisz mnie w spokoju, kiedy już będziemy na miejscu?

- Tego nie obiecuję, ale mogę cię zapewnić, że dam ci trochę czasu, zanim znów zacznę cię denerwować.

Cara westchnęła ciężko.

- No dobrze.

- A zatem chodźmy. Marstel zatroszczy się o twoje bagaże.

Cara szła w milczeniu. Wyglądała bardziej jak skazaniec idący na szubienicę niż dziewczyna, która przed chwilą dowiedziała się, że jej zalotnik jest księciem. Jej zielone oczy ciskały gromy. Michael domyślał się, że jest wzburzona, choć starała się nad sobą panować.

Uśmiechnął się do siebie. Podobało mu się, że ta drobna brunetka wcale nie czuła wobec niego onieśmienia.

Spotykał się z różnymi dziewczynami, ale zwykle okazywało się, że chodziło im o jego pozycję i tytuł. Noc z Carą pokazała mu, jak inaczej wszystko może wyglądać. Cara nie widziała w nim księcia, był dla niej Mikiem. Zresztą nawet wtedy, gdy prawda wyszła na jaw, nie zrobiło to na niej wrażenia.

Prawdę mówiąc, to ją zniechęciło.

- Chodź - powiedział, ujmując ją za rękę. Czuł się tak, jakby nagle jego życie znalazło się na właściwych torach.

Cara szarpnęła się i uwolniła rękę. Popatrzyła na księcia z niechęcią, po czym posłusznie ruszyła za nim.

Michael nie umiał jednoznacznie ocenić tej pierwszej rozgrywki. Wygrana, przegrana, a może remis? Za to już nie mógł doczekać się następnej rundy.

Cara zerknęła na mężczyznę stojącego obok niej w imponującym holu książęcej rezydencji. Zamek był niesamowity, ogromny i malowniczy, dokładnie taki, jak sobie wyobrażała. Jednak jej zachwyt i radość z przybycia do tego fantastycznego miejsca burzyło nieoczekiwane towarzystwo Michaela.

I pomyśleć, że przez ostatnie trzy miesiące o niczym innym nie marzyła! Ileż razy wyobrażała sobie, że niespodziewanie wpadają na siebie w parku przy Perry Square. Na jej widok zaskoczony Mike traci oddech, a potem tym swoim cudownym głosem szepcze: *cara mia*. I bierze ją w ramiona, zapewnia o swojej niezmierzonej miłości, przeprasza, że wtedy zniknął. Ona natychmiast mu wybaczła, a gdy Mike dowiaduje się o dziecku, płacze ze szczęścia. Płacze jak mężczyzna, w jego oczach błyszczy jedna, no, może dwie łzy. I obiecuje, że zawsze będzie kochać ją i ich dziecko.

Cara już nigdy więcej nie będzie sobie wyobrażać tej sceny.

Teraz marzyła tylko o jednym - znaleźć się jak najdalej od Mike'a... od Michaela. Księcia. Może gdy będzie ich dzielić bezpieczny dystans, ona zdoła normalnie myśleć.

Przesunęła wzrokiem po przestronnym holu. Zmieściłoby się tu całe jej mieszkanie. Podobnie jak mieszkania Parker i Shey.

Tak się cieszyła perspektywą pobytu w prawdziwym zamku, wręcz nie mogła się doczekać, a teraz ledwie zauważała kamienne mury i fantastyczne sklepienia. Jej myśli pochniało zupełnie co innego - pytanie, co teraz zrobić?

Tajemniczy kochanek wcale jej nie opuścił i na dodatek gorąco zapewniał, że jej szukał.

Jej książę z bajki okazał się prawdziwym księciem, a ona spodziewała się jego dziecka.

Musi mu powiedzieć, to pewne. Ale jeszcze nie teraz.

Może wkrótce. Jak tylko podejmie decyzję, co dalej.

Choć może lepiej wstrzymać się z tymi rewelacjami? Wrócić do Stanów i dopiero wtedy wyjawić prawdę? Może Mike zechce zatrzymać dziecko? Jak by na to nie patrzeć, to jego potomek.

Ciekawe, jak w Eliason wyglądają prawa rodzicielskie? I czy książę jest zobowiązany się do nich stosować?

Wydawało się jej, że bycie samotną matką to największa życiowa komplikacja, jaka mogła ją spotkać. O Boże, ależ się myliła!

- Cara Phillips, moja matka, Jej Wysokość...

- Daruj sobie tytuły, Michael - przerwała mu matka.

Ani Michael, ani księżna wcale nie wyglądali na władców. Jej Wysokość miała na sobie podniszczone dżinsy i bluzę z logo college'u Erie.

- Caro, moja droga, wiele o tobie słyszałam. Jestem Anna, tak do mnie mów - księżna uścisnęła ją serdecznie. - Nie mogłam się doczekać, kiedy do nas przyjedziesz i kiedy wreszcie cię poznam. Jesteś dla Parker taką dobrą i oddaną przyjaciółką.

- Wasza Wyso...

Księżna chrząknęła znacząco.

- Dobrze, już się poprawiam, Anno. - Cara uśmiechnęła się przepaszająco. - Naprawdę czuję się zaszczycona. Parker jest wspaniała.

- Naprawdę jest szczęśliwa z tym swoim detektywem?
- z matczyną troską zapytała Anna.

- Tak. Wystarczy zobaczyć, jak oni patrzą na siebie,.. -
Cara urwała. Nie chciała wyjść na sentymentalną roman-
tyczkę.

- Widać, że się kochają? - podchwyciła księżna.

- Tak - potwierdziła Cara i westchnęła cicho.

- Właśnie tego dla niej pragnęłam. By odnalazła swoje
miejsce i swoją drugą połowę. - Księżna przeniosła wzrok
na podchodzącego mężczyznę w starannie wyprasowanych
spodniach i granatowym polo. - To najważniejsze w życiu.

- Czy to Cara? - zapytał nieznajomy.

- Tak, Paul. Poznaj Carę, przyjaciółkę Parker. Razem z Mi-
chaelem i ze mną będzie ustalać szczegóły ceremonii ślubnej.
A więc to jest książę Paul. Monarcha. Władca Eliason.

Carę ogarnęła trwoga. Nie mogła odżałować, że nie wy-
pytała Parker o szczegóły protokołu. Powinna złożyć ukłon,
a może dygnąć?

Na szczęście jej rozterki trwały mgnienie, bo książę wy-
ciągnął rękę na powitanie i powiedział serdecznie:

- Witaj, Caro. Wiele o tobie słyszeliśmy od naszej nie-
sfornej i upartej córki.

Cara uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się.

- Ja również wiele o was słyszałam.

Książę roześmiał się głośno.

- Wyobrażam sobie!

- Caro, najpierw się rozgość, a potem wprowadzę cię we
wszystko, co już zostało zrobione - powiedziała księżna. -
Michael dzielnie mi pomagał i sporo już działaliśmy...

- Moim zdaniem - przerwał jej Michael - Cara powinna
najpierw porządnie odpocząć. Zemdlała na lotnisku.

- Co takiego? - książę i księżna zdumieli się.

- Już posłałem po lekarza - uspokoił rodziców Michael. Cara pochwyciła jego triumfujące spojrzenie.

- To przez ten długi lot - powiedziała. - Lekarz nie jest mi potrzebny. Nie muszę odpoczywać. Chciałabym jak najszybciej zacząć działać.

Księżna pokręciła głową.

- Nie, nie. Najpierw powinien cię zbadać lekarz. Co by powiedziała Parker, gdyby przyjechała i okazało się, że jesteś chora?

-Aleja...

- Nie opieraj się - rzekł książę. - Gdyby coś ci się stało, Parker miałaby do nas pretensje, a już i tak mamy z nią dużo problemów. Niech lekarz cię zbada. Bez jego zgody do niczego nie damy ci się dotknąć.

- Nic mi nie jest - Cara próbowała jeszcze oponować, ale jej słowa nie znalazły zrozumienia.

- Jeśli pozwolisz, doktor Stevens to oceni. A teraz chodźmy, moja droga. - Księżna objęła Carę ramieniem i ruszyła w głąb zamku.

Michael, ten cholerny skarżypyta, uśmiechnął się zwycięsko, gdy go mijały.

Cara ledwie się powstrzymała, by nie pokazać mu języka, jednak taka dziecinada nie byłaby na miejscu.

A zatem sprawa przesądzona. Nie da się uniknąć spotkania z lekarzem. Trudno. Doktor stwierdzi, że nic jej nie jest, a wtedy Cara przystąpi do pracy i już wkrótce wróci do domu.

Księżna Anna prowadziła ją przez niekończący się labirynt przedpokojów, korytarzy i schodów.

- Nie obejdę się tutaj bez mapy - wymamrotała Cara.

Księżna roześmiała się.

- Gdy tu przyjechałam, miałam identyczne odczucia. Nie martw się, szybko zaczniesz się orientować, zobaczysz.

Zatrzymały się przed jakimiś drzwiami.

- Tu będzie twój pokój - powiedziała księżna i teatralnym gestem otworzyła drzwi.

- Och! - Cara niemal zaniemówiła.

Rozszerzonymi oczami ogarniała pokój. O takim marzy każda dziewczynka. Pokój dla księżniczki: łożo z baldachimem, ogromne wykuszowe okno, a pod nim miękka kanapka, na jednej ścianie półki pełne książek, wprost wymarzone miejsce dla mola książkowego i w dodatku właścicielki księgarni.

Oniemiała Cara stała na progu.

- To Parker wybrała dla ciebie ten pokój - powiedziała księżna. - Stwierdziła, że będzie ci odpowiadał.

- Jest prześliczny.

- Twoje bagaże już są. - Księżna wskazała na walizki ustawione przy łóżku. - Pomogę ci się rozpakować albo przyślę kogoś do pomocy. Jak wolisz.

- Dziękuję, ale naprawdę czuję się świetnie. Proszę nie słuchać Michaela. - Radość Cary trochę zmalała, gdy dziewczyna przypomniała sobie swoją skomplikowaną sytuację.

- Skoro tak, to co ci szkodzi spotkać się z lekarzem? - podchwyciła księżna. - A ja przestanę się martwić.

Cara poddała się. Może wojować z Michaeliem, ale nie z jego matką.

- Dobrze - zgodziła się. - Pod jednym warunkiem: gdy tylko lekarz potwierdzi, że nic mi nie dolega, zabieram się do pracy.

- Zgoda - uśmiechnęła się księżna. - Umowa stoi. Bardzo się cieszę z twojego przyjazdu. Wiesz, tęsknię za Parker Mam nadzieję, że dowiem się od ciebie czegoś więcej o niej i o tym jej ukochanym.

- Powiem wszystko, co wiem - przyrzekła Cara. - Ale jestem pewna, że Jace przypadnie pani do serca. Są bardzo szczęśliwi. Wystarczy na nich spojrzeć. Są dla siebie stworzeni. To się od razu czuje. Jeszcze nigdy nie widziałam Parker takiej szczęśliwej.

Księżna uśmiechnęła się.

- Tego dla niej pragnęłam. Szczęścia. No dobrze, odpocznij sobie teraz, a ja przyślę doktora, jak tylko się zjawi,

- Księżna wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Cara rozejrzała się po pokoju.

Podeszła do półek z książkami i z ciekawością popatrzyła na oprawione w skórę dzieła. Ręce same się do nich wyciągały. W normalnych okolicznościach na pewno uległaby pokusie, ale teraz zbyt wiele spraw ją nurtowało, by miała ochotę cieszyć się książkami. Usiadła na łóżku. Było ciepłe, zapraszające. Cara wyciągnęła się z przyjemnością i zamknęła oczy.

Jak to się stało, że tutaj trafiła? Dziewczyna z małego miasta, córka skromnych naukowców, nagle znalazła się w prawdziwym zamku, otoczona luksusem.

W zamku, który jest domem rodzinnym ojca jej dziecka.

Głośne stukanie do drzwi wyrwało ją z drzemki.

Gdzie ja jestem? - przemknęło jej przez myśl, ale natychmiast wszystko sobie przypomniała. Przyjechała do

Eliason w związku ze ślubem Parker i Shey. Odnalazła Michała, a raczej to on ją odnalazł.

Ktoś znowu zapukał.

Cara usiadła na łóżku, wygładziła włosy i powiedziała:

- Proszę.

Mężczyzna, który pojawił się na progu, miał rozjaśnione słońcem, nieco przydługie włosy, niebieskie oczy i pogodny uśmiech.

- Cara Phillips? - zapytał.

- Tak.

- Jestem doktor Stevens. Tommy Stevens. - Podszedł i wyciągnął rękę.

Cara przywitała się.

- Miło mi - powiedziała. - Od razu przepraszam za zamieszanie. Naprawdę nic mi nie dolega, doktorze.

- Tommy - poprawił z uśmiechem doktor Stevens. - Jestem pewien, że wszystko jest w porządku, ale skoro gospodarze martwią się o zdrowie gościa, to czemu ich nie uspokoić? Poza tym ja tylko na tym zyskuję. Każde wezwanie z zamku jest mi bardzo na rękę. Tylko na to czekam. Zawsze dostaję tu coś pysznego do jedzenia. W dodatku Marta, szefowa kuchni, ma do mnie słabość i podsuwa mi najsmaczniejsze kąski.

Cara nie mogła nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- A więc pracujesz z powodu jedzenia?

Doktor uśmiechnął się szeroko.

- Dokładnie tak. Chyba nie chcesz mnie tego pozbawić?

- Nie - zapewniła. - Nie jesteś nadwornym lekarzem rodziny panującej?

- Nie. Im zdrowie dopisuje. Mam prywatną prakty-

kę. Przychodzę na wezwanie, bo to oszczędza kłopotów. Przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa. Dobrze, skoro już ująłem cię moim urokiem, dasz się namówić na badanie?

Nieoczekiwanie obudziły się w niej obawy.

- Czy w Eliason pacjent ma takie same prawa jak w Stanach? Czy informacje na temat stanu zdrowia są traktowane jako poufne? Czy można ich udzielać bez mojej zgody?

Tommy uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Mamy identyczne prawa. Bez twojej zgody nie pisnę ani słowa. Domyślam się, że masz jakieś problemy, skoro tak cię to niepokoi.

- Tak - Cara zawahała się. Nie bardzo wiedziała, jak to powiedzieć. Na razie nikt jeszcze nie poznał tajemnicy, nawet jej przyjaciółki. Zamierzała powiedzieć im dopiero po ślubie, by nie martwiły się o nią zawczasu. Bo na pewno będą się martwić.

- Wiem, dlaczego zemdlałam - zaczęła. - Naprawdę to nie jest żaden poważny powód. Przez ostatnie kilka miesięcy miewałam już zawroty głowy. Teraz zakończyło się omdleniem, bo zmęczyłam się długim lotem.

Lekarz słuchał cierpliwie, nie poganiając jej i o nic nie wypytyjąc.

Cara zawsze dawała wiarę swoim przeczuciom. Nigdy jej nie myliły. Zawierzyła im, gdy poznała Parker i Shey. Tak samo jak kilka lat później, gdy postanowiły założyć spółkę. Tak było i tego wieczoru, gdy poznała Michaela.

Teraz też miała przeczucie, że może zaufać Tommy'emu.

- Jestem w ciąży.

Tommy nawet nie mrugnął.

- Mniej więcej jak długo?
- Trzy miesiące. Przed wyjazdem byłam u mojej lekar-
ki. Nie znalazła przeciwwskazań do podróży. Przepisała
mi tylko witaminy i umówiłam się na wizytę w przyszłym
miesiącu, zaraz po powrocie do domu.

- Cóż, to wiele wyjaśnia, ale chciałbym zmierzyć ci ciś-
nienie, zbadać puls i takie rzeczy. Jeśli pozwolisz.

- Zgoda - przystała Cara. W sumie nawet dobrze, sama
się uspokoi. - Zrób, co uważasz. Wolałabym tylko, by nikt
nie dowiedział się o ciąży. Nawet ojciec dziecka jeszcze nie
wie. Poza tym teraz najważniejszy jest ślub.

- Ani mru-mru, obiecuję. - Doktor zrobił gest, jakby za-
mykał usta na klucz, po czym klucz odrzucił za siebie.

Cara wybuchnęła śmiechem.

- Bardzo dziękuję.

Tommy otworzył torbę, wyjął stetoskop i zagadnął:

- Słyszałaś dowcip o lekarzu i jeżozwierzu...

Michael stał pod drzwiami pokoju Cary. Już miał naciś-
nąć klamkę, gdy ze środka dobiegł go głośny śmiech, a po-
tem szmer rozmowy. Po chwili znów ktoś się roześmiał.

Spochmumiał. Matka wyszła od Cary już jakiś czas te-
mu, lekarz niedawno przyjechał... A zatem to doktor jest
w środku. To z nim Cara tak się śmieje.

Lekarz miał ocenić stan jej zdrowia, a nie zaśmiewać się
nie wiadomo z czego.

Michaelowi wcale to się nie podobało.

Ileż to razy wyobrażał sobie, że ją odnalazł! Miał przed
oczami jej uśmiech; pamiętał go z tamtej nocy. Łudził się,
że na jego widok taki sam uśmiech znów rozjaśni jej twarz,

że Cara powita go z otwartymi ramionami. Jakże się mylił! Dziewczyna, która teraz zaśmiewa się beztrąsko, w stosunku do niego była zdystansowana i czujna.

Michael spotykał się z wieloma dziewczynami, ale nigdy dotąd nie trafił na tę jedną jedyną. Poza krótkim okresem spędzonym w Stanach, jeszcze w czasie studiów, przez całe dorosłe życie był przede wszystkim księciem. I to była pierwsza informacja, jaką na jego temat uzyskiwały zainteresowane nim kobiety. Często odnosił wrażenie, że jest traktowany bardziej jak zdobycz niż realna osoba. Ot, cenne trofeum. A Cara znała go jako Mike'a i intuicja podpowiadała mu, że tamtej nocy ona też poczuła coś więcej. Jak on.

Ale to nie wszystko. Cara pragnęła dawnego Mike'a, nie Michaela Dillonettiego, przyszłego władcy Eliason.

Jeszcze żadna dziewczyna nie budziła w nim takich uczuć. Od pierwszej chwili. Chciał poznać Carę lepiej, otworzyć się przed nią. Chciał, by zobaczyła w nim człowieka, nie księcia.

Jego siostra dokonała wyboru. Wybrała inną drogę niż to wynikało z jej urodzenia. On nie miał takiej możliwości. Był spadkobiercą monarchy i dziedzicem tronu, a to nakładało na niego ograniczenia. I obowiązki. Michael miał wielkie plany. Zamierzał postawić na rozwój turystyki i nowoczesne technologie, ale miał też plany dotyczące życia osobistego. Marzył o kobiecie, która go pokocha. Jego, Michaela. O kobiecie, dla której nie będzie jedynie przyszłym władcą, dla której jego tytuły i bogactwo nie będą największą wartością, z którą stworzy prawdziwą rodzinę, taką jaką stworzyli jego rodzice.

Czy to zbyt wiele? Większości ludzi udaje się to osiągnąć.

nać, tymczasem dla niego przez lata wydawało się to niewykonalne. Dopóki nie poznał Cary.

Cichy odgłos rozmowy zakończył się kolejnym wybuchem śmiechu.

Michael zastukał do drzwi.

- Proszę! - rozległo się wołanie Cary.

Michael wszedł do środka i zatrzymał się niepomiarnie zaskoczony. Cara i doktor Stevens siedzieli tuż obok siebie. Jego zdaniem stanowczo za blisko.

Uśmiech, jaki malował się na twarzy dziewczyny, zgasł na widok księcia.

- Czego sobie życzysz? - zapytała oschle, bez żadnych wstępów.

- Przyszedłem sprawdzić, jak się miewasz.

Cara przeniosła wzrok na doktora, potem znów popatrzyła na księcia.

- Czuję się bardzo dobrze.

- Doktorze? - Michael zwrócił się do lekarza.

Doktor Stevens posłał Carze dziwne spojrzenie, a następnie odwrócił się do księcia.

- Nic jej nie dolega, jednak dla pewności zrobimy kilka badań.

- Jakich badań?

- Doktor pobrał mi krew. Sprawdzi, czy nie mam anemii. Może dlatego zdarzają się zawroty głowy.

Michael intuicyjnie czuł, że Cara i doktor coś przed nim ukrywają.

-I co jeszcze?

- Nic - odparła Cara. - Teraz, gdy już zaspokoiliś ciekawość, chyba nie masz nic przeciwko temu...

Jej słowa zawisły w powietrzu. Subtelna aluzja, by opuścić jej pokój.

- Nie mam - odparł, siadając w fotelu. - Dziękuję, doktorze, że tak szybko pan przyjechał.

Lekarz zrozumiał i zaczął pakować torbę. Nim wyszedł, wyjął z portfela wizytówkę i podał ją Carze.

- Tu jest mój telefon. Numer do gabinetu, a pod spodem prywatny. Proszę dzwonić o dowolnej porze.

- Dziękuję, Tommy.

- Było mi bardzo miło - odparł lekarz, po czym skinął głową księciu i wyszedł.

- Bardzo miło - drwiąco powtórzył Michael.

- Przypominam ci, że to był twój pomysł - zauważyła Cara. - Zresztą mnie też było miło poznać Tommy'ego.

- No właśnie, Tommy. Nawet nie Tom. Ja znam go co najmniej od pięciu lat i dotąd jest dla mnie doktorem Stevensem. Ty poznałaś go pół godziny temu i już mówisz do niego Tommy. O co tu chodzi? Co jest między wami?

- Upewniłam się, że w Eliason pacjent ma takie same prawa jak w Stanach, więc nie wydaje mi się, by to była twoja sprawa.

- Caro, martwię się o ciebie. - To było za mało powiedziane. Gdy zemdląca, wpadł w przerażenie. I choć teraz wyglądała znacznie lepiej, jego lęk wcale nie zelżał.

Twarz dziewczyny nieco złagodniała i przez chwilę w sercu Michaela pojawiła się nadzieja. Niestety, na wyrost.

- Nie musisz się o mnie martwić - powiedziała Cara. - Słyszałeś, co powiedział lekarz. Nic mi nie jest.

- Gdyby był o tym stuprocentowo przekonany, nie robiłby ci badań.

- Po prostu jest przezorny. Może w waszym kraju ostrożność to typowa cecha.

- Przecież znasz moją siostrę. - Michael nie dał się zbić z tropu. - Jeśli ostrożność jest naszą typową cechą, to na pewno nie da się tego powiedzieć o Parker.

Cara roześmiała się. Jak miło było usłyszeć ten śmiech!

- Może ta cecha występuje wyłącznie u osobników z chromosomem Y? - powiedziała.

- Możliwe. Jednak musisz przyznać, że tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, żadne z nas nie wykazało się ostrożnością.

Po jej twarzy przemknęło coś, co nie do końca potrafił nazwać. Cara wolno skinęła głową.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Co do tamtego wieczoru... Chciałbym...

Cara podniosła się.

- Michael, przepraszam, ale nie ma do czego wracać. Lekarz stwierdził, że jestem zdrowa. Chcę jak najszybciej zobaczyć się z twoją matką i zająć się przygotowaniami do ślubu. Został miesiąc i nie ma czasu do stracenia. Czeka mnie mnóstwo pracy.

- Musimy porozmawiać o tamtej nocy.

- Nie widzę powodu. To była jedna noc. Przelotna przygoda. Wszystko skończyło się, nim się zaczęło. Nie ma o czym rozprawiać, nad czym się zastanawiać. Teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym odświeżyć się przed spotkaniem z księżną Anną.

Michael podniósł się z miejsca.

Cara była blada i wydawała się bardzo poruszona. Nie chciał jej jeszcze bardziej denerwować.

- Dobrze, już sobie idę. Ale będziesz u nas przez miesiąc,

cara mia, nie uciekniesz przede mną i przed wspomnieniem tamtej nocy.

- Nigdzie nie uciekam. Po prostu powiedziałam ci, co czuję. Chciałabym, by mój pobyt tutaj ograniczył się wyłącznie do przyjacielskiej pomocy. Jeśli pozwolisz.

- Och, *cara mia*, nic z tego. - Michael wziął ją za rękę. Nim zdążyła się cofnąć, musnął ustami jej dłoń. - Do zobaczenia na kolacji.

Zostawił ją na środku pokoju, zdezorientowaną i poruszoną. I zbyt błada, by to go nie niepokoiło.

Za tymi badaniami z pewnością coś się kryje. Spróbuje złapać lekarza, może jeszcze nie wyszedł z zamku.

Musi otrzymać odpowiedź na swoje pytania. I to już.

ROZDZIAŁ TRZECI

Co z tego, że kazała mu trzymać się z daleka, skoro i tak ciągle się widywali. Liczyła, że gdy na spokojnie przemyśli swoją sytuację i podejmie jakąś decyzję, ich wzajemne relacje szybko się unormują. Jednak rzeczywistość okazała się inna.

Michael nie zamierzał zejść jej z oczu. Przeciwnie, stale kręcił się koło niej. Irytowało ją to i wcale tego nie kryła. Teraz znowu musiała znosić jego obecność i jeszcze robić do tego dobrą minę. Jechali limuzyną. Michael wraz ze swym asystentem siedział dokładnie na wprost Cary. Księżna Anna z ożywieniem analizowała szczegóły zbliżającej się uroczystości, jakby w ogóle nie wyczuwała gęstniejącej z minuty na minutę atmosfery napięcia.

- Morgan od lat projektuje moje stroje. Myślę, że spodoba ci się jej pomysły na suknie ślubne dla Parker i Shey - mówiła z błyskiem w oku. - Dla ciebie, jako drużny, też przygotowuje coś specjalnego.

- Bardzo jestem ciekawa - z udanym entuzjazmem odparła Cara, ale jej słowa chyba nie zabrzmiały zbyt przekonująco,

Wszystko przez Michaela. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że utrudniał jej rozmowę.

- Dzięki, że nas wzięłyście - wtrącił się. - Zostawimy was u Morgan, obejrzyjecie kreacje, a ja przez ten czas załatwię swoje sprawy. Kiedy mam po panie przyjechać?

- Myślę, że dwie godziny w zupełności wystarczą, by obejrzeć projekty. Morgan weźmie też miarę Cary.

Cara poczuła, że oblewa się rumieńcem. Nic nie mogła poradzić, choć było to przecież bez sensu. Michael uśmiechnął się i znacząco uniósł brew.

Jego asystent, być może celowo, zmienił temat.

- Czy ochrona została powiadomiona? - spytał księżnę.

- Tak. Dwóch strażników już jest na miejscu, a dwóch jedzie za nami.

- Księżę prosił, bym wspomniał o strażnikach. - Marstel niespokojnie popatrzył na księżnę, jakby obawiając się jej reakcji. - Powinni przez cały czas być w pobliżu.

- Nigdzie im nie ucieknę, obiecuję - odparła księżna i odwróciła się do Cary. - Na początku nie mogłam się przyzwyczaić, że stale ktoś mnie pilnuje, więc czasami wymykałam się ochronie. I choć od tamtej pory minęło wiele lat, mój mąż ciągle mi przypomina, bym tego nie robiła.

- Wiele lat? - podjął Michael. - Nie dalej jak w zeszłym miesiącu zmyliłaś strażników i...

- Spędziłam popołudnie w domu dziecka. Obecność ochroniarzy niepokoiłaby tylko i onieśmielała dzieci.

- Jednak musisz pogodzić się z ich stałą obecnością - podkreślił Michael. - To jest wpisane w nasze życie.

- A tobie nie przeszkadza, że przez cały czas ktoś chodzi za tobą krok w krok? - zapytała Michaela Cara, mimo że wcześniej postanowiła go ignorować.

- Nie powiem, że mi to odpowiada, jednak tak musi być.

Nie ma innego wyjścia, więc trzeba się z tym pogodzić. Marstel jest moim asystentem, a jednocześnie mnie ochrania. Bynajmniej nie czuję się przy nim onieśmielony.

- No, no! - ze śmiechem zaprotestował Marstel.

- Mnie onieśmiela - zapewniła Cara.

Marstel uśmiechnął się w odpowiedzi.

Cara przeniosła wzrok na Michaela.

- Parker nienawidziła takiego uwiązania. Nie mogła tego zaakceptować.

Michael kiwnął głową.

- To prawda. Dlatego bardzo się cieszę, że znalazła swoje miejsce i kogoś, przy kim czuje się szczęśliwa.

- A ty? - indagowała Cara. - Czy czujesz się szczęśliwy, wiodąc takie życie?

To pytanie wyrwało się jej niechcący, ale cieszyła się, że je zadała. Była ciekawa odpowiedzi. Czy takie życie, które przecież kiedyś może stać się udziałem jej dziecka, daje człowiekowi poczucie szczęścia?

- Jak zwykle są plusy i minusy - odparł Michael. - Jest wiele rzeczy, które dają mi poczucie satysfakcji i spełnienia, z wieloma innymi niełatwo się pogodzić. Nie mogę powiedzieć, że jestem absolutnie wolnym człowiekiem, mam mnóstwo ograniczeń. Choć generalnie jestem zadowolony. - Zamilkł, a po chwili zastanowienia spytał: - Czy mógłbym być szczęśliwszy? - Popatrzył prosto w oczy Cary i odpowiedział: - Tak.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że wstrzymała oddech. Dopiero po długiej chwili opamiętała się i wzięła się w garść.

- Ale czy gdybyś miał wybór, wybrałbyś takie życie?

- W przeciwieństwie do Parker, ja nie mam wyboru. To moje przeznaczenie. Obowiązek względem mojego kraju. Nie uchylę się przed nim, nawet gdybym mógł.

- Obowiązek - jak echo powtórzyła Cara.

- Mój syn nigdy nie uchyla się przed swoim posłanctwem - z przekonaniem potwierdziła księżna Anna.

- Wie, że spoczywa na nim wielka odpowiedzialność. Bez względu na własne odczucia, wypełnia swoje obowiązki.

Ciekawe, czy w podobny sposób podejdzie do dziecka. I do niej. Jednego jest pewna - nie chce, by ktokolwiek postrzegał ją jako ciężący na nim obowiązek.

Tego wieczoru kolację jedzono w wąskim rodzinnym gronie. Poza parą księżącą i Michaelem w jadalni był tylko starszy pan, którego Cara wcześniej nie widziała.

- Caro - powiedziała księżna Anna. - Chcę ci kogoś przedstawić. To nasz dobry przyjaciel, ambasador Bartholemew McClinnon.

- Były ambasador - uściślił mężczyzna z uśmiechem. - Teraz od czasu do czasu chętnie korzystam z gościny starych znajomych. - W jego głosie zabrzmiał leciutki południowy akcent.

- Pochodzi pan ze Stanów?

- Urodziłem się i wychowałem w Stanach. Domyślam się, że mam przyjemność poznać przyjaciółkę Parker. I współpracowniczkę. - Zaśmiał się. - Ładnie nazwałyście wasze firmy.

- Moja siostra zawsze miała specyficzne poczucie humoru - wtrącił Michael.

Cara nie zareagowała. Nawet nie spojrzała w jego stro-

nę. Wprawdzie siedział na wprost niej, ale postara się go nie zauważyć.

Jednak postanowienie okazało się trudne do wykonania, bo choć przez cały czas była zajęta rozmową z ambasadorem, stale czuła obecność Michaela.

Ambasador był miłym rozmówcą. W Eliason mieszkał od lat i był zapalonym wędkarzem. Wprawdzie ten rodzaj rozrywki nigdy Cary szczególnie nie pociągał, jednak chętnie przysłuchiwała się wędkarskim opowieściom.

- Pamiętam, jak wybrałem się raz na rekiny - mówił Michael. - Gdybyście zobaczyli okaz, jaki wtedy złapałem! Ten ze „Szczęk” to przy nim karzełek!

Cara nie mogła się nie roześmiać, choć wcześniej przykazywała sobie, że pozostanie niewzruszona. Inni też wybuchnęli śmiechem.

Michael zrobił urażoną minę. Oczywiście dla zabawy.

- To była prawdziwa bestia - kontynuował. - Gdy go wyciągałem, omal nie wywrócił łódki!

- Słyszałem już wiele opowieści - rzekł ambasador. - Przede wszystkim od twojego ojca...

- Ja nie muszę fantazjować - z przekonaniem powiedział książę. - Nieraz byliśmy razem na rybach, więc doskonale wiemy, co kto potrafi. Wiadomo, kto jest najlepszy. Nie mam rywali!

Wspomnienia i przekomarzania toczyły się dalej. Cara nie mogła się powstrzymać, by nie obserwować Michaela. Przyjemnie było na niego patrzeć, gdy tak rozprawiał z najbliższymi. Miło było słuchać jego głosu i śmiechu.

Ogarnęło ją nowe, nieznanе dotąd uczucie. Nie była to wcześniejsza pałaca żądzą domagająca się natychmiasto-

wego spełnienia, jakiej doświadczyła, gdy tylko się poznali. To było coś innego. Coś więcej. Uczucie, którego nie chciała teraz roztrząsać. Które powinna jak najszybciej od siebie odepchnąć.

- Jak ci się podoba mój brat? - zapytała Parker. - Jest super, prawda?

Cara poruszyła słuchawką. Przez chwilę milczała, szukając dyplomatycznej odpowiedzi.

- Wydaje się bardzo miły - odpowiedziała. - W sumie niewiele go znam. Jak ci mówiłam, razem z twoją mamą jesteśmy pochłonięte przygotowaniem do waszego ślubu. Masz wspaniałą mamę - dodała szczerze.

Rzeczywiście, w ciągu tych dziesięciu dni, które minęły od czasu jej przyjazdu do Eliason, bardzo się zbliżyła z księżną Anną. Matka Parker była osobą nadzwyczaj otwartą i kontaktową.

Cara chętnie zwierzyłaby się jej ze swoich problemów i poprosiła o radę, ale z oczywistych powodów to nie wchodziło w grę. Księżna będzie przecież babcią jej dziecka.

A Parker ciocią.

Na razie nikt jeszcze o tym nie wiedział. Tylko Tommy.

Sytuacja była nadzwyczaj skomplikowana i trudna. Minęło dziesięć dni, a Cara wciąż jeszcze nie podjęła żadnej decyzji i nadal nie wiedziała, co powinna zrobić.

Chciałaby wyjawić swoją tajemnicę przyjaciółkom, jednak jeśli to zrobi, z miejsca skupi na sobie uwagę. Zwłaszcza że ojcem dziecka jest Michael.

Nie, nie wolno jej nikomu powiedzieć, przynajmniej na razie, póki nie odbędzie się ślub. Tego dnia Parker i Shey

powinny znaleźć się w centrum zainteresowania. A zresztą, jeszcze jest czas.

- Cara, jesteś tam? - głos Parker przywołał ją do rzeczywistości.

- Tak. Przepraszam, jeszcze nie całkiem doszłam do siebie. Czuję się trochę zmęczona. Minęło dziesięć dni, ale nie do końca się przestawiłam.

Dziesięć dni. Dziesięć dni obmyślania planów na przyszłość i chowania się przed Michaeliem.

Próbowała go unikać, jednak z marnym skutkiem. Niemal jej nie odstępował. Brał udział we wszystkich rodzinnych posiłkach, co niepomiarnie dziwiło jego matkę. Cara starała się nie zwracać na niego uwagi, angażując się w rozmowy z jego rodzicami i innymi gośćmi, zwłaszcza z ambasadorem. Oni byli buforem między nią a Michaeliem.

Niestety, na posiłkach się nie kończyło. Michael wciąż gdzieś podrzucał samochodem księżną i Carę, pod byle pretekstem wpadał do gabinetu matki, by „pomóc” przy planowaniu szczegółów uroczystości.

Cara miała wrażenie, że ciągle depcze jej po piętach.

Na szczęście szybko zapoznała się z topografią zamku. Korzystając ze wskazówek obsługi, poznała przejścia na skróty i mało uczęszczane zakamarki, dzięki czemu czasami udawało się jej uniknąć spotkania z Michaeliem.

- Może to zmęczenie ma jakiś związek z twoim zasłabnięciem na lotnisku - powiedziała Parker.

- Skąd wiesz... - zaczęła Cara i urwała. - No tak, Michael.

Nie powinna czuć się zaskoczona. Już pierwszego dnia opowiedział rodzicom o incydencie na lotnisku, więc równie dobrze mógł ją sypanąć przed siostrą.

Dziwne, że zwlekał z tym aż dziesięć dni.

Dlaczego nie zrobił tego od razu? Czyżby podejrzewał, że Cara coś przed nim ukrywa? Coś istotnego? Właściwie powinna być teraz na niego zła, a nawet wściekła, ale trudno mieć pretensje, skoro miał rację.

- Twój brat przesadza - powiedziała do słuchawki. - To zmiana czasu i długi lot tak na mnie wpłynęły.

- Cara, latałam po całym świecie, a nigdy nie zemdlałam. Rozmawiałam z Shey i obie stwierdziłyśmy, że ostatnio byłaś jakby zmieniona, może zmęczona. Powiedz, o co chodzi?

- O nic - odparła Cara, czując, jak odzywają się wyrzuty sumienia. Nigdy nie miała tajemnic przed przyjaciółkami, a jednak teraz nie może się zdradzić. Najpierw sama musi wypracować jakiś plan działania.

- Tylko tak się wam wydawało - rzekła. - Przyrzekam, już więcej nie zemdleję. Raz jeden mi się zdarzyło. Ale nic mi nie jest, naprawdę.

- A ja nie jestem taka pewna - miękko powiedziała Parker. - Gdyby to były tylko moje podejrzenia, ale Shey zauważyła to samo. Mamy poczucie winy, że tak zajęłyśmy się własnymi sprawami. Powinnyśmy przycisnąć cię, gdy tu byłaś.

- Parker, naprawdę nic mi nie jest. Cieszę się, że pomagam w przygotowaniach do ślubu moich najlepszych przyjaciółek. Powoli wychodzimy na prostą. Jest dobrze.

- Szkoda, że nie chcesz nic powiedzieć - z żalem stwierdziła Parker. - Martwimy się o ciebie.

- Parker, jestem dorosła. Świetnie sobie radzę.

Zdarzały się chwile, że przyjaciółki zdawały się o tym

zapominać. Cara zawsze była spokojna, nie robiła zamieszania wokół własnej osoby, Parker i Shey chętnie brały ją pod swoje skrzydła.

A teraz jest zdana tylko na siebie i musi zmierzyć się z tym wyzwaniem.

- W razie czego dzwoń - poprosiła Parker.

- Dobrze. Jak idzie interes? - zmieniła temat Cara.

Podczas jej nieobecności pieczę nad księgarnią przejęła Parker, a Shey skoncentrowała się na kawiarni. Obie przyuczały nowych pracowników. Dzięki temu firmy będą nieprzerwanie działać, gdy wszystkie trzy wspólniczki znajdą się w Eliason.

- Mam nadzieję, że nic ci tu nie namieszam - odparła Parker. - Dopiero się uczę.

- Na pewno świetnie sobie radzisz - uspokoiła ją Cara.

- Pamiętaj tylko, że w czwartki zawsze jest duża dostawa. Pilnuj też dat. Niektóre książki nie mogą być wystawione wcześniej...

- ...niż jest to zaznaczone - dokończyła Parker. Wszystko idzie jak trzeba, nie martw się. - Umilkła na chwilę, po czym dodała miękko: - Chciałabym tylko mieć pewność, że i z tobą wszystko jest dobrze.

- Jest dobrze. Wspaniale spędzam czas. A teraz już idę się położyć. Zadzwońię za dzień czy dwa.

- Dobrze - odparła Parker, choć chyba nie dała wiary zapewnieniom Cary. - To cześć.

- Cześć.

Cara odłożyła słuchawkę i popatrzyła w dal. Jej myśli krążyły niespokojnie. Co powinna zrobić? Na co się zdecydować?

Położyła rękę na brzuchu. Dziś chyba jest bardziej okrągły, pomyślała. Naraz znieruchomiła. Co to było?

Jakby leciutkie muśnięcie motyla.

Czy to dziecko?

Znowu to samo.

Nagle przepełniły ją nowe emocje. Miłość. Tęsknota. Ciekawość. Przerażenie.

Narastały się w niej, potężniały, mieszały się ze sobą. Po chwili nie mogła już nad sobą panować. Łzy napłynęły jej do oczu i ciepłym strumieniem popłynęły po policzkach.

Jej dziecko. Poruszało się, jakby czuło, że jego mama potrzebuje otuchy i wsparcia. Jakby chciało przypomnieć, że teraz Cara już zawsze będzie mieć kogoś swojego, kogoś, kogo będzie mogła kochać bezwarunkowo i bez zastrzeżeń.

Jej dziecko.

Cara położyła się i czekała, a maleństwo znowu się poruszyło. Co za wspaniałe uczucie! Prawdziwy cud. Gdyby mogła się z kimś podzielić swoją radością, powiedzieć komuś...

Nie komuś.

Michaelowi.

Chciałyby pobiec do niego i powiedzieć, że ich dziecko się poruszyło.

Maleńka istotka, owoc ich jedynej wspólnie spędzonej nocy.

Nigdy nie przydarzyło się jej nic podobnego. Przelotna przygoda. Bez sensu. Bez rozumu. Coś, na co zdecydowała się pod wpływem chwili. Jednego była pewna - nigdy nie będzie żałować tej wyjątkowej nocy.

- Nie wiem, co będzie dalej, ale przyrzekam, że zrobię

dla ciebie wszystko. Gdybym tylko mogła, dałabym ci cały świat - wyszeptała.

Właśnie, tego z pewnością nie da swojemu maleństwu, ale może mu dać rodzinę.

A przede wszystkim ojca.

Przez ostatnie trzy miesiące planowała życie samotnej matki. Nieoczekiwanie odnalazła ojca dziecka, ale jak ma mu o tym powiedzieć? Jak on to przyjmie?

Michael jest następcą tronu, nieślubne dziecko z całą pewnością skomplikuje jego sytuację.

Ogromnie skomplikuje.

Więc może ogłosić, że Michael jest ojcem chrzestnym? To by tłumaczyło jego kontakty z dzieckiem, a jednocześnie zaniknęło ludziom usta. Dziecko nie stałoby się obiektem zainteresowania paparazzich, a ojciec mógłby się z nim bez przeszkód widywać.

Oczywiście nie obejdzie się bez pytań. Trzeba coś wymyślić. Cara zaczęła zastanawiać się nad wyjaśnieniami, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Najchętniej udałaby, że nie słyszy. Wolałaby posiedzieć w ciszy, czekając na następne ruchy dziecka, ale pukanie rozległo się znowu.

- Już idę - zawołała, wstając z łóżka i z ociąganiem podchodząc do drzwi.

No nie!

- Wasza Wysokość? Czego chcesz?

Michael nie czekał na zaproszenie. Po prostu minął ją i wszedł do środka.

- Musimy porozmawiać - rzekł bez wstępów.

- Nie mamy o czym.

Bezceremonialnie opadł na fotel. Gdzie się podziały jego dobre maniere? Nawet książę nie powinien łądować się bez zaproszenia do damskiej sypialni i czuć się tak swobodnie, pomyślała Cara.

- Rozgość się, proszę - powiedziała z ironią.

Shey byłaby z niej teraz dumna. Od studiów uczyła przyjaciółkę takich gestów, raczej bez skutku. Cara wreszcie zaczynała robić postępy, choć zabrało jej to osiem lat.

Michael ogarnął spojrzeniem wnętrze sypialni.

- Chyba już trochę się zadomowiłaś?

Cara pospiesznie rozejrzała się wokół. Idealny porządek, wszystko na swoim miejscu.

- Na to *wygląda*. Gratuluję spostrzegawczości - odparła.

Michael nie przejął się lodowatym tonem, choć Cara była bardzo z siebie zadowolona.

- Unikasz mnie - zaczął.

I co mu odpowiedzieć?

- Codziennie spotykamy się na kolacji - rzekła. - Korzystasz z każdej okazji, żeby towarzyszyć swojej matce i mnie, gdy tylko gdzieś jedziemy. Co chwila do nas wpadasz, gdy ustalamy plany.

- Wtedy zawsze jeszcze ktoś jest.

Gdyby ich sytuacja była mniej złożona, może Cara potrafiłaby znaleźć właściwą odpowiedź, ale tak nie było, więc milczała.

- Myślałaś o mnie? - zapytał cicho Michael. - O tamtej nocy?

Codziennie, pomyślała Cara, ale głośno powiedziała:

- Przykro mi, ale nie.

- Ja myślę o tobie bezustannie. Od tamtej nocy prawie

nie sypiam. Gdy wreszcie uda mi się zasnąć, śnię o tobie. Zanim przyjechałaś, na niczym nie byłem w stanie się skupić. Teraz, gdy już cię odnalazłem...

- Mówiąc szczerze, wcale mnie nie odnalazłeś.

- Teraz, gdy już wiem, gdzie jesteś - poprawił się Michael - wcale nie jest mi łatwiej. Nadal nie mogę spać. Jesteś tak blisko, a jednocześnie tak daleko. O wiele za daleko.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że większość mężczyzn miałyby opory, by przyznać się, że taka jednorazowa przygoda zapadła im w pamięć.

- Nie jestem jak większość mężczyzn - zaprotestował Michael.

- Gadaj zdrow - wymamrotała Cara.

Może nie była to równie wyrafinowana replika jak poprzednie, ale i tak dość jadowita. Choć nie da się zaprzeczyć, że Michael ma rację. Nie jest taki jak inni faceci. Cara wiedziała to, zanim wyszło na jaw, że jest księciem.

- Dałem ci czas, żebyś poczuła się tu bardziej u siebie. Nie chciałem dodatkowo cię niepokoić, tym bardziej że nie jestem do końca przekonany, czy nic ci nie dolega. Ale teraz, gdy już trochę się tu zadomowiłaś, może zgodzisz się zjeść jutro ze mną kolację? Porozmawiamy...

- Posłuchaj, Michael... Wasza Wysokość. Przyjechałam tutaj w konkretnym celu. Jak tylko będzie po wszystkim, wracam do domu. Nie będzie powtórki tamtej nocy. Tamtego wieczoru nie byłam sobą. Czułam się samotna. Moje dwie najbliższe przyjaciółki znalazły swoje wielkie miłości, kibicowałam im, cieszyłam się ich szczęściem, a jednocześnie czułam się opuszczona i samotna. Teraz widzę, że to

było bez sensu. One znalazły wprawdzie swoje połówki jabłek, lecz pozostały moimi przyjaciółkami, nadal mogę na nie liczyć. Teraz to wiem, ale wtedy rozpaczliwie pragnęłam znaleźć kogoś dla siebie.

- I znalazłeś mnie. - Michael niemal promieniał.

- Owszem, wpadliśmy na siebie. Ale to mógł być każdy inny. - Ledwie to powiedziała, uświadomiła sobie, że to kłamstwo. - To była chwila - ciągnęła. - Przez kilka cudownych godzin wyobrażałam sobie, że jesteś tym, kogo szukałam... kimś, kim w rzeczywistości nie byłeś. Łudziłam się, że oto przydarzyło się nam coś wyjątkowego, ale to były tylko marzenia.

- Dlaczego? Dlaczego z góry odrzucasz możliwość, że to prawdziwe uczucie? - nie ustępował Michael.

- Ty jesteś księciem, a ja... ja jestem zwyczajną Carą Phillips. Skrytą, zatopioną w książkach, przeciętną dziewczyną. Uznajmy, że to co nam się przydarzyło, było jak piękny sen, który umyka wraz z nadejściem dnia. Bo tak było. Cudowna chwila, która uleciała. Trwała tylko do świtu.

Michael chciał zaoponować, ale powstrzymał się. Podniósł się z miejsca.

- Porozmawiamy jutro.

- Na pewno porozmawiamy, Wasza Wysokość, ale nie o tym. Nie wracajmy więcej do tamtej nocy. Na ten temat powiedzieliśmy sobie już wszystko.

Z małym wyjątkiem. Nie powiedziała mu o dziecku.

Szukała słów, lecz żadne nie wydawały się jej odpowiednie. Jak ma mu oznajmić, że jest z nim w ciąży?

Na razie jeszcze się z tym wstrzyma. Powie mu później. Po weselu. Teraz musi przemyśleć sobie jeszcze wiele rze-

czy. Rozważyć konsekwencje faktu, że ojcem jej dziecka jest książę.

Wstała i otworzyła drzwi.

Michael wcale się tym nie przejął. Stał i wpatrywał się w nią tak, że ogarnęła ją niepewność.

Pod jego spojrzeniem czuła się obnażona. Jakby przenikał ją do głębi, jakby zaglądał w jej duszę.

Naraz to badawcze spojrzenie zmieniło się.

- Przestań! - rzuciła Cara. Najchętniej wypchnęłaby go teraz z pokoju, ale bała się ryzykować. Nie chciała go dotykać. Wciąż miała w pamięci tamtą noc.

- Co mam przestać? - zapytał niewinnie.

- Patrzysz na mnie jak wilk, który chce zjeść Czerwonego Kapturka.

- Słucham? - zachichotał.

Widok jego rozbawionej miny rozluźnił ją. Woli już to niż poprzednie spojrzenie.

- No dobrze - uśmiechnęła się mimo woli. - Chyba za dużo czytałam dzieciakom, stąd te analogie.

- Mnie bardzo się podobają. Podejdź tu do mnie, Czerwony Kapturek, a zobaczysz...

Michael urwał, a w jego oczach znów zapaliły się niebezpieczne ognie. Teraz Cara naprawdę czuła się jak Czerwony Kapturek. Powinna czym prędzej wziąć nogi za pas, ale ciekawość trzymała ją na miejscu.

Michael zbliżał się do niej powoli. Jakby nie chciał jej spłoszyć.

Nawet gdyby chciała, nie mogłaby uciec. Choć chyba nie chciała. Mimo że powinna.

- *Cara mia* - wyszeptał i odszukał jej usta.

To, co zdarzyło się trzy miesiące temu, powtórzyło się. Spadło na nią jak rażenie gromu. W jednej sekundzie wszystko przestało się liczyć.

Cara wtuliła się w ramiona Michaela. Zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Przyciągnęła go do siebie jeszcze mocniej, nie zastanawiając się nad tym, co robi.

To Michael przerwał pocałunek. Wpatrywał się w nią uważnie i przesuwając palcem po jej ustach, zapytał zmienionym głosem:

- Nadal twierdzisz, że między nami nic nie ma?

Nie wiedziała, jak zareagować. Opowiadała bzdury na temat tamtej nocy, wierząc, że brzmi to wiarygodnie. Przecież nie będzie teraz kłamać. Najlepiej chyba uciec w milczenie.

- Dobranoc, Michael. - Przytrzymała drzwi.

- Caro, ale..

Nie chciała tego słuchać.

- Dobranoc - powtórzyła.

Książę westchnął i wyszedł z pokoju.

- Możesz się okłamywać, ale mnie nie oszukasz. Nie po tym pocałunku. Między nami naprawdę coś jest. I chyba wciąż narasta.

Zamknęła za nim drzwi i odetchnęła z ulgą, choć miała świadomość, że to chwilowy spokój.

Łączą ich tylko jedno - dziecko. Akurat tu Michael się nie pomylił, coś między nimi było. A raczej ktoś. Ten ktoś rósł i już wkrótce nie będzie można tego ukryć.

Prawdę mówiąc, Cara wcale nie chciała ukrywać ciąży.

Wprawdzie odkrycie, że ojcem dziecka jest książę, dodatkowo skomplikowało już i tak trudną sytuację, jed-

nak nie zmieniło faktu, że Cara kochała swoje małżeństwo. Chciała je urodzić i nie mogła doczekać się chwili, gdy powie o nim swym przyjaciółkom.

Jednak najpierw musi powiedzieć Michaelowi.

Za niecałe trzy tygodnie, postanowiła. Do ślubu musi się jakoś trzymać, a potem wróci do siebie i do swojego normalnego życia.

Położyła rękę na brzuchu. No, może nie całkiem normalnego.

Dość tych rozmyślań na dzisiaj. Może jutro lepiej jej pójdzie.

Michael wracał do siebie rozpromieniony. Czuł się tak, jakby wyrosły mu skrzydła. Nie dość, że pocałował Carę, to ona odwzajemniła pocałunek. Między nimi aż iskrzyło.

Cara go pragnie. Równie mocno jak on jej.

Dlaczego więc tak się opiera?

W korytarzu nieoczekiwanie pojawił się Marstel i wyrwał go z tych rozważań.

- No i jak poszło?

- Wreszcie z nią pogadałem... na osobności.

Marstel nie okazał nawet odrobiny zrozumienia. Wybuchnął śmiechem.

- Wielki książę Michael jest dumny, że udało mu się osaczyć w kącie dziewczynę! Do czego ten świat zmierza?

- Marstel, to wcale nie jest zabawne - ostrzegawczo warknął Michael.

Marstel czasami nie znał umiaru. Nie zdawał sobie sprawy, kiedy przeciąga strunę.

- Właśnie że jest - upierał się. - Nie nabijałem się z ciebie, gdy przez trzy miesiące chodziłeś jak błędny, bo nie mogłeś wpaść na trop swej tajemniczej damy. Teraz, gdy już ją odnalazłeś, a ona wciąż rzuca ci kłody pod nogi, mogę się trochę pośmiać.

- Piękny z ciebie przyjaciel.

- Czy chcesz poznać plan zajęć na jutro?

Nie, Michael nie był w stanie skupić się na czymkolwiek. Myślał tylko o Carze.

- Może później?

Przez chwilę szli w zgodnym milczeniu, po czym Marstel przerwał ciszę:

- Dalej jest na ciebie zła, że ją zostawiłeś?

- Ja jej nie zostawiłem. To ona odeszła. - Michael pokręcił głową. - Nie, to też me tak. Zaszło nieporozumienie.

- W takim razie czemu, skoro już się odnaleźliście, nic się nie układa?

- Nie mam pojęcia, dlaczego ona tak się zarzeka, że między nami nic nie ma. Liczę, że z czasem wszystko się wyjaśni. Ona jest moim przeznaczeniem, choć nie chce się z tym pogodzić.

- Moim zdaniem - zaczął ostrożnie Marstel - problem leży w tym, czy ty jesteś jej przeznaczeniem. Ona chyba tak nie uważa.

- Myli się.

Znowu przez jakiś czas szli w milczeniu. Naraz Marstel wypalił:

- Może tak nie uważa, jednak ciągle na ciebie patrzy.

- Ciągle? - zapytał Michael.

- Tak. Na przykład w czasie kolacji. Codziennie.

- Chyba ci się wydaje. Rozmawia tylko z moimi rodzicami albo z ambasadorem.

- Nie, bezustannie wodzi za tobą wzrokiem - upierał się Marstel. - Gdy tylko na nią nie patrzysz, natychmiast ci się przygląda. I to jak! Tak, jak spogląda na ciastko czekoladowe ktoś, kto się odchudza.

Michael roześmiał się. Aktualna dziewczyna Marstela właśnie była na diecie i obaj dobrze znali jej łakome spojrzenia.

- Poza tym - ciągnął Marstel - w tym spojrzeniu coś jest. Mam wrażenie, że Cara czuje do ciebie coś więcej niż to, do czego chce się przyznać.

- Ale dlaczego to ukrywa?

Marstel wzruszył ramionami.

- Od razu ci mówię, że ja nie potrafię pojąć kobiet. I nawet nie próbuję.

- Wiem. Jak coś zaczyna się psuć, po prostu pakujesz manatki i zmykasz.

- Jasne. - Marstel skinął głową. - I gdyby to nie chodziło o ciebie, dałbym właśnie taką radę.

- Mnie nie polecisz takiego rozwiązania? Ciekawe dlaczego? - zdziwił się Michael.

- Bo jesteś aroganckim księciem, który nie słucha niczyich rad, tylko robi tak, jak sam uważa.

Marstel znał Michaela od dawna, ale chyba nie aż tak dobrze, jak mu się wydawało.

- Nie masz racji. Stale słucham różnych sugestii.

- No tak - wycofał się Marstel. - W odniesieniu do spraw państwowych, z tym się zgodzę. Jednak to nie stosuje się do twojego prywatnego życia.

- Ja... - Michael urwał.

Nie miał o co się spierać. Marstel od początku sugerował, by dał sobie spokój z poszukiwaniem tajemniczej nieznajomej. Michael go nie posłuchał. Instynktownie czuł, że Cara jest kobietą, której dotąd daremnie wypatrywał. Nic nie mogło odwieść go od raz powziętego postanowienia.

Zadzwoiła komórka. Michael wyjął telefon.

- Muszę odebrać - rzekł.

- Ktoś cię wybawił - zaśmiał się Marstel, machnął mu ręką i ruszył przed siebie.

- Cześć, Jace - powiedział księżę do detektywa, który już wkrótce miał zostać jego szwagrem.

- Dostałem twoją wiadomość. Podobno zaprzestajemy poszukiwań. Podtrzymujesz to?

- Jak najbardziej - odparł Michael.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć Jace'owi, że odnalazł już dziewczynę z marzeń, ale zrezygnował. Jeszcze nie teraz.

- Szkoda, że tak wyszło - rzekł Jace. - Wiem, jakie to było dla ciebie ważne. Trzymaj się.

- Dam sobie radę - zapewnił Michael.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale już na inne tematy. Będzie dobrze, myślał cały czas Michael. Będzie dobrze, gdy tylko uda mu się przekonać Carę, że są dla siebie stworzeni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Witam, młoda damo. Skąd taka smutna mina?

Cara podskoczyła. Nie spodziewała się, że ktoś ją tu nakryje. Wyszukała sobie tę niewielką wnękę w mało uczęszczanym korytarzu. Mogła tu posiedzieć w samotności, przez nikogo nie niepokojona. Po wieczorze zakończonym pocałunkiem unikała Michaela. Na szczęście tym razem to nie był on, tylko ambasador.

- Dzień dobry. Nic mi nie jest. Jak mija dzień?

Ambasador usiadł na wprost niej.

- Dziś rano byliśmy z Paulem na rybach. On jest szalenie zapracowany, powinien więcej wypoczywać. Gdy przyjeżdżam, zawsze go gdzieś wyciągam, zgodnie z wytycznymi księżnej Anny. Wprawdzie księżna nie urodziła się w rodzinie panującej, ale muszę przyznać, że potrafi zarządzać.

Tak, księżna była wspaniałą kobietą i wielką damą. Cara bardzo ją polubiła.

- I jak się udał połów?

- Paul niewiele złapał, ale cośmy się naśmieli...

Cara podniosła wzrok znad papierów. Kolejny raz zmieniała plan usadzenia gości przy weselnym stole. W pierwszym etapie uwzględniła prośby Shey i Parker, teraz wprowadzała modyfikacje zgodnie z sugestiami asystentki księżnej

Anny. Pogodzenie wszystkich, czasem sprzecznych interesów, nie było łatwe. Chwilami miała wrażenie, że stąpa po cienkiej linii.

- Wie pan, że matka chrzestna Parker nie może siedzieć obok jej stryjecznego dziadka, bo kiedyś mieli do siebie słabość?

Ambasador uśmiechnął się ciepło.

- Tak to już jest, serce nie sługa. Bywa, że przez lata nosimy w sercu miłość lub urazę. Między tymi uczuciami jest bardzo cienka granica.

- Nie wyobrażam sobie, bym mogła chować urazę do kogoś, kogo kochałam.

- To jest pani wyjątkiem - rzekł ambasador, a w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

- Pan zna kogoś takiego?

- Opowiem ci, dziecko, pewną historię. Gdy byłem młody, znałem pewną dziewczynę. Zakochałem się w niej, gdy chodziliśmy do przedszkola. Raz przyłapali nas na wykradaniu ciasteczek i za karę razem staliśmy w kącie. Nie wyobrażałem sobie bez niej życia. Była dla mnie wszystkim.

Starszy pan umilkł na chwilę i zatopił się we wspomnieniach.

-I co było dalej? - zapytała Cara.

- Przez całą szkołę chodziliśmy ze sobą. To był szalony układ. Walczyliśmy ze sobą, skakaliśmy sobie do oczu, a potem się godziliśmy. Ach, piękne czasy. Któregoś razu po takiej sprzeczce podszedłem do niej. To było podczas festynu. Pracowała w kiosku z buziakami, bo nasza klasa zbierała pieniądze na wycieczkę. Pocałowałem ją wtedy gorąco... Pogodziliśmy się.

Ambasador przesunął palcem po ustach, jakby szukając śladu tamtego pocałunku sprzed lat.

-I gdzie ona teraz jest? - zapytała Cara.

- Raz pokłóciliśmy się na śmierć i życie. I nie pogodziliśmy się. Czekałem na jej przeprosiny, a ona chyba czekała, żebym to ja zrobił pierwszy krok. W każdym razie pewnego dnia znikła. I już było za późno. Wyjechałem na studia, a jej rodzina wyprowadziła się. Gdy wróciłem, jej dawno nie było.

Umilkł na chwilę.

- Boże, co mi się stało, że zacząłem gadać o Pearly?

- Pearly? - z niedowierzaniem powtórzyła Cara.

Naprzeciwko księgarni w Erie, po drugiej stronie skwe-ru, znajdował się salon kosmetyczny, w którym pracowała Pearly Gates, urocza kobieta, która o wszystkich i wszystkim wszystko wiedziała.

Nieemożliwe, by była to ta sama Pearly, którą wspominał ambasador. A jednak... Pearly to takie niespotykane imię.

- Pearly Gates. Och, to była dziewczyna -pistolet! Umiała rzucić faceta na kolana. Pewnie wyszła za mąż i ma teraz gromadkę dzieci i wnuków. Bardzo chciała mieć rodzinę.

- Pearly Gates? - wyszeptała Cara, bardziej do siebie niż do ambasadora.

- Pearly Gates. Bramy raju. To niespotykane imię. Jej mama ją tak nazwała. Uważała, że jej córeczka przyszła do niej z niebios. No, nie do końca była to prawda, bo Pearly miała w sobie coś diabelskiego.

Cara coraz bardziej utwierdzała się w swoich podejrzeniach. Kiedyś Pearly opowiadała jej podobną historię. A teraz jej chłopak z dawnych lat odnalazł się w Eliason... Czy ktoś mógł to przewidzieć?

Ambasador nie zgadł. Pearly nie wyszła za męża, nie miała dzieci i wnuków. Za to była tak zżyta z lokalną społecznością, że stanowili jedną rodzinę. Znajdowała się w centrum wszystkiego.

- To musiała być wyjątkowa dziewczyna - rzekła Cara. Sama to wiedziała, z pierwszej ręki.

Niedługo Pearly przyjedzie do Eliason na ślub. Przez chwilę Cara zastanawiała się, czy powiedzieć o tym ambasadorowi, ale ostatecznie postanowiła zachować tajemnicę. To dopiero będzie niespodzianka!

- Och, to prawda - z żalem powiedział ambasador. - Ileż razy zastanawiałem się, gdzie rzucił ją los! Jej rodzina rozpierchła się, straciliśmy kontakt.

- Teraz jest pan w Eliason, w świetnej komitywie z monarchą.

- Tak. Chwilami sam w to nie wierzę. Kiedyś byłem po prostu Busterem McClinnonem, a moje życie miało upłynąć u boku Pearly. - Potrząsnął głową i podniósł się. - Przepraszam. Zamierzała pani popracować w spokoju, a ja zawracam pani głowę wspomnieniami z zamierzchłej przeszłości.

- Było mi bardzo miło, naprawdę - zapewniła Cara.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale może przyda się pani pomoc.

- Dziękuję, niedługo powinnam skończyć ten plan.

- Miałem na myśli Michaela. Zauważyłem, że pani się przed nim chowa.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała zmieszana Cara. No pięknie, jeśli ambasador to spostrzegł, to pewnie i inni też.

- Może pani liczyć na moja dyskrecję. Wszyscy są tak

pochłonięci przygotowaniami do ślubu, że z pewnością nie zauważyli, co dzieje się między wami.

Nim zdążyła zaprzeczyć, dodał:

- Bo coś się dzieje, to oczywiste. Porozmawiamy o tym?

- Nie, nie teraz. Ale dziękuję.

- W każdej chwili jestem do twojej dyspozycji, moja droga. W każdej chwili.

Ambasador odszedł powoli korytarzem. Cara słyszała, jak szeptem powtarza imię Pearly.

Nie chciała myśleć o tym, co powiedział i jak to się stało, że zaczęli rozmowę o tak osobistych sprawach.

Ambasador był bardzo zręcznym dyplomata, umiał zmieniać temat... podobnie jak Pearly Gates.

Cara szybko wybrała numer Parker i pokrótce opowiedziała przyjaciółce całą historię.

- Ambasadora znam od zawsze - zdumiała się Parker. - Naprawdę jesteś przekonana, że mówił o naszej Pearly?

- Na sto procent. W całych Stanach nie znajdziesz takiej drugiej.

- Nawet na całym świecie! - zaśmiała się Parker.

Przyjaciółki jeszcze przez chwilę rozprawiły wesoło, relacjonując sobie nawzajem ostatnie wydarzenia. Parker opowiadała o Jasie, o planach na przyszłość i o zaletach narzeczonego. Cara tylko potakiwała, od czasu do czasu wtrącając: „Tak?” albo „Naprawdę?” Już wcześniej przekonała się, że to najlepszy sposób, by Parker dała jej spokój.

Shey była bardziej powściągliwa w zachwytach nad swoim księciem, jednak fakt, że również o nim opowiadała, świadczył sam za siebie.

- Och, przyszedł Jace - urwała Parker. - Muszę pędzić!
- No to na razie. Chciałam ci tylko o wszystkim powiedzieć. Przygotowania do ślubu idą pełną parą.
- Dzięki, Caro. Nie tylko za telefon. Za wszystko.
- Przecież wiesz, że nie ma rzeczy, której bym nie zrobiła dla ciebie i dla Shey.
- I nawzajem - odparła Parker.

Kiedy się rozłączyły, Cara miała łzy w oczach. Ach, to z powodu ciąży. Słyszała, że kobiety spodziewające się dziecka stają się bardziej wyczulone i płaczące, ale nie przypuszczała, że sama będzie tak rozchwiana emocjonalnie.

Wytarła policzki i sięgnęła po papiery.

- *Cara mia*, co się stało?
- O Boże! Czy ty musisz się tak skradać? - Cara skoczyła na równe nogi.

A tak się cieszyła, że znalazła ustronne miejsce! Jutro musi poszukać nowej kryjówki.

- Wcale się nie skradałem - obruszył się Michael. - Książęta nigdy tego nie czynią. Płakałaś, dlatego ranie nie zauważyłaś.

- Wcale nie płakałam.

Michael przesunął palcem po jej mokrym policzku.

- Oczy mi łzawią - skłamała. - To chyba uczulenie.
- Na co? - zapytał nieprzekonany Michael.
- Na książęcą aurę.

To jej się udało. Musi to sobie zapamiętać, żeby pochwalić się Shey. Przyjaciółka będzie z niej dumna.

- Naprawdę? - zapytał Michael. - Jakoś nie wyglądałaś na uczuloną, gdy...

Wiedziała, do czego zmierzał. Tak samo jak wiedzia-

ła, że powinna czym prędzej stąd uciec. Tymczasem stała i czekała z napięciem. Książę wziął ją w ramiona.

- To nie alergja - wyszeptał tuż przy jej uchu. - Powiedz, co jest nie tak. Spróbuję temu zaradzić.

- Dziękuję za dobre chęci, ale sama sobie dam radę. - O Boże, najpierw Parker, teraz on. - Jestem dorosła i potrafię rozwiązywać swoje problemy. Muszę wziąć lek przeciwwuczuleniowy, to wszystko.

- *Cara mia* - wyszeptał Michael i musnął ustami jej policzek.

Cara cofnęła się, ale Michael ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- *Cara mia* - wyszeptał znowu, dotykając ustami jej ust, delikatnie i łagodnie.

Tak bardzo go pragnęła, choć wiedziała, że to droga bez przyszłości, chwilowa fascynacja. Wiedziała o tym, jednak to było silniejsze nad wszelkie racje, jakie podsuwał rozum, silniejsze od niej samej. Pragnęła Michaela coraz mocniej, coraz goręcej.

Dziecko jakby to wyczuło, bo znowu się poruszyło.

Lekkie, niemal nierzeczywiste muśnięcie. Cara cofnęła się i mimowolnie dotknęła ręką brzucha.

Niewiele brakowało, a ujęłaby dłoń Michaela, żeby on też poczuł... ich dziecko. Ale chwila minęła.

- Cara? - Michael popatrzył na nią przenikliwie.

Nadeszło to, czego się obawiała.

- Michael, musimy porozmawiać.

- Proszę cię o to od tygodnia, a ty bawisz się ze mną w chowanego.

- Wcale nie.

Nie odrywał od niej wzroku.

- Czy to moje?

- Słucham? - Nie wierzyła własnym uszom. Niemożliwe, by o to zapytał.

- Jesteś w ciąży - powiedział spokojnie Michael. - Czy to moje dziecko?

- Ja... - w pierwszym momencie chciała zaprzeczyć. - Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała.

- Trzy miesiące - powiedział rzeczowo Michael. - Łatwo policzyć. Minęły trzy miesiące. Kiedy mi chciałaś powiedzieć? Czy w ogóle zamierzałaś to zrobić?

- Dlaczego miałabym ci mówić? Spotykam się z kimś...

- Urwała, a po chwili rzuciła pierwsze męskie imię, jakie jej się nasunęło. - Ze Stuartem.

Ostatnio czytała dzieciom książkę „Stuart Malutki”. Stuart nieźle brzmi.

- Ha!

Michael nie dał się nabrać. To jasne. Cara poczuła się dotknięta. Czyżby nie była na tyle atrakcyjną kobietą, żeby jakiś inny mężczyzna mógł się nią zainteresować?

- Uważasz, że nikomu się nie podobam? - w jej głosie słychać było skrywaną irytację.

Jakim prawem ten zarozumialec zakłada, że skoro go poznała, to już nie interesuje się nikim innym?

Może to i prawda, jednak nie powinien być taki pewny siebie.

- Nie wierzę w żadnego Stuarta - powiedział Michael.

- W skrócie mówię na niego Stu. To wspaniały facet. Ma normalną pracę, jest miły.

- Co robi?

- Jest... - Cara gorączkowo szukała odpowiedzi. - Jest profesorem w Gannon.

Coraz bardziej podobał się jej pomysł z tym Stuartem. Zwyczajny człowiek, bez zobowiązań. W sam raz.

- Pewnego dnia przyszedł do kawiarni poczytać przy kawie. Zaczęliśmy rozmawiać... no, i nadal się spotykamy.

- Chyba nie tylko się spotykacie, skoro to jego dziecko. Który to miesiąc?

- Trze... - Cara w ostatniej chwili ugryzła się w język. - To dopiero początek.

- Dlaczego nie powiesz mi prawdy? Nie ma żadnego Stu, wiem o tym.

Ależ to genialne rozwiązanie, pomyślała Cara. Dlaczego wcześniej nie wpadła na taki pomysł? Jeśli w roli ojca zaistnieje jakiś Stuart, Michael spokojnie będzie mógł zostać ojcem chrzestnym. Wtedy uniknie skandalu z nieślubnym dzieckiem.

- Postaw się na moim miejscu - zaczęła spokojnie. - Jesteś księciem, członkiem rodziny panującej, a ja jestem zwyczajną dziewczyną. Pomyśl, jakie by były reakcje, gdyby okazało się, że to twoje dziecko... czego nie powiedziałam - dodała pospiesznie. - Przemyśl to sobie. Gdyby to dziecko było twoje... teoretycznie, bo ja tego nie mówię... jednak gdyby tak było, wówczas miałyby to wpływ nie tylko na ciebie i na mnie, ale też na twój kraj. Jesteś przyszłym władcą, spoczywają na tobie obowiązki. Poza tym książe raczej nie może mieć nieślubnego potomka.

- Dlatego się pobierzemy.

- Nic z tego - oświadczyła kategorycznie. - Wracamy do

punktu wyjścia. Ty jesteś księciem, ja prowadzę księgarnię. Nie możesz mnie poślubić. Pomyśl o swoim kraju.

- Robię bardzo wiele dla mojego kraju i dla moich poddanych, jednak nikt mi nie będzie dyktować, kogo mam poślubić.

- Więc pomyśl o swoich rodzicach. Co oni by na to powiedzieli?

Oczami wyobraźni widziała ich rozczarowanie i dezaprobatę. Nie chciała im tego robić.

- Oni już cię pokochali.

- A pomyślałeś o mnie? Uważasz, że nie zasługuję na coś więcej niż małżeństwo z przymusu?

- Szukałem cię...

Przerwała mu.

- Michael, przemyśl to sobie. Długo i wnikliwie. Rozważ wszystkie za i przeciw. To, co się wydarzy, może mieć wielki wpływ nie tylko na nas dwoje.

- A co powiedziała Parker? - zapytał Michael.

- Na temat dziecka? - Cara pokręciła głową. - Nic jeszcze nie wie. Nikt o tym nie wie, z wyjątkiem lekarzy.

- Nie powiedziałaś Parker? - powtórzył zdumiony Michael.

- Nie powiedziałam ani jej, ani Shey. Teraz najważniejsze są uroczystości ślubne. Powiem im, gdy wrócą z podróży poślubnej.

- A mnie kiedy zamierzałaś powiedzieć?

- Nie tobie, Stuartowi.

Delikatnie, nadzwyczaj delikatnie, przesunął palcem po jej policzku.

- *Cara mia*, rozumiem twoje obawy i lęki. Razem znaj-

dziemy wyjście, zaufaj mi. Wiem, że to moje dziecko. Serce mi to mówi. Nie ma żadnego Stuarta. To dziecko zostało poczęte tamtej nocy, magicznej i wyjątkowej.

- Gdy mnie pocałowałaś, dziecko się poruszyło - wyrwało się Carze.

Nie, nie potwierdzi, że Stuart nie istnieje, że to dziecko Michaela, najpierw musi to sobie dobrze przemyśleć, ale tak bardzo pragnęła podzielić się z nim radością tej chwili.

- Już kopie? - zapytał Michael.

- Nie, nie kopie - zaprzeczyła Cara. - Porusza się. To jest jak delikatne muśnięcie. Nie poczujesz tego, ale ja czuję w środku.

- Nasze dziecko. - Michael wyciągnął rękę. Przez chwilę wydawało się, że chce dotknąć brzucha Cary, ale szybko się wycofał. - Muszę to przemyśleć - powiedział.

- Owszem, musisz. Zobaczysz, sam dojdiesz do wniosku, że twoim nadrzędnym celem powinny być obowiązki względem kraju, twojej rodziny i narodu. Przyrzekam, że temu dziecku nigdy niczego nie zabraknie. Ja już je kocham.

- Caro... - zaczął Michael, ale nie dokończył. Pokręcił tylko głową i odszedł.

No, jakoś się udało. Cara poczuła, że łzy znowu napływają jej do oczu.

Ta cholerna alergia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Michael uśmiechnął się i pozdrowił zebrany tłum. Rozpoczęła się uroczystość oddania do użytku nowego skrzydła szpitala, jednak on nie mógł się skupić. Bezustannie wracał myślą do tego, co na niego spadło.

Będzie ojcem.

Wciąż o tym myślał i ciągle nie mógł się otrząsnąć z szoku.

- Chciałbym powitać naszego księcia... - przemawiał dyrektor szpitala.

Wbrew temu, co mówiła Cara, on wiedział. Podświadomie czuł, że to dziecko jest jego. Tak jak od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, wiedział, że jest jego przeznaczeniem. A teraz wróciła do niego i będą mieli dziecko.

Marstel szturchnął go łokciem, przywołując do rzeczywistości. Czas na przemówienie. Michael starał się skoncentrować.

- Chciałbym serdecznie podziękować wszystkim biorącym udział w dzisiejszej uroczystości. Przede wszystkim pragnę wyrazić wdzięczność za okazane wsparcie i przekazane środki...

Dalej poszło jak z płatka. Publiczne wystąpienia to dla niego rutyna. Robił to bezustannie. Pierwsze przemówie-

nie wygłosił w wieku piętnastu lat. Nic dziwnego, że doskonale sprawdzał się w tej roli.

Ale czy sprawdzi się w roli ojca?

Już wkrótce nim zostanie.

Doświadczał różnych emocji. Lęk, niepewność, czy da sobie radę, czy zdoła połączyć życie publiczne z bardzo osobistą rolą ojca, ciekawość i niecierpliwość - syn czy córka. I miłość.

Przede wszystkim miłość.

Jego dziecko.

Zrobi dla niego wszystko.

Dla niego albo dla niej. Dla swojego dziecka.

Poruszyło się, gdy pocałował Carę, jakby wiedziało.

Nie chciał myśleć o dziecku „ono”. Chyba można jakoś ustalić płęć? Może Cara coś wie. Pójdzie do niej i spyta.

Nie. Nie powinien. Cara nadal utrzymuje, że ojcem dziecka jest Stuart. Ani przez chwilę nie wierzył w jego istnienie, choć rozumiał motywy postępowania Cary. Wejście do rodziny panującej pociąga za sobą wiele konsekwencji, nie tylko przyjemnych.

Dokończył mowę, wziął od dyrektora symboliczne nożyce i przeciął wstęgę, oficjalnie otwierając oddział kardiologiczny.

Skinał głową, wymienił uściski dłoni i ruszył w stronę wyjścia. Kolejna ceremonia za nim. Tak właśnie wygląda jego codzienność.

Nie każdemu odpowiada takie życie.

Parker odrzuciła je. Nie mogła znieść ciągłego nacisku mediów, reporterów śledzących każdy jej ruch, poczucia, że ona i jej życie bezustannie podlegają ocenie. Jednak Mi-

chad instynktownie czuł, że Cara byłaby w stanie to zaakceptować, uznać, że warto.

Że on jest tego wart.

Na pewno. No, prawie na pewno.

Poczuł ucisk w żołądku. A jeśli się myli?

Trochę się bał.

Co będzie, jeśli Cara zdecyduje inaczej? Jeśli to, co jest między nimi, wyda się jej niewarte zachodu i poświęceń?

Jak zachowają się paparazzi? Cara, niezamężna kobieta w ciąży, a on jest księciem, następcą tronu.

Dopiero media będą mieć używanie!

A jeśli okaże się, że to ponad jej siły i Cara wyjedzie? Co wtedy?

Dziecku potrzebny jest ojciec. Michael gotów był się założyć, że w Stanach nie czeka na Carę żaden profesor Stuart.

- Michael - zniecierpliwił się Marstel.

- Przepraszam. Zamyśliłem się.

- Widziałem. Aż ci się z głowy dymiło. O co chodzi?

- Ja... - Michael chciał głośno wykrzyknąć, że będzie ojcem, całemu światu, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Musi się wstrzymać, póki między nim a Cara się nie ułoży. A przede wszystkim trzeba wyjaśnić sprawę tego Stuarda.

- Nic się nie stało - rzekł.

Wsiadli do limuzyny.

Gdy ruszyli, Marstel skrzywił się zabawnie i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Nie muszę cię pytać, co jest nie tak. Doskonale wiem, w czym rzecz. Chodzi o nią. Odkąd przyjechała, zmieniłeś się nie do poznania. O niczym innym nie myślisz. Człó-

wieku, opamiętaj się. Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Cara nie chce odnowić waszej znajomości.

- Mnie też się tak wydawało, ale teraz nie jestem już tego pewien. Całowaliśmy się dwa razy.

Marstel nie krył zdumienia.

- Myślałem, że nie możesz jej znaleźć, bo ciągle się przed tobą gdzieś chowa.

- Miałeś odwagę zwątpić w księcia? - droczył się Michael.
- Znalazłem ją i całowaliśmy się. Nic się nie zmieniło. Dalej iskrzy. I to coraz bardziej. Temperatura rośnie.

I nie tylko temperatura.

Michael oczami wyobraźni widział coraz bardziej zaokrągloną figurę Cary. Jego dziecko rosło.

- Chciałbym cię o *coś* prosić.

- Słucham?

Michael wyłożył swój plan. Gdy skończył, Marstel kiwnął głową.

- Wino czy szampan?

- Ani jedno, ani drugie - odparł Michael. - Cara nie pije. Niech będzie sok z winogron.

Wiedział, że ciężarne kobiety nie powinny pić alkoholu, ale co jeszcze należy im zapewnić? Na co koniecznie trzeba zwrócić uwagę?

Uświadomił sobie, jak mało wie na ten temat.

- W porządku. Na siódmą wszystko będzie gotowe - zapewnił Marstel. - Gdzie to się odbędzie? W twoim apartamencie?

Michael zastanowił się. Wątpił, by Cara zgodziła się przyjść do jego pokoi. Lepiej wybrać neutralne miejsce.

- Na dachu.

Tak, to jest pomysł. Świeże powietrze. Jego wiedza na temat ciąży była bardzo skromna, ale miał pewność, że kobiety spodziewające się dziecka potrzebują dużo świeżego powietrza.

Marstel uśmiechnął się.

- Miło widzieć, że wreszcie przeszedłeś do czynów. Oczaruj ją.

- Chcę czegoś więcej. Chcę zwyciężyć. - By móc troszczyć się o nią i o ich dziecko. Gd zaraz.

Po powrocie do zamku Michael zamknął się w swoich pokojach. Nie miał w bibliotece żadnego poradnika dla przyszłych rodziców, ale był pewien, że internet go nie zawiedzie.

Cara skończyła rozmowę z księżną Anną i Martą, szefową pałacowej kuchni, o której wcześniej wspomniał Tommy. Marta okazała się doskonałym fachowcem i bardzo miłą osobą. Zarumieniła się, gdy Cara napomknęła jej o doktorze.

Może rzeczywiście Marta ma do niego słabość?

Cara uśmiechnęła się do siebie na tę myśl.

- W takim razie wrócimy do tego rano - zakończyła księżna Anna. Dyskusja dotyczyła menu na weselne przyjęcie.

- Koło ósmej zamelduję się w gabinecie - rzekła Cara.

- Na pewno nie masz ochoty przyjść dziś na kolację? - z matczyną troską spytała księżna.

- Na pewno. Marzę, by wcześniej się położyć.

- W takim razie dobranoc i do zobaczenia rano. - Księżna pocałowała Carę w czoło i wyszła.

Cara ruszyła do siebie. Pod drzwiami pokoju ujrzała

Marstela. Gdy podeszła, wręczył jej kopertę i szybko się oddalił.

Cara przeczytała liścik. „Spotkajmy się o siódmej na tarasie na dachu, Michael”. Teraz już było jasne, dlaczego Marstel tak się spieszył.

Krótko i węzłowato. Jak rozkaz.

Cara poczuła nieprzyjemne ssanie w żołądku. Starła się nie zwracać na to uwagi i skoncentrowała się na mapce dołączonej do listu. Instrukcja, jak trafić na odpowiednie schody.

Weszła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Wciąż czuła skurcz w żołądku. Chyba ze złości.

Czy ten nadęty książę wyobraża sobie, że może jej rozkazywać, a ona potulnie będzie wykonywać jego rozkazy?

Co on sobie myśli?

Uważa się za władcę? No tak, przecież jest księciem.

W dodatku spotkanie na dachu?

Sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

Jeszcze dziwniejsza była krótka uwaga dopisana w postscriptum, by ubrała się elegancko.

O nie! Nie ma zamiaru. Nie umawiała się z nim na randkę, rozkazy może wydawać swoim poddanym, na pewno nie jej.

Jednak mimo wszystko nie robi z siebie czupiradła. Tylko w co w takim razie powinna się ubrać?

Przez długi czas stała niezdecydowana przed szafą. Wreszcie wyjęła czarną suknię-tubę. Prosta, niezobowiązująca, a jednocześnie odpowiednia kreacja.

Perły?

Tak, perły po babci, wprawdzie niezbyt kosztowne, ale o ogromnej wartości sentymentalnej.

Sukienka okazała się nieco obcisła, jednak Cara nadal wyglądała w niej dobrze.

Minutę przed siódmą zaczęła wchodzić na schody. Będzie punktualnie.

Dziś musi powiedzieć mu prawdę. Miał sporo czasu na zastanowienie. Z pewnością zdał sobie sprawę, że nie może uznać tego dziecka. Profesor Stu jako ojciec to najlepsze rozwiązanie.

Właściwie dlaczego wymyśliła tego profesora?

Może dlatego, że się bała?

Może? Oczywiście, że się bała, choć oswoiła się już z myślą, że jest w ciąży i za kilka miesięcy zostanie matką. Czekwała na to dziecko i już je kochała. Niespodziewane odnalezienie Mike'a, który w dodatku okazał się księciem, pomieszało jej szyki. Jeszcze nie zdążyła ochłonać. Minęło zbyt mało czasu.

Ale mimo wszystko musi powiedzieć Michaelowi prawdę. On na to zasługuje.

- Hej! - zawołała, otwierając drzwi.

Na tarasie panowała ciemność.

Może poszła nie tymi schodami? Zamek jest tak rozległy, tyle w nim zakamarków. Może to nie ten taras?

- Hej! - zawołała ponownie.

Nagle błysnęły światła.

Małeńkie światełka, podobne do lampek, jakie zapalała na choince, zajaśniały na drzewkach i krzewach ustawionych wokół dużego tarasu.

Na środku zamigotały jasne płomyki. Michael stał przy wytwornie zastawionym stole i zapalał świece. Był w smokingu i wyglądał nieprawdopodobnie elegancko.

- Michael?

Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Czekałem na ciebie, Caro. Wejdz.

- Rzekł pająk do muchy - wymamrotała, podchodząc bliżej.

Właściwie powinna szybko wyjść i ponownie rozważyć swoją sytuację. To spotkanie do niczego nie doprowadzi, a tylko spowoduje jeszcze większy zamęt. To widać na pierwszy rzut oka. Romantyczna sceneria, kolacja przy świecach...

- Usiądź. - Michael z galanterią odsunął jej krzesło.

- Michael, do czego ty zmierzasz? Mam nadzieję, że wszystko sobie przemyślałeś.

- Porozmawiamy przy kolacji. - Michael uśmiechnął się niewinnie.

- Nie bajeruj mnie, Wasza Wysokość - odcięła się. - Widzę, że coś knujesz.

- Co ja mógłbym knuć? - Usiadł na wprost niej i znowu się uśmiechnął.

Wyglądał jak zadowolony kocur, który właśnie pochłoniął kanarka. Ale ona nie jest kanarkiem.

- Co knujesz? Nie mam pojęcia. Ale po co to wszystko?

- Pokazała ręką na migoczące w ciemności światełka i stół nakryty na dwie osoby.

- Co wszystko? - zapytał z miną niewiniątka.

- Ta kolacja. Celowo to tak zaaranżowałeś, by zrobić na mnie wrażenie. Mamy porozmawiać o... - urwała. - O pewnych sprawach.

- O naszym dziecku - uściślił Michael.

Powiedz mu prawdę, podpowiadał wewnętrzny głos.

Potwierdź jego domysły. Powiedz, że to jego dziecko, a profesor Stuart to tylko wytwór twojej wybujałej wyobraźni.

- Jest jeszcze inna ważna rzecz, którą musimy omówić.
- Michael napełnił jej kieliszek. - To sok winogronowy.
- O co ci chodzi? - zapytała Cara, upijając łyk
- O nasze dziecko i nasz ślub, oczywiście.
- Ślub? - wykrztusiła.

Przecież miał wystarczająco dużo czasu, by sobie wszystko przemyśleć. Musi wiedzieć, że taki krok w ogóle nie wchodzi w grę.

- Posłuchaj, to moje dziecko - powiedziała, wstając.

Profesor Stuart jeszcze nie zniknie z planu. Jego rola jeszcze się nie skończyła.

- Nasze dziecko - poprawił z uśmiechem Michael i nałożył jej na talerz kawałek czegoś zapieczonego w cieście.
- Usiądź, proszę - powiedział.

Usiadła. Bynajmniej nie dlatego, że tak sobie życzył, a nawet łaskawie poprosił. Usiadła, bo rzeczywiście ledwo się trzymała na nogach.

- Michael - zaczęła. - Przykro mi ranić twoje uczucia, ale w Stanach czeka na mnie Stuart.

Nie było to kłamstwo. Przecież istnieje jakiś Stuart.

- To porządny człowiek - dodała.

To stwierdzenie też nie jest naciągnięte. Na pewno ktoś taki istnieje.

Teraz jednak nie obejdzie się bez kłamstwa.

- Poznałam go dzień po tym, jak mnie zostawiłeś...
- Nie zostawiłem cię - Michael spochmurniał. - Poszedłem kupić coś na śniadanie, a gdy wróciłem, ciebie już nie

było. Zaszło nieporozumienie. Myślałem, że już to ustaliliśmy.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- To prawda. Przepraszam.

Było jej przykro nie tylko z tego powodu. Żałowała, że Michael nie jest zwyczajnym facetem.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała.

Popatrzył na nią łagodnie.

- No to ustalmy teraz resztę.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła, choć doskonale zdawała sobie sprawę, co miał na myśli.

- O naszym dziecku - rzekł.

- To moje dziecko. - Czemu jest taki uparty? Podsuwa mu wygodne rozwiązanie, a on wciąż wraca do tego samego.

Trudno, na razie wstrzyma się z wyjawieniem prawdy. Niech Michael zrozumie w końcu, że jego życiową misją jest rządzenie krajem, niech uświadomi sobie konsekwencje. Skoro sam tego nie widzi, ona musi myśleć za niego. Musi go chronić. Za bardzo jej na nim zależy, by mogła dopuścić do katastrofy.

- *Cara mia*, nie ma żadnego Stuarta, chłopaka...

- To profesor, nie chłopak - przerwała mu, ujmując się za nieistniejącym Stuartem.

- Profesora - poprawił się drwiąco Michael. - Chłopaczkowego amanta, który...

- Nic z tych rzeczy. Stuart jest bardzo męski - powiedziała Cara, lecz Michael tylko się roześmiał.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Caro, tamtej nocy to był twój pierwszy raz. Wiem, że traktujesz te sprawy bardzo poważnie. Nie uwierzę, że za-

raz po naszej cudownej nocy wylądowałaś w łóżku jakiegoś Stuarta. To moje dziecko. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego tak się zapierasz.

- Już raz ci powiedziałam. Jesteś księciem. - Cara czuła, że traci siły. - Od dawna znam Parker, więc dużo o tobie słyszałam. Jesteś następcą tronu, przyszłym władcą. Nie możesz mieć dzieci z nieprawego łoża.

- Masz rację, nie mogę.

- I po to jest Stuart. Silny i męski profesor, który oczarował mnie inteligencją.

- Jest inne wyjście. Możemy natychmiast się pobrać. Od razu po kolacji uciekniemy i weźmiemy ślub.

Cara raptownie wypuściła powietrze. Bała się, że zaraz się udusi. Nie mogła złapać tchu. Zaczęło wirować jej przed oczami. Z trudem zdołała się opanować. Odetchnęła głęboko kilka razy, by się uspokoić.

- Słucham?

- Mówiłem o ślubie - rzekł powoli Michael. - To najlepsze wyjście, *cara mia*. Dla nas i dla dziecka. Zgódź się, proszę.

- Ty chyba żartujesz. Nigdy nie wyjdę za mąż dlatego, że muszę. Zrobię to tylko z miłości.

- Myślisz, że ze mną to wykluczone?

Było mu przykro, słyszała to w jego głosie.

Nie chciała go urazić, ale wyjść za niego? Uciec z nim?

Odpowiedziała mu szczerze. Wyjdzie za mąż z miłości. Za człowieka, który ją pokocha i którego ona obdarzy uczuciem.

Michael nie jest jej obojętny. Jest w nim coś szalenie pociągającego. Ale miłość?

Za krótko się znali, by to mogła być miłość.

A zatem na razie będzie sama wychowywać dziecko.

- Parker jest w ciebie wpatrzona, jesteś dla niej wzorem.

Ale...

- Ale? Nie cierpię tego słowa. Nie wróży nic dobrego.

- Ale - podjęła Cara - prawda jest taka, że prawie się nie znamy. A już na pewno nie... - urwała, by nie użyć tego słowa. - Nie łączy nas to, co Parker i Shey z ich narzeczonymi.

Michael potrząsnął głową.

- Między nami zaiskrzyło już w pierwszej sekundzie, gdy tylko się ujrzelśmy. To spadło na nas jak grom. Tak samo było na lotnisku. Z miejsca wszystko odżyło.

- To tylko twoja wyobraźnia - zaoponowała Cara.

Nie chciała przyznać mu racji.

- Nie - zaprzeczył Michael. - To szczerą prawdą. W mojej rodzinie tak właśnie jest. Miłość spada na nas nieoczekiwanie. Od razu wiemy, że to ta osoba. Popatrz na Parker i Jace'a.

- To zupełnie co innego.

- Nie. Zaraz po jej ślubie chciałem jechać do Erie, żeby cię szukać. Wtedy nie mogłem zostać, miałem zaplanowaną całą wizytę w Stanach. Poprosiłem Jace'a, by spróbował cię odnaleźć. Sam, jak już ci mówiłem, zamierzałem przyjechać zaraz po weselu. Szalałem z tęsknoty. Zastanawiałem się, gdzie jesteś i co robisz. Zadręczałem się tym, bo nawet nie znałem twojego imienia. Tamtej nocy mówiłem do ciebie *cara mia*, ale chciałem poznać twoje prawdziwe imię.

- Nieświadomie sam je odkryłeś. - Cara pamiętała, jak była poruszona, gdy powiedział do niej *cara mia*.

- Nigdy wcześniej do nikogo tak nie mówiłem. Tyłu rzeczy chcę się o tobie dowiedzieć.

- Michael, to, co czułeś, co myślisz, że nadal czujesz, to tylko zauroczenie, chwilowa fascynacja. Za krótko się znamy. Dziecko tego nie zmieni.

- Ale może zmieni to czas - powiedział. - Dajmy sobie czas, żeby się poznać. Zobaczymy, czy coś z tego wyniknie.

- Co w takim razie proponujesz?

- Rozmowę i kolację. Jesteś błada. Zbyt błada. Nie chcę, byś zemdlała, tak jak na lotnisku. Zacznijmy w końcu jeść. Nie zastanawiajmy się teraz nad przyszłością. Porozmawiajmy, poznajmy się lepiej.

-Ale...

- Proszę - nie dał jej skończyć. - Cara, rozluźnij się. Zamartwiasz się przy przygotowaniach do ślubu przyjaciółek, zamartwiasz naszą sytuacją...

- Moją sytuacją.

- Znowu to samo. - Michael pokręcił głową. - Nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś taka uparta.

- Sam widzisz, jak mało mnie znasz.

- Ciii... Bierz się za jedzenie. Szefowa przeszła dziś samą siebie.

Obserwował ją spod oka. Cara opowiadała historyjki z dzieciństwa, ale jedzenie jej nie szło. Bardziej grzebała w talerzu niż jadła.

Coraz bardziej go to niepokoiło. Czy ona zdaje sobie sprawę, że teraz powinna właściwie się odżywiać? Od tego zależy zdrowie jej i ich dziecka. Sporo już przeczytał na temat ciąży i wszędzie podkreślano, jak istotne jest dostarczanie organizmowi odpowiednich składników - kwas

foliowy, duże ilości białka i wapnia. Nie mógł o tym nie myśleć, gdy patrzył, jak znowu odsuwa coś na bok talerza. Przecież to jest potrzebne dziecku.

Ich dziecku.

Cudownie to brzmiało.

Cara jest zachwycająca. Ma w sobie tyle łagodności, a jednocześnie jest silna. Nie da się prowadzić za rękę ani zmusić do czegokolwiek. I choć mieszało to jego szyki, musiał to uszanować. Potrzeba dużo czasu i wysiłku, by przekonać ją, że są dla siebie stworzeni. Ale w końcu się uda. Musi się udać. Nie może stracić jej po raz drugi.

- Czemu umilkłeś? - zapytała Cara, dziobiąc widelcem kawałek szparaga.

- Zamyśliłem się.

- Nad czym? Powiesz mi czy lepiej, bym nie wiedziała?

- Zastanawiałem się, czy jedzenie ci nie smakuje. Prawie nic nie tknęłaś.

- Przepraszam. Nie jestem wybredna, ale sos jest dla mnie trochę za ciężki, potem będę mieć zgagę... - Zmieszała się i szybko zakryła usta dłonią.

- Co się stało?

- Nie powinnam rozmawiać z księciem o takich rzeczach, zwłaszcza przy stole. - Zarumieniła się gwałtownie.

- Jeśli mówi to matka mojego dziecka, nie ma w tym nic niestosownego. W czasie ciąży zgaga to normalny objaw. Czytałem o tym dziś po południu. Zaczynasz drugi trymestr. Osłabienie i poranne mdłości powinny stopniowo ustępować, za to piersi staną się bardziej wrażliwe i...

- Może wystarczy - przerwała mu Cara.

Z rozpalonymi policzkami wyglądała cudownie.

- Dobrze. Wiem też, że nasze dziecko ma teraz około trzech centymetrów długości. Czy to nie cud, Caro?

Tym razem nie przywołała na pomoc Stuarta. Skinęła głową.

- Tak, to cud.

- Teraz musisz dobrze się odżywiać. Jeśli zjesz warzywa, to przejdziemy do deseru.

- Chcesz mnie przekupić jak dziecko?

- Namawiam cię do jedzenia, dla dobra naszego dziecka.

Cara posłusznie zjadła resztkę szparagów.

- Proszę.

- Lody domowej roboty - oznajmił Michael, stawiając na stole szklaną salaterkę. - Nasza szefowa twierdzi, że Amerykanie przepadają za słodyczami. Tobie potrzeba teraz dużo wapnia, więc lody dobrze ci zrobią.

- Podoba mi się twoje podejście - powiedziała Cara, wpatrując się w salaterkę. - Jaki smak?

- Czekoladowo-śmietankowe. Szefowa przysięgała, że będą ci smakować. Będiesz błagać o dokładkę.

- Nie wiem, czy nie przeceniasz mojego upodobania do lodów. Na pewno nie dam rady aż tyle zjeść.

- Spróbuj - zachęcił ją.

Cara powoli, bardzo powoli, podniosła łyżeczkę do ust i skosztowała.

- Och! - wyszeptała z zachwytem.

- A nie mówiłem! - zaśmiał się Michael.

- No nie wiem, czy rzeczywiście nie będę cię błagać! - droczyła się.

Nie mógł się na nią napatrzeć. Była rozluźniona i uśmiechała się beztrąsko.

- Poczekaj, aż zjesz więcej - przekomarzał się.
- Nie bądź taki pewny! - odparła ze śmiechem.
- Szefowa miała rację.

Michael nałożył sobie niewielką porcję. Lody rzeczywiście przewyższały dotychczasowe dokonania Marty. Cara pochłaniała je z taką rozkoszą, że aż przyjemnie było patrzeć.

- Zjesz to? - spytała, łakomie patrząc na jego salaterkę.
- Nie.

- To dobrze. - Podsunęła sobie pucharek.

Michael był pewien, że te obrazy powrócą do niego w nocnych marzeniach.

- To będzie trochę kosztować - powiedział zmienionym, chrapliwym głosem.

- Masz na myśli tę porcję roztopionych lodów?
- Buziaka.

Cara odsunęła pucharek na środek stołu.

- Nie ma mowy.

- Przykro mi, ale już trochę zjadłaś, więc sprawa jest oczywista. Raczej nie należysz do kobiet, które nie spłacają swoich długów.

- Nie mam żadnego długu. Nie uprzedziłeś mnie, że coś za to zechcesz. To nie fair.

Michael wybuchnął śmiechem.

- Każdy wie, że za lody dziękuje się buziakiem!

- Ty ich wcale nie chciałeś - upierała się. - Gdybym ich nie wzięła, zmarnowałyby się i szefowa kuchni poczułaby się dotknięta.

- Czy pocałunek to takie wielkie poświęcenie? - spytał.

Cara westchnęła i zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Dobrze wiesz, że nie. I na tym polega kłopot.

- Przecież to nic takiego. Zwykły buziak.

Cara zawahała się. Michael był przekonany, że odmówi, tymczasem ona przechyliła się nad stołem, musnęła jego usta i natychmiast się cofnęła.

- Proszę. Jesteśmy kwita - oświadczyła.

- Czy ja wiem? Czy to w ogóle można nazwać pocałunkiem? - Michael potrząsnął głową.

- Zjadłam tylko odrobinę twoich lodów, więc nawet posługując się twoją pokrętną logiką, nic więcej ci się nie należy.

- Ale chyba zjesz je do końca? - zapytał z nadzieją.

- Chciałbyś! Na pewno mnie na to nie złapiesz.

- Tchórz.

- Nie. Po prostu jestem sprytniejsza od takich jak ty. - Podniosła się. - A teraz, jeśli pozwolisz, już pójdę.

Michael wstał i odprowadził ją do drzwi.

- Dobranoc, *cara mia*.

- Niczego nie ustaliliśmy - powiedziała.

- Bo nie da się nic ustalić, póki nie zgodzisz się za mnie wyjść.

- Michael, nic z tego nie będzie.

- Nie przestanę nalegać - rzekł. - Nie mogę.

- A ja nie mogę się zgodzić.

- A zatem mamy impas.

Cara bez słowa odwróciła się i odeszła.

Tak, znaleźli się w impasie. Jednak z czasem Cara przejrzy na oczy. Zrozumie, że jego propozycja naprawdę ma sens. I niedługo się zgodzi. Michael był tego pewien.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz Cara obudziła się z jękiem i natychmiast z powrotem opadła na poduszkę. Żołądek znów się buntował.

Przez ostatnie tygodnie tak było codziennie. Ratowała się, zjadając tuż po przebudzeniu krakersa, którego przezornie miała zawsze pod ręką, ale wczoraj wieczorem była tak otumaniona, że zapomniała go sobie przygotować.

Wszystko przez Michaela.

Przez niego i przez ten jego szalony pomysł. Pomysł, który nie ma najmniejszych szans na realizację.

Chce, by za niego wyszła. Chyba zwariował. On jest księciem, a ona współwłaścicielką niewielkiej księgarni.

I co z tego? Parker też jest księżniczką, a wyjdzie za prywatnego detektywa, Shey jest współwłaścicielką kawiarni, a poślubi księcia.

Jednak wewnętrzny głos wciąż podszeptował swoje.

Jej sytuacja jest inna.

Cara położyła rękę na brzuchu. Nie chodzi o to, kim ona jest, ani kim on jest. Istotne jest co innego. Są dla siebie obcymi ludźmi. Wprawdzie będą mieć dziecko, ale tak naprawdę nic o sobie nie wiedzą.

To, co do siebie czują, to tylko fizyczna fascynacja. Na

pewno nie miłość. Michael jej nie kocha. To główny problem. A ona nie zadowoli się namiastką.

Ktoś zastukał do drzwi.

Cara ostrożnie usiadła na łóżku i znów poczuła skurcz w żołądku.

Wstała niechętnie, narzuciła szlafrok i podeszła do drzwi.

- Kto tam? - zapytała i nagle uświadomiła sobie, że jest w piżamie.

- Doktor Stevens. Tom.

Cara schowała się za drzwiami i uchyliła je lekko.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał doktor z niepokojem.

- Tak - odparła, a widząc jego zatroskane spojrzenie, dodała: - Bardzo dobrze. A ty?

Nie odpowiedział. Przyglądał się jej uważnie.

- Niepokoiłem się, dlatego przyszedłem.

- Dlaczego się niepokoiłeś?

Czyżby tak marnie wyglądała? Owszem, męczyły ją poranne mdłości, ale sądziła, że nic po niej nie widać. Przypomniała sobie, jak wczoraj Michael zapewniał ją, że to minie po trzecim miesiącu.

Czytał na temat ciąży. Ta myśl sprawiła jej przyjemność, choć nie powinna.

- Martwiłem się, bo rano mieliśmy się spotkać. Umówiliśmy się w ogrodzie, pamiętasz?

- Ale dopiero po jedenastej. - Cara chciała sprawdzić godzinę, lecz nie miała na ręce zegarka.

Tommy dostrzegł jej spojrzenie.

- Caro, już dwunasta. - Popatrzył na swój zegarek. - Nawet dziesięć po.

Nieemożliwe.

- Nie wierzę. Nigdy mi się nie zdarza, żebym zasnęła. Zawsze jestem punktualna.

- No to dzisiaj mamy wyjątek - powiedział Tommy z uśmiechem. - Może ci wybaczę, jeśli zgodzisz się zejść do jadalni, jak tylko się ubierzesz.

Spała do południa? Spóźniła się na spotkanie?

- Strasznie cię przepraszam. Sama nie wiem, jak to się stało. Okropnie mi przykro. Oczywiście, zaraz zejdem do jadalni, najszybciej jak się da.

- Spokojnie, nic się nie stało. Potrzebujesz snu. Nie spiesz się. Zamówię dla nas lunch. Chociaż dla ciebie poproszę raczej o późne śniadanie - zażartował.

Cara uśmiechnęła się ze skruchą.

- Za kilka minut będę na dole.

Gdy zeszła do jadalni służącej rodzinie panującej na co dzień, Tommy siedział już przy nakrytym stole.

- Zamówiłem dla ciebie sałatkę owocową, na dobry początek.

- Dzięki. - Może rzeczywiście da radę zjeść trochę owoców. Skosztowała ostrożnie.

- Wczorajem dzwonił do mnie książę - zagaił Tommy, gdy Cara przełknęła trochę sałatki.

- Tak? - Jej żołądek znów zareagował nieprzyjemnym skurczem.

- Chciał się dowiedzieć, kiedy kobieta pierwszy raz czuje ruchy dziecka.

- Och tak? - Cara starała się, by zabrzmiało to lekko, jednak natychmiast się spięła.

- Nie odpowiedziałem od razu, a wtedy książę wyjaśnił,

że chodzi mu o typowe terminy. Dodał, że czytał już o tym w internecie, ale chciał się upewnić.

- Co mu powiedziałeś? - Kawałek owocu, który zjadła, ciążył jej teraz w żołądku jak kamień.

- Prawdę. Zazwyczaj kobieta czuje pierwsze ruchy płodu na początku drugiego trymestru ciąży. Tak w przybliżeniu.

- Aha. - Księżę umie liczyć. Jeśli jeszcze miał jakieś wątpliwości, to słowa lekarza na pewno je rozwiały. Już wie, że to jego dziecko. Twierdził, że wiedział od początku, lecz teraz zyskał pewność. Jaki będzie jego kolejny krok?

- Zapytał mnie, czy to możliwe, by kobieta czuła ruchy dziecka w pierwszym lub drugim miesiącu. Powiedziałem mu, że nie ma takiej możliwości. Gdy spytał o trzeci miesiąc, potwierdziłem. Dodałem, że najbardziej prawdopodobny jest koniec trzeciego i początek czwartego.

- Aha - wymamrotała Cara.

- O nic nie pytam - zastrzegł się Tommy. - Chcę cię tylko zapewnić, że bardzo poważnie traktuję moich pacjentów. Księżę miał rację, te informacje można znaleźć bez trudu.

- W porządku, Tommy - rzekła Cara.

- Gdybyś chciała pogadać, zawsze jestem do dyspozycji. Niekoniecznie na tematy ściśle medyczne. Zapewniam, że możesz mi zaufać. O nic nie będę pytać. - Po bratersku poklepał dłoń Cary.

Cara uścisnęła jego rękę.

- Dzięki, będę pamiętać. Nie wiem, jak ci dziękować. Okazałeś mi tyle zrozumienia.

Tommy ścisnął jej dłoń.

- Mam nadzieję...

Nie dokończył, bo nieoczekiwanie ktoś mu przerwał.

- Och, jak miło.

Do jadalni wszedł Michael.

Cara podskoczyła jak dziecko przyłapanie na lasowaniu słodczy. Czuła się winna, choć właściwie nie miała powodu. Spiorunowała księcia wzrokiem.

- Mogę się przyłączyć? - zapytał Michael.

- Oczywiście - swobodnie odparł Tommy. Wcale nie wyglądał na speszzonego.

- Jak się dziś miewasz, Caro? - zapytał Michael, a w jego głosie zabrzmiał szczerzy niepokój.

- Bardzo dobrze. Dziękuję, Wasza Wysokość - odparła oficjalnie.

Michael skinął głową.

- O czym tak konwersujecie? Sądząc po minach, to coś poważnego.

- Skądże - zaprzeczyła energicznie Cara. - Zwykła rozmowa przy stole.

- Tak? To nie miało nic wspólnego z twoim zaślabnięciem i wynikami badań?

- Mówiliśmy o moim zdrowiu, jednak Wasza Wysokość z pewnością przyzna, że to wyłącznie moja sprawa.

-I moja, bo jestem twoim lekarzem - wtrącił Tommy.

Cara popatrzyła na niego z wdzięcznością i ciągnęła:

- Zapewniono mnie, że informacje dotyczące mojego stanu zdrowia są całkowicie poufne.

- Czy to grzeczny sposób powiedzenia mi, bym nie był taki ciekawy?

- Na to wygląda - odparła ze zjadliwym uśmiechem.

Odsunęła talerz z niedojedzoną sałatką.

- Panowie wybaczą. Późno zaczęłam dzień, a mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Nie skończyłaś sałatki - obruszył się Michael, a doktor dodał:

- Powinnaś coś zjeść.

- Jestem dorosła i do tej pory jakoś dawałam sobie radę bez waszej pomocy. - Machnęła do Tommy'ego i pospiesznie wyszła z jadalni.

W drzwiach obejrzała się przez ramię. Michael z przejęciem klarował coś Tommy'emu.

Może jednak nie powinna wychodzić.

Nie, Tommy'emu może ufać. Na pewno jej nie zawiedzie.

- To za mało - z irytacją rzekł Michael.

- Niestety, nic więcej nie mogę powiedzieć - odparł Tom.

- Jaki by ze mnie był lekarz, gdybym nie potrafił uszanować życzeń moich pacjentów?

- To moje dziecko - nalegał Michael. - Mam prawo.

- Przykro mi, lecz na razie tak nie jest. - Lekarz popatrzył na księcia ze współczuciem. - Naprawdę bardzo mi przykro, że nie mogę powiedzieć czegoś, co by podziałało uspokajająco. Mogę jedynie stwierdzić, że Cara jest moją pacjentką i działam w jej interesie. Tak jak w wypadku pozostałych moich pacjentów. Ich dobro jest dla mnie najważniejsze.

Michael podniósł się i wyszedł z jadalni.

Lubił i szanował Toma Stevensa, jednak teraz wolałby, by postępowanie lekarza nie było aż tak etyczne.

Potrzebował wsparcia. Może zadzwonić do Parker, pogadać z nią, poprosić o pomoc? Siostra na pewno mu nie odmówi. Nie, Cara nie byłaby tym zachwycona. Na jej

miejscu, też miałyby zastrzeżenia. Nie, ten pomysł odpada. Sprawa dotyczy wyłącznie ich dwojga i razem muszą znaleźć wyjście z sytuacji.

Jasne, ale byłoby znacznie prościej, gdyby jego *cara mia* nie stała się nagle taką upartą i drażliwą kobietą.

Ale przecież inni mężczyźni potrafili odnaleźć drogę do swoich kobiet, więc i jemu się uda.

Przez całą dłużącą się oficjalną kolację zastanawiało ją dziwne spojrzenie Michaela.

Na szczęście posadzono ją obok ambasadora McClinnona, który nieustannie zabawiał ją rozmową. I byłoby całkiem przyjemnie, gdyby nie ta trudna do odszyfrowania mina księcia.

Co on knuje?

-I wtedy Pearly oznajmiła, że...

Cara słuchała tych opowieści z uśmiechem. Ambasador potrafił gawędzić i umiał zainteresować rozmówcę. Pod tym względem bardzo przypominał Pearly.

Nie zdradzała się, że ją zna. Razem z Parker i Shey postanowiły do końca zachować tajemnicę. Niech to będzie niespodzianka. Pearly już wkrótce pojawi się w Eliason. Przyjedzie na ślub.

Cara nie mogła doczekać się chwili, gdy tych dwoje się spotka. Czuła się jak swatka.

- Och, ta Pearly... - zadumał się ambasador. - To dopiero była dziewczyna! Potrafiła rozruszać całą salę. Zawsze miała coś do powiedzenia. Sam nie wiem, czemu ostatnio ciągle o niej myślę.

Znowu oddał się wspomnieniom.

- Ostatni raz widziałem ją na przyjęciu. Przyszedłem z koleżanką. Wychodziłem ze skóry, żeby zamienić z Pearly kilka słów, ale ona mnie unikała. Podszedłem do niej, gdy rozmawiała z Francie. Francie od roku była mężatką i bardzo chciała mieć dziecko, ale coś im się nie składało. Pearly przytoczyła wtedy twierdzenie swojej mamy, że dzieci zjawiają się wtedy, gdy przychodzi właściwa pora i może Pan Bóg dopiero szykuje dla niej dzidziusia.

- A co na to Francie?

- Chyba ją to uspokoiło. Zresztą niedługo potem urodziła syna, ale ten jej dzidzius okazał się niezłym urwisem. Później miała kolejne dzieci, w sumie czterech chłopców. Wszyscy dawali jej zdrowo popalić.

- Ale na pewno cieszyła się, że ich ma. - Cara mimowolnie przysunęła rękę do brzucha. Zreflektowała się w ostatniej chwili i pospiesznie położyła dłoń na kolanie.

Jej dzidzius już dawał o sobie znać, ale poradzi sobie.

Ciekawe, jakie będzie jej dziecko. Czy będzie mieć włosy po ojcu?

A może odziedziczy niebieskie oczy Michaela? Przez lata będzie patrzeć na swoje dziecko i widzieć w nim tego mężczynę. Mężczyznę, który okazał się dla niej nieosiągalny.

Nie będzie łatwo. Już teraz jej sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Znajdowała się między młotem a kowadłem, a sądząc po błysku w oczach Michaela, zapowiadało się jeszcze gorzej.

- Oczywiście, że się cieszyła - odparł ambasador. Zamyślił się. - Może po tym ślubie wybiorę się w moje rodzinne strony.

- Poszukać Pearly?

- Tego nie powiedziałem - rzekł szybko. Podejrzanie szybko.

- Nie musiałeś.

- Pearly to pamiętliwa osoba. Na pewno do dziś chowa do mnie urazę.

- Nie wiadomo. Może warto się przekonać.

Ambasador uśmiechnął się.

- Tak, chyba masz rację.

Cara z trudnością ukrywała podniecenie. Czuła się jak dziecko czekające na gwiazdkowe prezenty. Pearly została zaproszona na ślub i przyjedzie do Eliason. To dopiero będzie niespodzianka!

- Niechcący usłyszałem fragment waszej rozmowy - wtrącił się Michael. - Dzieci mogą nieźle dać w kość rodzicom. Ale ja chyba taki nie byłem? - popatrzył pytająco na matkę.

Cara spochmurniała. Jasne, że on taki nie był.

- Ty? - Księżna Anna uśmiechnęła się z drugiego końca stołu. - W zupełności zgadzam się z Pearly, że nawet największy łobuziak jest dla rodziców wielką radością...

- Mamo, chcesz powiedzieć, że byłem łobuziakiem? - obruszył się Michael.

- Ależ ja nic takiego nie powiedziałam - odparła księżna. - To twoje słowa. Ale nie będę zaprzeczać. Ach, nie mogę się doczekać ślubu Parker. Marzę, by zostać babcią. Rozpuszczę moje wnuczęta jak dziadowskie bicze.

Cara aż się zakrztusiła.

Ambasador podał jej szklanekę wody. Szybko upiła łyk. Jej policzki piekły żywym ogniem.

- Dobrze się czujesz? - z miną niewiniątka zapytał Michael, uśmiechając się szeroko.

- Tak, dziękuję - odparła przez zaciśnięte zęby.
Michael kiwnął głową i odwrócił się do matki.
- Mam nadzieję, że już niedługo uda mi się spełnić twoje marzenia, mamo.
- Czyżbyś kogoś poznał? - zainteresowała się księżna. -
Może to ta śliczna reporterka, która niedawno u nas była?
Zdradzisz nam jakieś szczegóły?
- Jeszcze nie teraz, ale wkrótce to zrobię. Chyba będę mieć dla was dobre wieści.
- Nie bądź okrutny - prosiła matka, a jej oczy jaśniały niezwykłym blaskiem. - Szepnij choć słówko.
- No, może jedno - przystał.
- Nie - przerwała mu Cara, a wszyscy zwrócili się w jej stronę. - Jeśli książę nie jest zdecydowany, nie powinniśmy nalegać. Ja bym nie była zachwycona, gdyby ktoś zaczął analizować moje prywatne życie.
- Cara ma rację - poparł ją Michael. - To bardzo świeża sprawa, nie ma co od razu o tym trąbić. Trzeba dobrze sobie przemyśleć wiele rzeczy...
- Ale... - zaczęła księżna.
- Kochanie, nie ponaglajmy go - przerwał jej książę. -
Dajmy mu trochę czasu.
- Nie byłeś taki wyrozumiały, gdy chodziło o Parker - przypomniała mu żona. - Sam chciałeś ułożyć jej życie.
- To co innego - zdecydowanie zaproponował książę. -
Nie mieszałem się w jej uczucia, zależało mi tylko, by wróciła do domu.
- I twoje marzenie się spełniło - od progu rozległ się czyjś głos.
- Parker i Jace weszli do sali.

- Parker! - wykrzyknął Michael.
- Parker! - zawołała Cara. - Przyjechałaś wcześniej!
- Chciałam, by rodzice mogli lepiej poznać Jace'a.

Księżę i księżna poderwali się z miejsc i serdecznie witali córkę i jej przyszłego męża. Rodzina była wreszcie w komplecie.

Ciekawe, czy z taką samą radością będą witać moje dziecko, zamyśliła się Cara. Wystarczyło spojrzeć na ich uszczęśliwione twarze, by się przekonać, jak bardzo tęsknili za córką. Czy Michael też będzie tak tęsknić za dzieckiem, jeśli ich drogi się rozejdą?

Parker podeszła do Cary.

- Jesteś jakaś zmieniona - rzekła, wpatrując się w przyjaciółkę badawczo.

Cara nie wiedziała, co odpowiedzieć, zapytała więc szybko:

- A gdzie Shey?

- Pojechali z Tannerem do jego rodziców. Przyjadą do nas w przyszłym tygodniu.

Parker usiadła obok Cary, a Jace zajął miejsce naprzeciwko, obok Michaela. Obaj panowie pograżyli się w rozmowie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską Parker.

Cara zerknęła spod oka na Michaela. Doskonale wiedziała, skąd wzięło się pytanie przyjaciółki i dlaczego Parker przyjechała wcześniej.

- Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

- No bo... - Parker popatrzyła na brata.

A więc Michael wszystko jej wygadał.

- Cokolwiek księżę ci powiedział, przesadził. Czuję się doskonale.

Parker wcale nie wyglądała na przekonaną.

- Później o tym porozmawiamy.

- Możemy porozmawiać o ślubie, o twoim narzeczonym, jest wiele tematów, ale nie o mnie. Naprawdę nic mi nie dolega.

- Parker - odezwała się księżna Anna. - Opowiedz nam o waszej kawiarni.

Parker nie dała się prosić, jednak od czasu do czasu z niepokojem zerkała na Carę.

Cara nie mogła doczekać się końca posiłku. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, wymówiła się i wstała.

- Nie pogadamy? - zapytała Parker.

- Może jutro. Dziś zajmij się rodzicami. Jestem zmęczona i pójdę się położyć.

Źle. Niepotrzebnie się z tym wyrwała. Po tych słowach niepokój Parker jeszcze wzrósł. Cara udała, że tego nie widzi, pożegnała się i wyszła.

To drań. Jak mógł posunąć się do tego?

- Caro, poczekaj! - zawołał za nią, gdy pospiesznie szła korytarzem.

Nie zwolniła, przeciwnie, przyspieszyła kroku.

-Cara!

Przyspieszyła bardziej. W końcu prawie biegła. Nie chciała go teraz widzieć. Ona, zawsze taka spokojna i opamnowana, teraz gotowała się ze złości. Jeśli Michael zmusi ją do konfrontacji, w zdenerwowaniu może powiedzieć coś, czego potem będzie żałować.

- Cara! - Złapał ją za ramię i odwrócił do siebie. - Ja jej tu nie ściągnąłem.

- Kłamca!

- No dobrze. Dzwoniłem do niej, szukałem pomocy, ale nie prosiłem, by przyjechała wcześniej, choć o tym myślałem. Miałbym wtedy kogoś po swojej stronie. Potrzebuję moralnego wsparcia.

- Moralne wsparcie? O czym ty mówisz?

- Patrząc na nią, słuchając jej uniesień na temat Jace'a i ich uczucia, utwierdziłbym się w przekonaniu, że i nas to może spotkać.

Cara nic nie odpowiedziała. Zabrakło jej słów.

- Wierz mi, byłem nie mniej zaskoczony ich widokiem niż ty - rzekł miękko.

- Kłamca! Liczyłeś, że twój telefon sprowokuje Parker do wcześniejszego przyjazdu.

- Caro, możesz nazywać mnie, jak chcesz, ale nigdy cię nie okłamałem. I nigdy tego nie zrobię. Powinnaś mi wierzyć, gdy proszę, byś za mnie wyszła. I gdy zapewniam cię, że nie ściągnąłem Parker.

- Na pewno? - spytała nieco spokojniejsza Cara.

- Na pewno - potwierdził Michael. - Jeszcze raz cię zapewniam, że nigdy cię nie okłamałem i nigdy tego nie zrobię.

- Dziękuję. Ale skoro tak, to dlaczego Parker przyjechała wcześniej?

- Pewnie jest tak, jak powiedziała. Chce, by rodzice poznali Jace'a. Gdyby pojawili się tuż przed ślubem, nie byłoby na to czasu.

- Aha.

- Caro, wierzysz mi?

Chciała zaprzeczyć, ale w jego oczach dostrzegła coś, co ją poruszyło.

- Tak, chyba tak.

- A jeśli powiem, że marzę teraz, by cię pocałować, aż do utraty tchu, uwierzysz mi?

Cara poczuła suchość w gardle. Powinna się cofnąć, powiedzieć, że tego nie chce, jednak nie mogła go okłamywać.

- Cóż, to jeszcze nie będzie oznaczać, że się zgadzam.

- Ale nie mówisz, że jesteś przeciw.

- Ja...

- Pragniesz mnie tak samo mocno jak ja ciebie. - Nim zdążyła odpowiedzieć, dodał: - Nie kłam.

- Dlaczego mnie ostrzegasz? Naprawdę uważasz, że skłamałam?

- Profesor Stuart - rzekł krótko.

- To co innego. Już to omówiliśmy. Dzięki Stuartowi masz spokój.

- Ale ja wcale tego nie chcę. Chcę... - nie dokończył. Odszukał jej usta.

Nie zaprotestowała. Nie mogła. Przy nim wszystkie lęki i obawy rozplywały się w nicość. Wiedziała, że to ten mężczyzna, ten jedyny, na którego czekała przez całe życie.

Wtuliła się w jego ramiona i oddała pocałunek.

Nagle ktoś chrząknął znacząco.

Cara cofnęła się i zerknęła w bok.

- Parker, wszystko ci wytłumaczę.

- Nie wątpię. I nie mogę się tego doczekać. - Parker popatrzyła na Michaela. - Mogę na chwilę zabrać ci moją przyjaciółkę?

- Niechętnie, ale proszę. Niech to będzie mój prezent ślubny dla ciebie.

- Och! A nie chcesz mi kupić czegoś specjalnego?

- Właśnie dostajesz coś wyjątkowego.

- Zgadzam się, Cara jest wyjątkowa. Jest też moją przyjaciółką, więc miej się na baczności, bo jeśli... - Parker zawiesiła głos.

Słowa przyjaciółki powinny Carze pochlebiać, tymczasem jednak tylko wzmogły jej niepokój.

- Parker, sama potrafię zadbać o swoje sprawy.

Parker jakby nie słyszała. Wbiła pytające spojrzenie w Michaela.

- Poprosiłem Carę, by za mnie wyszła - oświadczył.

- Co takiego? - Oczy Parker zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Nie zgodziłam się - pospiesznie wyjaśniła Cara.

- Przecież prawie się nie znacie. - Parker przyglądała się im ze zdumieniem.

- No właśnie, jeśli o to chodzi... - zaczął Michael.

- Ani słowa więcej - ucięła Cara. - Sama potrafię się bronić. I sama decyduję o tym, za kogo wyjdę. A twojemu bratu dałam kosza - dokończyła, patrząc na Parker.

Oczy przyjaciółki błysnęły gniewnie.

- Dałaś mu kosza? Dlaczego? Jako brat bywa męczący, ale dla innych kobiet jest ideałem.

- No to niech go łapią. Ja nie jestem zainteresowana.

- To, co przed chwilą widziałam, świadczy o czymś innym.

- No właśnie - rzekł Michael. - Twoja przyjaciółka jest niezwykle chimeryczna. Chętnie się ze mną całuje, ale serce oddała profesorowi Stuartowi. To z nim chce założyć rodzinę.

- A kto to taki? - zdumiała się Parker.

Cara nie odpowiedziała. Gdyby wzrok mógł zabijać, następcę tronu Eliason padłby trupem.

- Mówiłam ci, że Stuart to porządny człowiek.
- Mówiłaś mi wiele rzeczy, *cara mia* - zniżając głos, odparł Michael.
- Nie nazywaj mnie tak.
- *Cara mia* - powtórzył, drocząc się z nią, po czym pochylił się i musnął ustami jej czoło. - Zostawię cię teraz z moją siostrą, pogadajcie sobie, a ja pójdę poszukać mojego przyszłego szwagra.
- Idź, idź - zgodziła się Parker i popatrzyła na Carę pytająco. - Czy mi się tylko wydaje, czy przez te ostatnie tygodnie wiele się wydarzyło? Chyba czas, byś mnie we wszystko wtajemniczyła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy tylko Michael zniknął im z oczu, Parker pociągnęła Carę do znajdującego się w pobliżu pokoju. Cara była tu po raz pierwszy. Nie zdziwiło jej to. Zamek był tak rozległy, że nie widziała jeszcze wielu pomieszczeń.

Salonik okazał się bardzo przytulny. Wygodne kanapy ustawione przed wielkim kominkiem zapraszały, by na nich spocząć i odetchnąć.

- No więc? - zaczęła Parker, gdy usiadły.

Pod jej badawczym spojrzeniem Cara poczuła się nieswojo.

- Nie patrz tak na mnie.

Bezwiednie przybliżyła rękę do brzucha, jakby chciała osłonić zaokrągloną figurę. Opanowała się w ostatniej sekundzie i pospiesznie ułożyła obie dłonie na kolanach.

- No mów! - tonem nieznoszącym sprzeciwu odezwała się Parker. Zabrzmiało to jak królewski rozkaz.

- Sama widziałaś. Co mam ci więcej powiedzieć? Twój brat poprosił mnie o rękę, a ja mu odmówiłam.

Parker zachmurzyła się.

- To nie wszystko. Czuję, że chodzi o coś więcej. Jak mi nie powiesz po dobroci, dzwonię po Shey. Już ona wszystko z ciebie wycisnie.

Cara oczami wyobraźni ujrzała przenikliwe spojrzenie Shey. Parker ma świętą rację. Mimo to nie mogła się zdobyć, by wyznać prawdę.

- Dobrze - zaczęła w końcu dyplomatycznie. - Wszystko ci powiem, ale jeszcze nie teraz. Po waszym ślubie. Wtedy pogadamy sobie od serca. Ty, ja i Shey.

Parker kategorycznie pokręciła głową, a jej jasne włosy zafalowały gwałtownie.

- Przykro mi, ale nic z tego. Nie dam się zbyć. Czuję, że to poważna sprawa. Caro, zaufaj mi. Możesz na mnie liczyć, przecież wiesz.

Łzy napłynęły Carze do oczu. Nigdy nie była płacziwa, a teraz nieustannie musiała się hamować. Zamrugała pośpiesznie.

- Parker, wychodzisz za męża, to twoja wielka chwila. Skoncentruj się teraz na tym, co was czeka. Kameralna uroczystość, potem huczna oficjalna ceremonia. Jest o czym myśleć. A ze mną wszystko w porządku.

Poczuła ukłucie żalu. Nigdy nie zazna tego, co jej przyjaciółki. Nigdy nie poczuje smaku takiej miłości.

Między nią a Michaelem coś zaiskrzyło, fakt. Zatraciła się wtedy, nie zważała na nic, ale to była czysta chemia, a ona marzyła o czymś więcej. Chciałaby doświadczyć tego, co stało się udziałem jej przyjaciółek.

- Cara. - Parker uściśniła jej rękę. - Kocham Jace'a, więc nie mam nad czym się zastanawiać. Tu nic się nie zmieni. Dlatego powiedz mi szczerze, co się dzieje. Bo dzieje się coś ważnego. Widzę to przecież.

Cara zrozumiała, że znalazła się na przegranej pozycji. Parker nie da się spławić.

- Dobrze - zaczęła cicho. - Masz rację, jest coś więcej. Twój brat chce się ze mną ożenić, ale...

Urwała, szukając słów, choć miała świadomość, że żadne słowa nie złagodzą szoku, jaki czeka Parker.

- Jestem w ciąży, a twój brat chce zachować się honorowo. Odrzuciłam jego propozycję, bo oczekuję od życia czegoś więcej. Zresztą to się należy i mnie, i jemu.

Zaskoczona Parker milczała.

- Nie mogę wyjść za twojego brata - ciągnęła Cara. - Nie martw się, już wszystko obmyśliłam i zaplanowałam. Będę zabierać dziecko do pracy. Wiem, że ty i Shey zgodzicie się na to. Zresztą Shey i tak zostanie w Europie, z Tannerem, ale Shelly zastąpi mnie, gdy będę na urlopie macierzyńskim. A jak układa się jej i Peterowi? Nadal świata za sobą nie widzą?

- Nie zmieniaj tematu - zaprotestowała Parker. - Jeszcze nie mogę się oswoić z nowiną, że będziesz mieć dziecko. Kim jest ten profesor, o którym mówił Michael? Dlaczego nie poprosił cię o rękę?

Profesor Stuart - idealne rozwiązanie. Z nim wszystko byłoby prostsze. Ale jak tu oszukiwać najbliższą przyjaciółkę?

- Nie ma żadnego profesora -. wyznała cicho Cara. - Wymyśliłam go. Ojcem dziecka jest Michael.

- Michael? Ale... Przecież to dopiero...

- Trochę ponad trzy miesiące - dokończyła Cara.

- Trzy miesiące? - powtórzyła Parker, jakby zaczynała coś kojarzyć. - Wtedy, kiedy przyjechał, by ściągnąć mnie do domu?

Cara skinęła głową.

- Nie miałam pojęcia, kim jest. On też nic o mnie nie wie-

dział. Poznaliśmy się i to wystarczyło. Nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżyłam. -I nie przeżyję, dodała w myślach.

- To ty jesteś tą tajemniczą kobietą, której daremnie szukał Jace? - wyszeptała Parker.

Cara wzruszyła ramionami.

- Michael mówił mi, że mnie szukał.

-I to jest jego dziecko? - zapytała Parker. Naraz uśmiechnęła się, bo dotarło do niej znaczenie tych słów. - Dziecko mojego brata, czyli mój bratanek albo bratanica! Będę niedługo ciocią!

- Parker, o tym będziesz wiedzieć tylko ty i Shey. Nikt więcej. Dla wszystkich innych ojcem dziecka będzie profesor Stuart.

Uśmiech Parker zgaśł.

- Ale dlaczego?

-I ty mnie o to pytasz? Skoro ojcem jest twój brat, dziecko będzie mieć książęce pochodzenie. Sama wiesz, z czym to się wiąże. Wyobrażasz sobie, w co zamienią jego życie media? Nieślubne dziecko następcy tronu. Nie dadzą mu żyć, zaszczują je. Chcesz tego dla swego bratanka czy bratanicy? Popatrz, ile wyrzeczeń cię kosztowało, by wreszcie znaleźć spokój. Ile trzeba starań, byście ty i Jace mogli wziąć ślub z dala od blasku fleszy.

- Caro, może nie odpowiada mi takie życie, ale ja miałam wybór. Chcesz odebrać to swojemu dziecku? Chcesz pozbawić je jego dziedzictwa? - Parker nabrała powietrza, próbując się uspokoić. - Chcesz pozbawić Michaela prawa do bycia ojcem?

- Parker, nie męcz mnie. Nie wiem. Mówię szczerze. Sytuacja chyba mnie przerosła. Wszystko stało się zbyt szyb-

ko. Nie miałam pojęcia, że to twój brat. Dopiero na lotnisku wszystko wyszło na jaw. Wprawdzie pokazywałaś mi jego zdjęcia, ale z czasów, kiedy był dzieckiem. Sama nie wiem, co powinnam zrobić. Potrzebuję trochę więcej czasu, żeby to wszystko przemyśleć, dlatego trzymam się tego profesora Stuarta, przynajmniej na razie.

Parker nie była zadowolona, ale, choć z ociąganiem, kiwnęła głową.

- Na razie. Nie da się tego ciągnąć w nieskończoność.

- Wiem. Dlatego... - Cara umilkła. - Parker, pogadajmy o czymś innym, proszę. Na przykład o Pearly i Busterze.

Parker pochyliła się i uściśnęła przyjaciółkę.

- Jasne. Pamiętaj, że masz mnie. Jak będziesz gotowa, wrócimy do tej rozmowy.

Cara skinęła głową. Znowu z trudem powstrzymała łzy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko przytuliła się mocniej do przyjaciółki.

Pierwsza odezwała się Parker:

- No więc co do Pearly, prosiłam ją, by przyjechała wcześniej. Powinna zjawić się tu za kilka dni. Nie wygadałaś się przed ambasadorem?

- Nie pisnęłam ani słowa. Jak sobie pomyślę, że spotkają się po tylu latach... - Cara westchnęła i umilkła.

I Pearly, i ambasador wciąż wracają do siebie myślami. Wspominają dawne czasy. Ich spotkanie powinno być czymś poruszającym i romantycznym.

Niech chociaż im się poszczęści, pomyślała Cara.

Gdy Parker i Cara znikły za drzwiami saloniku, Michael nie mógł znaleźć sobie miejsca. Przechadzał się po koryta-

rze tam i z powrotem. Bez przerwy zastanawiał się, o czym one rozmawiają.

Może Cara wyzna Parker prawdę. Może Parker przekona przyjaciółkę, by jednak dała mu szansę.

Może.

Dobijały go te rozważania.

Dlaczego Cara nie widzi, że są dla siebie stworzeni? Co musi zrobić, by ją przekonać, że dla niej i dla ich dziecka jest gotów na wszystko?

- Wciąż o niej myślisz? - Jace, narzeczonego Parker, wynurzył się zza rogu korytarza i podszedł do Michaela.

- Tak. Nie mogę przestać o niej myśleć - odparł książę.

- Wiem, co czujesz. Gdy poznałem Parker, o niczym innym nie myślałem. Nie mogłem nad tym zapanować, choć czasem bardzo się starałem. Wszystko na nic. Nie mogłem wybić jej sobie z głowy. Wiem, że to marnie o mnie świadczy, ale tak było.

- Nie mogłeś wybić jej sobie z głowy? - zdumiał się Michael. Przecież jego siostra jest wspaniałą dziewczyną. - Próbowałeś?

-I to jak! - odparł Jace.

- Ale dlaczego?

Jace popatrzył na niego dziwnie, jakby odpowiedź była czymś oczywistym.

Michael pokręcił głową i wzruszył ramionami. Nic nie rozumiał.

- Parker jest księżniczką, a ja prywatnym detektywem - powiedział w końcu Jace. - Różni nas pochodzenie. Musiało minąć sporo czasu, nim dotarło do mnie, że to nie jest aż taka przeszkoda.

- Gdy Parker mówi o tobie, nikt nie ma wątpliwości, że dla niej te różnice są rzeczywiście bez znaczenia - odparł Michael. - Pojechałem do Erie, by namówić ją do powrotu do domu i wystarczyło mi kilka minut rozmowy, by uzyskać pewność, że to płonne nadzieje. Parker co najwyżej przyjedzie do nas z wizytą. Bo poznała ciebie i wszystko inne przestało się liczyć.

Tak samo było z nim, gdy poznał Carę. Nic już nie było dla niego ważne.

Cara jest mu pisana.

- To stało się bardzo szybko - mówił Jace. - Dlatego nie mogłem się pozbierać.

- Tak to już jest w naszej rodzinie. Spotykasz tę właściwą osobę i...

- I jakby cię piorun strzelił - dokończył Jace.

- No właśnie - potwierdził Michael. - W jednej sekundzie. I już po tobie.

Szkoda, że Cara tego nie doświadczyła.

- Przykro mi, że nie udało mi się odnaleźć twojej tajemniczej dziewczyny. - Jace po bratersku poklepał Michaela po ramieniu.

- Nie przejmuj się. - Michael chciałby powiedzieć mu prawdę, lecz Cara mogłaby mieć pretensje. Tak gwałtownie zareagowała na widok Parker. Była przekonana, że to on ją ściągnął.

- Wprawdzie nie znamy się zbyt dobrze - rzekł Jace. - Ale w razie czego wal do mnie jak w dym.

- Dzięki. I za to, co dla mnie zrobiłeś. - Jace od razu spodobał się Michaelowi. Było w nim coś autentycznego i szczerego.

- Nie ma za co. W końcu jesteśmy rodziną.
Rodzina. To takie ważne.

Dlaczego Cara nie widzi, że powinni stworzyć rodzinę, że to ich przeznaczenie?

Musi otworzyć jej oczy, przekonać ją.

Jace'owi też nie przyszło to łatwo, musiało minąć sporo czasu, nim zobaczył przyszłość swoją i Parker we właściwej perspektywie.

Cara prawie nie zna jego świata, Eliason widziała tylko z okien samochodu. Może powinien pokazać jej coś więcej? Może wtedy zrozumie, że jest tu dla niej miejsce, że ich światy nie są aż tak różne.

Tak, pokaże jej, że to możliwe.

I przekona, że powinni stać się rodziną.

- Dasz mi się porwać? - zapytał nazajutrz, gdy udało mu się osaczyć Carę przy śniadaniu. - Nie na długo. Obiecuję, żadnych pytań i dyskusji, ani słowa na temat profesora Stu.

- Ale po co?

- Bo cię zapraszam. Dajmy sobie szansę, by lepiej się poznać. Zgoda?

- I żadnych rozmów o małżeństwie i dzieciach? - upewniła się Cara.

- Masz moje słowo.

Michael coś knuł. Czuła to, ale nie mogła dociec, do czego zmierza.

Powinna odmówić. Powinna trzymać się od niego z daleka, wtedy łatwiej jej zebrać myśli, łatwiej rozważać ewentualne decyzje. Ale on patrzył na nią z takim żarem, z takim napięciem czekał na jej odpowiedź.

- Tylko nie na długo, mam mnóstwo rzeczy do zrobienia - zgodziła się w końcu.

- Na szczęście Parker już przyjechała, więc trochę cię odciążę. - Michael prowadził ją do głównego wyjścia.

- Dokąd idziemy?

- Zabieram cię do miasta. To niespodzianka.

Limuzyna ruszyła. Po drodze Michael opowiadał Carze o mijanych miejscach, pokazywał zabytki stolicy. Wreszcie samochód zatrzymał się przed potężnym gmachem.

- To nasza największa biblioteka - wyjaśnił, uprzedzając pytanie Cary. - Raz w tygodniu zaproszone osoby czytają głośno dzieciom. Dziś wypadło na mnie. Pomyślałem sobie, że może cię to zainteresuje.

Cara nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc w milczeniu podążyła za Michaeliem do wejścia. Było jej miło, że wybrał akurat taką okazję. Pomyślał o niej.

Wkrótce znaleźli się w kameralnej salce. Cara spostrzegła dyskretnie rozmieszczonych ochroniarzy, ale Michael zdawał się w ogóle ich nie zauważać. Całą uwagę skupił na zgromadzonych przedszkolakach.

Bibliotekarz przedstawił gościa. Książę zajął miejsce, wziął książkę i zaczął czytać.

Świetnie mu szło. Wcielał się w występujące w bajce postacie, zmieniał modulację głosu, zabawnie naśladował różne dźwięki. Cara mimowolnie wyobraziła go sobie czytającego książeczkę ich dziecku i zrobiło się jej ciepło na sercu. Oddała się marzeniom. Nagle dotarło do niej, że Michael już skończył.

- Chcecie posłuchać jeszcze jednej bajki? - zwrócił się do dzieci. - Przeprowadziłem dziś moją znajomą. Przyje-

chała do nas z Ameryki i ma na imię Cara. W swoim mieście prowadzi księgarnię i często czyta dzieciom książeczki.

- Popatrzyl na nią. - Caro?

Nie miała innego wyjścia. Michael podał jej książkę. Bajka o Czerwonym Kapturku. Nie mogła się nie roześmiać.

- Obmyśliłeś to sobie - wyszeptala.

- Przyznaje Się bez bicia.

Jakiś chłopczyk podniósł rączkę i z miejsca zadał pytanie:

- Czy pani jest księżniczką księcia?

Cara czuła na sobie uważny wzrok Michaela. Wraz z dziećmi czekał na jej odpowiedź.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie. Jestem jego znajomą.

- Ale może kiedyś zostanie moją księżniczką - dodał książę, uśmiechając się do chłopca.

Cara posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, a bibliotekarz zrobił zdziwioną minę. W górze unosiło się jeszcze parę rąk, jednak Cara wolała więcej nie ryzykować.

- Usiądźcie, a ja zacznę czytać. Dawno, dawno temu...

Znajomy rytm starej bajki uspokajał. Czytanie dzieciom było jednym z ulubionych zajęć Cary. Patrzyła na zasłuchane twarzyczki i na półki uginające się od książek. To był jej świat.

Michael siedział na podłodze, wśród zasłuchanych dzieciaków. Co za wzruszająca scena. Ten obraz bardzo do niej przemawiał. Podobnie jak przywiązanie młodego księcia do rodziny, troska o los państwa, nieskrywana wrażliwość na dzieci.

Gdyby choć na chwilę udało się jej zapomnieć o jego

obecności, może odzyskałaby nieco spokoju. Jednak nic z tego. Po prostu nie da się go ignorować.

- Koniec - oznajmiła.

Dzieci zaczęły bić brawo. Zachęczone przez bibliotekarza, zaczęły zadawać pytania.

- Jakie książki najbardziej pani lubi? - zapytała śliczna blondyneczka.

- „Harry'ego Pottera”? - zawołał jakiś chłopiec.

Cara odetchnęła z ulgą. To tematy, w jakich czuje się pewnie.

- Uwielbiam „Harry'ego Pottera”, ale gdy byłam w waszym wieku, jeszcze tych książek nie było. Czytałam inne...
- zaczęła wymieniać tytuły i autorów.

Gdy skończyła, rączkę podniósł drobny rudy chłopiec.

- Czy pani ma dzieci?

Bezwiednie przesunęła dłonią po brzuchu. Opamiętała się szybko.

- Jeszcze nie - odparła zgodnie z prawdą.

Znowu podniosły się ręce.

- Czy pani i książkę się ożenicie?

- Nie, jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi - powiedziała. Jakby można było nazwać przyjacielem kogoś, kto bez uprzedzenia naraził ją na taką niezręczną sytuację. - Właśnie, to mi przypomniało, że moja przyjaciółka na mnie czeka, więc muszę się z wami pożegnać.

Michael podniósł się i podszedł do niej. Z uśmiechem pożegnał się z dziećmi.

Po co ją tu przywiózł? To pytanie nie dawało jej spokoju.

Michael poprowadził ją do wyjścia, zatrzymując się i zamieniając po kilka słów z dziećmi i ich rodzicami.

Cara nadal nie umiała znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Gdy doszli do samochodu, narastający w niej niepokój był już nie do opanowania.

Michael widział, że Cara jest spięta. Przez całą drogę powrotną niemal się nie odzywała. Dopiero na koniec wybuchła:

- Możesz mi wyjaśnić, po co to zrobiłeś?
- Mówiliśmy o Czerwonym Kapturku. Pomyślałem sobie, że będzie ci łatwiej przeczytać coś, co znasz...
- Nie chodzi o to. Po co mnie tam zawiozłeś?
- Bo mam nadzieję, że może z czasem przyjmiesz moją propozycję. Dlatego chcę, byś zobaczyła, na czym polega moje życie. To nie tylko czytanie dzieciom, ale też otwieranie nowych szpitali i inne publiczne wystąpienia. To należy do naszych podstawowych zadań. Bycie członkiem rodziny panującej ma bardzo wiele aspektów.
- Ale ja nie jestem księżną ani księżniczką.
- Liczę na to, że się nią staniesz. Chcę ci pokazać, że mój świat nie różni się aż tak bardzo od twojego. Że można je połączyć.

Cara nic nie odpowiedziała. Michael nie nalegał.

Zależy mu, by poznała jego codzienne zajęcia. By zdała sobie sprawę, jak istotną rolę odgrywa w życiu społeczeństwa, jak wiele znaczy dla swoich poddanych.

Chce, by o tym wiedziała, by nie było to dla niej zaskoczeniem, bo naprawdę wierzy, że nadejdzie dzień, gdy Cara zgodzi się iść razem z nim przez życie.

Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że tylko tego pragnie. Tylko ona jest dla niego ważna. Ona i ich dziecko.

Tylko dlaczego tak trudno ją przekonać? Dlaczego nic do niej nie trafia? Mogą stworzyć bardzo szczęśliwą rodzinę, taką, jaką stworzyli jego rodzice. Odnaleźć to, czego Michael dotąd szukał, choć tak naprawdę nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Jeśli Cara odda mu swe serce, to na zawsze.

I tylko o to ją prosi.

Ledwie Cara wysiadła z limuzyny, od razu wpadła w wir zajęć, jednak przez cały dzień chodziły jej po głowie słowa Michaela.

Chciał pokazać jej swój świat, udowodnić jej, że do siebie pasują.

Czy to możliwe?

Na szczęście była zbyt pochłonięta bieżącymi sprawami, więc nie miała czasu na myślenie o Michaelu, o wizycie w bibliotece i o tym, co powinna zrobić.

Musi podjąć decyzję, to jasne. W dodatku czasu jest coraz mniej. Tylko te jego słowa... Wciąż nie dawały jej spokoju.

Postanowiła, że teraz nie będzie się nad tym zastanawiać. Nie będzie się oszczędzać, zabierze się ostro do pracy.

Wieczorem padała z nóg, ale natrętne pytania powróciły. Czy mogłaby tu zostać? Czy mogłaby zamieszkać w Eliason?

Sen nie przychodził. Cara przewracała się z boku na bok, zastanawiając się, co jest najlepsze dla niej, dla Michaela i, co najważniejsze, dla ich dziecka?

Następny dzień nie przyniósł żadnej odmiany i żadnej decyzji. Wieczorem podekscytowana Cara powtarzała sobie te same pytania.

I znów powracały do niej słowa Michaela.

Kiedy dwa dni po wizycie w bibliotece podeszła rano do biurka, znalazła na nim książkę, której tam wcześniej nie było. Wzięła ją i popatrzyła na tytuł. „Dziewięć miesięcy”.

Niektóre rozdziały były zaznaczone.

Kalendarium ciąży. Etap po etapie. Gdzieniegdzie widniały znaki zapytania.

Zdjęcia rozwijającego się płodu, tydzień po tygodniu, a przy jednym podpis: „Nasze dziecko w tym tygodniu”.

Łzy popłynęły jej z oczu.

Nie umiała płakać jak gwiazdy filmowe. Szloch wstrząsał jej ciałem, potoki łez płynęły po policzkach.

„Nasze dziecko w tym tygodniu”.

Michael dokładnie przeczytał książkę. Chciał wiedzieć jak najwięcej. On kocha to dziecko.

Wiedziała o tym przez cały czas, tylko nie dopuszczała do siebie tej myśli.

Michael kocha to dziecko równie gorąco jak ona.

Czy mogłaby je zabrać i wyjechać do Stanów, skoro wie, że Michael musi tu zostać?

Łkała coraz bardziej rozpaczliwie.

I co ona ma teraz poczuć? Co zrobić, by nikt nie ucierpiał? Ani ona, ani Michael, a przede wszystkim ich dziecko.

Musi się opanować. To tylko hormony. Dość hysterii. Czowała się zmęczona płaczem i niepewnością.

- *Cara mia*, co się stało? - nieoczekiwanie rozległ się głos Michaela.

- Dlaczego tak się skradasz? - prychnęła, pociągając nosem i ocierając oczy.

- Co się stało? - powtórzył.

- Nic. - Wsunęła książkę pod stertę papierów.

Zauważył to. Podeszedł i wyjął książkę.

- Znalazłaś ją.

- To nie fair.

- Nie miało być fair - rzekł miękko.

Cara wstała z fotela i wyszła na taras.

Michael poszedł za nią. Starła się nie zwracać uwagi na jego obecność. Zapatrzyła się na ogrodową fontannę. Szum spadającej wody uspokajał jej rozdygotane nerwy.

Czuła, że on jest tuż za nią. Nie dotykał jej, ale był bardzo blisko.

- Gdy się pobierzemy...

- Nie pobierzemy się.

Zignorował jej oświadczenie i mówił dalej:

- Wyobrażam sobie, jak wtedy będzie. Będziemy tu sobie siedzieć i opowiadać o wydarzeniach mijającego dnia. I rozmawiać o dzieciach.

- O dzieciach? - zdumiała się. - W liczbie mnogiej?

- No jasne. Będziemy mieć przynajmniej siedmioro - zapewnił z przekonaniem Michael.

- Ty chyba żartujesz!

- Dokładną liczbę możemy ustalić - rzekł, kładąc rękę na jej ramieniu. - Jaki masz pomysł? Więcej? Może dziesięcioro? Powinnaś mieć dużo dzieci. Będziesz wspaniałą mamą.

- Tego się nie wie z góry. Myślałam, że z jednym chyba jeszcze sobie poradzę.

- No to może trójka? To całkiem dobry kompromis. Tak, trójka będzie w sam raz.

- Trójka? - powtórzyła. - To nie będzie do pary.

Michael pokrzepiająco uściśnął jej dłoń.

- Na razie wystarczy nam jedno. No, chyba że będą bliźnięta. Chciałbym, żeby tak było. Oczywiście nie będziemy ubierać ich tak samo. Powinny mieć poczucie swej odrębności.

- Daj spokój - zachnęła się Cara. Już perspektywa jednego dziecka była przerażająca. Przecież nie miała zielonego pojęcia o wychowaniu dzieci.

Dla Michaela problem jakby w ogóle nie istniał. Mówił o tym, jakby to było coś absolutnie oczywistego.

- Czyli tu się zgadzamy. Jeśli będziemy mieć bliźnięta, to nadamy im różniące się od siebie imiona. Będziemy zachęcać, by każde rozwijało własne zainteresowania.

- Żadnych bliźniąt - oświadczyła kategorycznie Cara, modląc się w duchu, by jej słowa się spełniły.

Jeszcze nie zdążyła do końca oswoić się z myślą, że w ogóle będzie mieć dziecko.

- Robiono ci już USG? - zapytał Michael.

- Tak, przed wyjazdem ze Stanów, ale nie mówiono, by to mogła być ciąża mnoga. I, przyznam szczerze, wcale bym tego nie chciała.

Popatrzyła na rozciągający się przed nią starannie utrzymany ogród. Czy kiedyś jej dziecko będzie się tutaj bawić?

- No dobrze. - Michael stanął tuż obok. - Skoro nic ci nie powiedzieli, to trudno. Ale może już określili płęć?

- Było za wcześnie. A nawet gdyby wiedzieli, wołałabym niespodziankę. - Nie dotykał jej, ale całym ciałem czuła jego bliskość.

Dlaczego on tak na nią działa?

- W takim razie niech to będzie i dla mnie niespodzianka. - W jego tonie usłyszała nutkę rozczarowania.

- Ty chciałbyś wiedzieć? - Odwróciła się i od razu zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Jego niebieskie oczy wydały się jeszcze bardziej błękitne. Nie mogła im się oprzeć.

- Zdradzę ci pewien sekret - powiedział, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. Gdy się uśmiechał, w kącikach oczu robiły mu się urocze zmarszczki. - Co rok zakradałem się, by podpatrzeć prezenty, które przyniesie Mikołaj. Moja mama próbowała wszystkiego. Chowała je, zaklejała. Jednak zawsze znalazłem sposób, by się do nich dostać i nie zostawić śladów. Mama nie miała dowodów, że to zrobiłem, ale wiedziała. Matki wyczuwają takie rzeczy. Zawsze byłem niecierpliwy, nie mogłem się doczekać, ale teraz uzbroję się w cierpliwość, dla ciebie.

Cara uśmiechnęła się, słysząc to wyznanie.

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, Tommy na pewno ci powie. Tylko musisz obiecać, że się przede mną nie zdradzisz.

Michael potrząsnął głową.

- Nie, poczekam z tobą.

- Dziękuję. - Dopiero teraz zauważyła, że trzyma go za rękę. I było jej z tym dobrze.

- Wiesz co? - zagadnął. - Po raz pierwszy, gdy rozmawiamy o dziecku, nie przywołałaś profesora Stuarta.

Już chciała odpowiedzieć, ale Michael nie dał jej dojść do słowa.

- Nic nie mów - rzekł. - Wiem, że masz na podorędziu mnóstwo historyjek na jego temat, ale teraz pozwól mi wyobrazić sobie, że on nie istnieje. Że odszedł na zawsze.

Cara zaśmiała się cicho.

- No wiesz! Biedny profesor Stu. To wielka strata. Był taki młody i pełen życia...

- Nie mów nic. Nikt za nim nie będzie płakał. Doczekał smutnego końca. Powiedzieć ci, co z nim się stało?

Jego zaraźliwy śmiech sprawił, że i ona się roześmiała.

- Widzę, że sporo o nim myślałeś.

- Może trochę - przyznał.

Cara znów zachichotała.

- Lubię, jak się śmiejesz. Wczoraj tak się śmiałaś, gdy rozmawiałaś z moją mamą o kwiatkach na przyjęcie. Uwielbiam twój śmiech. Chciałbym go ciągle słyszeć. Codziennie. Chciałbym patrzeć, jak się uśmiechasz.

-Ja...

- Nic nie mów. Czujesz się lepiej i niech tak zostanie.

- Mam problemy z panowaniem nad emocjami - wyznała. - Wprawdzie cliche reklamy zawsze do mnie przemawiały, ale teraz od razu płaczę. Nawet gdy tylko o nich pomyślę.

- Wyczytałem, że to normalne. To przez hormony. Kobiety oczekujące dziecka przeżywają zmienne nastroje, niezależnie od okoliczności. Ty masz bardziej złożoną sytuację, wiele pytań i problemów do rozwiązania. Na przykład moją propozycję małżeństwa.

- Nie poddajesz się, co?

Przyciągnął ją do siebie.

- Jestem wytrwały i uparty. Można mi to dodać do nazwiska.

- Jakby jeszcze ci było za mało - przekomarzała się. - Wszyscy w waszej rodzinie mają tyle imion.

- Tak musi być. Trzeba uhonorować naszych przodków, by nikt nie poczuł się urażony. Właśnie, skoro o tym mówimy - podchwycił zrecznie - zastanawiałem się nad imieniem dla naszego dziecka. Może masz jakiś pomysł?

Jak tylko Cara dowiedziała się, że jest w ciąży, szukała odpowiedniego imienia.

- Myślałam o czymś tradycyjnym. Może Ruth?

Michael nic nie powiedział, lecz zmarszczył nos.

- Mary Margaret? Moglibyśmy nazywać ją Maggie.

Znowu się skrzywił.

- Taki z ciebie mądrała? No to co proponujesz?

- Persefona.

- Uff! - Cara głośno wypuściła powietrze i przewróciła oczami, by podkreślić swój niesmak. - Chcesz, żeby dzieci ciągle jej dokuczały? Persefona?

- Imię powinno nieść jakieś przesłanie. Moje odzwierciedla historię naszej rodziny. Powiem ci, *cara mia*...

- Cara - poprawiła go, choć już samo brzmienie tego pieśzcotliwego określenia budziło w niej lekki dreszczyk. Oczywiście nigdy mu tego nie powie, lecz to jego *cara mia* sprawiało jej wielką przyjemność.

Michael uśmiechnął się.

- *Cara mia*. Dla mnie to wiele znaczy.

Nie chciała ciągnąć tego tematu.

- Persefona? - powtórzyła.

- Znasz jej historię? - zapytał.

- To postać z mitologii, prawda?

Michael skinął głową.

- Była córką Demeter. Została porwana przez Hadesa, boga świata podziemi. Jej matka, bogini płodności, nie mogła się z tym pogodzić. Ziemia przestała rodzić, stała się jałowa. W końcu Zeus nakazał Hadesowi, by uwolnił Persefonę. Niestety, było za późno, bo Persefona zjadła w podziemiach pestkę granatu i już nie mogła opuścić ich

na stałe. Jedynie dwie trzecie roku mogła spędzać na ziemi ze swoją matką. Wtedy wszystko zaczynało kwitnąć, ziemia znowu rodziła. Potem Persefona wracała do podziemi, do świata zmarłych. Taki los czeka nasze dziecko. Będzie miotać się między nami, nigdzie nie będąc u siebie.

- Czy trochę nie przesadzasz? - zapytała cicho, choć dobrze wiedziała, że w tym stwierdzeniu jest sporo prawdy.

Gdy stąd wyjedzie, będzie cierpieć nie mniej niż mityczna Demeter.

- Nie - odparł ze smutkiem. - Ja będę między niebem a piekłem - rzekł. - Wyjdź za mnie, *cara mia*.

- Nie wyjdę za mąż dlatego, że muszę.

- Zależy mi, byśmy razem wychowywali nasze dziecko. Ty i ja. Pobierzmy się.

Gdyby to powiedział! Tylko te dwa słowa! Proszę, modliła się w duchu. Proszę, powiedz, że mnie kochasz!

Nagle spłynęło na nią olśnienie. Zrozumiała, dlaczego tak bardzo jej na tym zależy. Bo ona go kocha.

Może się z tym nie godzić. Może odrzucać to, co czuje. Przekonywać samą siebie, że to niemożliwe, że to za szybko. Jednak taka jest prawda. Kocha go.

Powiedz to, błagała w duchu. Wtedy i ona wyzna mu swoje uczucia. Niech tylko powie, że ją kocha. Że to nie małżeństwo z obowiązku.

Nie ukrywał, że mu się podoba. Wciąż wspominał ich wspólną noc. Jednak to za mało. Chce stworzyć rodzinę, wspólnie wychowywać dziecko. Jednak i to nie wystarczy.

Nie powiedział tych słów.

- Muszę to przemyśleć - wyszeptała Cara.

Przesunął dłonią po jej zaokrąglonym brzuchu.

- Nie zostało już dużo czasu. I stawka jest wysoka.
- Tak - powtórzyła smutno.

Stawką jest jej serce. A wystarczyłyby te dwa krótkie słowa, by je ocalić.

- Zjemy razem kolację? Tylko we dwoje. Niedługo pojawiają się pierwsi weselni goście i nie będziemy mieć czasu dla siebie. - Urwał na chwilę. - Nie będziemy poruszać poważnych tematów, obiecuję. Pogadamy sobie niezobowiązująco. Jakbym zaprosił cię na randkę.

- Dobrze - przystała. Może ten wspólny wieczór otwori mu oczy? Może zrozumie, że łączy ich coś więcej niż dziecko... Że to miłość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stale brzmiały mu w uszach słowa Cary.

Powiedziała, że nie wyjdzie za męża dlatego, że musi.

To stanowcze stwierdzenie powracało do niego bezustannie, niepokojąc i raniąc. Musi dać jej czas, poczekać. Niech jeszcze raz przemyśli sobie jego propozycję.

Nie wyjdzie za męża, tylko dlatego, że musi.

Nie kocha go. Nie czuje tego, co on czuje do niej.

Małżeństwo byłoby dla niej poświęceniem, przykrą koniecznością. Zrobiłaby to wbrew sobie. A on marzył o takim uczuciu, jakie stało się udziałem jego rodziców, jakie spotkało Parker.

Marzył o związku opartym na miłości.

Może wszystko dzieje się za szybko, może Cara potrzebuje więcej czasu, by go pokochać.

Dzisiaj postara się ją przekonać, że mają szansę, że między nimi naprawdę iskrzy.

Podoba się jej. Wie o tym. A to już coś, jakiś punkt wyjścia. Wystarczy, by coś się z tego rozwinęło.

I on zrobi wszystko, by tak się stało.

Kroił oliwki, z trudem zmuszając się do skupienia na gotowaniu. Zwykle lubił pitrasić. Czuł się wtedy swobodnie, zapominał o swej pozycji i zobowiązaniach. Jednak

dzisiaj nie był w stanie się skoncentrować. Zbyt wiele myśli kłębiło się w jego głowie.

Dlaczego tak jest? Dlaczego wszystko idzie jak z kamienia? Dlaczego?

Sięgnął po pomidory i zaczął kroić je na cząstki.

Miejsce Cary jest tutaj, w Eliason, przy nim. Dlaczego ona nie chce tego zobaczyć, dlaczego tak się opiera?

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Michael wytarł ręce i przeszedł przez salon, by otworzyć.

- Cześć - odezwała się nieśmiało Cara.

Odetchnął lżej. Ściśnięty żołądek zaczął się uspokajać.

Cara miała na sobie spodnie i zieloną koszulkę polo. W kolorze swoich oczu.

- Cześć. - Otworzył drzwi szerzej i wpuścił ją do środka.

- Cieszę się, że przyszedłaś.

- Nigdy nie byłam w tej części zamku.

- To moje prywatne apartamenty. Mam dom na południe od miasta, ale z różnych względów bardzo często muszę być tu, na miejscu, dlatego urządziłem sobie niekrepujące lokum. Po trzydziestce raczej mało kto mieszka z rodzicami, ale w moim przypadku liczy się też bezpieczeństwo. Poszedłem więc na kompromis. Mam swoje skrzydło.

- Bardzo tu ładnie.

Michael spróbował popatrzeć na salon jej oczami. Skórzane meble, ciemnoczerwone ściany, wielka biblioteka. Wygodnie, a jednocześnie bez przepychu.

- Lubię książki - powiedziała.

Michael roześmiał się.

- Jakoś wcale mnie to nie dziwi.

Poprowadził ją do kuchni.

- Cieszę się, że przyjąłeś moje zaproszenie. - Nie chciał, by zabrzmiało to tak oficjalnie, choć z drugiej strony trochę dystansu było mu na rękę. Łatwiej mu będzie się powstrzymać, by jej choć nie musnąć.

Korciło go, by przyciągnąć ją do siebie, przytulić mocno i trzymać w objęciach tak długo, póki nie zgodzi się zostać z nim na zawsze. Ale zbyt dobrze zdążył już ją poznać. Sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej, w rzeczywistości zaś miała swoje zdanie i umiała go bronić.

- Usiądź. Już kończę.

- Sam gotujesz? - zapytała.

Roześmiał się.

- A co, obleciał cię strach?

Pokręciła głową, po czym usiadła na wysokim stołku po drugiej stronie kuchennego blatu.

- Nie. Domyślam się, że skoro gotujesz, robisz to znakomicie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo nie zadowolasz się połowicznymi sukcesami. Umiesz dążyć do celu. Poznawałeś tajniki gotowania do tąd, dokąd nie osiągnąłeś satysfakcjonującego rezultatu. Zgadłam?

- Umieć dążyć do celu? To chyba komplement.

- Albo subtelny sposób powiedzenia ci, że jesteś uparciuchem.

Wcale nie poczuł się urażony. Roześmiał się.

- Nie będę zaprzeczał. A teraz zależy mi...

Nie dała mu skończyć.

- Masz piękny widok. - Wyjrzała przez okno.

- Widzisz tę drogę? - Michael spokojnie przyjął zmia-

nę tematu. Nie będzie poruszać trudnych problemów. Dziś chce nacieszyć się jej towarzystwem.

Cara popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Dawno temu przejeżdżał tędy mój pradziad. Wtedy to była wąska, polna dróżka. Pradziadek ujrzał wzgórze, zatrzymał się i powiedział do swoich towarzyszy, że tu wybuduje swój dom. I tak się stało. To u nas rodzinne. Gdy postanawiamy coś zrobić, robimy to. Zamek jest od pokoleń naszą rodzinną siedzibą.

- Jest piękny.

- Tak, a z wieży widać każdy, nawet najodleglejszy zakątek państwa.

- Naprawdę? - zapytała Cara.

- Eliason jest niewielkim krajem, mniejszym od wielu stanów w twojej ojczyźnie. Ale dla mnie to nie ma znaczenia.

- Masz powody do dumy. Tu jest tak pięknie. Miasto jest prześliczne. I tyle w nim kontrastów, historia i nowoczesność.

- Mnie też to zawsze zachwyca. Razem z ojcem chcemy to wykorzystać, przyciągnąć przemysł, zwłaszcza komputerowy. Marzymy, by Eliason stało się europejską Doliną Krzemową. Jednocześnie bazujemy na naszej historii, na niej chcemy oprzeć turystykę...

Cara z przyjemnością przysłuchiwała się jego planom. Było w nim tyle pasji, tyle autentycznego zaangażowania.

Miał pełną świadomość wyzwań, jakie przed niewielkim państwem stawia dzisiejsza rzeczywistość. Gdy kiedyś przejmie po ojcu władzę, wprowadzi swoje słowa w czyn. Czy ona umiałaby się odnaleźć w roli jego towarzyszki?

Michael podał sałatę, potem pyszny makaron, a do tego pieczywo czosnkowe. Popijali musujący sok winogronowy.

Jedząc, rozmawiali swobodnie.

- Nie zanudzam cię? - zapytał w pewnej chwili.

Za każdym razem, gdy ich spojrzenia się spotykały, natychmiast czuła łączącą ich więź.

- Caro? - powtórzył.

- Nie, skądże. Bardzo ciekawie mówisz, z wielkim przejęciem.

Mogłaby w nieskończoność słuchać jego głosu. Uwielbiała jego brzmienie, jego melodię.

Michael poprowadził ją na balkon. Spodziewała się, że ją obejmie, jednak on trzymał się na dystans. Był blisko, ale nie nazbyt. Cara poczuła ukłucie zawodu.

Popatrzyła na drogę, która kiedyś przywiodła tu jego przodka. Droga do zamku. A nawet więcej - droga do domu.

Wzięła głęboki oddech, rozkoszując się czystym wieczornym powietrzem. W tym powietrzu unosił się też... jego zapach. Ciepły i...

Zapraszający.

Dlaczego jej myśli wciąż biegną ku niemu?

- ..ludzie nalegali... - Michael ciągnął swoją opowieść.

Nalegali.

Ona też nalegała, by dał jej spokój. By przestał namawiać ją do małżeństwa. Ale on nie usłuchał.

No właśnie, podczas dzisiejszego spotkania ani razu nie ponowił swej propozycji.

Powinna wyznać mu swoje uczucia. Tylko co się stanie, jeśli on powie, że ich nie podziela? Podoba mu się, lubi ją,

owszem, ale nic ponadto. Chce się z nią ożenić z poczucia obowiązku. Przecież wtedy serce jej pęknie.

- Wiesz, nigdy wcześniej nikogo tutaj nie zaprosiłem - rzekł. - To jest mój azyl, moja kryjówka. Tu uciekam przed światem, obowiązkami, przed dworskim ceremoniałem.

Zmieszana Cara odpowiedziała cichutko:

- Dziękuję, że mi to pokazałeś.

- Caro, jest tyle rzeczy, które chcę ci pokazać, które chcę z tobą dzielić, tylko musisz mi na to pozwolić.

Och, jakże chętnie powiedziałyby teraz: tak. Co z tego, że znają się tak krótko? Z każdym dniem poznawała go coraz lepiej, codziennie dowiadywała się o nim czegoś więcej. I to on będzie ojcem jej dziecka.

Michael jest silny i wytrwały. Gdy raz wytknie sobie cel, zmierza do niego i nic nie jest w stanie go zatrzymać. Gdy kocha, kocha całym sercem. Już pokochał ich dziecko. Nic dziwnego, że chciałby je zatrzymać w swojej ojczyźnie. Dlatego gotów jest nawet ożenić się z nią.

A to oznacza małżeństwo bez miłości. Dla dobra dziecka. Ale co się stanie, jeśli ich związek nie wytrzyma takiej próby?

Fizyczna fascynacja i wspólne dziecko to za mało, by na tym budować. W każdym razie nie na dłuższą metę.

Cara nie takiego życia pragnęła.

Naraz doznała olśnienia. Znalazła rozwiązanie.

- Wiesz, chyba mam pomysł na rozwiązanie naszego problemu - powiedziała, gorączkowo zbierając myśli.

- Jaki? - zapytał Michael. - Zgodzisz się za mnie wyjść?

- Nie. To nie mogłoby się udać, nie na dłuższą metę, a poza tym ja naprawdę chcę wyjść za mąż z miłości. Skoro jednak w naszym przypadku taka ewentualność nie wcho-

dzi w grę... - urwała na chwilę, łudząc się, że Michael za-
protestuje.

Ale on milczał. A tak czekała na te dwa słowa!

- Więc skoro tak nie jest - ciągnęła - przeprowadzę się do
Eliason. Przyda się tu jeszcze jedna księgarnia. A ty będziesz
mógł widywać się z dzieckiem, kiedy tylko zapragniesz.

- To jest ten twój pomysł?

Michael wcale nie wydawał się zadowolony.

- Tak. To doskonałe rozwiązanie. Shey będzie mieszkać
w pobliżu, a i Parker będzie wpadać od czasu do czasu. Nie
stracę kontaktu z przyjaciółkami, a ty z dzieckiem. To do-
skonale rozwiązanie.

- Doskonałe rozwiązanie? - Michael nie krył niesmaku.

- Michael, wydawało mi się, że chcesz być blisko dziecka,
a to wybawi cię od małżeństwa bez miłości. No i dziecko
będzie blisko ciebie.

-Ja... - Michael nagle urwał, po czym powiedział
oschle: - Myślę, że pora się pożegnać.

Dlaczego był zły? Co go tak rozgniewało?

- Porozmawiajmy jeszcze...

- Nie teraz. Muszę mieć trochę czasu, by rozważyć two-
ją propozycję.

Odprowadził ją do wyjścia.

- Dziękuję za wspólną kolację - rzekł oficjalnie.

- Michael... - zaczęła niepewnie Cara.

- Dobranoc - uciał krótko.

Cara wyszła, ale on ciągle słyszał jej słowa.

Zwykle zdecydowany, przy niej tracił ostrość widzenia,
drczyły go wątpliwości.

Musi zasięgnąć rady.

Potrzebował kogoś, kto będzie mieć jasny ogląd sytuacji i nie zawaha się powiedzieć wprost, co myśli. Były tylko dwie osoby, do których mógł teraz się zwrócić i o których wiedział, że nigdy go nie zawiodą. Księżę i księżna. Nie tylko dlatego, że to jego rodzice. Również dlatego, że to, co wydarzy się z Cara, będzie przekładać się na losy monarchii.

Była już późna pora, jednak Michael nie wahał się. Poszedł prosto do apartamentów rodziców i zapukał do drzwi.

- Proszę! - rozległ się głos ojca.

- Michael! - zdziwiła się matka, widząc wchodzącego syna. Była w stroju domowym: dresowych spodniach i sportowej bluzie. Sądząc po napisie, był to prezent od Parker.

Matka uściśnęła syna serdecznie, a ojciec popatrzył na niego badawczo.

- Dawno nie przychodziłeś do nas o tak późnej porze - zauważył. - Ostatnio gdy byłeś nastolatkiem.

Matka pociągnęła syna na kanapę i usiadła obok niego.

- Tak się cieszę, że do nas przyszedłeś. Jak kiedyś. Mów, co się stało? Od tygodni jesteś jakiś nieswój.

- No więc... - Michael nie wiedział, od czego zacząć. Zwłaszcza że sprawa była nadzwyczaj delikatnej natury. - Chodzi o Carę. I o mnie. Ja...

- Bardzo ją polubiłam - z przekonaniem powiedziała matka. - To wspaniała dziewczyna. Bylibyśmy bardzo zadowoleni, jeśli zaczęłbyś się z nią spotykać.

- Chodzi o coś więcej. Poznaliśmy się już wcześniej, jeszcze przed jej przyjazdem do Eliason. Kiedy byłem w Stanach i pojechałem do Parker.

- Mów śmiało - zachęcił go ojciec.

- Stało się dokładnie tak, jak kiedyś było z wami. Nigdy nie sądziłem, że mogę zakochać się w kimś od pierwszego spojrzenia. - Michael wiedział, że nie wolno mu poprzestać na tym wyznaniu. - Cara jest w ciąży, ze mną. Zdaję sobie sprawę, jaki skandal...

Matka uciszyła go machnięciem ręki.

- Daj spokój, na to przyjdzie czas. Powiedz teraz, jaki jest twój stosunek do Cary. I do dziecka.

- Kocham ją i jestem szczęśliwy, że zostanę ojcem... z wyjątkiem chwil, kiedy strasznie się tego boję. Co będzie, jeśli się nie sprawdzę? Jeśli nie uda mi się być takim rodzicem jak wy? Parker i ja zawsze mieliśmy świadomość, że jesteśmy dla was najważniejsi. Staliście na czele państwa, ale przede wszystkim byliście rodzicami. A jeśli ja tego nie potrafię?

- Kochasz Carę, więc pokochasz dziecko i wypracujesz swój sposób na życie, bo wiesz, co jest najważniejsze - rzeczowo powiedział ksiądz. - Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- No to kiedy ślub? - zapytała matka. Naraz uśmiechnęła się promiennie i wykrzyknęła: - Och, będę babcią! - W jej oczach błysnęły łzy szczęścia. - Michael, od razu cię uprzedzam, że strasznie rozpuszczę twoją pociechę! Już to widzę! Ile nakupię prezentów!

Michael patrzył na rozpromienioną matkę. Już czuła się babcią!

- No to jakie są wasze plany? - zapytał ojciec.

- Prosiłem Carę, by za mnie wyszła... wiele razy. Ale ona nie chce. Nie chce wychodzić za mąż z poczucia obowiązku. - Poczł ukłucie bólu. - Choć dziś wieczorem za-

proponowała, że przeprowadzi się do Eliason, bym mógł być blisko dziecka.

- Och, to przekleństwo naszej rodziny. - Ojciec pokręcił głową. - Mężczyznom z naszego rodu nic nie przychodzi łatwo i bez problemów. Zanim przekonałem twoją mamę, by za mnie wyszła...

- Nie słuchaj go. Zgodziłam się od razu.

- Za dwudziestym razem. Liczyłem.

- Pierwsze dziewiętnaście się nie liczyło. To nie były poważne propozycje. Dopiero za dwudziestym razem to się zmieniło. Przemyślałeś sobie wszystko i doszedłeś do wniosku, że Eliason zaakceptuje Amerykankę w roli księżnej.

- Myślicie, że mam jakąś szansę? Że Cara się zgodzi?

Matka pocałowała go w policzek.

- Byłaby bardzo nierozsądna, gdyby tego nie zrobiła.

Och, powinien wcześniej przyjść do nich i wszystko opowiedzieć. Rodzice są po jego stronie i to dodało mu sił. Dopiero teraz zrozumiał, jak ważne było dla niego ich wsparcie.

- Poczekaj - powiedziała matka. Wstała i poszła do sypialni. Po chwili wróciła, niosąc malutkie pudełeczko. - Dostałam to od twojego dziadka. To pierścionek zaręczynowy babci. Jeśli chcesz, weź go dla Cary.

Michael otworzył pudełeczko i popatrzył na brylant otoczony wianuszkiem topazów.

- Jest piękny.

Książę Paul milczał, lecz wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Był poruszony gestem żony.

Odwrócił się do syna.

- Nie popędzaj Cary. To u nas rodzinne, zakochujemy się natychmiast i na zawsze, ale może ona potrzebuje wię-

cej czasu. Ponawiaj swoją propozycję, choćby i dwadzieścia razy. Dla ciebie będzie to trwało wieczność, ale jeśli ją kochasz...

- Kocham ją - zapewnił Michael.

- W takim razie warto poczekać.

- Daj jej trochę ochłonać - dodała matka. - Już sam fakt, że jest w ciąży, wytrącił ją z równowagi. Musi się z tym oswoić. Kochaj ją i wspieraj. Nie ponaglaj jej, ale staraj się ją przekonać, że chodzi ci o nią samą. Że pragniesz jej jako kobiety, a nie jedynie jako matki swojego dziecka.

- Oczywiście, że chodzi mi o nią.

- Powiedz jej to, nie raz. Ale bądź cierpliwy.

- Mam dać jej wolną rękę? - wymamrotał.

- Właśnie. - Księżna uśmiechnęła się. - No to kiedy mam się spodziewać pierwszego wnuczątka? Muszę przygotować tyle rzeczy!

Michael pokrótce wprowadził rodziców w szczegóły. Rozmowa z nimi dobrze mu zrobiła, jednak przez cały czas zastanawiał się, jak zdoła trzymać się z daleka od Cary, skoro marzy tylko o tym, by być jak najbliżej niej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Unika jej.

Taki wniosek sam się nasuwał.

Ostatnio Michael schodził jej z drogi, nie było go nigdzie, gdzie się pojawiała. Jeśli niechący gdzieś na siebie wpadali, od razu ruszał w przeciwną stronę.

Jakby zależało mu na zachowaniu dystansu.

Nie przysyłał kwiatów. Nie proponował małżeństwa.

Jeszcze niedawno to ona skradała się bocznymi korytarzami, by uniknąć spotkania z księciem, teraz sytuacja się odwróciła. Cara specjalnie chodziła głównymi szlakami, w nadziei, że może go ujrzy.

Jeśli gdzieś byli razem, Michael uśmiechał się oficjalnie i uprzejmie pytał o zdrowie. I na tym ich kontakty się kończyły.

To było ponad jej siły.

Brakowało jej go. Jego uśmiechu, leciutkich skinieć głową, jego bliskości, jego rąk błędzących po jej zaokrąglonym brzuchu, żartów, pogodnych przekomarzań, pocałunków.

Czuła w sobie jakąś dziwną, ogromną pustkę.

A wszystko po tym, jak powiedziała, że przeniesie się do Eliason. Zrobiła to bez namysłu, pod wpływem chwili. Tak samo było wtedy, gdy go poznała. Musi to sobie zapa-

miętać... już nigdy więcej nie działać bez zastanowienia. Trzeba postępować racjonalnie i wszystko dobrze sobie wcześniej przemyśleć. Każdą rzecz dokładnie rozważyć, zbadać wszystkie za i przeciw.

- Cara? - głos Shey wyrwał ją z rozmyślań. Shey przyjechała wczoraj wieczorem i dzisiaj przez cały dzień Cara i Parker wprowadzały przyjaciółkę w przyjęte ustalenia.

- On znowu na ciebie patrzy - powiedziała Parker.

Cara odwróciła się. Po drugiej stronie sali stali Tanner, Jace i Michael. Michael robił wrażenie przygnębionego.

Cara westchnęła.

- O co chodzi? - zapytała Parker. - Jakies problemy?

- Ależ skąd - odparła Cara, udając, że nie rozumie aluzji.

- Nie ma żadnych problemów. Ślub tuż, tuż, ale wszystko jest pod kontrolą. Shey, popatrz na to...

Podsunęła przyjaciółce plan rozmieszczenia gości przy stole. Pracowała nad tym przez wiele dni.

- Najwyraźniej masz jakiś problem - rzekła Shey.

- Żadnego. Wszystko jest przemyślane. Każdy gość ma dokładnie przypisane miejsce, zapewnione odpowiednie towarzystwo...

Shey odłożyła plan na bok. Nie obchodziło jej, jak usiądą goście.

- Parker powiedziała, że pogadamy.

- Tak, ale później. - Dużo później, jeśli to tylko będzie możliwe.

- Nie lubię nie wiedzieć, co się dzieje - mruknęła Shey.

- We wszystko cię wprowadzę, jak tylko wszyscy już się zjadą i zostaną rozlokowani po pokojach - obiecała Cara.

Pierwsza grupa gości powinna pojawić się lada moment.

Cara liczyła, że zamieszanie związane z ich przyjazdem da jej trochę czasu.

Może do tej pory dowie się, co stało się Michaelowi.

Nagle do sali wszedł nieznajomy mężczyzna.

- Przybyli goście, Wasza Wysokość - rzekł do Michaela.

Ogarnęło ją podniecenie. W tej pierwszej grupie powinna być Pearly.

Przesunęła wzrokiem po zebranych. Ambasador stał obok Michaela.

- Nie mogę się doczekać - szepnęła Parker. - Jak myślicie, co zrobią, kiedy się zobaczą?

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do środka weszła spora grupa gości. Rozległy się okrzyki powitalne i wesołe śmiechy.

Libby, Josh i ich dzieci, Meg i J.T.Joe, Louisa i ich dzieci, Aaron i Ella. Mac, Mia i ich córki, Katie i Merry, Sarah i Donovan, którym na Boże Narodzenie urodzi się pierwsze dziecko.

Cara poczuła nagłą więź z Sarah.

Jakże chętnie pogadałaby z nią o dzieciach! Ale na razie nic z tego, musi poczekać. Dopiero po ślubie przyjaciół! Wtedy wszystkim powie. Zresztą nie ma wyjścia, bo ciąża staje się coraz bardziej widoczna. Jeszcze trochę i wszyscy się domyśla.

Jace serdecznie uściśnął siostrę i jej bliźnięta, Amandę i Bobby'ego. Uwadze Cary nie uszło, że Peter, ochroniarz Tannera, nie odstępował Shelly na krok. Gdy tylko Jace ją puścił, Peter zaborczym gestem otoczył dziewczynę ramieniem. Widać było, że między nimi coś jest. Cara nie posiadała się z radości.

Weszła Mabel z Elmerem, a za nimi Josie i Hoffman.

W końcu w drzwiach pojawiła się Pearly Gates z wielką fioletową torbą.

Cara wstrzymała oddech. Trzy przyjaciółki ścisnęły się za ręce i przysunęły się do ambasadora.

Rozpoznał ją.

- Pearly? - wyszeptał. - Pearly Gates? - powtórzył.

Pearly odwróciła się i pobladła. Uśmiech, który już zakwitał na jej twarzy, gwałtownie zgasł.

- Ty! - to było wszystko, co powiedziała.

Ani śladu radości czy zdumienia, jedynie gniew.

- Pearly! - Ambasador nadal był w szoku. - Przyjechałaś do Eliason?!

Pochylił się, jakby chciał ją objąć, ale Pearly odepchnęła go gwałtownie.

- Busterze McClinnon, ty paskudny, wredny łobuzie!

W Carze zamarło serce. W życiu by nie pomyślała, że spotkanie po latach może wyglądać w ten sposób.

- Pearly? - Ambasador był w kropce.

- Przestań tak do mnie mówić! - rzuciła ostro Pearly. - Nie zbliżaj się do mnie, ty łotrze!

Szybkim krokiem wyszła z sali.

Cara bezradnie popatrzyła na Parker, ale przyjaciółkę już obstąpili goście. Shey wycofała się na bezpieczną odległość. Nie radziła sobie w takich sytuacjach i unikała ich. Cara niepewnie popatrzyła na ambasadora. Z pewnością jest załamany.

- Nic się nie zmieniła - rzekł z uśmiechem. - Ani trochę.

- W jego głosie zabrzmiała prawdziwa duma.

- To moja wina - zaczęła Cara. - Gdy usłyszałam two-

ją opowieść, od razu skojarzyłam, że chodzi o naszą Pearly. W końcu ile osób nosi takie imię?

- Jest tylko jedna taka! - odparł ze śmiechem ambasador.

Cara odetchnęła lżej. Nie jest tak źle, jak myślała.

- No właśnie - ciągnęła. - Chciałam wam zrobić niespodziankę. Myślałam, że to będzie dla was przyjemne zaskoczenie, że...

Ambasador nie pozwolił jej dokończyć. Objął ją serdecznie.

- Odnalazłaś moją Pearly! Opowiedz mi o niej. Jak ją poznałaś, co ona robi...

Cara zaczęła opowiadać. Reszta gości przyłączyła się do nich. Rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona.

Po pewnym czasie Cara wycofała się dyskretnie. Szybko odnalazła Pearly. Starsza pani była wzburzona.

- Wiedziałaś, prawda? - Popatrzyła na nią oskarżycielsko. Miała łzy w oczach. - Jak mogłaś?

- Myślałyśmy, że się ucieszysz. Naprawdę nie sądziłyśmy, że zrobimy ci przykrość. To miała być niespodzianka. Przyjemna niespodzianka - dodała.

Pearly westchnęła i otarła oczy.

- Może tak i było. Ale się wygłupiłam...

- Nie mów tak - pocieszała ją Cara. - Byłaś zaskoczona.

- To prawda.

- Wspominałaś nam o nim, więc pomyślałyśmy... - Cara urwała, nie wiedząc, co powiedzieć.

Pearly wzięła ją za rękę.

- Miałyście rację. Po prostu jestem starą, głupią kobietą.

- Nieprawda. Jesteś mądra i... - Cara szukała odpowiedniego słowa. - I doświadczona.

- Ładnie to ujęłaś - zaśmiała się Pearly.

- Może pogadamy? Jeśli chcesz.

Przysiadły na kanapie.

- To było bez sensu. Buster skończył college i przyjechał do domu na wakacje. W sierpniu zaprosił mnie na kolację. Nie do zwykłego baru, gdzie często chodziliśmy, a do eleganckiej restauracji. Pomyślałam sobie, że to coś znaczy, że tyle razy rozmawialiśmy o...

- Myślałaś, że ci się oświadczy?

- Tak - westchnęła Pearly. - Ale tak się nie stało. Powiedział, że wraca na studia magisterskie. Spodziewał się, że będę świętować z nim ten wyjazd. To było ponad moją wytrzymałość. Pokłóciliśmy się. On wyjechał. Zobaczyłam go jakiś rok później. Przyszedł z dziewczyną. I... no sama widzisz. On jest ambasadorem, a ja zwyczajną fryzjerką.

- Pearly, jak możesz? Nie jesteś zwyczajna, jesteś kimś wyjątkowym. Dla nas wszystkich. Nie ma osoby, której nie okazałaś serca, dla której czegoś nie zrobiłaś.

- Chcesz powiedzieć, że jestem wścibską babą? - Pearly uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie, chcę powiedzieć, że wszyscy cię kochamy. Byliśmy pewne, że spotkanie z ambasadorem cię ucieszy.

Cara serdecznie objęła Pearly.

- Może tak jest. Po prostu nie spodziewałam się go zobaczyć. Dlatego tak zareagowałam. - Pearly powoli zaczynała się uspokajać. - Wracajmy - rzekła. - Nie jestem z tych, co chowają głowę w piasek.

Ruszyły z powrotem do gości.

- Tylko nie myśl, że niczego nie zauważyłam. - Pearly znacząco popatrzyła na Czarę. - Zmieniłaś się.

- Słucham? - Cara w popłochu popatrzyła po sobie. Cięża nie była jeszcze widoczna.

Pearly przyglądała się jej badawczo.

- Coś jest, ale nie wiem co. Czymś się martwisz. - Pearly poklepała ją po ramieniu. - Myślałaś, że mnie zagadasz, że nic nie zauważę? Czymś się gryziesz. No, mów!

- A jeśli poproszę, byśmy to zostawiły?

- Nic z tego. W normalnych okolicznościach byś mi się nie wywinęła. Wyjątkowo dam ci trochę czasu.

Cara odetchnęła z ulgą.

- Do wieczora. Wtedy mam nadzieję coś od ciebie usłyszeć. - Pearly popatrzyła wymownie. - No to chodźmy do Bustera. Ciekawe, co się z nim działo przez te lata.

- Co łączyło ambasadora z twoją znajomą?

Michael spotkał się z Carą po kolacji. Martwił się o nią. Była wytracona z równowagi, ledwie tknęła jedzenie. Zastanawiał się, czy nie powinien wezwać lekarza.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, nim zdążyła odpowiedzieć na poprzednie pytanie.

- Tak. A co do Pearly... nie spodziewała się zobaczyć tu ambasadora. Choć gdy się znali, on nie był jeszcze ambasadorem, a po prostu Busterem.

-I dlatego wybiegła z płaczem? Zawsze tak reaguje?

Cara wzruszyła ramionami.

- Kobiety! Nie potrafię ich pojąć. Ambasador też był zaskoczony, a jednak nie zaczął szlochać.

- Wiadomo, mężczyźni umieją ukrywać swoje uczucia. To takie męskie. Dlatego my, kobiety, tak ich za to kochamy - powiedziała z sarkazmem Cara.

Jego słodka Cara od czasu do czasu przybierała zjadliwy ton. Czasami to mu się nawet podobało, ale nie teraz.

Ostatnie dni były jednym koszmarem. Zgodnie z radą rodziców, schodził Carze z drogi, unikał jej, jednak to nie poprawiło ich wzajemnych stosunków. Przeciwnie, miał wrażenie, że jeszcze bardziej ją denerwuje. A przecież nie o to mu chodziło.

- Chyba powinniśmy pomówić - rzekł. - Na osobności.

- Znowu? - zapytała z przekąsem. - Po tym, jak przestałeś się do mnie odzywać i nadaśałeś się, bo nie przyjąłem twojej propozycji, myślałam...

- Wcale się nie nadaśalem - zaprotestował.

- No pewnie! Nadaśeś się jak chłopczyk, który nie postawił na swoim. Powiedziałam, że nie wyjdę za ciebie, bo nie wyjdę za mąż tylko dlatego, że muszę i tak wypada. Nadaśałeś się.

-Ja...

Nie dopuściła go do głosu.

-I zamiast okazać wdzięczność, że jestem gotowa zostawić moje dotychczasowe życie, dom, znajomych i zamieszkać tutaj, by umożliwić ci częste kontakty z dzieckiem, przestałeś się do mnie odzywać.

- Dałem ci czas, nie chciałem nalegać. Jednak już pora, byśmy wreszcie coś ustalili.

- Och, książę wydał rozkaz i jego poddana musi potulnie usłuchać, bo inaczej...

Michael był cierpliwy, ale jego cierpliwość też miała granice. Uciszył Carę w najskuteczniejszy sposób.

Pocałował ją.

Jego pocałunek budził zmysły i oszałamiał.

Czy ona nie czuje, jak bardzo jej pragnie? Doceniał jej

gest, jej gotowość zamieszkania w Eliason, by mógł spotykać się z dzieckiem, ale chodziło mu o coś więcej.

Czy ona nie czuje, że muszą się pobrać, być razem? Że są dla siebie stworzeni? Może ten pocałunek jej to uświadomi.

Cara wydała cichy okrzyk i zarzuciła mu rękę na szyję.

Michael cofnął się odrobinę i szepnął:

- Tak może być, *cara mia*. Tylko się zgódź.

- Ja...

- No pięknie! - rozległ się czyjś głos.

Cara wyrwała się z objęć Michaela i oblała się krwistym rumieńcem.

- Shey, właśnie miałam do ciebie iść.

- Coś mi się wydaje, że musiałabym bardzo długo czekać - odparła z uśmiechem Shey.

Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę do księcia.

- Zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, jednak w tych okolicznościach powinniśmy poznać się lepiej. Jestem Shey, przyjaciółka i współpracowniczka Parker i Cary. Twoja siostra wspominała nam o tobie i twoich pannach. Dlatego chcę cię ostrzec, że jeśli skrzywdzisz Carę, będziesz mieć ze mną do czynienia.

- Shey - powstrzymała ją Cara. - Takie teksty już sobie daruj. Przyszłej księżnej nie wypada tak mówić.

- Wiem. Staram się, ale to nie jest łatwe.

Cara wzięła Michaela za rękę, czym bardzo go zaskoczyła.

- Shey, wiem, co robię - powiedziała. - Jestem dorosła. Ty i Parker chcecie dla mnie jak najlepiej i wiele mnie nauczyłyście. Jestem zgodna i cicha...

Michael nie mógł pohamować śmiechu.

- Zgodna i cicha? Swoim uporem przebiłaś nawet moją siostrę. Strasznie trudno się z tobą dogadać.

- Naprawdę? - zdumiała się Shey.

Shey, mimo gróźb rzuconych pod jego adresem, przypadła Michaelowi do gustu. Uśmiechnął się do niej.

- Jest uparta i zjadliwa.

- Pięknie! - Shey promieniała jak matka, której dziecko właśnie dostało nagrodę.

- Dzięki za ostrzeżenie, Shey - rzekł Michael. - Choć to Carę powinnaś ostrzec, by nie igrała z moim sercem.

Shey popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Prosiłem, by za mnie wyszła. Na pewno ci mówiła.

- Ależ skąd! Pierwsze słyszę! - Shey przeniosła na przyjaciółkę surowe spojrzenie.

- Prosiłem ją wielokrotnie. Za każdym razem odmawiała. To ona się mną bawi. Łamie mi serce.

Cara jęknęła cicho, a Michael uśmiechnął się.

- No to chyba teraz zostawię was same. Caro, spotkajmy się później. Dokończymy rozmowę.

Uprzejmie skinął głową i ruszył korytarzem, pogwizdując pod nosem.

Cara odprowadzała go wzrokiem. Nie mogła przestać, to było silniejsze od niej.

Okropny, nadęty donosiciel.

Shey chrząknęła znacząco.

- Cara, jestem tu! - przywołała przyjaciółkę do porządku. - Może przestaniesz się na niego gapić i powiesz, o co tu chodzi? Co tak utrudniasz, że księżę nie może dojść z tobą do ładu?

- Niczego nie utrudniam. Jest obrażony, bo nie chcę za niego wyjść.

- To słyszałam. Powiedział, że prosił cię wielokrotnie.

- Owszem. Ale może wolałabyś porozmawiać o twoim ślubie? O torcie weselnym, kwiatach...

- Daj spokój! Co mi tam tort czy kwiaty! Chcę wiedzieć, dlaczego ktoś, kogo znasz od paru tygodni, tak usilnie prosi cię o rękę? I czemu odmawiasz, skoro jesteś w niego wpatrzona?

- To nie jest sprawa paru tygodni. Poznaliśmy się jeszcze w Erie. Michael przyjechał, by namówić Parker do powrotu i wtedy przez przypadek wpadliśmy na siebie.

Shey popatrzyła na przyjaciółkę zwięzonymi oczami.

- Wpadliście na siebie i...?

- Jestem w ciąży.

- No to nieźle na siebie wpadliście! - Shey usiadła w fotelu. - Opowiadaj mi teraz wszystko po kolei.

- W sumie nie ma o czym. Zaszło nieporozumienie, rozeszliśmy się. Po jakimś czasie zorientowałam się, że jestem w ciąży. Zamierzałam powiedzieć wam o tym po waszym ślubie. Przyjechałam do Eliason i spotkałam Michaela. Wtedy dowiedziałam się, że ojcem mojego dziecka jest książę. Zemdlałam z wrażenia.

- Słyszałam od Parker, że zemdlałaś na lotnisku.

- Nic mi nie jest. Tommy powiedział...

- Zaraz, jaki Tommy? Chyba się starzeję albo za bardzo przejmuję się ślubem, bo nic nie łąpię.

Cara westchnęła. Chciała jak najszybciej dobrnąć do końca, a niepotrzebnie wdawała się w dygresje.

- Tommy to lekarz. Gdy Michael dowiedział się o ciąży, poprosił mnie o rękę. Oczywiście odmówiłam.

- Oczywiście? - powtórzyła jak echo Shey.

- No tak. Za dużo rzeczy przemawia przeciwko temu małżeństwu. Michael oświadczył się z poczucia obowiązku, bo tak mu nakazuje honor. Dlatego zamierzam mówić, że ojcem dziecka jest profesor Stuart.

- Jeszcze jeden facet? - Shey przeciągnęła palcami po krótkich włosach. - Zawsze myślałam, że jesteś nieśmiała. Cicha woda! Uporządkujmy to nieco. Nie dość, że jesteś w ciąży z księciem, to jeszcze masz kogoś na boku. I nic nam nie pisnęłaś!

- Nie mam nikogo na boku. Wymyśliłam tego profesora. Michael nie może mieć nieślubnego dziecka, a zatem zostanie ojcem chrzestnym. Parker jest moją przyjaciółką, więc to nie wzbudzi podejrzeń. Myślę o przeprowadzeniu się do Eliason. Wtedy Michael będzie mógł często spotykać się z dzieckiem.

- Wyjedziesz z Erie?

- Popatrz na to z mojego punktu widzenia. Amar leży tuż obok, więc my będziemy widywać się bez przeszkód. Parker też będzie wpadać do Eliason.

- Przeprowadzisz się do nowego kraju i będziesz samotnie wychowywać dziecko?

- Nie mogę zabrać Michaelowi dziecka, a on nie może stąd wyjechać, więc nie ma innego wyjścia. Może otworzymy tu filie naszej kawiarni i księgarni? Stworzymy międzynarodową sieć? - Cara wiedziała, że papie bez sensu, ale peszyło ją spojrzenie Shey. Czowała się jak pod mikroskopem.

Shey nie dała się zagadać. Od razu przeszła do rzeczy.

- Kochasz go?

Cara nie mogła okłamać przyjaciółki.

- Tak. Ale on mnie nie kocha. Jest dobrym, szlachetnym człowiekiem, ale mnie nie kocha.

Shey potrząsnęła głową i skrzywiła się.

- Bzdura.

- Słucham?

- Chodź. - Wzięła ją za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Znajdziemy Parker. Musimy pogadać. Razem coś wymyślimy.

Cara wyrwała rękę.

- Niczego nie wymyślimy - powiedziała z naciskiem. - Ja już zdecydowałam.

-Ale...

- Shey, już postanowiłam. Muszę żyć po swojemu. Kocham Michaela, ale nie wyjdę za niego. Chcę wyjść za męża z miłości, za kogoś, kto też będzie mnie kochał. Z Michałem to nie wchodzi w grę. Dlatego zrobię to, co dla nas obojga jest najlepszym wyjściem. Już podjęłam decyzję, więc nie ma o czym mówić.

- Rzeczywiście zrobiłaś się bardzo uparta! - w głosie Shey zabrzmiała nutka dumy.

Cara uśmiechnęła się, odwróciła i ruszyła w swoją stronę. Musi mieć chwilę oddechu, nim Michael znów gdzieś ją dopadnie.

Będzie z nim tak samo stanowcza jak z Shey. Nie pošlubi go z poczucia obowiązku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chciała z nim porozmawiać, ale ciągle nie było okazji. Co chwila ktoś coś od nich chciał. A to księżna Anna, a to księżę, a to jakiś gość.

Zamek, choć taki duży, wydawał się pękać w szwach.

Do ślubu pozostał jeden dzień. Nie ma szans, by zdołali się rozmówić. A jeszcze tyle było do zrobienia.

Cara zastanawiała się, za co się zabrać w pierwszej kolejności, gdy nieoczekiwanie ujrzała Michaela. Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Szybko! Póki nikogo nie ma! - Michael pociągnął ją do niewielkiego gabinetu. Tu też jeszcze nigdy nie była.

- To twoje biuro? - zapytała.

- Tak. - Wziął od niej teczkę i położył ją na biurku. Delikatnie przesunął dłonią po brzuchu Cary.

- Jak się czujesz?

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Cara rozejrzała się wokół. - Inaczej wyobrażałam sobie twoje biuro. Złocenia, antyki...

Wprawdzie biurko było stare i podniszczone, lecz na pewno nie był to antyk. Na wszystkich ścianach praktyczne półki zavalone książkami i papierami. W prywatnych apartamentach Michaela panował wyjątkowy porządek, za to tu...

- Czy tutaj nikt nie sprząta?

- To mój gabinet i nikt nie ma tu wstępu. Zdażyłaś się chyba zorientować, jak trudno u nas o prywatność. Ten pokój mam tylko dla siebie i to mi odpowiada. Nikt nam tu nie przeszkodzi. Porozmawiajmy.

Już chciała powiedzieć, że nie ma o czym, gdy Michael wziął ją w ramiona i odszukał jej usta. Nie zaprotestowała. Było jej tak dobrze!

- Chcesz mnie oszołomić - powiedziała, gdy w końcu ją puścił. - Bym nie miała siły spierać się z tobą.

- Bez obaw - zaśmiał się Michael. - Zdażyłem poznać cię już nieco lepiej i wiem, jaka potrafisz być uparta i...

Michael urwał nagle, bo na korytarzu rozległy się jakieś głosy. Po chwili drzwi otworzyły się raptownie i do środka wpadła Pearly, a za nią ambasador.

Zmieszali się na widok Cary i księcia.

- Przepraszam. Byliśmy pewni, że tu nikogo nie ma.

- Cara, powiedz temu łotrowi, żeby przestał się za mną włóczyć! - wykrzyknęła Pearly.

- Cara, powiedz tej upartej, zawziętej starszej pani...

Cara nie zdążyła otworzyć ust, bo Pearly odwróciła się jak burza.

- Starszej pani? Chyba wiem, kto z nas jest starszy! - zawołała wojowniczo.

- Dlatego nie mamy czasu do stracenia - podjął ambasador. - Już i tak za długo czekaliśmy.

- Czekaliśmy? - odgryzła się Pearly. - Chyba mówisz o mnie. To ja czekałam całe lata, by powiedział te słowa. Ale on nigdy tego nie zrobił.

- Jakie słowa? - Po minie ambasadora było widać, że nic

nie rozumie. - Przez całe studia marzyłem tylko o tym, by wrócić do ciebie i przeżyć razem z tobą całe życie.

- Tylko nie mogłeś tego z siebie wydusić. Kochałam cię, ale ty mnie ani trochę. Przyzwyczyłeś się do mnie. Nie mogłam się zgodzić na związek bez miłości. Kochałam cię, wiedziałam, że ci się podobam, ale nie kochałeś mnie. Dla mnie to było nie do zaakceptowania.

- Nie kochałem cię? - Ambasador wziął Pearly w ramiona. - Nie kochałem? Ubóstwiałem cię. Kochałem ziemię, po której chodziłaś. Nikt nie obudził we mnie takich uczuć jak ty. Przy nikim nie czułem się tak jak przy tobie. Nie kochałem cię? Pearly, co ty opowiadasz? Kochałem cię nad życie. I nigdy nie przestałem...

- Za późno - wyszeptała Pearly. - Już za późno.

- Wcale nie jest za późno, głuptasie. Powiedz: tak. Jak tylko ci młodzi się pobiorą, przyjdzie czas na nas. - Nie pozwolił jej zaprotestować. - Oboje zmądrzeliśmy. Jeszcze tyle przed nami. I nic się nie zmieniło. Jesteśmy sobą. Pearly i Buster, stworzeni dla siebie. Nadał cię kocham.

Pearly, zawsze taka wygadana, teraz nie mogła wydusić nawet słowa.

- Pearly? - zapytał ambasador.

- Tak - odezwała się zdecydowanym głosem.

- Jak mam to rozumieć?

- Że wyjdę za ciebie. Kocham cię, ty głupku!

Ambasador pochwycił ją w objęcia i pocałował gorąco.

- Chyba ich krępujemy - zreflektowała się Pearly, przypominając sobie, że nie są sami. - Cara, dziękuję. To dzięki tobie się dogadaliśmy.

- Ja nic nie zrobiłam.

Pearly podeszła i objęła ją serdecznie.

- Zrobiłaś więcej, niż myślisz. Pozwól, że coś ci powiem. Nie popełnij tego samego błędu co ja. Nie pozwól, by dumą stanęła na przeszkodzie waszemu szczęściu. Powiedz mu, czego od niego chcesz, nie każ mu się domyślać. - Podeszła do ambasadora i wzięła go za rękę. - Chodź, Buster. Nie będziemy przeszkadzać w tak ważnej rozmowie.

Wyszli, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Hm - mruknął Michael. - To było ciekawe i pouczające.

Cara pociągnęła nosem.

- To było piękne. Po prostu piękne.

- Posłuchasz rady Pearly? Czy każesz mi zgadywać? Jutro ślub. Chciałbym, byśmy razem z nimi stanęli na ślubnym kobiercu. Powiedz to. Powiedz, że za mnie wyjdiesz. Proszę...

- To już staje się nudne. Nie mogę.

- Możesz, tylko się opierasz. I wcale nie dlatego, że jestem księciem. Ani nie dlatego, że nie chcesz wyjść za mąż z poczucia obowiązku. Chodzi o coś innego. Czemu nie powiesz wprost, że nie zależy ci na mnie, że cię nie obchodzi?

- Nie zależy mi? Uważasz, że tak jest? Co ty opowiadasz?

- W takim razie dlaczego? Powiedz, czego ode mnie oczekujesz. - W jego głosie zabrzmiał gniew.

- Chodzi o to... - Cara myślała gorączkowo. Nie będzie żebrać o jego miłość. - Jesteś księciem.

- I co z tego? Parker wychodzi za detektywa, Shey za księżcia. To nic niezwykłego, jak widzisz.

- Ja jestem zwyczajną dziewczyną. Parker jest księżniczką, lecz jednocześnie ma w sobie siłę, potrafi iść własną

drogą. A Shey? Cóż, wspaniale sprawdzi się w roli księżnej. Ale ja? Jestem cicha, nieśmiała, zwyczajna. Wolę zaszyć się w domu i czytać o życiu, zamiast żyć. Co mogę dać twojemu krajowi?

- Ciekawe, co byś powiedziała swojemu dziecku, gdybyś mnie nie odnalazła? - zmienił temat. - Bajeczkę o profesorze?

- Powiedziałabym, że poznałam jego tatę w magiczną noc. Że te kilka godzin, jakie spędziliśmy razem, wystarczą mi na całe życie.

- Magiczne spotkanie. Ale czasem czar nie pryska. Zostaje na zawsze. - Michael wziął ją za rękę. - Wierzę, że mogłabyś być ze mną szczęśliwa, jeśli jednak czujesz, że to niemożliwe, nie stanę ci na drodze. Zgodzę się na profesora Stu. Dam ci wolną rękę.

- Zrobisz to? Pozwolisz nam odejść, choć wiem, że kochasz to dziecko?

- Zrobię to i dużo więcej, bo cię kocham. Chcę dla ciebie i dla dziecka jak najlepiej. Chciałem wierzyć, że możemy być razem, ale skoro nie... - urwał na chwilę. - Zobaczyłaś, jak wygląda moje życie. Ma ono sporo plusów, ale wiąże się też z obciążeniami. To moje przeznaczenie, nie mogę odejść.

- Powiedz to jeszcze raz - wyszeptwała, nie wierząc własnym uszom.

- Magia...

- Nie, nie to.

- Kocham cię. Zabrałaś mi serce. Ale o tym przecież wiedziałaś.

- Nie wiedziałam. - Łzy napłynęły jej do oczu. Tym razem nie z powodu hormonów.

- Oczywiście, że cię kocham. Inaczej bym cię nie prosił o rękę.

- Dla dziecka. Powiedziałeś, że chcesz je wychowywać. Uznałam, że...

- *Cara mia*, tamtej nocy... Wiem, że zabrzmiało to nieprawdopodobnie, ale wtedy zakochałem się w tobie. Nigdy nie wierzyłem w miłość od pierwszego spojrzenia, ale tak się stało. Spojrzałem ci w oczy i już wiedziałem, że to ty. To na ciebie czekałem. I im dłużej cię znam, tym większą mam pewność. Tym mocniej cię kocham. Prosiłbym cię o rękę, nawet gdybym nie wiedział o dziecku. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

-Ja...

- Powiedz. - tak. Wiem, że to szybkie tempo, że masz obawy, ale zaufaj mi. Zgódź się.

- Właśnie miałam powiedzieć, że cię kocham. I że za ciebie wyjdę.

Michael sięgnął do kieszeni i wyjął pierścionek. Ogromny brylant otoczony topazami.

- To pierścionek matki mojego ojca. Moja mama dała mi go dla ciebie.

- Powiedziałeś rodzicom o dziecku?

- Tak. Prosiłem, by się z tym nie zdradzali, ale radość aż ich rozpięra.

Włożył Carze pierścionek na palec.

- Jeśli nie bardzo ci się podoba, możemy kupić inny.

- Jest piękny.

- Przez tyle dni nosiłem go w kieszeni. Czekałem.

- A ja czekałam na te słowa. Kocham cię - powtórzyła, obejmując go czule.

- Zdażysz przygotować się na jutrzejszy ślub?
Cara roześmiała się radośnie.
- Mam w Eliason znajomości. Na pewno zdażę.

Cara stała przy ołtarzu. Za jej plecami siedzieli przyjaciele i rodzina.

- Caro Mario Phillips, czy bierzesz sobie za męża tego mężczyznę, Michaela Paula Mickowicza Dillonetti...

Cara popatrzyła na Michaela, ojca jej dziecka, ukochanego mężczyznę.

- Tak - powiedziała z przekonaniem.
- Mario Anno Parker Mickowicz Dillonetti...
- Shey Anno Carlson...

Cara zerknęła przez ramię. W pierwszym rzędzie siedzieli jej rodzice. Michael ściągnął ich tu w tajemnicy, by zrobić jej niespodziankę. Tuż za nimi siedziała Pearly z ambasadorem.

Cara doskonale wiedziała, że to wszystko nie stało się tak po prostu.

To magia. Los. Przeznaczenie. Miłość. I...

Napotkała spojrzenie Michaela. Kocham cię, bezgłośnie poruszył ustami.

- Ogłaszam was mężem i żoną - oznajmił pastor. Urwał, zaśmiał się i dodał: - Mężem i żoną. Mężem i żoną.

Cara popatrzyła na przyjaciółki i ich mężów.

Już wie, co chciała dodać...

Szczęście na zawsze.

EPILOG

- Książę Paul Michael Stuart Ericson Mickowicz Dillo-netti. - Cara przytuliła do siebie ciemnowłosą główkę maleństwa, które przed godziną przyszło na świat.

- Cara. - Michael starał się zachować powagę, ale odkąd ujrzeli swoje dziecko, oboje rozpływali się w uśmiechach.

Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o Carę, to ona nie przedstawiała uśmiechać się od dnia ślubu. Ostatnie miesiące były dla niej jednym pasmem szczęścia. A teraz, gdy trzymała w ramionach tę kruszynkę, jej szczęście sięgało zenitu.

- Michael, przecież to piękne imię. Odpowiednio długie. Będzie mieć je po dziadku, po tobie...

- Ale Stuart?

- Oczywiście. Przecież on odegrał w życiu naszego synka znaczącą rolę. - Roześmiała się, nie mogąc dłużej hamować radości.

Michael delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- W takim razie zgoda. Po tym, co przecierpiałaś, wydając go na świat, zgadzam się na wszystko.

- To naprawdę nic takiego - uśmiechnęła się Cara. Michael bardzo przeżył poród, ale ona zapomniała o bólu, jak tylko wzięła dziecko w ramiona.

- *Cara mia*, poród to nic zabawnego. Już nigdy nie będziesz tak cierpieć.

Cara podała mu synka.

- Zobacz, jaki on śliczny. Naprawdę chciałbyś, żeby był jedynakiem?

- Caro...

- No dobrze. Poczekamy z rok, a potem zaczniemy myśleć o rodzeństwie.

Spodziewała się, że Michael zaprotestuje, lecz on był całkowicie pochłonięty przyglądaniem się synkowi.

- Jest wspaniały.

Cara położyła jedną rękę na ramieniu męża, a drugą na piersi dziecka. Czuła się szczęśliwa i spełniona. Już wcześniej rozmawiała z Parker i Shey. W przyszłym tygodniu przyjaciółki miały przyjechać do Eliason, by zobaczyć maleństwo.

Ostatni rok tyle zmienił. Początkowo miała obawy, lecz teraz nie wyobrażała sobie Parker bez Jace'a i Shey bez Tannera. A już za nic nie wyobrażała sobie życia bez mężczyzny, który delikatnie przytulał ich dziecko.

Składając małżeńską przysięgę, myślała, że nie może już być bardziej szczęśliwa. Jednak, patrząc na Michaela tulącego synka, wiedziała, że ślub był tylko początkiem.

O tak. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Będą żyć długo i szczęśliwie.